

I N F E K C J A

e x o d u s

Andrzej Wardziak



Pascal

I N F E K C J A

e x o d u s

Andrzej Wardziak



Pascal

© Copyright by Andrzej Wardziak

© Copyright for this edition by Wydawnictwo Pascal

Ta książka jest fikcją literacką. Jakikolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żywych lub zmarłych, autentycznych miejsc, wydarzeń lub zjawisk jest czysto przypadkowe. Bohaterowie i wydarzenia opisane w tej książce są tworem wyobraźni autora bądź zostały znacząco przetworzone pod kątem wykorzystania w powieści.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazywana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy, za wyjątkiem recenzentów, którzy mogą przytoczyć krótkie fragmenty tekstu.

Autor: *Andrzej Wardziak*

Redakcja: *Bartosz Szpojda*

Korekta: *Katarzyna Ziola-Zemczak*

Ilustracja i projekt graficzny okładki: *Rafał Kapica*

Skład: *IMK*

Przygotowanie eBooka: *Mariusz Kurkowski*

Redaktor prowadząca: *Agnieszka Pietrzak*

Redaktor naczelna: *Agnieszka Hetnał*

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

tel. 338282828, fax 338282829

pascal@pascal.pl

www.pascal.pl

Bielsko-Biała 2016

ISBN 978-83-7642-911-3

WTOREK

ŁOMIANKI, GODZINA 21:28.

Główno prawda – skwitował krótko Marek, wbijając tępy wzrok w telewizor. Od południa na wszystkich kanałach leciały te same informacje oraz konsekwentnie powtarzane, surrealistyczne obrazy krwawiącej, konającej Warszawy. Bezlitośnie obnażały chaos, dezorganizację i panikę na każdym poziomie struktury społecznej. Nikt nie był w stanie wytłumaczyć, co aktualnie dzieje się w stolicy oraz innych dużych miastach Polski. Wyglądało na to, że cały kraj padł ofiarą nieznannej wcześniej zarazy. Wypowiadali się eksperci cywilni i wojskowi, naturalnie głos zabrało również paru wieszczów apokalipsy z ramienia kleru, lecz tak naprawdę nikt nie rzucił chociażby odrobiny światła na nierozwiązaną dotychczas sprawę.

Zniesmaczony Marek otworzył kolejną tego wieczoru puszkę piwa i od razu wypił połowę.

– Jak myślisz, co teraz będzie? – zapytała nieśmiało żona siedząca na kanapie obok męża. Z przejęciem śledziła „Wiadomości”.

– Nic. Serio, wierzysz w to? – zapytał tonem pełnym wyrzutu. – Przecież to bzdury, farmazony same. Co, niby ludzie zaczęli się nagle atakować i tak po prostu zjadać? Takie tam pieprzenie. To pewnie jakaś nowa akcja marketingowa albo reklama, może. A jeśli nawet nie, to tak jak to coś szybko przyszło, tak samo szybko pójdzie. – Zrobił przerwę i opróżnił puszkę do końca. Poczekał, aż mu się odbije, po czym zadowolony ciągnął tyradę: – Poza tym wojsko się wszystkim zajmie. Widziałas, ile czołgów jechało dziś do miasta? – Ponownie beknął. – Jesteśmy bezpieczni. O nic się nie bój.

Dwie godziny później Marek był zbyt pijany, by słyszeć krzyki walczącej o życie żony i by zrozumieć, że wściekle atakujący go sąsiedzi nie byli tylko złym snem.

ŚRODA

*KEEP OUT THE INTRUDERS, PUT THE DRAWBRIDGE UP! THE ENEMY RANSACKED
WHAT WE HAD JUST REBUILT!*

The Agonist, Panophobia

ŁOMIANKI, GODZINA 00:22.

Kamil podszedł na miękkich nogach do okna. Wytarł swoje szczupłe, mokre od potu dłonie w luźne spodnie dzinsowe i kilka razy głęboko nabrał powietrza, starając się odnaleźć w sobie głęboko schowane pokłady odwagi. Następnie, najdelikatniej jak potrafił, odsunął zasłonę i zerknął na ulicę.

Pomimo późnej pory nie musiał się specjalnie wysilać, żeby widzieć w ciemności – luna pożaru oświetlała wszystko ciepłym, pomarańczowym blaskiem. Płomienie trawiły samochód leżący na dachu w poprzek jezdni oraz piętrowy dom naprzeciwko szeregowca, w którym aktualnie wynajmował pokój. Dodatkowe oświetlenie zapewniały ciągle działające latarnie. Ogień strzelał wysoko w niebo, ale straż pożarna mimo to nie przyjechała. I coś mu mówiło, że prędko nie przyjedzie.

Chłopak przeniósł wzrok na dwa ciała leżące na zimnym asfalcie. Jedno z nich, należące do młodej kobiety, miało głowę skierowaną w jego stronę. Ta spoglądała na niego pełnym pretensji spojrzeniem niewidzących już oczu, w których odbijała się luna pożaru.

Cofnął się pamięcią do chwili, gdy ofiary wypadku wyczołgiwały się z wraku samochodu. Przypominał sobie strach, jaki mu towarzyszył, gdy toczył wewnętrzną walkę, czy iść i im pomóc, czy też pozostać w bezpiecznej kryjówce. Wiedział, że powinien był pomóc. Wiedział, że powinien był zachować się odważnie, jak bohater – jeden z tych, których widział w filmach, o których tyle czytał, w których się wcielał, grając w gry komputerowe. Ale nie potrafił. Mógł wybiec z domu, złapać jedną z leżących na ziemi kobiet i uratować ją przed... nimi. Nie chciał ich nazywać. Nie chciał ponownie przypominać sobie tego, czego i tak nigdy nie będzie mu dane zapomnieć. Nie pojmował, dlaczego ludzie stali się wobec siebie tak okrutni, co za diabeł ich opętał i zmuszał do rzucania się sobie do gardeł. Nie chciał tego zrozumieć, ale i nie potrafił przestać o tym myśleć. I właśnie to ciągle rozmyślanie pozbawiło go wtedy możliwości działania. Stał tylko w oknie i zza minimalnie uchylonej żaluzji obserwował, jak bezbronne kobiety wołają o pomoc, podczas gdy wydzierane są im wnętrzności. Nie mógł się z tym pogodzić, więc wymazał to wspomnienie, które teraz powróciło ze zdwojoną siłą. Tak samo jak wymazał wspomnienie tego, że zlał się w gacie, gdy miał dziewięć lat i pies ugryzł jego siostrę, a on nie ruszył jej na ratunek, tylko stał i patrzył, pozwalając, by ciepły mocz spłynął po jego kostce i wsiąknął w brudny piasek podwórka.

A skoro wymazał to wspomnienie, patrzył teraz na ulicę i udawał, że martwe kobiety zauważył po raz pierwszy.

– Widzisz coś? – zapytała Kasia. Chłopak odwrócił się i zobaczył, jak jego dziewczyna siedzi na kanapie z kolanami podciągniętymi pod samą brodę. Była blada, oddychała z trudem i tylko co chwilę pytała, czy Kamil dostrzegł coś nowego. Przez ostatnie kilka godzin zmieniła się nie do po-

znania – z pewnej siebie, kochającej życie młodej studentki w wystraszone piskłę.

– Nie, nic. Cały czas to samo – powiedział zgodnie z prawdą. W tonie jego głosu dominowały smutek i niepewność, których chłopak nawet nie starał się ukrywać.

Nie wiedział, co robić. Czy czekać na ratunek, czy wybiec i szukać u kogoś pomocy? Telefony przestały działać, w sieci niczego konkretnego nie znalazł. Nikt nigdy mu nie powiedział, jak ma się zachować w przypadku apokalipsy, gdy ta zapuka do jego drzwi zupełnie bez ostrzeżenia. Mógł tylko biernie czekać na rozwój wypadków i przyjmować to, co zgotował mu los. Odwrócił się ponownie w stronę ulicy, wypatrując czegoś, jakiegokolwiek wskazówki, która podpowiedziała mu, co robić.

Wszystko zaczęło się parę godzin wcześniej. Wrócili z Kasią do domu po normalnym dniu pracy, rozmawiali, przygotowali obiad, zasiedli przed telewizorem. I właśnie wtedy trafili na specjalny program relacjonujący wydarzenia zachodzące mniej niż dwadzieścia kilometrów od miejsca, w którym aktualnie przebywali. Nierealne obrazy pokazywały płonąca Warszawę, w której ludzie strzelali do siebie i wzajemnie się atakowali, i po ulicach której spływała krew. Nawet dziennikarze padali ofiarą agresji, ich relacje były nieskładne i chaotyczne. W tle „Wiadomości” słychać było wystrzały z karabinów maszynowych i wybuchy. Nietrudno było zauważyć, że wojsko nie panowało nad sytuacją. Nikt nie wiedział, co, dlaczego, skąd, gdzie i dokąd to sięga oraz – a może przede wszystkim – jak to powstrzymać. Niemniej z perspektywy kanapy sytuacja wydawała się Kamilowi i Kasi całkiem niegroźna. To znaczy owszem, tragedie i w ogóle smutek... ale wszystko dzieje się daleko, nas bezpośrednio nie dotyczy, więc w sumie nie było się czym przejmować, prawda?

Myśleli tak aż do momentu, w którym usłyszeli pierwszy krzyk dobiegający zza okna.

Wrzask był tak przejmujący, że dostali gęsiej skórki na całym ciele. Spojrzeli po sobie, w pierwszej chwili zupełnie nie wiedząc, co myśleć ani co robić.

– Co to było? – zapytała drżącym głosem Kasia.

Kamil patrzył na nią przez chwilę w milczeniu, następnie przeniósł wzrok na ekran telewizora. Pokazywano obrazy niczym z amerykańskiego horroru. Jednak krzyk, który usłyszeli, był bardzo prawdziwy i z całą pewnością nie dobiegał z głośników odbiornika.

– Nie wiem – odpowiedział w końcu chłopak. Zebrał się w sobie i podszedł ostrożnie do okna. Wcale nie chciał tego robić, ale coś mu mówiło, że powinien. Błyskawicznie do jego pleców przykleiła się Kasia, szukająca oparcia w jego szczupłym ciele.

Podeszli do okna i wyjrzeni na ulicę, a to, co zobaczyli, wystarczyło, by doświadczyli jednego z tych rzadkich momentów, które sprawiają, że nasze życie już nigdy nie będzie takie, jakie było wcześniej.

Sceny, które widzieli w „Wiadomościach”, rozgrywały się teraz przed ich domem. Ujrzeni, jak dwie brudne, zakrwawione osoby podbiegają do samotnie spacerującego staruszka, powalają go na ziemię i zaczynają rozszarpywać. Mężczyzna krzyknął kilka razy, desperacko zamachał rękami, sta-

rając się odpędzić prześladowców, jednak nie miał szans w starciu z tak agresywnym i bezwzględ-
nym przeciwnikiem. Po chwili szamotaniny starzec znieruchomiał. Kamil patrzył, jak napastnicy
wydzierają fragmenty ciała zamordowanego człowieka i wkładają je sobie do ust. Całe zajście było
oświetlone ciepłym światłem zachodzącego słońca, przebijającym się przez wysokie dęby rosnące
po obu stronach drogi. To tylko potęgowało surrealizm sytuacji.

„To jest po prostu niemożliwe” – pomyślał.

Nie zauważył żadnych rurek ze sztuczną krwią, więc zaczął się rozglądać w poszukiwaniu ukrytej
kamery, statystów czy jakichkolwiek oznak, że to, co widzi, jest po prostu częścią planu filmowego.
Stwierdził, że charakterystyka napastników była idealna: obaj mieli poszarpane i zakrwawione
ubrania, młodszemu mężczyźnie z twarzy zwisał płat naderwanej skóry, który – trzeba to przy-
znać – wyglądał cholernie prawdziwie. Drugi, starszy mężczyzna nie miał lewej dłoni, a ręka koń-
czyła się krwawiącym kikutem, z którego wystawała śnieżnobiała kość. Jednak największe wrażenie
zrobiły na Kamilu szkła kontaktowe – ciemne, niemalże czarne oczy przywodziły na myśl piekielne
demony, które znalazły się na ziemi, aby zebrać swe śmiertelne żniwo. Ekipa naprawdę nieźle się
postarała.

Widząc to samo, co on, Kasia krzyknęła. Oprawcy odwrócili głowy i spojrzeli prosto na dwoje lu-
dzi stojących w oknie. Starszy mężczyzna, ten z kikutem ręki, wstał z ziemi i ruszył biegiem
w stronę Kamila i Kasi, którzy stali jak sparaliżowani, tylko się temu przyglądając. Nie wrzeszczał,
nie warczał, nie odgrażał się. Po prostu biegł z furią w oczach, ale jego intencje były całkowicie ja-
sne. A jeżeli to wcale nie żart? Jeżeli to prawda, jeżeli ten mężczyzna jest... Nagle Kamil ze zgrozą
uświadomił sobie, że brama wjazdowa jest otwarta na całą szerokość – zawsze ją tak zostawiał, cze-
kając, aż pozostali domownicy wrócą z pracy. To oznaczało, że obcy wedrą się na posesję bez naj-
mniejszego problemu. Kamil i Kasia nie rozumieli, że cienkie szkło, które odgradza ich od intruza,
pójdzie w drobny mak w wyniku zderzenia z szarżującym szaleńcem, a oni tym samym znajdą się
w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Jednak na ich szczęście mężczyźnie nie było dane dobiec do okna. Został potrącony przez oliwko-
we audi, które najeżdżało od strony lasu. Wypadki w tym miejscu zdarzały się często – kilka łagod-
nych zakrętów w lesie sprzyjało brawurowej jeździe i niewielu kierowców przejmowało się tym, że
wjeżdżają właśnie na teren zabudowany. Uderzenie odrzuciło mężczyznę na chodnik. Równocze-
śnie w wypadku ucierpiał sam samochód. Kierująca nim kobieta w ostatniej chwili próbowała skre-
cić w lewo, ale było na to stanowczo za późno – najpierw uderzyła w faceta, potem odbiła gwałtow-
nie kierownicą, w efekcie czego auto dachowało.

Ciszę, która zapanowała po wypadku, przerywał tylko piskliwy klakson, najwyraźniej uszkodzony
w wyniku uderzenia. Dwoje młodych ludzi stojących w domu zastanawiało się, czy powinni iść
i pomóc – w głębi swoich małych, wystraszonych dusz liczyli na to, że jednak znajdzie się ktoś od-
ważniejszy, ktoś, kto też widział wypadek. On pójdzie pomóc, a wtedy oni już nie będą musieli.
Niestety, bohatera nie było, a ranna kobieta już zaczęła wyczołgiwać się z wraku.

Nagle młodszy z napastników, który do tej pory pochłonięty był konsumpcją starca, podniósł się

z ziemi i ruszył w stronę przewróconego samochodu. Wcześniej zdawał się zupełnie nie zwracać uwagi ani na jadący samochód, ani na prawdopodobną śmierć swojego towarzysza. Szyba od strony kierowcy była roztrzaskana w drobny mak, więc tylko schylił się, złapał kobietę za rękę i wywłókł na ulicę. Gdyby miała zapięte pasy, nie zrobiłby tego z taką łatwością, jednak teraz nie miało to znaczenia. Patrzący na tę scenę Kamil zastanawiał się, skąd taka nagła zmiana w zachowaniu – najpierw napadają bezbronного starca, następnie ewidentnie zamierzają zaatakować jego i Kasię, a teraz ratują ranną w wypadku kobietę.

– O Jezu... – wyszeptała Kasia, nagle blednąc.

Napastnik pochylił się nad ofiarą i po prostu wgryzł się jej w szyję. Trysnęła krew. Morderca odchylił głowę, trzymając w zębach ścięgna ofiary. Przełknął i wydał z siebie zwierzęcy ryk triumfu.

Naraz drugi facet wstał z betonu i ruszył w stronę samochodu. Kasia poczuła, jak po raz kolejny tego wieczoru przez jej plecy przebiega dreszcz przerażenia. Czuła się, jakby ktoś podłączył ją pod prąd stały, przepływający przez ciało i powodujący raz po raz delikatne drżenia. Przecież ten facet nie miał do tego prawa! Po takim uderzeniu nie mógł tak po prostu wstać. Powinien mieć połamane wszystkie kości, wstrząs mózgu, a przede wszystkim awersję do przechodzenia przez ulicę nie po pasach.

W tym momencie Kamil był już przy drzwiach i sprawdzał, czy są dobrze zamknięte. Następnie, blady ze strachu, pobiegł do kuchni i złapał największy nóż. Potem wrócił do okna i odciągnął od niego spanikowaną Kasię, wcześniej zasłoniwszy szczelnie zasłony. Cały czas drżał z przerażenia i nadmiaru adrenaliny, buzującej w organizmie.

Usiedli w milczeniu na kanapie. Chłopak sięgnął trzęsącymi się dłońmi po telefon z zamiarem wykręcenia numeru 997, ale zamarł i po prostu siedział, nasłuchując odgłosów dobiegających z ulicy. Był zbyt sparalizowany strachem, aby wykonać jakikolwiek ruch.

OBRZEŻA WARSZAWY, GODZINA 12:40.

W pierwszej chwili Paweł nie bardzo rozumiał, co się stało. Pamiętał wybuch i oślepiający błysk, po którym wszystko zalała gęsta, nieprzenikniona nicość. Teraz jednak, zupełnie wbrew temu, czego się spodziewał, powoli otworzył oczy. Wiedział, że powinien był umrzeć, a mimo to ciągle żył.

Przenikliwe piszczenie niemalże rozsadzało mu czaszkę. Mężczyzna z wyraźnym trudem rozejrzał się po miejscu, w którym aktualnie się znajdował. Wyglądało jak furgonetka, tyle że niekoniecznie stojąca na kołach. To tylko potęgowało poczucie dezorientacji. Zatrzymał wzrok na swojej córce Kai, leżącej z rozbitą głową na jakimś chłopaku, którego imienia nie znał albo w tej chwili nie pamiętał. Miała otwarte oczy, jej pierś unosiła się i opadała miarowo. Spod grzywki wypływała leniwie cienka strużka krwi.

„Żyje” – stwierdził z ulgą Paweł i zaczął się dalej rozglądać, próbując jednocześnie się podnieść i dotrzeć do dziecka. Zauważył, że w aucie były jeszcze inne osoby – za kierownicą leżał krótko ostrzyżony młody mężczyzna, na nim natomiast spoczywała delikatna blondynka, która wcześniej prawdopodobnie zajmowała miejsce pasażera. Pomimo bólu głowy Paweł usiłował się skoncentrować, żeby tylko przypomnieć sobie, co się stało.

Mozolnie sunąc w stronę córki, próbował przywołać się do porządku. „Skup się” – nakazywał sobie w duchu. „Skup się. Oddychaj. Działaj”.

Jednak nie rejestrował absolutnie niczego, poza ścianą bólu rozsadzającego czaszkę. Starał się przypomnieć sobie szkolenia, techniki uspokajania ciała i umysłu, lecz sucha teoria a praktyka to dwie zupełnie różne rzeczy. Niemniej po kilku głębokich wdechach, po czasie, który zdawał się stać całkowicie nieruchomo niczym uśpione wahadło, wszystkie elementy układanki zaczęły powoli wskakiwać na swoje miejsca – strzelano do nich, przedtem uciekali z Warszawy, mieli wypadek samochodowy, była wymiana ognia z wojskiem, porwanie żołnierza, kłótnia, dalsza ucieczka i... czołg. Ostatnim wspomnieniem był czołg, wyjeżdżający z lasu, z uniesioną wysoko lufą skierowaną prosto w ich stronę. Przypomniawszy sobie – mieli przebić się przez wojskową barykadę, która na pierwszy rzut oka była zniszczona lub opuszczona. Nieszczęśliwie dla nich okazało się, że jednak ktoś jeszcze na niej pozostał.

Naraz wszystkie wspomnienia ożyły ze zdwojoną siłą, zalewając świadomość Pawła niczym zimny prysznic skacowanego rezydenta izby wytrzeźwień. Przypomniawszy mu się powód, dla którego w takim popłochu opuszczali Warszawę. Powód, dla którego uciekali, zabijali i walczyli. Tym powodem była wszechobecna śmierć spowodowana jakąś nieznaną wcześniej zarazą. Wariaci, mordercy i kanibale w jednym, szalejący po ulicach plądrowanego miasta. Pamiętał wypadek pociągu metra,

ucieczkę przez ciemne i głuche tunele pełne tych ni to ludzi, ni zwierząt. Przypomniał sobie również kudłatego chłopaka, który mu towarzyszył, Maxa.

„Tak, nazywał się Max” – uznał Paweł, sprawnie identyfikując imię młodzieńca, na którym leżała jego córka. Potem był sklep spożywczy, próba przetrwania nocy i cudowne odnalezienie dziewczyny na Polach Mokotowskich. Na wspomnienie tego momentu Paweł ponownie wzdrygnął się z odrazą. Przypomnieli mu się mężczyźni, których musiał zastrzelić. Jeżeli zjawiłby się dziesięć minut później, niewiele by z jego Kai zostało.

Nagle pociski zastukały w podwozie leżącej na boku furgonetki, zmuszając tym samym mężczyznę do przerwania strumienia wspomnień. Instynktownie skulił się i zaczął oglądać wnętrze samochodu, szukając dziur po kulach. Wybuch pocisku wystrzelonego przez czołg ogłuszył go, tłumiąc instynkt. Zamiast działać, siedział i rozmyślał.

„Nie tego mnie uczyli” – skarcił się w myślach. „Dziw bierze, że udało mi się dotrzeć aż tutaj”.

– Paweł! – dotarł do niego krzyk Maxa. – Ej, słyszysz mnie?

Paweł niepewnie skinął głową, jednak po chwili kiwnięcia te przybrały na pewności i determinacji.

„Potem będzie czas na wspomnianie” – stwierdził, odzyskując panowanie nad sobą. Trzeba przejąć kontrolę nad sytuacją i spróbować wyjść cało z tego ambarasu. Spojrzał na chłopaka, który go wołał. To właśnie na nim leżała Kaja, mętnym wzrokiem wpatrując się w rozbite szkło. Była ogłuszona i najwyraźniej nie do końca rozumiała, co się wydarzyło, zupełnie jak jej ojciec. Ale żyła i to było teraz najważniejsze.

– Tak, słyszę – odpowiedział Paweł, kierując wzrok w stronę chłopaka.

– To dobrze. Obieś sobie łeb, ale potrzebujemy cię – powiedział Max. W międzyczasie zdążył się już uwolnić spod dziewczyny, delikatnie i uważnie opierając ją plecami o podłogę leżącej na boku furgonetki. Następnie chłopak ukucnął przed Pawłem i uniósł dłoń przed jego oczami.

– Ile widzisz palców? – zapytał, chowając przed jego wzrokiem mały palec i kciuk.

– Spierdalaj. Podaj mi lepiej jakąś broń – odpowiedział mężczyzna, z trudem dźwigając się na nogi.

Max uśmiechnął się szeroko i wręczył mu czarny, połyskujący karabin maszynowy. Dobrze mu było ze świadomością, że facet, który uratował mu życie w metrze, doszedł teraz do siebie i będzie go bronił dalej.

– Chyba dostałem – odezwał się nagle chłopak leżący wcześniej obok Pawła.

Mężczyzna obejrzał się za siebie i zobaczył młodziaka trzymającego się za brzuch. Niebieski T-shirt był poplamiony krwią. Paweł zbliżył się do niego błyskawicznie, ledwo utrzymując równowagę. „Kurwa, jednak błędnik nie do końca się ogarnął” – stwierdził w myślach, chwiejąc się niczym pijany.

– Gdzie dostałeś? Na pewno cię trafili? – zapytał, przyglądając się Tomkowi. Ten przymknął oczy i potrząsnął głową.

– Nie wiem, ale chyba tak – odpowiedział i jęknął z bólu. – Nie. – dodał po sekundzie. – Tak. –

Oddech. – Nie. Nie wiem, skąd mogę, kurwa, wiedzieć?! – zaczął wyrzucać z siebie chaotycznie wyrazy, jednocześnie próbując dokładnie obejrzeć swoje ciało. Jednak przy pierwszym ruchu zasyczał i złapał się za żebra.

Paweł popatrzył na Tomka, ale stwierdził, że chłopak poradzi sobie bez jego pomocy. Mężczyzna miał aktualnie ważniejsze rzeczy na głowie.

– Nie trafili cię. Gdybyś dostał pociskiem, wyglądałbyś znacznie gorzej, uwierz mi – powiedział. W jego opinii miało to podnieść chłopaka na duchu. Wyglądało na to, że został co najwyżej draśnięty albo obił się o jakiś sprzęt podczas dachowania. Draśnięcie to nie rana postrzałowa. W każdym razie nie powoduje wykrwawienia. Zostawił go więc z jego jęczeniem i pochyłony skierował się w stronę córki. Żadne kolejne strzały nie trafiły w ich samochód, Paweł łudził się więc, że były to tylko rykoszety.

– Kaja, żyjesz? Nic ci nie jest? – zapytał z wyraźną troską w głosie.

Mężczyzna doskonale widział, że po twarzy jego córki spływa krew, ale musiał zadać to pytanie. Ludzie zawsze to robią. Choćby przyszło im rozmawiać z korpusem kolegi, i tak zapytają, czy nic mu nie jest. Może łudzimy się, że to cofnie bieg wydarzeń i osoba faktycznie znajdzie się z powrotem w stanie, w jakim ją zapamiętaliśmy?

Kaja potrząsnęła delikatnie głową. Wyglądała, jakby obudziła się gwałtownie po całonocnej imprezie.

– Chyba nie – odpowiedziała, kierując rękę w stronę bolącego miejsca. – Co się stało?

– Masz rozciętą głowę, ale to raczej nic poważnego – powiedział Paweł, oglądając córkę.

– Dachowaliśmy – wtrącił się Max. – Na pewno dobrze się czujesz? – teraz z kolei on zapytał dziewczynę.

– Tak, poza głową nic mi chyba nie jest – stwierdziła, przyglądając się własnej dłoni umazanej we krwi. Poczula, jak jej żołądek ściska się w małą, twardą kulkę. – Dachowaliśmy? – dopytała, odwracając wzrok od krwi.

– Tak, jak ten czołg wyjechał... – zaczął Paweł i natychmiast przerwał. Czołg. W każdej sekundzie kolejny wystrzelony z niego pocisk mógł ich trafić, a wtedy już na bank zostaną rozerwani na strzępy.

– Musimy wyjść z furgonetki! Szybko! – zarządził komandos, rozglądając się po wnętrzu auta. – Max, sprawdź, co z Kubą i Natalią – powiedziawszy to, wskazał ręką parę leżącą za kierownicą. Wszystkie imiona już mu się przypomniały, wszystkie puzzle wskoczyły na miejsce. – Kaja, możesz chodzić? – zwrócił się ponownie do córki.

Dziewczyna kiwnęła potakująco głową, starając się zignorować ból rozciętej głowy.

– Okej, to bierz karabin – stwierdził zdecydowanie.

Deklarując zdolność chodzenia, Kaja nie spodziewała się, że będzie musiała walczyć. Jednak ojciec nie czekał na jej reakcję – wydając polecenie, już sprawdzał stan swojego beryła. Następnie sięgnął do plecaka, wyjął zapasowe magazynki i poupychał je po kieszeniach.

– Będą żyć – doleciało do uszu Kai od strony przednich siedzeń. To głos Maxa pomagającego wła-

śnie Natalii w zejściu z męża.

W pierwszej chwili nie mogła uwierzyć jakim cudem Kuba i Natalia przeżyli. Na dodatek wyglądali całkiem nieźle. Byli poobijani i w szoku jak wszyscy pozostali, ale na pierwszy rzut oka nie było po nich widać poważniejszych obrażeń. W sumie, jeżeli wziąć pod uwagę fakt, że pocisk wystrzelony z leoparda wcale ich nie trafił, tylko przeleciał obok i eksplodował, uderzając w drzewo, a furgonetka policyjna przewróciła się na bok w wyniku ostrego skręcenia kół i zaliczenia dziury w ziemi, ich stan nie był aż tak podejrzany.

– Możecie chodzić? – zapytał Kubę Paweł, jednocześnie lustrując go wzrokiem.

– Tak – odpowiedział policjant, zerkając na Natalię. Przerazenie i zaskoczenie bijące z oczu jego pięknej żony były dla niego nie do zniesienia. Czuł się odpowiedzialny za to wszystko, chociaż rozumiał, że zrobił, co mógł, aby tego uniknąć. Nie był jednak z siebie zadowolony. Miał do siebie pretensje o to, że nie potrafił wybrnąć z tej sytuacji inaczej, że zbyt późno dotarli na komisariat, że za dużo czasu spędzili na bezsensownych dywagacjach w kościele, że dojechali na most akurat w momencie, w którym eksplodowała stacja. Może gdyby wstał wcześniej i ogarnął się tak, jak planowali, przejechaliby most i nie byłoby problemu? Teraz mógł się tylko zastanawiać, „co by było gdyby”, a to nie prowadziło absolutnie do niczego. Tracił tylko jeszcze więcej czasu.

Wrodzona zdolność mentalnego cięcia się pozwoliłaby Kubie na prowadzenie takich rozważań niemalże w nieskończoność, gdyby nie ręka Pawła, która niespodziewanie pojawiła się na ramieniu policjanta.

– Musimy się stąd zbierać – powiedział stanowczo, zaglądając głęboko w oczy użalającego się nad sobą policjanta. – Zaraz podziurawią furgonetkę.

Jakby na potwierdzenie jego słów kolejna fala pocisków wbiła się w podwozie samochodu. Wszyscy jak jeden mąż padli na ziemię i zasłonili głowy rękami, modląc się, żeby nie dosięgła ani ich, ani ich bliskich.

– Dobra, zrobimy tak – zaczął komandos. – Ja i Max wyjdziemy między drzewa i zaczniemy do nich strzelać. To powinno na chwilę ich zająć. Kuba, ty w tym czasie poprowadzisz ogień zza furgonetki, a dziewczyny pomogą Tomkowi wyjść. A potem wszyscy spieprzamy w las.

Słyszając to, Tomek skrzywił się ze wstydu i poczucia winy. Wiedział, że musi zacisnąć zęby i dać z siebie wszystko. Chociaż przy każdym oddechu żebra paliły go żywym ogniem, nie chciał być ciężarem dla grupy. Z drugiej strony miał dzięki temu wrażenie, że może uda mu się przeżyć. Jako ranny będzie z pewnością ochroniany przez resztę grupy, co raczej zwiększa jego szanse. Przynajmniej teoretycznie. W praktyce równie dobrze mogą go zastrzelić niczym konia ze złamaną nogą. Ta silnie motywująca refleksja sprawiła, że przełknął ślinę i stwierdził:

– Sam sobie poradzę, nie musicie się martwić.

– Nie wątpię, ale musimy działać szybko, więc będzie tak, jak mówiłem – odpowiedział Paweł. – Kuba, weź też jedną torbę z bronią, ja wezmę drugą.

Kuba, tak jak pozostali, kiwnął głową. Max przeladował i odbezpieczył swojego beryla. Kaja, zakładając na ramiona plecak, spojrzała na niego. Stwierdziła, że chyba go polubiła – mimo tych bojów-

wiek, długich kręconych włosów i ciężkich glanów na nogach. Jego styl zupełnie nie pokrywał się z jej własnym, jednak determinacja i zawziętość bijąca z brązowych oczu była jej bardzo dobrze znana. Poza tym nie zamierzała zapomnieć, że na Polach Mokotowskich uratował życie jej ojcu. Nie potrafiła tylko powiedzieć, dlaczego się nad tym zastanawiała akurat w takim momencie. Przez głowę przemknęła jej myśl, że może już nie będzie ku temu więcej okazji. Dziewczyna szybko ją odrzuciła.

– Gotowi? To ruszamy! – zarządził Paweł i wytoczył się z furgonetki, otwierając tylne drzwi.

Uderzyło go oślepiające słońce. Ukucnął na ziemi i zarzucił torbę na plecy w taki sposób, żeby ta tylko minimalnie krępowała jego ruchy. Rozejrzał się szybko wokół, wypatrując bezpośredniego zagrożenia. Otaczał ich gęsty las, pełen świeżości i życia. A oni, nie zważając na sielankowy krajobraz, musieli chwycić za broń i walczyć. Paweł po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że życie nie jest sprawiedliwe. Przypomniało mu się zdanie, które kiedyś przeczytał – że Bóg, zamiast poczciwego starca z długą, białą brodą, bardziej przypomina rozpieszczonego bachora kucającego z lupą nad mrowiskiem.

Gdy tylko Max wyczołgał się z wraku, Paweł ostrożnie wyjrzał zza samochodu. Kilkadziesiąt metrów przed nimi stał monumentalny czołg, cały czas kierując lufę w ich stronę. „Dlaczego nie strzela?” – zastanowił się mężczyzna. Wojsko musiało skądś wiedzieć, że przeżyli wypadek. W innym wypadku nie puszczałyby serii z karabinu maszynowego w furgonetkę, nie marnowałyby w tak głupi sposób amunicji.

„Później” – upomniał się Paweł. „Teraz trzeba działać, pytać będziemy później”.

Wybiegł z Maxem i nisko pochyleni popędzili między najbliższe drzewa. W ten sposób planowali odciągnąć żołnierzy od części grupy, która została w wozie. Wokół nich zaświszczały kule, szczęśliwie ich nie dosięgając. Zasapani skryli się za grubymi pniami, poczekali na dogodny moment i odpowiedzieli ogniem. Paweł był doświadczonym komandosem, toteż od razu trafił żołnierza, który zbyt odważnie próbował podbiec do furgonetki. Max bardzo się starał, ale nikogo nie trafił. Chłopak zdziwił się, że aż tak zawiódł – przecież cele były zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej! Niestety, strzelanie w prawdziwym życiu to nie gra komputerowa. Ich opór tylko rozsierdził żołnierzy, którzy natychmiast przykryli obu silnym ogniem zaporowym. Max i Paweł znaleźli się w potrzebie.

Wcześniej, odbiwszy od furgonetki na zachód, Paweł zamierzał okrążyć żołnierzy, by ściągnąć na siebie większą część ognia. Komandos wiedział, że jego odważna szarża ma małe szanse powodzenia, jednak miał nadzieję, że swoim działaniem da wystarczająco dużo czasu pozostałym i zdołają się oni wycofać na bezpieczną odległość. Potem jakoś się ułoży. Zawsze się układało.

Nagle jednak zapanowała niemalże zupełna cisza, przerywana tylko niewyraźnymi krzykami dowódcy wydającego rozkazy. Strzały ustały, las wstrzymał oddech, pozwalając jedynie, by echo poniosło w dal świadectwo skończonej już wymiany ognia.

– Dlaczego przestali strzelać? – zapytał zdezorientowany Max, cały czas ciężko dysząc.

Paweł szybkim ruchem wystawił głowę zza drzewa, zerkając w stronę czołgu i pozycji, jakie zaj-

mowali żołnierze. Faktycznie wstrzymali ogień, jednak nie opuścili stanowisk. Prawdopodobnie zamierzali ich oflankować. Żołnierze przegrupowali się, zbili w ciasną grupę i skierowali broń w stronę ulicy prowadzącej do Warszawy, tym samym zdejmując Maxa i Pawła z celowników. Komandos ponownie oparł się plecami o ostrą korę brzozy i spojrzał tam, gdzie wojacy. Domyślał się, co zobaczy. Modlił się tylko, żeby wojsko nie celowało do jego córki i pozostałych. Modlił się, żeby to było cokolwiek innego.

Został wysłuchany.

Od strony Cmentarza Północnego nacierała fala nieumarłych. Większość szła powoli, jednak niektórzy pędzili na złamanie karku, wrzeszcząc i młóćąc rękami powietrze, jakby przedzierali się przez gęste chaszczce. Nawet z tak sporej odległości słychać było ich powarkiwania i potępieńcze zawodzenie. Kolumna trupów wyglądała jak okrutna parodia pielgrzymki; brakowało tylko krzyża na jej czele.

Po chwili potrzebnej na zajęcie nowych stanowisk ogniowych czołg oddał pierwszy strzał. Paweł i Max mimowolnie skulili się, chociaż wiedzieli, że pocisku nie skierowano w ich stronę – huk był jednak tak potężny, że zareagowali automatycznie. Wybuch wyrzucił ciała zombie wysoko w powietrze, a fala uderzeniowa powaliła najbliższe kreatury na ziemię. Niestety, na ich miejsce natychmiast pojawiły się następne, jak ohydne robactwo wylazące nieprzerwaną falą ze swoich schronień. Horda była już mniej niż dwieście metrów od żołnierzy, chociaż biegnący zombie znajdowali się znacznie bliżej.

– Cholera – wycedził Max z rozszerzonymi z przerażenia oczami, w panice sprawdzając stan swojego magazynka. – Dlaczego nie strzelają?!

– Czekają, aż ci wejdą w zasięg skutecznego strzału. Inaczej szkoda marnować amunicji – odpowiedział chłodno Paweł, chociaż nerwy udawało mu się trzymać na wodzy resztką silnej woli. Komandos powoli zaczął godzić się z myślą, że jednak wszyscy zginą.

Jakby na potwierdzenie jego słów, ułamek sekundy później rozpoczęła się kanonada. Ciężki karabin maszynowy umiejscowiony na szczycie czołgu zaczął pluć wściekle pociskami, rozrywając trafione ciała na strzępy. Fragmenty rąk, nóg i głów fruwały dookoła, w otoczeniu delikatnej, czerwonej mgielki krwi. Potężna broń do walki z piechotą sprawdzała się idealnie, kładąc falę za falą, jak wycieraczka samochodowa zgarniająca z szyby kolejne krople wody. Skutek też był mniej więcej podobny – zniknęła jedna, a na jej miejsce pojawiały się trzy kolejne. Różnica polegała na tym, że wycieraczka mogła pracować bez końca, a karabin nie dość, że się przegrzewał, to jeszcze kończyła się w nim amunicja. W zgiełku kanonady wprawne ucho GROM-owca wychwyciło ciężkie, głuche strzały oddawane z karabinów snajperskich – to strzelcy wyborowi eliminowali pojedynczych wrogów. I gdyby siedzieli na niedostępnym podwyższeniu, z odpowiednim zapasem naboju, daliby radę przetrwać ten atak. Jednak w obecnej sytuacji mogli tylko opóźnić szturm i się wycofać.

– Musimy jakoś powiadomić resztę – powiedział Max, podnosząc się z ziemi.

Paweł spojrzał na niego, marszcząc czoło, jednak błyskawicznie zrozumiał intencje chłopaka. To idealny moment na ucieczkę – wojsko będzie zajęte walką, więc grupa ma szansę bezpiecznie się

stąd ewakuować, chociaż pojęcie bezpieczeństwa w ogniu bitwy jest czymś cholernie względnym i kruchym. Niemniej Max miał rację, musieli dotrzeć do pozostałych, o ile uda im się uniknąć ataku ze strony zombie. Warto było zaryzykować.

Tymczasem wojsko zaczęło strzelać z granatników. Charakterystyczne wystrzały, podobne nieco do uderzenia ręką w pustą puszkę po farbie, zwiastowały potężne wybuchy. Sekundy później kolejne eksplozje zaczęły przetaczać się przez okolicę. Efekt był piorunujący. Rozerwane i poszarpane fragmenty ciał wlatywały w powietrze niczym płatki kwiatów rozrzucone przez dziewczynki podczas procesji Bożego Ciała. Zdawało się, że dzięki temu nawałnica przeciwników nieco osłabła. Niestety, walczący żołnierze nie mogli się bardziej mylić. Zombie nacierali nie tylko główną ulicą. Paweł dostrzegł ruch między drzewami i szybko uświadomił sobie skalę ataku – fala wdzierała się zarówno główną drogą, jak i okolicznym lasem. Niczym pałaca wszystko na swojej drodze, nieubłagana i bezwzględna lawa. Poczul się tak mały, jak jeszcze nigdy w życiu.

OBRZEŻA WARSZAWY, GODZINA 12:47.

Kuba odwrócił się i zamarł. Z brutalną jasnością uświadomił sobie, że znaleźli się w potrzasku, z niewielką perspektywą wyplątania się z niego o własnych siłach. Z jednej strony było Wojsko Polskie, prowadzące ogień z każdej możliwej lufy, z drugiej – zbliżająca się nawałnica wściekłych, toczących pianę z pysków zombie. W pierwszej chwili policjant chciał się schować wraz ze swoją częścią grupy w samochodzie, jednak przednia szyba była wybita, co oznaczało, że znaleźliby się w ślepym zaułku – zombie mogliby przez nią wejść i wypatroszyć wszystkich w środku. Opór nie miał sensu. Pozostała im tylko desperacka ucieczka zwana przez niektórych taktycznym wycofaniem się na z góry upatrzone pozycje.

– Spadamy, szybko! – krzyknął do pozostałych, poprawiając ciężką torbę wiszącą mu na ramieniu. Starał się odnaleźć wzrokiem Pawła i Maxa. Bezowocnie.

Natalia pomogła Tomkowi, zarzucając jego rękę na swoje barki, co pomimo bólu i sytuacji, w jakiej się znalazł, bardzo ucieszyło chłopaka. Ciepło i zapach jej ciała dodawały otuchy, pozwalały wykrzesać odrobinę nadziei. W tym samym czasie Kaja chwyciła mały, lekki karabinek MP5 i pojedynczymi, precyzyjnymi strzałami kładła przeciwników znajdujących się najbliżej. Trening strzelecki, który nieraz fundował jej ojciec, wreszcie się na coś przydał. Po raz kolejny zresztą w ciągu ostatnich paru dni. Z głowy dziewczyny dalej sączyła się krew, lecz blask w jej oczach mówił, że niespecjalnie ją to obchodziło.

Ruszyli. Kuba prowadził grupę w stronę budynku administracyjnego znajdującego się przy wejściu na Cmentarz Północny. Zauważył, że po drugiej stronie ulicy, mniej więcej czterdzieści metrów od nich, znajdowały się budynki mieszkalne, które szybko obrał jako cel wyprawy. Jednak żeby się do nich dostać, musieliby prześlizgnąć się między gradem pocisków, wystrzeliwanych w stronę nacierających zombie. To z oczywistych względów nie było zbyt kuszącą opcją, ale obecnie nie mieli zbyt wielkiego wyboru. Pochylili głowy, i modląc się każdy do własnego boga, ruszyli.

Nie przebiegli nawet dwudziestu metrów, gdy policjant z rosnącą zgrozą zauważył, że zombie wychodzą spomiędzy linii drzew. Poczul strach przeszywający jego ciało, ale mimo to rozglądał się dalej – wiedział, że musi maksymalnie rozeznać się w sytuacji, żeby podjąć jedyną słuszną decyzję. Tu nie było miejsca na pomyłki. Zasady były dość trywialne: jeżeli wybiorą złą drogę, po prostu zginą rozszarpani na strzępy. Tej bitwy nie można było przewinąć niczym kiepskiego filmu, nie dało się ponownie rozpocząć gry z miejsca poprzedniego zapisu. Kuba dojrzał kolejnych zombie, tym razem idących od strony cmentarza. Krąg, w którym się znaleźli, zaczynał się powoli zacieśniać.

Mężczyzna poczuł, jak przygniata go nieuchronność zbliżającej się z każdej strony śmierci. Życie wcale nie przelatywało mu przed oczami, wręcz przeciwnie – nie mógł myśleć ani o tym, co było,

ani o tym, co będzie. Nie zastanawiał się, czy to zmarli powstałi z grobów, czy atakują osoby, które po prostu uległy zarazie. Zamiast tego zdecydowanie przyspieszył, niemalże czując na plecach chłodny oddech kostuchy. Podbiegł do Natalii i pomógł szybciej prowadzić Tomka. Próbując zniknąć przeciwnikom z oczu, biegli pochyleni powolnym truchtem, a ranny chłopak przy każdym podskoku tylko syczał z bólu. Kaja ubezpieczała ich, aż w końcu bezpiecznie dotarli pod drzwi budynku. Na ich szczęście okazały się otwarte. Wpadli do środka ze złudną nadzieją, że za nimi zostaną wszystkie problemy.

Natalia popchnęła Tomka na ścianę w taki sposób, że ten ledwo zdążył wyciągnąć przed siebie rękę, aby tym sposobem uniknąć zderzenia. Chłopak syknął z bólu, na co dziewczyna odpowiedziała szybkim: „Sorry, sorry, sorry”. Następnie odwróciła się na pięcie i rzuciła w stronę drzwi, aby naprzec na nie swoim smukłym ciałem. W tym samym czasie Kuba upuścił torbę na podłogę i razem z Kają przytargał ciężkie biurko, budując prowizoryczną barykadę. Zgrali się idealnie, każdy wiedział, co ma robić. Następnie zaczęli chaotycznie kłaść na biurku stojącą obok szafę, ale zanim skończyli, pierwszy zombie dopadł do barykady. Po chwili dobiegł kolejny, wściekle warcząc i waląc w drewnianą barierę. Zamknięci w środku spojrzeli w stronę szerokiego okna, na szczęście jedyne-go w budynku. Wiedzieli, co należy uczynić – błyskawicznie zastawili je następną szafą, odcinając jednocześnie dopływ światła, które wpadało teraz do pomieszczenia tylko przez wąskie szpary.

Dopiero po chwili uświadomili sobie, gdzie się znajdują. Uderzył ich silny zapach stęchlizny. Pomieszczenie było bardzo surowo wyposażone, a do tego ciemne i duszne. Chłód i cień panujący w środku był miłą odmianą od palącego na zewnątrz słońca, więc wszyscy odczuli ulgę, dodatkowo spotęgowaną małym sukcesem, jakim było dotarcie do tego miejsca. Wygrali co najmniej kilka minut życia. Stali przez chwilę, próbując opanować rozszalałe oddechy, i patrzyli wokół, zastanawiając się, czy szafy wytrzymają. Pod naporem kilku zombie, którzy zdążyli zobaczyć, jak uciekinierzy się chowali, barykada nawet nie drgnęła. Ale czy wytrzyma napór kilkudziesięciu?

– Chyba tego nie sforsują, nie? – zapytała ze strachem w głosie Natalia.

– Nie, nie powinni – odpowiedziała cicho Kaja, bardzo uważnie przyglądając się ich barykadzie. – Mam nadzieję – dodała ni to do siebie, ni to do nich, przywołując w pamięci obraz zniszczonej bazy wojskowej na Polach Mokotowskich. Tam były potężne umocnienia, druty kolczaste, miny, uzbrojeni strażnicy na wieżach – i na nic się to wszystko nie zdało. Zamknęła oczy, żeby wyrzucić tę myśl z głowy.

Fortyfikacje wydawały się względnie bezpieczne, toteż ludzie w środku pozwolili sobie na chwilę oddechu. Rozpaczliwie poszukiwali sposobu na wyjście cało z opresji.

Kuba wyciągnął swojego walthera i podszedł powoli do okna, starając się dostrzec przeciwników przez niewielką szparę. Uniósł broń.

– Nie, poczekaj – poprosiła cicho Kaja, znalazłszy się tuż za nim. – Nie strzelaj, hałas zwabi pozostałych. Tych kilku widziało, jak tu wchodzimy, dlatego przybiegli za nami. Jeśli będziemy cicho, może się znudzą i sobie pójdą, a jak przyjdzie ich więcej, to... – urwała. – Uwierz mi, wiem coś o tym – dodała i zadrżała mimowolnie na wspomnienie wielu godzin spędzonych na dachu kiosku.

Kuba przez chwilę trawił słowa dziewczyny, jednak w duchu musiał przyznać jej słusność. Perspektywa bycia otoczonym przez dziesiątki zombie i zrobienia tu drugiego Alamo niespecjalnie przypadła mu do gustu. Zwłaszcza że chwała z przegranej bitwy byłaby niewypowiedzianie mniejsza.

– Dobra, chyba masz rację – stwierdził, patrząc skupionym wzrokiem na Kaję. – Ochłoniemy, zbierzemy myśli i zastanowimy się, co dalej. Ale musimy być cicho – powiedział, po czym schował pistolet do kabury za paskiem. – Nic ci się nie stało? – zapytał Natalię. Żona usiadła na podłodze i ciężko oddychała, jednak pomijając walące serce i obrażenia po wypadku, wydawała się być cała i zdrowa.

– Nie, jest okej. Nie trafili mnie. Chyba tylko zgubiłam japonki – powiedziała, patrząc na swoje bosa, zakurzone stopy. W tym momencie atakujący ze zdwojoną siłą zaczęli walić w drzwi, wydając z siebie przy tym potężniejsze jęki, które mroziły krew w żyłach. Cała czwórka zamarła z podniesioną bronią gotową do strzału. Spodziewali się najgorszego, jednak równie gwałtownie jak się zaczęła, nawałnica dźwięków ustała, a właściwie wróciła do swojego normalnego, dużo spokojniejszego rytmu. Wymienili wystraszone spojrzenia. Czuli się jak myszy schowane w tekturowym pudełku, na które prędzej czy później głodne kocury i tak znajdą sposób.

Barykada na razie wytrzymała, jednak nie mogli być pewni, jak długo będzie spełniała swoją rolę. Odgłosy bitwy nie ustawały, co znaczyło tylko tyle, że wojsko jakoś sobie jeszcze radziło. Nie mogli zapomnieć, że gdzieś w ogniu walki byli Paweł z Maxem.

– Jezu, co teraz zrobimy? – zapytała wystraszona Natalia, spoglądając na męża.

– Nie wiem, ale wyjdziemy z tego. Zobaczysz. – Wziął jej dłoń w swoje ręce. – Musimy tylko szybko coś wykombinować – dodał, siląc się na uśmiech, który wyszedł, delikatnie rzecz biorąc, nieco sztucznie. Natalia go nie odwzajemniła, przez co Kuba poczuł się jak idiota.

Tymczasem Tomek cały czas stał oparty plecami o ścianę i trzymał się rękami za obolałe zebra. Kaja wykorzystwała chwilę spokoju i załadowała pełny magazynek do broni. Potem wyciągnęła z plecaka pozostałe dwa i położyła przed sobą, uważnie przyglądając się ich zawartości. Starła się myśleć racjonalnie, nie poddawać się panice, która bardzo łatwo i bardzo szybko mogła zawładnąć jej umysłem. Wiedziała, że musi się czymś zająć, aby odgonić strach.

– Dużo zostało amunicji? – zapytał cicho Kuba, podchodząc do niej i pozostawiając Natalię samą na podłodze. Zdecydował, że priorytetem jest zapewnienie jej bezpieczeństwa, pocieszenie może odłożyć na później. Na razie musiał się skupić na tym, aby zapewnić jej jakiegokolwiek „później”.

– W jednym magazynku dziesięć sztuk, ale mam jeszcze trzy pełne. Razem setka – odpowiedziała i obejrzała się na Tomka. Liczyła na to, że chłopak złapał któryś plecak, lecz niestety gorzko się rozczarowała. „Umiesz liczyć, licz na siebie” – znane porzekadło przemknęło jej przez głowę.

– A wam? – zapytała, odwracając się.

Natalia zaprzeczyła. Cały czas siedziała na podłodze, a Kaja w duchu stwierdziła, że blondynka wygląda niczym obrażona licealistka, co było ostatnią postawą, jakiej w tym momencie potrzebowała. Wypuściła powoli powietrze, przenosząc wzrok na Tomka, aby po chwili zerknąć na Kubę. Ten

ostatni wydawał się w miarę ogarnięty, ale to i tak za mało. Jest ranny chłopak, napuszczona damulka, jeden normalny gość i ona. Niestety, życie po raz kolejny udowodniło, że nie zawsze można mieć to, czego się chce, a jak coś zaczyna się walić, możesz być pewien, że będzie się walić dalej.

– Wszystko zostało w samochodzie, nie miałam kiedy zabrać broni – powiedziała blondynka, starając się usprawiedliwić chociaż w minimalnym stopniu. – Zobacz, nawet japonki zgubiłam.

Z wrodzonej grzeczności Kaja skwitowała to delikatnym uśmiechem, niemniej w środku czuła coś zupełnie odwrotnego. Zgubiła japonki... No dramat! Jej ojciec aktualnie walczy o życie, zresztą tak jak każde z nich, a Natalia zgubiła japonki. „Hashtag: problemy pierwszego świata” – pomyślała.

– Ja mam swojego walthera, no i to – powiedział Kuba, wskazując na torbę. Kaja wzięła głęboki wdech i uśmiechnęła się, tym razem szczerze. Policjant podszedł i rozsunął suwak, a ich oczom ukazały się dwie potężne strzelby. Pod nimi leżało około stu dwudziestu sztuk amunicji. Wyciągnął jedną z nich, załadował pięcioma pociskami i podał ją Natalii. Ta wstała i wzięła broń w ręce, wyraźnie zaskoczona jej ciężarem. Nie wyobrażała sobie, że da się z tego celnie strzelać, a jeśli nawet byłaby w stanie podnieść lufę na tyle wysoko, żeby w coś trafić, odrzut broni zapewne zabiłby i ją.

– Daj mi – powiedziała władcym tonem Kaja, robiąc krok w jej stronę. – Już kiedyś z niej strzelałam, poza tym MP5 jest trochę lżejsze. – Podła jej swój karabinek oraz trzy zapasowe magazynki. Natalia wzięła je i upchnęła do kieszeni krótkich spodenek.

– Przełączyłam tryb prowadzenia ognia na pojedynczy. Jak ci się skończy amunicja, naciskasz tutaj, wyjmujesz magazynek i wkładasz pełny tak, żebyś usłyszała kliknięcie. Przeładowujesz i możesz strzelać dalej. Jasne?

Kaja pokazała jej dokładnie, jak ma się obchodzić z bronią. Może nie był to idealny trening, ale na chwilę obecną musiał wystarczyć, co Natalia potwierdziła skinieniem głowy. Faktycznie, karabinek był lżejszy i zdecydowanie poręczniejszy.

– Dzięki, wiem – odpowiedziała blondynka, czym nieco zaskoczyła Kają. – Strzelałam już z podobnego, ale tamten był inny.

– Glauberyt – wtrącił się Kuba, wiedząc, że ostatnie zdanie było skierowane do niego. Skończył właśnie ładować drugą strzelbę. – Mieliśmy małą przygodę przy placu Bankowym, Natalia przeszła przyspieszony kurs strzelania i operowania bronią – wyjaśnił.

– Chyba w ciągu ostatniej doby każdy z nas przeszedł taki kurs – powiedziała Kaja, uśmiechając się smutno.

Podeszła z powrotem do torby z bronią. Zamierzała zabrać z niej kilka pocisków, jednak ciasne kieszenie jej dzinsowych szortów nie dawały zbyt szerokiego pola manewru – wpakowała do nich tylko dziesięć sztuk. Kolejne dwadzieścia wrzuciła do plecaka.

Napotkała wzrokiem spojrzenie Kuby. Oboje się uśmiechnęli, trochę nerwowo, jakby nie do końca wiedząc, jak inaczej mogliby się zachować w takiej sytuacji. Dzięki krótkiej wymianie zdań jakoś potrafili odgrodzić się od hałasów i wrzasków dobiegających zza barykady. Poczuli się lepiej. Przez chwilę rozmawiali ze sobą jak zwykli ludzie, co prawda o broni, ale to zawsze coś. A może po prostu desperacko sięgali po namiastkę normalności, czując, że zbliża się ich koniec?

– Ekhem – mruknął Tomek, przypominając o swojej obecności.

– Jak się czujesz? – zapytała Kaja, podchodząc do rannego chłopaka. Nie wyglądał najlepiej. Prawda była taka, że żadne z nich nie przedstawiało się szczególnie reprezentacyjnie – z głowy Kai ciągle sączyła się krew, Natalia i Kuba mieli liczne zadrapania, stłuczenia i niewielkie rany, poza tym wszyscy byli brudni i śmierdzący, ale Tomek wyglądał najgorzej z nich. Był bladoszyni i z trudem łąpał powietrze.

– Nie wiem. Żebra mnie strasznie bołą, jakby w środku mi się wszystko ruszało. Tylko nie tak, jak trzeba – powiedział chłopak.

Kaja, oparłszy broń o ścianę, obserwowała go przez chwilę, próbując wyciągnąć jakieś wnioski i zaproponować rozwiązanie. Albo jego żebra są trochę stłuczone, a ona ma do czynienia ze zwykłym mięczakiem, albo na serio oberwał i żebra są połamane. Ciężko było jej to jednoznacznie stwierdzić. Nie знаła się na tego typu obrażeniach.

– Chyba powinniśmy cię jakoś owinąć – zaczęła niepewnie, gdyż nie bardzo wiedziała, co powinni w takiej sytuacji przedsięwziąć. – Może wiecie, jak opatrzyć pęknięcie żeber?

Policjant podszedł do niej, patrząc z ukosa na rannego Tomka. Na chłopaka, który uratował jemu i Natalii życie.

– Nie... – powiedział powoli. – Ale na mój chłopski rozum to powinniśmy go owinąć wokół tułowia i jakoś usztywnić. Tak mi się wydaje – zasugerował.

W tym momencie Kaja przypomniała sobie o plecaku. Jeszcze na Polach Mokotowskich ojciec kazał im przygotować plecak ewakuacyjny. W środku znajdowały się rzeczy niezbędne do przeżycia, takie jak środki medyczne, prowiant na trzy dni, amunicja do używanej przez nią broni, nóż i butelka wody. Wyciągnęła butelkę wody i rzuciła ją Kubie. Ten sprawnie ją złapał, odkręcił i podał Natalii. Następnie butelka zawędrowała do Tomka. W tym czasie Kaja szukała w plecaku rzeczy, które mogłyby pomóc usztywnić żebra rannego chłopaka. Po paru chwilach odwróciła się.

– Niestety – powiedziała. – Mam bandaże elastyczny, gaziki i inne rzeczy, ale nic, co mogłoby usztywnić żebra. Musi ci to wystarczyć – dodała, unosząc bandaże odrobinę wyżej.

– Jasne – chłopak kiwnął głową. Spojrzał przerażonymi oczami na zabarykadowane drzwi. Przypomniało mu się, że jego barykada w domu wcale długo nie wytrzymała. – One tu wejdą. Zabiją nas – powiedział dziwnie beznamiętnym głosem, jakby już pogodził się ze śmiercią.

– Nikt tu nie wejdzie – odparła stanowczo Kaja, podchodząc do niego. – Jesteśmy bezpieczni. Opatrzę cię i zobaczymy, co dalej. Możemy je wystrzelać i się stąd wydostać, mamy wystarczająco dużo amunicji. Dasz radę wstać?

Tomek ponownie pokiwał głową i przy pomocy Kuby podniósł się z podłogi. Cały czas rozmawiali szeptem. Potwory czające się za prowizoryczną, acz na razie skuteczną barykadą, nie dawały za wygraną. Kaja trochę skłamała zapewniając, że zombie mogą się znudzić i sobie pójdą. Oczywiście, bardzo liczyła na takie rozwiązanie, jednak doskonale pamiętała, jak w podziemnym przejściu jedna kreatura stała i waliła w szklane drzwi przez wiele godzin. Niemniej uznała, że nie ma co pogarszać i tak już słabego morale grupy. Podniosła koszulkę Tomka i wypuściła powietrze z wyraźną

ulgą.

– Nie ma siniaka ani wystających kości – powiedziała zadowolona. – Wygląda na to, że to po prostu stłuczenie. Masz fart.

Chłopak, czekający w napięciu na werdykt, po usłyszeniu tych zdań wyraźnie się rozpogodził. Domyślał się, jakie skutki w obecnej sytuacji mogłoby mieć połamanie żeber.

Dziewczyna zabrała się za zakładanie bandaża.

– Widziałeś, czy wyszli? – zapytał komandos, chowając się głębiej w niewielkim dołku między szerokimi jałowcami.

– Tak, pognali do tamtego budynku – odpowiedział Max, machając lufą broni w kierunku małego budyneczku, w którym schowała się pozostała część grupy.

– Dobrze – stwierdził Paweł. Cieszył się, że chociaż jego córka jest w bezpiecznym miejscu. Bezpiecznym tyle o ile, zważywszy na kilku zombie walących w drzwi i ściany oraz na kolejnych, którzy gromadzili się wokół tych pierwszych.

Kilka minut wcześniej oddalili się od drzew, których użyli jako osłony do walki, i teraz zsunęli się w głąb niewielkiej niecki, głównie po to, żeby nacierające hordy trupów nie mogły ich zbyt łatwo dostrzec. Sytuacja stawała się coraz bardziej beznadziejna. Komandos starał się kalkulować ich szanse i prawdopodobieństwo powodzenia jednego z kilku scenariuszy.

Pierwszy – jeżeli zostaną w obecnym miejscu, był pewien, że szybko zginą. Jeżeli nie z rąk zombie, to w wyniku wymiany ognia. Niemniej śmierć poprzez średnio przyjemne zagryzienie wydawała mu się najbardziej realna.

Drugi – jeśli się ruszą i spróbują ucieczki, zwrócą tym na siebie uwagę zombie, a pozostawiając za plecami wojsko, staną się łatwym celem. Tak źle i tak niedobrze, chociaż jakiś cichy szept w głowie podpowiadał mu, że ta druga opcja dawała im zdecydowanie większe szanse powodzenia.

Nagle jednak wpadł mu do głowy jeszcze jeden pomysł. Prawdopodobnie głupi, ale i tak wziął go pod uwagę: mogli wejść z Maxem na drzewo i stamtąd prowadzić ostrzał. Paweł zerknął na torbę z amunicją, którą szczęśliwie zdecydował się zabrać z rozbitej furgonetki. W środku leżały dodatkowe dwie sztuki karabinków szturmowych MP5 i zapas około czterystu naboju. Skierował spojrzenie na wschód, głębiej w las. W gęstym poszyciu będą trudnym celem dla wojska, lecz naraz przypomniał sobie, co spotkało jego córkę w centrum miasta – schroniła się na dachu kiosku, a zgromadzony wokół tłum zombie uniemożliwił jej ucieczkę. Gdyby nie pomoc z zewnątrz, prawdopodobnie tkwiłaby tam aż do teraz. Tym samym ostatni pomysł trafił do śmieci.

– Max, słuchaj – zaczął, oblizawszy wcześniej usta.

Chłopak z trudem oderwał wzrok od bitwy i spojrzał na Pawła. Ten zobaczył, że w jego oczach zaczęło kielkować skrajne przerażenie – Max najwyraźniej rozumiał, że jeżeli szybko nie zaczną działać, to po prostu zginą. Komandos miał jednak nadzieję, że jego kudłaty kompan nie zamierza się godzić na taki koniec bez podjęcia walki.

– Skup się. I słuchaj. Wstaniesz i pobiegiesz między te gęste sosny – wskazał dłonią gęsto porośnięty kawałek lasu, znajdujący się mniej więcej czterdzieści metrów od nich. Musiał nieomal krzyknąć, żeby przebić się głosem przez kanonadę pocisków, jakie wypluwały z siebie lufy karabinów żołnierzy. – Pobiegiesz, a ja cię będę osłaniał. Nie myśl o wojsku, nie strzelaj do zombie, masz po prostu biec, jasne? Jak już dobiegniesz, schowasz się za jakimś drzewem, odwrócisz i będziesz osłaniał mnie. Okej?

Chłopak kiwnął głową, przetykając twardą kulę, która utkwiała mu w gardle.

– I nie strzelaj do wojska, chy... – przerwał mu kolejny wystrzał z czołgowego działa, przez co obaj skulili się jeszcze bardziej. – Chyba że oni zaczną pierwsi! – dokrzyczał Paweł. – Przy odrobinie szczęścia już o nas zapomnieli.

Ostatnie zdanie wypowiedział już tylko do siebie.

– Okej! – odkrzyknął Max i zerwał się do biegu. Bez zbędnych ceregieli, bez wydłużonych instrukcji i „milion pytań do”. Zadanie było proste, czasu nie było, wnioski nasuwał się sam: trzeba było działać. Chłopak pędził, klucząc między drzewami i depcząc miękką ściółkę swoimi ciężkimi glanami.

Paweł odprowadził go wzrokiem, po czym wsadził do karabinu pełny magazynek. Zanotował w pamięci, że w plecaku są jeszcze dwa następne. Następnie błyskawicznie odwrócił głowę, starając się wychwycić, który zombie zwrócił już uwagę na Maxa. Ułożył się w miarę komfortowo na krawędzi zagłębienia, modląc się, żeby drzewo dało mu wystarczającą osłonę przed ewentualnym ostrzałem. Szczerze jednak wątpił, aby pobratymcy wpakowali mu kulę w plecy. W takiej sytuacji bardzo szybko zmieniają się priorytety, ze ślepego wykonywania rozkazów żołnierze szybko przeszli do trybu walki o własne życie, prawdopodobnie zapominając o tym, że ich zadanie polegało na zatrzymaniu uciekających z Warszawy. Poza tym, technicznie rzecz biorąc, mieli teraz znacznie więcej osób do zatrzymania.

Skupił wzrok na zombie. Ściana przeciwników była przerażająca, widok mroził krew w żyłach. Mężczyzna czuł się, jakby przyszło mu stanąć przeciw barbarzyńskim hordom. Jakby znalazł się w sytuacji, w której siła jednostki nie miała najmniejszego znaczenia, gdzie liczyła się tylko brutalność i przewaga liczebna. Jeden zombie skręcił gwałtownie w stronę Maxa. Kobieta, na pierwszy rzut oka około pięćdziesięcioletnia, biegła teraz żwawo niczym dwudziestolatka. Jej ciało było poszarpane, liczne rany odsłaniały fragmenty kości, ścięgien i mięśni. Paweł oczami wyobraźni widział wściekłą zaciętość na jej twarzy, niemal słyszał przerażające powarkiwania wydobywające się z jej gardła i dostrzegał żądzę mordy w oczach. Nie musiał widzieć jej dokładnie, ale był przekonany, że tak właśnie wyglądała. Już wystarczająco wiele razy stawał z nimi oko w oko, żeby móc być tego stuprocentowo pewnym.

Nagle załalo go obrzydzenie i wściekłość. Przecież udało się im ująć z życiem, udało się im opuścić przeklętą stolicę, a nie dość, że własne wojsko chciało ich zastrzelić, to jeszcze te pieprzone kreatury nie dawały nawet sekundy oddechu.

A dokładnie tego w tym momencie potrzebował.

Oba te odczucia zdominowały i odrzuciły poczucie maleńkości, jakie wcześniej próbowało nim zawiądnąć. Teraz miał w sobie tylko i wyłącznie agresję, pierwotną, niepowstrzymaną. Adrenalina popłynęła w jego żyłach, stymulując wszystkie zmysły, zwiększając tempo reakcji i szybkość działania. Wprawiony w boju Paweł doskonale wiedział, jak wykorzystać jej przypływ.

Pociągnął za spust.

Dla laika oddanie strzału na odległość kilkudziesięciu metrów i trafienie w ruchomy, niewielki cel byłoby nie lada wyzwaniem, jednak dla sprawnego komandosa Grupy Reagowania Operacyjno-Mobilnego nie stanowiło to najmniejszego problemu. Jeszcze zanim pierwszy pocisk przeleciał przez mózg martwej kobiety, zabijając ją po raz drugi, Paweł już celował do kolejnego zombie. Oddawał pojedyncze, precyzyjne strzały, każdorazowo eliminując z bitwy kolejną nieumarłą istotę.

Niestety – nawet jeżeli każdy jego strzał byłby celny, nawet jeżeli wystrzelałby całą amunicję z ciężką na plecach torby, przeciwnik nacierałby w dalszym ciągu, zalewając las niekończącą się falą śmierci.

Tymczasem zdyszany Max wpadł ślizgiem między wskazane przez Pawła drzewa, odwrócił się na brzuch i podczołgał. Znalazł w miarę bezpieczną pozycję i pomachał ręką, dając tym samym znak, że towarzysz może ruszać.

Paweł po chwili zauważył machanie, ale czekał na odpowiedni moment. Szybko sobie jednak uświadomił, że takowy nigdy nie nastąpi – zawsze będzie ryzyko, że albo nagle wszyscy zombie ruszą w jego stronę, albo dostanie kulę w plecy. Chociaż w plecy to jeszcze byłoby dobrze, bo miałyby duże szanse szybko zginąć, gorzej, jakby dostał na przykład w łydkę. Wstał. Zdjął ciężką torbę i złąpał ją w lewą dłoń, dzięki czemu nie obijała mu się o plecy, i skulony popędził w stronę Maxa. Z trwającym sekundę zadowoleniem zobaczył, jak chłopak leży i w skupieniu strzela do nacierających zombie. I to strzela rozsądnie, nie wywala całej serii w tłum, tylko uważnie, w skupieniu stara się celować do wrogów. Nie sądził, żeby trafił zbyt wielu z nich, jednak sam fakt bardzo przypadł mu do gustu. Odpowiednio przeszkolony mógłby się naprawdę niezłe spisać.

„Jeżeli przeżyje” – usłyszał ponury szept gdzieś pod czaszką.

Po kilkudziesięciu sekundach szaleńczego biegu Paweł zwałił się ciężko obok Maxa.

– Jezu, udało się, żyjemy – powiedział chłopak, wyszczerzając z zadowolenia swoje wielkie zębi-ska. Brązowe oczy kudłacza rozświetlało podniecenie.

– Nie mów hop – ciężko dysząc, zasugerował Paweł i przeładował broń.

– Ile ci zostało? – zapytał chłopak.

– Ten i jeszcze jeden. Mało. O wiele za mało – stwierdził komandos.

Jednak Max nie zamierzał popadać w czarną rozpacz. Uznał, że w obecnej sytuacji nie warto oczekiwać zbyt wiele, tylko należy się cieszyć tym, co akurat daje los. Jakimś kosmicznym fartem przeżyli wypadek furgonetki. Co prawda pocisk wystrzelony z czołgu ich nie trafił, ale przecież wywali-li się na bok, co mogło się skończyć o wiele gorzej. A jednak przeżyli. Następnie udało im się przebić przez chmary wrogów, ostrzelać ich i dotrzeć od gęstego lasu, gdzie było ich dużo gorzej widać. A co najważniejsze, zeszli z linii ognia wojska.

– Na razie żyjemy – chłopak nie ustępował.

– Tak, żyjemy – dał za wygraną Paweł. – Musimy teraz tylko wymyślić, co zrobić z nimi – dodał, wskazując mały budynek, w którym zabarykadowała się jego córka z trójką towarzyszy. Znajdował się on mniej niż pięćdziesiąt metrów od nich. Niestety, wokół budynku zgromadziły się co najmniej trzy tuziny zombie, a z każdą chwilą przybywali kolejni.

– Powinniśmy dać radę, nie? – zapytał Max, zerkając buńczucznie na komandosa.

– Może i powinniśmy... ale jest ich za dużo. Gdybyśmy mogli jakoś odciągnąć część z nich, to mogłoby się udać.

Jak na życzenie wewnątrz niewielkiego domku zaczęły rozświetlać błyski wystrzałów. Widocznie Kaja i reszta zdecydowali się odeprzeć atak i przerwać oblężenie, zanim będzie za późno na jakiegokolwiek działanie. Strzelali przez szparę pozostawioną w oknie, sprytnie nie odsłaniając go zανάto. To była szansa, którą Paweł zamierzał wykorzystać. Szybko wyciągnął z torby pozostałe dwa karabinki MP5, oba ładując pełnymi magazynkami. Jeden zachował dla siebie, drugi dał chłopakowi. Dodatkowo podał mu jeszcze cztery pełne magazynki, które kazał schować do kieszeni.

– Po resztę wrócimy za chwilę – powiedział, pochylając się nad nastolatkiem. – Gdy skończy ci się magazynek w berylu, nie zmieniaj go, tylko przerzuć karabin na plecy i zacznij strzelać z MP5, a zaoszczędzisz kilka cennych sekund. Będą nam cholernie potrzebne – poinstruował go. – Wszystko jasne?

„Sprytnie” – pomyślał Max i kiwnął głową, potwierdzając, że rozumie przekazane mu instrukcje. Dobry nastrój i radość spowodowana udaną ucieczką prysnęły równie szybko, jak się pojawiły. Teraz było mu duszno, był spocony i bał się jak nigdy. To, co zamierzali zrobić, napawało go lękiem, jakiego jeszcze w życiu nie doświadczył – do tej pory uciekali przed zombie, kluczyli, skradali się, a teraz zamierzali wetknąć kij w mrowisko i jeszcze wyjść z tego bez szwanku. Był przerażony, ale paradoksalnie też dziwnie zdeterminowany i pogodzony z losem. Jego rodzice prawdopodobnie nie żyli, chociaż starał się teraz o tym nie myśleć. Jego śmierć również była przypuszczalnie tylko kwestią czasu, więc czemu nie miałby pociągnąć za sobą kilku zombie? Z drugiej strony wiedział, że Paweł jest doświadczonym komandosem, więc ich samobójcza misja miała jakieś minimalne szanse powodzenia... Poza tym było kogo ratować. Chłopak głęboko wciągnął w płuca gorące powietrze. Zacisnął mokrą od potu dłoń na zimnej, metalowej kolbie karabinu, przysięgając sobie w duchu, że jeżeli jednak przyjdzie mu spotkać się ze stwórcą, zrobi to w towarzystwie co najmniej dziesięciu zombie.

Ruszyli. Biegli powoli, blisko siebie, cały czas czujnie rozglądając się wokół i uważając, czy jakieś poczwary nie zdecydują się na atak z flanki. Ich zmysły były maksymalnie wyostrzone, rejestrowały każdy, nawet najmniejszy ruch. Wystrzały ze środka budynku były niczym w porównaniu z kanonadą wojska, która mimo to zeszła na dalszy plan. Odgłosy wybuchów i towarzyszące im rozbłyski zdawały się działać na nieumarłych jak lep na muchy – zwabieni hałasem i światłem szli lub biegli w jego stronę, często nawet nie zauważając Pawła ani Maxa. Po kilkunastu sekundach mężczyźni wybiegli pomiędzy drzew, pozbywając się ich osłony i wkroczyli na chodnik, który prowadził

wprost w kierunku Cmentarza Północnego.

Od budynku dzieliło ich teraz mniej niż piętnaście metrów. Pod oknem, jak i wokół niego, leżało już kilkunastu zombie, a obrońcy znajdujący się w środku uparcie eliminowali kolejnych.

– Idziemy! Kaja, to my, uważajcie! – krzyknął Paweł, ostrzegając znajdujących się w budynku ludzi. Przy odrobinie szczęścia zapewne go usłyszeli i najprawdopodobniej nie wpakują mu pocisku ze strzelby prosto w twarz.

Byli już tak blisko, że w końcu mogli otworzyć ogień. Kilku zombie spod budynku rzuciło się na nich, wietrząc łatwy łup. Nic bardziej mylnego – parę sekund później leżeli martwi obok zwłok swoich pobratymców. Paweł osłaniał front i prawą stronę budynku, a Max skupił się na tyle i lewej, skąd co i raz wyskakiwała kolejna kreatura. Po kilku metrach opróżnili pierwsze magazynki, na co komandos, zgodnie z instrukcjami przekazanymi chłopakowi, przerzucił beryla na plecy i sięgnął po MP5.

– Wychodźcie! – krzyknął Paweł w przerwie między strzałami.

„Chyba mnie usłyszeli” – pomyślał z nadzieją mężczyzna, gdyż ogień z wnętrza budynku wyraźnie zelżał.

W tej samej chwili drzwi stanęły otworem.

ŁOMIANKI, GODZINA 13:28.

Na pewno dobrze zamknąłeś? – zapytała cicho Kasia.

Kamil zerknął na nią poirytowanym i jednocześnie zmęczonym wzrokiem.

– Tak, przecież mówiłem to już tyle razy – odwarknął. – Zamknąłem na wszystkie zamki, przysunąłem też szafę pod drzwi.

– A z tyłu też?

– Też.

– A okna?

– Zasłonięte.

– Ale zawsze mogą w nie wbiec.

– Mogą, ale nie wbiegną, bo i po co? – odparował. – Jak nie widzą ruchu, to nie atakują, nie? Widziałas, co stało się z panią Troszczyńską z domu naprzeciw.

– Widziałam. Ale jesteś pewien, prawda? – dziewczyna nie dawała za wygraną.

Chłopak tylko spojrział na nią spode łba i odwrócił się do niej plecami.

„Chyba za bardzo go cisnę” – pomyślała Kasia, po czym zamilkła, przypominając sobie potężniejsze krzyki ich sąsiadki, gdy ci dziwni ludzie ją dopadli. Starsza kobieta chciała tylko wyjść i pomóc ofiarom wypadku samochodowego, przez co sama została zamordowana w najbardziej brutalny sposób, jaki dziewczyna była w stanie sobie wyobrazić. Przypomniała sobie również, jak kilka godzin później zwłoki pani Troszczyńskiej podniosły się z chodnika i zaczęły zachowywać w taki sam sposób jak jej oprawcy, którzy przestali już wtedy zwracać na nią uwagę. Przestali, bo stała się jednym z nich.

Na to wspomnienie oczy Kasi zaszyły łzami. Po chwili poczuła, jak szczupłe ramię Kamila powoli otacza jej barki. Rozległ się jego delikatny głos, w którym nie było nawet śladu po frustracji, jaka jeszcze chwilę temu ogarnęła chłopaka:

– Spokojnie. Kochanie, nic nie mogliśmy zrobić, wiesz przecież – próbował ją pocieszyć, trochę zły na siebie, że nie pomyślał o tym wszystkim, nim wspomniał nazwisko sąsiadki.

Kasia zacisnęła zęby, ale wargi nadal miała wygięte w podkowę, niczym wystraszone dziecko. Jej lęk był prawdziwy, obecny i namacalny, tym większy, że Kasia nie potrafiła zrozumieć, co wydarzyło się tuż przed oknami jej domu. Widziała, ale nie rozumiała. Do tej pory ludzi skaczących sobie do gardeł mogła zobaczyć tylko w telewizji, w tandetnych horrorach klasy „Z”, których fanatyczni scenarzyści lubowali się w nadużywaniu sztucznej krwi. Potrząsnęła głową, starając się powrócić do rzeczywistości.

– Kamil, nie myślisz, że ktoś powinien się w końcu pojawić? – zapytała, odzyskawszy panowanie

nad sobą.

Chłopak skierował w jej stronę swoją szczupłą, bladą twarz. Pod piwnymi oczami rysowały się łuki ciemnych, głębokich cieni wywołanych nocnym czuwaniem, podczas którego Kasia zapadła w niespokojny, płytki sen. Zrywała się z niego co kilkanaście minut, żeby tylko sprawdzić, czy Kamil aby nie usnął lub czy „oni” nie dostali się do środka domu. Albo czy nie wydarzyło się jedno i drugie.

– Chyba ktoś powinien się pojawić, nie? – stwierdziła dość nieśmiało, zupełnie bez przekonania, resztkami sił zmuszając się do wypowiedzania swoich myśli na głos.

Odkąd niewiele przed godziną dwudziestą razem z chłopakiem zaryglowali drzwi, siedzieli w mieszkaniu i czekali, sami nie wiedząc na co. Dla większego bezpieczeństwa Kamil zabrał z kuchni nóż. Postali chwilę w salonie, starając się zebrać myśli, aż w końcu zabarykadowali się na piętrze wynajmowanego przez nich domu, doszli bowiem do wniosku, że im wyżej, tym bezpieczniej. Wniosku mylnego, ponieważ do mieszkań umiejscowionych na wysokich piętrach wejść jest równie trudno, jak z nich wyjść. O dodzwonieniu się na jakiegokolwiek numery alarmowe nie było nawet mowy – sygnału albo nie było w ogóle, albo był permanentnie zajęty.

Kamil i Kasia wynajmowali tylko jeden pokój, jednak właściciele całego segmentu nie wrócili od wczorajszego wieczoru z pracy, więc dom pozostawał pod ich opieką. Po paru długich godzinach siedzenia i nasłuchiwania, zastała ich noc. Pod osłoną ciemności zdecydowali się uchylić drzwi i sprawdzić, czy intruzi wdarli się już do domu, czy może jeszcze nie. Następnie, odrobinę zmotywowani małym sukcesem, jakim okazało się przebywanie w zupełnie pustym domu, postanowili wrócić na parter i przenieść zapasy jedzenia do sypialni. Do pomieszczenia, które wydawało się im najbezpieczniejszym miejscem w całym budynku. Nie pomyśleli o piwnicy ani o strychu, zdecydowali się zabunkrować właśnie w sypialni. Zapytani dlaczego, pewnie nie potrafiliby logicznie uargumentować swojej decyzji; ludzie w stresie czasami robią rzeczy, których sami nie potrafią wyjaśnić. Nie przyszło im też do głowy, że w ciemnych zakamarkach może się czaić niebezpieczeństwo, a mrok służy za schronienie nie tylko ofiarom, ale i oprawcom.

Nocne zejście do kuchni wymagało od nich wykorzystania wszystkich pokładów czujności i pewności siebie. Skradali się przez kilka minut, wyczuleni na wszelkie zwiastuny niebezpieczeństwa, jakie tylko mogły się pojawić. Płomienie pożaru rzucały ciepłe, pomarańczowe światło do wnętrza domu, jednocześnie wywołując niespokojną grę cieni, która kilkakrotnie niemalże przyprawiła Kasię i Kamila o zawał serca. Jednak, tak jak myszy świadome obecności kocura, pchali się z każdym stopniem coraz niżej, z każdą chwilą bardziej oddalając się od swojej bezpiecznej przystani. Gdy udało im się dotrzeć do kuchni, najciszej jak potrafili, zebrali jedzenie i czmychnęli z nim z powrotem do sypialni, gdzie mieli nadzieję spokojnie doczekać zbawiennego brzasku.

Niestety, wbrew ich oczekiwaniom koszmar nie skończył się wraz z nadejściem świtu. Za dnia wszystko było tak naprawdę jeszcze gorsze, bo lepiej widoczne. Stojąca w oknie Kasia w pełni dostrzegała teraz ogrom zniszczenia. Drobne fragmenty ludzkiego ciała leżały na ulicy w bordowych kałużach skrzepłej krwi. Zauważyła jednego białego adidasa. Damską torebkę. Rozrzucone śmieci.

Wszechobecny nieład i chaos odkrywał przed nią coraz więcej pojedynczych obiektów. Symboli, które zmuszały do refleksji nad istotą i sposobem powstania tego bajzlu. Przecież but musiał kiedyś okrywać czyjaś stopę. Torebka musiała wisieć na ramieniu jakiejś kobiety. Śmieci, niby zwykłe, głupie śmieci, ale też ktoś przecież musiał je wytworzyć. Co się stało z tymi wszystkimi ludźmi? Zastanawiając się nad tym, poczuła się jak ostatnia osoba na Ziemi. To uczucie potęgował brak jakiegokolwiek informacji, jakiegokolwiek potwierdzenia ze świata zewnętrznego, dającego nadzieję, że znajduje się w błędzie.

Z dogasającego budynku naprzeciw ich domu powoli unosił się ciężki, ciemny słup dymu. Chyba tylko cud sprawił, że ogień nie przeniósł się jeszcze na sąsiednie zabudowania.

Równie wolno i ociężale po asfalcie wałęsało się kilka ożywionych trupów. Gdzieś w oddali śpiewały ptaki, zupełnie nieświadome tragedii, która dotknęła ulicę Akacjową.

Poza tym panowała wszechobecna pustka i cisza.

– Naprawdę mieliśmy fart, że ogień się nie rozprzestrzenił – powiedziała cicho Kasia, nie doczekawszy się odpowiedzi na zadane wcześniej pytanie. Odwróciła się od okna sypialni, bardzo powoli zasłaniając firankę.

Zatrzymała wzrok na swoim chłopaku. Kochała go, byli razem od kilku ładnych lat, wiele razem przeszli. Niestety, po raz pierwszy w życiu, co było jej bardzo trudno przyznać przed samą sobą, poczuła pewne obawy co do jego osoby. Obawy nie co do jego intencji, lecz raczej co do predyspozycji. Chyba nigdy nie był na siłowni, nie uprawiał żadnego sportu. Wcześniej jej się to podobało, lubiła delikatnych chłopców w wąskich rurkach i z nieco zbyt długą grzywką opadającą na zatroskane czoło. Według jej opinii odczuwali i rozumieli więcej niż faceci pakujący na siłowni i ścigający się swoimi sportowymi furami sprowadzanymi z Niemiec. Jednak widząc to, co działo się za oknem, przez głowę przeleciała jej myśl, że fajnie byłoby mieć obok siebie osiłka, który cierpi na nadmiar masy mięśniowej i który byłby w stanie ją obronić przed brutalną napaścią, jaką miała okazję zobaczyć. Żywych trupów raczej nie da się przekonać merytoryczną dyskusją.

Jednak po chwili Kasia spojrzała krytycznie w głąb siebie i zaczerwieniła się lekko, zupełnie jakby ktoś słyszał jej myśli. Przypomniała sobie, że nie była najszczuplejszą dziewczyną, jaką знаła, mieściła się raczej w czołówce tych pulchniejszych niewiast. Odpowiednia dieta i brak jakiegokolwiek ruchu od momentu ukończenia liceum (poza maniakalnymi kliknięciami myszką i stukaniem w klawiaturę komputera) doprowadziły ją szybko do stanu, w jakim obecnie się znajdowała. A nie był to stan zadowalający, musiała to przyznać. Wymaga od swojego chłopaka sprawności i siły, sama nie będąc pod tym względem ideałem.

– No. Pewnie zaraz ktoś się pojawi – odpowiedział po nieskończonej długiej chwili Kamil. Spojrzał swoimi piwnymi oczami prosto w jej oczy, przez co wszelkie wątpliwości i obiekcje szybko uleciały.

„Będzie dobrze” – stwierdziła w duchu Kasia. „Zawsze dawaliśmy sobie radę, damy i teraz”.

Jeszcze wtedy nie wiedziała, jak niewiele czasu im zostało.

– Serio? – zapytała zmieszana Marta. Znajdowała się zaledwie kilkaset metrów dalej, była jednak zupełnie nieświadoma istnienia Kamila i Kasi ani ich sytuacji. W oczach zaświeciły jej figlarne ogniki, jakby oczekiwanie na odpowiedź było tylko oczywistą formalnością.

– No jasne. A kto nam zabroni? – odpowiedział z pewnością w głosie jej brat, Krzysiek. Z pewnością przemieszana z pewną dozą panicznej wesołości, której żadne z nich wcześniej nie doświadczyło.

– No dobra. To idziemy – powiedziała dziewczyna i wstała z ziemi. Odruchowo wytarła spoczone ręce w i tak brudną sukienkę, jednocześnie delikatnie i kusząco zagryzając dolną wargę.

Przyjrzała się jeszcze raz wyludnionej ulicy – najpierw w lewo, potem w prawo – zupełnie jakby chciała ją pokonać każdego normalnego dnia. Ale ten dzień absolutnie nie był normalny. Nie co dzień widzi się leżące tu i ówdzie trupy, zjadane przez inne trupy, które z kolei bynajmniej nie zamierzają się położyć i po prostu grzecznie być martwymi. O płonących budynkach, desperackich krzykach czy wystrzałach nie wspominając.

– Tylko cicho – przypomniał jej brat, ściskający w rękach grubą, drewnianą dechę.

Ruszyli. Pochyleni przebiegli przez ulicę. W ciszy, jaka panowała wokół, ich kroki wydawały się nienaturalnie głośne, jakby specjalnie chcieli zwrócić na siebie uwagę. I chcąc nie chcąc, udało im się tego dokonać – znajdujący się kilkanaście metrów dalej zombie niespokojnie odwrócił głowę. Był to na oko pięćdziesięcioletni mężczyzna, za życia prawdopodobnie hydraulik lub inny pracownik fizyczny, co można było wywnioskować po niebieskich ogrodniczkach, teraz gustownie poplamionych ciemnymi, rdzawymi plamami krwi. Zaskoczony nie tylko nagłym ruchem, ale również faktem przerwania posiłku, mozolnie wstał z asfaltu z wyraźnym zamiarem zdobycia nowych ofiar.

– *Oh shit...* – wycodziła Marta.

– Hrrryaaaaagghhh – rzucił w odpowiedzi zombie i ruszył w ich stronę.

– Kurwa! Krzysiek, Krzysiek, Krzysiekrzysiekysiekysiek...! – zaczęła krzyczeć Marta, chowając się w nagłym ataku paniki za plecami swojego brata. Ten jednak wykazał się niespodziewanym opanowaniem. Błyskawicznie odwrócił się w stronę szybko zbliżającego się przeciwnika, zaparł się na lekko ugiętych nogach, uniósł dzierżoną w rękach dechę i przygotował się do uderzenia. Zombie był coraz bliżej, wrzeszcząc i młócąc rękami, jakby już ich rozszarpywał. Krzysiek poczuł, jak jego dłonie mocno zaciskają się na grubym, ciężkim orężu. Zdecydował, że uderzy przeciwnika kantem – z jednej strony tak zapewne trudniej trafić, ale jeżeli by się udało, obrażenia będą zdecydowanie poważniejsze. Zombie zbliżył się na wystarczającą odległość, gdy dość niespodziewane, głośne pacnięcie zakończyło jego ekspresyjny marsz. W wyniku uderzenia pękła czaszka, a zwłoki zwały się ciężko na ulicę. Cios był tak silny, że kilka kropel krwi wystrzeliło w stronę Krzyśka i Marty, którzy stali lekko zamurowani, nie wiedząc, jak powinni się dalej zachować.

Krzysiek ciężko dyszał. Rozluźnił chwyt. Niby fizycznie się nie zmęczył, jednak emocje wypompały go niemalże zupełnie – zresztą, nie był to pierwszy zombie, którego tego dnia wykończył.

Marta, cały czas tkwiąca tuż za bratem, w dalszym ciągu najwyraźniej nie zamierzała wyjąć paznokci z jego pleców.

– Bez kitu, uwielbiam to – wysapał w końcu jej brat. Spojrzał na nią rozszerzonymi z podniecenia oczami. – Kurwa, ależ to zajebiste. Od zawsze o tym marzyłem.

Siostra wreszcie się trochę odsunęła, zerkając to na niego, to na nieżywego trupa.

– Pojebany jesteś – powiedziała w końcu.

– No, a ty za to całkowicie normalna.

– Dobra, nie pierdol, tylko robimy ten dom, bo zaraz się zleci reszta tego jęczącego gówna.

Chłopak rozejrzał się wokół, jakby szukając potwierdzenia słów siostry, jednak na razie nie było nikogo widać. Ale dziewczyna miała rację, powinni się wbić do opuszczonej willi, póki nikt inny jeszcze tego nie zrobił.

– Nie stresuj się. Idziemy – powiedział, ale zamiast ruszyć do wnętrza domu, podszedł do trupa i ukucnął obok. Zaczął przeglądać jego kieszenie w poszukiwaniu portfela, kluczy czy innych rzeczy, które mogły się okazać przydatne.

– Jezu, kurwa, daruj sobie. Zaraz się nachapiesz – powiedziała zniecierpliwiona Marta. – Zejdźmy z tej pieprzonej ulicy.

– Dobra, już, już. – Wstał jakby od niechcienia, wyrzucając za siebie chudszy o osiemdziesiąt złotych portfel. – Idę przecież, czego sapiesz.

LAS, GODZINA 13:57.

Uciekali. Mozolnie, ciężko posapując, parli do przodu. Upał połączony ze stresem i gonitwą stwarzał zabójczą mieszankę, która dosłownie wysysała dech z piersi. Dziewczyny podbiegały w środku grupy, na zmianę pomagając rannemu Tomkowi. Tuż przy nich biegł Kuba, taszczyący jedną z toreb zawierających amunicję, z karabinkiem MP5 przewieszonym przez ramię. Max został kilka metrów za nimi, pełniąc rolę ariergardy i co chwila zerkając za plecy. Z kolei Paweł wysunął się odrobinę do przodu. Tak jak zarządził, członkowie grupy cały czas pozostawali w kontakcie wzrokowym, przy okazji zachowując wszelkie możliwe środki ostrożności i dyskrecji. Zwrócenie na siebie uwagi w takim terenie przysporzyłoby im nie lada kłopotów, a wiedzieli, że mogą liczyć tylko na siebie.

Paradoksalnie w odniesieniu do bitwy, która rozgrywała się kilkaset metrów dalej, las był cichy i spokojny. Wysokie drzewa i gęsto rosnące krzewy zapewniały poczucie bezpieczeństwa. Było się gdzie schować. Śpiewały ptaki, przez gęste poszycie przebijały się ciepłe promienie słońca, a delikatny szum liści wprost namawiał, żeby usiąść, odpocząć i się odprężyć. Puszcza zdawała się być nieświadoma zarazy, która lada chwila miała do niej wkroczyć. Oczywiście, o ile jeszcze tego nie zrobiła. I tylko urwane oddechy zmęczonych ucieczką osób i szczęk podskakującej na paskach broni przypominał, dlaczego się tu znaleźli.

Komandos truchtający na czele grupy wykorzystał chwilę względnej samotności i pogрузił się w ponurych myślach. Starał się odzyskać panowanie nad sobą. Jakaś część jego jaźni mówiła, że las jest sprzymierzeńcem i zapewni im wszystko, czego tylko będą potrzebować – jedzenie, wodę, schronienie. Niemniej inna twierdziła coś zupełnie przeciwnego: jeżeli tu zostaną, prędzej czy później po prostu zginą, otoczeni przez zombie, którzy w swojej głupocie niechybnie wejdą do lasu. I pewnie nastąpi to prędzej niż później. Próbował skupić się na otoczeniu, wypatrując najmniejszych oznak ruchu, jednak przychodziło mu to z wielkim trudem. Był wściekły. Bezsilnie wściekły.

Nieraz uczestniczył w walce, zawsze jednak sytuacja była może nie tyle łatwiejsza, co bardziej zrozumiała. Wiedziało się, z kim przyszło walczyć, czego można było się spodziewać, jaką bronią dysponuje przeciwnik, gdzie może być usytuowany lub jak liczne może mieć siły. Tu natomiast było zupełnie inaczej. Wróg nie dość, że nie był nikomu wcześniej znany, to jego liczebność nieustannie rosła, a na dodatek nie dawał się zbyt łatwo eliminować. Do tego Paweł był świadom, a raczej podejrzewał, że grupa liczyła teraz na jego doświadczenie i wsparcie. To było dla niego dodatkowym ciężarem. Nigdy nie brał odpowiedzialności za tak dużą liczbę osób. W sytuacji normalnego konfliktu zbrojnego wiedziałby, co należy uczynić, natomiast tu czuł się niczym zaszczuty lis uciekający przed pogonią. I rozumiał, że na chwilę obecną ucieczka to jedyne, co mogą zrobić. Muszą wykazać

się maksymalnym sprytem, mieć ciągłą wolę walki cholernie dużo szczęścia. Wtedy istnieje szansa, że uda im się przeżyć kilka najbliższych dni.

Aktualnie Paweł nie liczył na nic więcej.

Po chwili takich rozmyślań zatrzymał się i poczekał, aż reszta do niego dołączy.

– Dlaczego stajemy? – zapytała lekko zziębnięta Natalia. Kuba, prowadzący rannego Tomka, pozwolił mu się oprzeć o wysoką sosnę i pomógł powoli usiąść.

Mężczyzna spojrzął na dziewczynę, a po chwili przeniósł wzrok na resztę grupy.

– Musimy chwilę odpocząć – powiedział.

– Ale przecież oni zaraz tu będą! – krzyknęła Natalia, rozglądając się w panice wokół. Choć była zmęczona, nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Nietrudno było jej sobie wyobrazić dziesiątki wykrzywionych twarzy ukrywających się między drzewami i czyhających tylko na ich błąd. I szczerze mówiąc, bała się, że właśnie taki popełniają.

– Jeśli będziesz krzyczała, to na pewno szybko nas znajdą – stwierdził Paweł, patrząc wymownie na dziewczynę. – Nie chcę tu spędzić zbyt wiele czasu – dodał dla wyjaśnienia. – Wystarczy, że złapiecie pięć minut oddechu. Nie musisz się obawiać.

Natalia głośno wypuściła powietrze, starając się uspokoić zszargane nerwy.

– Ja nie muszę odpoczywać – powiedziała buńczucznie Kaja, na co Max pokiwał głową.

– Tak, możemy iść dalej i znaleźć lepsze miejsce – stwierdził Kuba, włączając się do rozmowy. Jednak jakby przecząc własnym słowom, zdjął z ramienia ciężką torbę i rzucił ją na miękki mech. Natalia powstrzymała się od komentarza, stwierdziwszy, że każdy i tak już poznał jej zdanie. A przecież nie oddzielił się od grupy i nie pójdzie sama gdzieś tam przed siebie. Dodatkowo zauważyła, że jej panika udzieliła się już innym – Max i Tomek rozglądali się wokół, szukając potencjalnego źródła zagrożenia.

– Natalia chyba ma słuszość – powiedział Max, koncentrując wzrok na Pawle. – Nie powinniśmy się zatrzymywać na tak otwartym terenie. Widać nas z daleka.

– Na otwartym terenie nie powinniśmy, to się zgadza. Ale tu nie widać nas z odległości większej niż sto pięćdziesiąt metrów. A w mieście widać ludzi ze znacznie większego dystansu. Zwłaszcza w opuszczonym mieście.

Max zmierzył się z Pawłem wzrokiem, po czym przyznał mu cicho rację i wrócił do obserwacji okolicy. Reszta grupy milczała. Podświadomie chyba czuli to samo, co chłopak: że Paweł mówi rozsądnie. Max i Kaja przecież wiedzieli, że był on najbardziej doświadczoną osobą z nich wszystkich. Poza tym nikt po prostu nie miał siły się kłócić.

Paweł z kolei doskonale rozumiał, że konflikt w grupie był ostatnią rzeczą, jaka była im teraz potrzebna. Wiedział również, że czasami po prostu musi postawić na swoim bez względu na humory i dąsy pozostałych. Dla ich własnego dobra, choć mogli tego jeszcze nie wiedzieć.

Kaja podeszła do Tomka. Zdjęła plecak, rozsunęła suwak i wyciągnęła wodę, opierając wcześniej strzelbę o drzewo. Podała mu butelkę, a chłopak przyssał się, jakby od tygodnia nie miał żadnego płynu w ustach.

– Jak się czujesz? – zapytała, kiedy skończył pić.

– Trochę lepiej, dzięki – odpowiedział, wycierając mokrą brodę. Oddał jej butelkę, a ona przekazała ją Maxowi, który sam się napił, po czym podał wodę dalej. Gdzieś w oddali zaświergotała sikorka, przez co przez chwilę można było pomyśleć, że wybrali się na zwykły spacer po lesie. Można by, gdyby nie to, że byli zmęczeni, brudni i śmierdzący, a w rękach dzierżyli karabiny maszynowe i uciekali przed stadem żywych trupów.

– Ktoś wie, gdzie jesteśmy? – zapytała nieoczekiwanie Natalia lekko sztucznym głosem. Starła się nad nim panować, jednak nie udało jej się całkowicie wyeliminować delikatnego, nerwowego drżenia.

– W Puszczy Kampinoskiej. Chyba. Albo jakoś na granicy z puszczą – wyjaśnił Max, siadając na grubej ściółce. Początkowo oponował przeciw postojowi, jednak skoro już zdecydowali za niego, stwierdził, że głupio byłoby nie wykorzystać możliwości odpoczynku. Nie wiadomo, kiedy będzie ku temu kolejna okazja, a coś mu podpowiadało, że powinien zgromadzić pokaźne zapasy energii, zamiast bez sensu zgrywać twardziela. Tacy giną bowiem najszybciej.

– Ma ktoś pomysł, co dalej? – kontynuowała Natalia, również siadając. Emocje powoli i z niej opadały, a górę zaczynało brać zmęczenie. Nie marzyła o niczym bardziej niż o kąpieli, porządnym posiłku i miękkim łóżku ze świeżą pościelą, w którym spędziłaby co najmniej dobę. Niestety, nie przewidywała takiej opcji w najbliższej przyszłości.

– Chyba trzymamy się pierwotnego planu, nie? – zapytał Kuba, który podszedł do żony i usiadł obok niej.

– Jakiego pierwotnego planu? – zapytał po chwili zastanowienia komandos, starając się, aby ton jego głosu nie brzmiał zbyt oschle. – Z tego, co kojarzę, nie mieliśmy jeszcze okazji dokładnie wszystkiego przegadać.

– No tak, racja – odpowiedział policjant i nie zauważając zaczepki w głosie Pawła, zaczął wyjaśniać: – Chodzi nam o Mazury. Chyba zdążyliśmy wam powiedzieć, że kierujemy się na Mazury, na działkę tego młodego dżentelmena. – Wskazał Tomka siedzącego pod drzewem. Chłopak delikatnie skinął mu głową. – Tenże młodzieniec – kontynuował Kuba – ma tam kawałek ziemi bezpośrednio nad jeziorem. A na nim dom, prąd i wszystko inne potrzebne do życia. Generalnie uważamy, że...

– Dlaczego akurat tam? – przerwał mu brutalnie Paweł.

Kuba popatrzył na niego, jednocześnie wkurzony tym niespodziewanym wtrętem, jak i zaskoczony dość trafnie zadaniem pytaniem. Szukał wsparcia w Natalii i Tomku, jednak żadne nie podjęło dyskusji, pozostawiając go samotnie na placu boju, w myśl zasady: sam zacząłeś, to sam się broń.

– Bo tak ustaliliśmy – wykrztusił niespodziewanie Tomek. Mówienie wyraźnie przychodziło mu z trudem, jego żebra, jeżeli nie połamane, były przynajmniej porządnie obite. I robił się coraz bledszy.

– To jasne, ale dlaczego akurat tam? – wtrącił się do dyskusji Max. – Przecież wokół nas jest pełno takich działek. A są pod ręką, a nie gdzieś totalnie daleko – przytomnie stwierdził chłopak.

– Niekoniecznie – powiedział Kuba, kombinując, jak w najprostszy sposób wyjaśnić swoje myśli

i poczynione przez niego, Tomka i Natalię plany. – Tomek mówił, że jego działka jest na odludziu – zaczął odliczać palcami. – Otacza ją gęsty płot, jest dostęp do jeziora, więc mielibyśmy wodę. Wokół rośnie las, a całość usytuowana jest w jakiejś małej wsi, której nazwy już nie pamiętam – przerwał na chwilę, patrząc na twarze pozostałych. Nikt się nie odzywał, więc policjant kontynuował: – Wiecie, chodzi o to, że jeżeli ten syf tam dotrze, to będziemy w stanie się zadekować tak, że nas nie ruszą. Poza tym Tomek zna tamte tereny, nie? Moglibyśmy zrobić umocnienia z drewna. Mamy klucze, nie musielibyśmy się włamywać – wyliczał nieprzerwanie Kuba.

Paweł patrzył na policjanta przenikliwym wzrokiem, trawiając jego słowa. Zastanawiał się, czy oni naprawdę wierzą w to, co mówią. Cóż, trzeba będzie ich wyprowadzić z błędu, ale tak delikatnie, jak to tylko będzie możliwe. W końcu potrzebują siebie nawzajem.

– Okej, rozumiem. Z jednej strony macie rację – zaczął dyplomatycznie – jednak... sorry, ale nie do końca się z wami zgadzam – dodał, niwecząc swoją karierę niedoszłego ambasadora. – Z doświadczenia wiem, że cały czas powinniśmy się przemieszczać. Słuchajcie, dam wam taki głupi przykład. Pamiętacie, co w średniowieczu robili z twierdzami, których nie mogli zdobyć? Otaczali je i przeprowadzali kilkumiesięczne oblężenia. Obrońcy w środku wariowali, głodowali i w końcu popełniali błędy. Tak samo byłoby z nami. Jeżeli zaraza dotarłaby aż na Mazury, w końcu pod płotem twojej działki – spojrzał wymownie w stronę Tomka – ustawiłaby się taka armia... tych... no, ich, że nie mielibyśmy gdzie się ruszyć.

Pozostali zamilkli, analizując słowa, które przed chwilą usłyszeli. Abstrahując od porównania zombie do średniowiecznych rycerzy, wyglądało na to, że Paweł znów miał rację. Z drugiej strony to, co proponował – ciągłe przemieszczanie się z miejsca na miejsce – było nie dość, że bardzo energochłonne, to jeszcze zwyczajnie niosło ze sobą więcej ryzyka niż siedzenie w zamknięciu. Nie wiadomo przecież, na co trafiliby po drodze. Może na tak wyczekiwany ratunek, może na ślepy zaułek, w którym przyszłoby im zginąć. Na domiar złego mieli bardzo mało czasu na podjęcie tej jedynej słusznej decyzji. Słabnąca w oddali kanonada przypominała im, że trzeba działać szybko.

– Ja tam myślę, że Mazury to dobry pomysł – stwierdziła Natalia. – Tomek mówił, że na działce jest wszystko, czego potrzebujemy.

– Tak, a po drodze możemy ogarnąć jakieś zapasy, może znajdziemy jakiś sklep czy coś, weźmiemy jedzenie, wodę... – zaczął wyliczać Kuba.

– No – wydyszał Tomek. – Możemy pojechać siódemką, chyba że trasa będzie nieprzejezdna. W razie czego znam też drogę przez różne takie wsie, nie zgubimy się. A po wsiach może być bezpieczniejsze, tam pewnie będzie ich mniej.

– Czy wy wszyscy powariowaliście? – warknął Paweł, podnosząc wzrok i przerywając wywód chłopaka. – Nie widzieliście, co się tam dzieje?! – Wskazał kierunek, z którego przyszli. – Już zapomniaлиście? Naprawdę myślicie, że to jakiś, kurwa, piknik, na który możemy sobie pojechać, którą drogą chcemy? Ot tak, wsiądziemy w samochód i zrobimy sobie wycieczkę na Mazury?

Tylko Max znalazł w sobie na tyle odwagi, żeby spojrzeć na wzburzonego Pawła. Prawdopodobnie dlatego, że wiele już razem przeszli. A może po prostu chciał, by komandos wiedział, że on wraz

ze swoimi długimi, kudłatymi włosami, z ciężkimi glanami i całym swoim metalowym jestestwem będzie zawsze stał za nim murem.

– Otóż odpowiedź brzmi: „nie” – ciągnął dalej Paweł, odrobinę się uspokoiwszy. – Jeżeli uda nam się przeżyć następne dwadzieścia cztery godziny, to powiem wam szczerze, uznam to za zajebisty sukces. Dlatego powinniśmy wstać i iść dalej, a nie siedzieć na tyłkach i dywagować sobie, nie wiadomo o czym. Tak, wiem, postój to był mój pomysł, ale chyba już odpoczęliście.

Skończył, odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie, nie oglądając się na pozostałych. Wiedział, że lada chwila wszyscy wstaną i pójdą w ślad za nim. Ktoś coś do niego krzyknął, ale mężczyzna to zignorował. Potrzebował teraz chwili tylko dla siebie, musiał poukładać chaotyczne myśli. W pierwszej chwili miał ochotę wziąć Kaję i Maxa i pójść własną drogą, jednak zdusił ten odruch jeszcze w zarodku. Powtarzał sobie, że w dużej grupie będzie im łatwiej przetrwać.

Oczywiście, jeżeli się wcześniej nie pozabijają.

Kilka minut później Paweł przystanął. Wszystkie jego mięśnie napięły się gwałtownie. Odruchowo uniósł zaciśniętą pięść, przekazując innym znak do zatrzymania się i zachowania kompletnej ciszy. Po sekundzie przypomniał sobie jednak, kto za nim idzie, więc odwrócił głowę i przyłożył palec do ust – taki znak znalazł zdecydowanie większą rzeszę świadomych odbiorców.

Pozostali stanęli, czujnie na niego spoglądając. Dopiero gdy Paweł pokazał, o co mu chodziło, zrozumieli powagę sytuacji.

Okazało się, że dotarli na skraj lasu. W oddali ciągle widać było liczne drzewa, jednak między nimi zaczęły prześwitywać różnokolorowe dachy domów.

– Czemu stoimy? – zapytał Kuba. W jego głosie nie dało się słyszeć żadnej urazy po niezbyt komfortowej wymianie zdań, jaka miała miejsce kilka minut wcześniej.

– Nasłuchuję – wyjaśnił komandos.

W międzyczasie dotarła do nich pozostała część grupy. Wszyscy patrzyli w skupieniu na brązowe i czerwone dachy, zastanawiając się, co może ich między nimi spotkać.

– Wchodzimy tam, nie? – zapytał Max.

– Pytasz o ten dom czy miasto? – lekko kąśliwie odpowiedziała Kaja.

– Chyba powinniśmy wejść do któregoś domu, może znajdziemy coś dla Tomka – wtrąciła Natalia.

– I tak nie mamy wyjścia – skwitował krótko Paweł. – Bądźcie ciszej przez chwilę.

Pozostali usłuchali, niemniej niektórym prośba mężczyzny wydała się nieco dziwna. Obok nich i tak nie było żadnego zombie, którego mogliby zwabić hałasem.

Pierwsza pękła Kaja, wytrzymując niespełna minutę milczenia.

– I co, słyszysz coś? – zapytała.

– Nie.

– To chyba dobrze, chodźmy – stwierdził z zadowoleniem Kuba i nie czekając na reakcję pozosta-

łych, ruszył przed siebie.

– Stój – powiedział Paweł. Brzmiało to jak rozkaz, nie prośba. Policjant zatrzymał się i odwrócił. W jego oczach błysnęło zdenerwowanie, ale stłumił uczucie w zarodku. Wspólne działanie dawało im zdecydowanie większe szanse na przeżycie, o czym Kuba na pewno nie zamierzał zapominać. Jadą w końcu na jednym wózku. Podniósł brwi, dając Pawłowi do zrozumienia, że czeka na jakieś wyjaśnienie.

– To, że nic nie słycać, nie wróży zbyt dobrze – powiedział żołnierz.

– Jak to? – zapytała Natalia. Wszyscy stali już w ciasnym, zbitym kręgu, mogli więc cicho rozmawiać.

– Nie słycać samochodów, nie słycać muzyki, nie słycać zupełnie niczego. Jest aż nazbyt cicho, nie rozumiecie? – rozwinął Paweł.

– Myślisz, że to... że ta zaraza dotarła aż tutaj? – zapytała Kaja łamiącym się z nerwów głosem.

– Tak – odpowiedział jej ojciec, bez zbędnych ceregieli i owijania w bawełnę. – Sami widzieliście, w jakim stanie był posterunek, przez który się przebiliśmy.

– No tak, ale przecież byli tam żołnierze. Może nawet dalej są i odparli atak, nie wiemy... – zaczął Max, ale Paweł przerwał mu w połowie zdania:

– Przecież sam w to nie wierzysz.

Chłopak zamknął usta i nie dokończył wypowiedzi, wbijając zrezygnowany wzrok w ziemię i zaciskając zęby z bezsilnej wściekłości.

Stanęli wobec sytuacji, którą każdy z nich przewidywał, ale której mieli nadzieję nigdy nie doświadczyć: zaraza wyszła poza granice Warszawy.

– Chcesz powiedzieć, że tam czekają na nas zombie? – dopiero Kuba wypowiedział na głos myśli trapiące każdego z nich.

– Chcę powiedzieć, że powinniśmy się na to nastawić – odparł Paweł. – Naprawdę mam nadzieję, że jest zupełnie inaczej – dodał po chwili – ale wszystko wskazuje na to, że barykady jednak nie udało się utrzymać. Ani jednej, ani drugiej. Pamiętajcie, co mówił ten żołnierz: chcieli ogrodzić całe miasto. Może nie zdążyli. Zresztą sami widzieliście, jak wirus się rozprzestrzenił. Osoby zarazone mogły być wiele kilometrów za Warszawą już w momencie, w którym wojsko zdecydowało się odciąć stolicę.

– Jezu... – wyszeptała Natalia, przykładając dłoń do ust. Opuściła bezwładnie rękę trzymającą karabin, zupełnie jakby już się poddała. Poczowała, jak wobec braku jakichkolwiek perspektyw na ocalenie, nadzieja totalnie ją opuszcza. Dalsza walka zdawała się nie mieć jakiegokolwiek sensu.

– Nie możesz być tego pewien – powiedział nagle Kuba, widząc, jak jego żona zareagowała na słowa wypowiedziane przez komandosa.

– Nie – odpowiedział Paweł. – Ale wy też braliście to pod uwagę. Właściwie to sami się na to nastawialiście.

– Słucham? – zapytał Kuba, marszcząc w złości brwi. Zachowanie Pawła coraz mniej mu się podobało. Facet był ogarnięty, ale miał w sobie coś nie do końca dobrego. Kuba jeszcze sam nie wie-

dział, co to mogło być, ale to coś zaczynało go wkurzać. A może po prostu stres dawał o sobie znać?

– Jeżeli nie, to dlaczego chcieliście jechać aż na Mazury? – zapytał Paweł. – Wystarczyło zostać w Warszawie albo wyjechać za granicę miasta, a nie od razu pchać się na drugi koniec kraju. – We wzroku Pawła pojawiła się zawziętość, uświadamiająca policjantowi, że komandos zaczyna powoli mieć dość ich czepiania się o każde jego słowo lub decyzję.

– Sam widziałeś, co się działo w mieście – powiedział Kuba. Wskazał przy tym ręką za siebie, kierując ją w stronę stolicy. – Nie było bezpiecznie. Ludzie ginęli nie tylko przez ataki zainfekowanych. Widzieliśmy, jak wojsko traktuje cywili. Sam pewnie też to widziałeś. – Oddychał ciężko, próbując uspokoić myśli, podczas gdy reszta grupy przysłuchiwała się dyskusji, o ile jeszcze nie kłótni obu mężczyzn. Paweł powoli pokiwał głową, dając do zrozumienia, że się zgadza, ale nie odpowiedział. Nagle Kuba zbliżył się do komandosa. Podszedł tak blisko, że prawie stykali się klatkami piersiowymi. Mężczyzna wysunął przed siebie głowę i wyszeptał:

– Słuchaj, nie szukamy problemów – powiedział spokojnie i cicho, tak żeby jego słowa dotarły tylko do Pawła. – To one znalazły nas. Wszystkich. Tak jak ciebie, twoją córkę, tego chłopaka, tak jak moją żonę i mnie. Wszystkich. Jedziemy razem na tym samym wózku i myślę, że każdemu teraz bardziej przydadzą się sojusznicy niż wrogowie. Rozumiesz mnie?

Paweł spojrzał twardo w oczy Kuby. Zgadzał się z nim – wszyscy mieli wystarczająco dużo problemów, wystarczyło się tylko rozejrzeć. Instynkt podpowiadał mu jednak, że musi dzielić słowa policjanta przez dwa. Co nie znaczyło, że nie warto było spróbować i dać mu szansy na potwierdzenie swoich deklaracji. Powoli skinął głową, nie odrywając oczu od jego twarzy.

– Wszyscy się boimy – ciągnął dalej Kuba. Przez chwilę chciał powiedzieć, że może Paweł wcale się nie boi, ale ostatecznie zrezygnował z tego przytyku, dochodząc do wniosku, że to mogłoby tylko zaostrzyć i tak już niepotrzebny konflikt. – Moja żona jest śmiertelnie przerażona i wcale się jej nie dziwię. Sam też się boję. Proszę cię tylko o to, żebyś nie nakręcał ich jeszcze bardziej, opowiadając, że wirus rozprzestrzenił się po całej Polsce i nigdzie nie znajdziemy bezpiecznego miejsca. – Odczekał chwilę, by dać Pawłowi czas na przetrwanie swoich słów. Następnie dodał: – Mógłbyś to dla mnie zrobić?

– Wiesz przecież, że tak właśnie może być – odpowiedział poważnie komandos, stojąc dumnie i nieporuszenie niczym posąg.

– Wiem. I oni też to wiedzą, zapewniam cię. Tylko nie trzeba im o tym co chwila przypominać – stwierdził Kuba. – Uwierz mi, nawet jeżeli wyjdziemy z tego cali i zdrowi, to chyba do końca życia będę się budził zlanym potem.

Paweł niechętnie musiał przyznać Kubie rację – nie do końca doceniał podejście pozostałych osób do problemu, z góry traktując ich jak bezmyślne i bezbronne owieczki, którymi musi się opiekować. Jednak, jak wspominał sam policjant, sytuacja była krytyczna. Każdy mógł popełniać błędy, zwłaszcza błędy w ocenie nowo poznanych osób.

– Okej – powiedział tylko. W tej chwili Kubie musiało to wystarczyć.

– Dobra – ucieszył się policjant. Zastanowił się chwilę, po czym wyciągnął przed siebie otwartą

dłoń. Bez dłuższego wahania Paweł uściśnął ją, co dla pozostałych było jasnym znakiem, że dwaj mężczyźni właśnie się dogadali.

– Chodźmy – powiedział do pozostałych Paweł, podczas gdy Kuba podszedł do swojej żony. Ruszyli spokojnie, metodycznie zbliżając się do linii zabudowań.

– O czym tak rozmawialiście? – zapytała Natalia męża.

Policjant uśmiechnął się z nieskrywaną satysfakcją.

– A takie tam męskie tematy, wiesz.

Natalia знаła go na tyle, żeby wiedzieć, że wiele więcej z niego nie wyciągnie. Powie jej, jeśli sam będzie chciał.

– Okej – odpowiedziała, godząc się z porażką.

Po chwili dołączyli do idącej powoli grupy. Paweł zdjął z ramienia karabin, reszta poszła w jego ślady. Metaliczne szczęknięcia zamków potwierdziły przeładowanie każdej sztuki broni.

– Bądźcie czujni – poprosił Paweł. – Jeżeli zobaczycie jednego z nich, nie strzelajcie od razu, bo wystrzał zwabi pozostałych. Może uda się go ominąć, a jeżeli nie, to spróbujcie go zabić po cichu. Lub zawołajcie mnie.

W tonie jego głosu nie było wywyższania się czy przechwalania, jednak sposób, w jaki to powiedział, nie pozostawiał wątpliwości, że mężczyzna wie, o czym mówi. Max i Kaja mogli to spokojnie potwierdzić, pamiętając, jak Paweł zabił zombie w podziemnym przejściu, używając do tego tylko noża i siły własnych rąk.

Dotarli do granicy lasu. Paweł ukucnął przy drzewie, z przyzwyczajenia starając się jak najlepiej ukryć. Pozostali zatrzymali się tuż obok niego.

Przed nimi biegła asfaltowa droga, po jednej stronie granicząca z lasem, z którego właśnie wychodzili, po drugiej zaś z ogrodzeniami pięknych i drogich domów, które zostały tu stosunkowo niedawno wybudowane. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało normalnie: puste, ale zadbane działki, przystrzyżona trawa i zamiecione podjazdy. Nietrudno było sobie wyobrazić, że wille zostały pozostawione przez biznesmenów, którzy pojechali swoimi nowymi bmw do szklanych biurowców w centrum Warszawy. Matki zawiozły dzieci do prywatnych szkół, by później skierować się do własnych obowiązków. Normalny widok na bogatych przedmieściach o tej porze dnia, zwłaszcza w środku tygodnia.

Przez chwilę nawet Paweł uwierzył w tę idyllę, w to, że zaraz jednak udało się zatrzymać. Że nie wydostała się poza Warszawę i że może wcale nie będą musieli jechać aż na Mazury, bo znajdą bezpieczny azyl już tutaj.

I właśnie wtedy zaczęli dostrzegać wybite okna. Skupiwszy wzrok, Paweł zobaczył czerwone smugi krwi na szkle, jakby ktoś przytrzymał się pękniętej szyby, wchodząc do środka. Ujrzał unoszący się w oddali słup dymu, prawdopodobnie z pożaru trawiącego jedną z drogich willi. Zerknął wzdłuż drogi. Jego wzrok zatrzymał się na samochodzie roztrzaskanym o drzewo. W pobliżu nie było karetki, nie było policji, nie było zupełnie nikogo. Wniosek nasuwał się sam i niestety, nie była to zbyt optymistyczna konkluzja. Przez sekundę Paweł miał ochotę odwrócić się i powiedzieć do

Kuby: „A nie mówiłem?”, ale z tego zrezygnował. Bo tak naprawdę chciał się mylić. Chciał być w błędzie tak bardzo, jak jeszcze nigdy w życiu.

– Dobra, ja, Max i Kuba wejdziemy do tego domu – powiedział, wskazując budynek znajdujący się tuż przed nimi. Na oko mógł mieć nawet czterysta metrów kwadratowych, nie licząc stojącego obok garażu. – Zobaczymy, czy w środku mają jakieś jedzenie, picie, czy może w garażu stoi samochód. Wy zostańcie tutaj i patrzcie, czy nic się do nas nie zakrada od tyłu.

O ile Natalia była raczej zadowolona z tego pomysłu, a Tomek niewiele miał do powiedzenia w swoim obecnym stanie, o tyle Kai się to w ogóle nie podobało.

– Nie powinniśmy się rozdzielać – zaproponowała. – Czemu wy idziecie, a my mamy zostać?
– To nie tak – spróbował uspokoić córkę Paweł. – Bierzemy w tym udział wszyscy, wy stoicie na tylnej straży. Jakby coś się działo, zawołaj nas, przecież będziemy...

Niestety nie dokończył, gdyż przerwał mu krzyk. Nawet nie tyle krzyk, ile desperackie wołanie o pomoc przerażonego człowieka, który właśnie stawał oko w oko ze śmiercią.

Paweł wymienił z Kubą porozumiewawcze spojrzenie.

– Max, zostań z nimi – rozkazał chłopakowi, ruszając biegiem w stronę źródła hałasu. Nie czekał na odpowiedź. Nie musiał też oglądać się za siebie, żeby wiedzieć, że Kuba bez wahania ruszył za nim.

ŁOMIANKI, GODZINA 15:07.

Kasia powoli traciła nadzieję na ratunek. Od mniej więcej godziny lokalne stacje telewizyjne przestały nadawać jakiegokolwiek programy, a relacje tych mających siedziby poza zamkniętą Warszawą były bardzo nieskładne i chaotyczne. Z grubsza mówili o wszystkim i niczym, nierzadko przekazując informacje wzajemnie się wykluczające. Wcześniej jednak Kamil i Kasia zobaczyli wiadomość o odcięciu i odizolowaniu stolicy. Dodatkowo potwierdzone zostały wcześniejsze pogłoski mówiące o tym, że do miasta zawitają oddziały Wojska Polskiego w celu zabezpieczenia mieszkańców i pomocy przy ewakuacji. Niewiele później na ekranie pojawił się obraz kontrolny. Dwojgu ludziom siedzącym przed telewizorem ciężko było w to wszystko uwierzyć. Internet, o dziwo, również nie podawał żadnych konkretnych informacji ani instrukcji, poza jednym, powtarzanym w kółko zdaniem: „Prosimy o pozostanie w domach”.

Od tamtej chwili siedzieli i nie bardzo wiedzieli, co mieliby ze sobą zrobić.

– Kamil... – nieśmiało zaczęła Kasia.

– Hm? – odburknął zamyślony chłopak.

– Czy mamy tu jakąś broń? – zapytała. Strach związany z pytaniem i ewentualną odpowiedzią był nie dość, że doskonale słyszalny, to jeszcze wprost wypisany na jej twarzy. Bała się tego, co mogła usłyszeć – jeżeli odpowie, że nie mają broni, to będzie problem, gdyby musieli stawić czoło tym istotom z ulicy. Jeśli natomiast powie, że mają broń, to w przypadku konfrontacji będą musieli jej użyć, co też nie napawało jej zbytnim optymizmem. Tak źle i tak niedobrze.

– Nie wiem, chyba nie – odpowiedział chłopak. Zerknął na zatroskaną twarz Kasi i uświadomił sobie, że nie do końca takiej odpowiedzi oczekiwała. Chyba jednak liczyła na to, że mają coś do obrony.

– To znaczy, nie mamy broni palnej – zaczął mówić dalej, próbując zatrzeć pierwsze, dość słabe wrażenie. – Chyba że wiesz, czy gdzieś tu ją trzymali. Ja nie wiem. Możemy poszukać. Mamy noże kuchenne, a w garażu na pewno znajdę jakąś siekierę.

– Siekierę? A na co im by była siekiera?

– Jest tu kominek, nie? Poza tym mają ogród, a takie narzędzie się przydaje. Wątpię, żeby ją kupili na wypadek apokalipsy. Wtedy trzymaliby ją w domu – odpowiedział z uśmiechem, starając się trochę rozładować napięcie.

Na szczęście dla Kamila, Kasia odwzajemniła uśmiech. Zabieg chłopaka zadziałał jednak na krótko, ponieważ dziewczyna zaraz spoważniała.

– Myślę, że powinniśmy się jakoś zabezpieczyć – powiedziała już bardzo na serio, patrząc mu prosto w oczy. – Wiem, że zamknąłeś drzwi, ale może powinniśmy zabić okna deskami, wiesz, zro-

bić coś więcej, niż tylko przekręcić klucz w zamku.

Kamil zmarszczył brwi w zamyśleniu, próbując odczytać intencje Kasi.

– Ciągłe boisz się, że tu wejdą? – zapytał.

Kiwnęła w milczeniu głową.

– No a jak wejdą, to co zrobimy? Powinniśmy się nastawić na najgorsze – mruknęła cicho, jakby nie chciała wypowiadać tego w zły godzinie. Zrobiła krótką pauzę po tych słowach, ważąc je i pozwalając zrobić to samo Kamilowi. – Zobacz, siedzimy tu tyle czasu i nic się nie wydarzyło. Nie pojawiło się wojsko, policja, nic. Nie wydaje ci się to trochę dziwne?

– Nie wiem. Może masz rację...

– Mam. Wszystkie służby pojechały do Warszawy. Ci, którzy tam pracowali, pewnie zostali i nie mogą się wydostać. Są zamknięci, a miasto jest otoczone przez wojsko i policję, sam widziałeś w „Wiadomościach”.

– A co z pozostałymi? Dlaczego wszędzie wokół jest pusto? Przecież ludzie pracują też w domach, są jeszcze emeryci, no i osoby, które zatrudniły się w Łomiankach i tutaj. Gdzie oni są? – zapytał.

Dziewczyna zastanowiła się chwilę nad odpowiedzią. Kamil miał rację. Od kilku godzin nie przejechał przed ich domem żaden samochód, nie było też widać ani jednego przechodnia, jakby nagle wszyscy ludzie wyparowali. W pewnym momencie jej błękitne oczy rozszerzyły się z podniecenia, jakby znalazła odpowiedź na najważniejsze pytanie w grze o milion złotych.

– Ej, a może wcale nie jest pusto? – Wstała powoli z łóżka, nie mogąc usiedzieć dłużej na miejscu. – Może wcale nie wszyscy uciekli, może ludzie siedzą zamknięci w domach, tak jak my?

Kamil popatrzył na nią zza swojej długiej, opadającej na czoło grzywki. Chwilę analizował słowa Kasi, ale ostatecznie pokiwał głową z wyraźnym uznaniem.

– No, może tak być.

– Może spróbujemy do nich dotrzeć? – zawołała z entuzjazmem, zupełnie zapominając o zagrożeniu. Powinna zachowywać się ciszej, jeżeli nie chciała zwabić wałęsających się po ulicy zombie, ale koncepcja ratowania sąsiadów okazała się dla niej tak atrakcyjna, że chwilowo zapomniała o apokaliptycznym BHP.

– Jak? – zapytał chłopak, tonem wypowiedzi dając jej do zrozumienia, że nie do końca mu się to wszystko podoba. Zdecydowanie najbezpieczniej czuł się zamknięty w sypialni na pierwszym piętrze, nie musiał nawet wysłuchiwać pomysłu, na jaki wpadła jego dziewczyna, żeby wiedzieć, że na pewno nie przypadnie mu do gustu.

– Nie wiem, może wyjdziemy na dach i się rozejrzemy – myślała głośno Kasia, podczas gdy jej palce powędrowały do ust, gdzie były systematycznie oskubywane. – Nie powinniśmy raczej krzyczeć, bo nas usłyszą. Może w nocy będziemy dawać sygnały światłem, zapalając je i gasząc... Znasz alfabet Morse’a? O, albo namalujemy coś na dachu. Wiesz, jakiś znak, coś co powie, że żyjemy i mamy się dobrze. Mamy farby? Widziałeś gdzieś? No kurde, przecież ludzie na filmach tak robią, my też możemy.

Kamil zamrugał kilka razy, próbując przyswoić sobie pytania, jakie przed sekundą padły. Nie znał

na nie odpowiedzi, nie wiedział, gdzie są farby, nie miał pojęcia o alfabecie używanym przez wojsko, ale przede wszystkim nie miał ochoty nigdzie się ruszać ani nic robić. Tak naprawdę po prostu czekał, aż nadjedzie czołg czy jakieś inne militarne ustrojstwo i zrobi ze wszystkim porządek. Wiedział, że w końcu to nastąpi, więc po co niepotrzebnie się narażać?

Niestety, był doskonale świadom tego, że z Kasią nie pójdzie mu tak łatwo. Nie, ona nie będzie chciała czekać, tylko zmusi go do wykonywania jakichś durnych prac, jak na przykład zabezpieczenie domu.

„I po co to wszystko?” – zastanawiał się w duchu chłopak. Nie wypowiedział jednak tego pytania na głos, gdyż wiedział, że to niechybnie doprowadzi do otwartego i poważnego konfliktu.

Niestety, Kamil nie doceniał swojej dziewczyny. Zapomniał, że potrafiła czytać w nim jak w otwartej księdze, i zanim uświadomił sobie, że wszelkie wątpliwości miał wypisane na twarzy, zaatakowała:

– Nie chce ci się, co? – zapytała cicho, ale w tonie wypowiedzi, poza oczywistą treścią, było zawarte jeszcze wiele innych rzeczy, takich jak jad, podtekst, pretensja i zawód. Wszystkie jednocześnie.

Szczupły chłopak wziął głęboki wdech, szykując się na burzę, która lada chwila miała się rozpętać. Łudził się jednak, że może jeszcze przejdzie bokiem.

– To nie tak – zaczął spokojnie, próbując zebrać myśli.

– A jak? – ukąsiła zgodnie z przewidywaniami Kamila.

– Chce mi się.

– Tylko... – dodała, wiedząc, że takie słowo prędzej później padnie z jego ust. Zawsze było jakieś „tylko”.

Kamil westchnął głęboko, analizując swoją pozycję. Niezaprzeczalnie tkwili w tym razem. W zamkniętym domu, bojąc się wyściubić choć czubek nosa na zewnątrz. Nie było sensu drzeć ze sobą kotów.

– Nic. Masz rację – powiedział po kilku sekundach milczenia. Kasia zdążyła już skrzyżować ramiona i oprzeć je na okazałym biuście, dając mu tym samym do zrozumienia, że sprawa jest poważna. – Chodźmy zobaczyć, z czego możemy zrobić jakieś barykady i gdzie znajdziemy broń.

Wstał i ruszył w stronę drzwi od sypialni. Dziewczyna zmarszczyła brwi. Nie rozumiała zachowania swojego chłopaka, niemniej nie zamierzała oponować czy wchodzić w szczegóły jego decyzji, bo jeszcze, nie daj Boże, by się rozmyślił.

Chwilę później byli już na dole. Jak poprzednim razem, tak i teraz zeszli powoli, uważnie krocząc po schodach i zaglądnąwszy w każdy kąt domu, pomimo że nie słyszeli, aby ktoś się włamał.

Znaleźli się na parterze. Na miękkich nogach weszli do salonu, którego jedną ze ścian zdobiło olbrzymie okno roztaczające widok na całą ulicę. Kamil podszedł do niego i bardzo powoli, delikatnie, jakby rozbrajał bombę, odsunął zasłonę.

Zrobił to w najgorszym możliwym momencie. Po drugiej stronie okna stał trup, który bardzo się ożywił, widząc ruch wewnątrz domu. Przez trwający absurdalnie długo ułamek sekundy przyglądali się sobie. Istota za szybą była niegdyś atrakcyjną kobietą. Właściwie to całkiem niedawno, czyli za-

nim zginęła w wypadku przed ich domem. Teraz kolor jej skóry przybrał szarzielony odcień, w licznych ranach dało się dostrzec odsłonięte ścięgna i mięśnie. Ubranie było podarte, w wielu miejscach obficie ubroczone krwią. Miała pogryzioną twarz, brakowało jej jednego ucha i części prawego policzka, przez który prześwitywał fragment żuchwy. Lecz z tego wszystkiego najgorsze były oczy – dwie czarne kule, świdrujące na wylot i zarazem hipnotyzujące chłopaka.

Zombie zaczął walić łapami w szybę. Kamil odskoczył z piskiem i błyskawicznie zaciągnął zasłonę. Wystraszony, potknął się o mały stolik i ciężko upadł na podłogę salonu. Nie zauważył, że dostrzegła go też druga maskara stojąca na ulicy kilkanaście metrów dalej, która rzuciła się biegiem w jego stronę.

Chłopak leżał chwilę bez ruchu. Ze wszystkich sił starał się nie postradać zmysłów po tym, co przed chwilą oglądał, i uspokoić rozszalałe serce.

– Jezu, widziałaś? – zdążył zapytać, odchylając głowę w stronę swojej dziewczyny, gdy szkło poszło w drobny mak.

Drugi zombie wpadł z impetem w okno, tłukąc je na setki drobnych, ostrych odłamków. Potwór, którego chłopak nie zdążył zobaczyć, zaplątał się w zerwaną zasłonę i wyrznął jak długi tuż obok niego. Błyskawicznie zaczął wierzgać, próbując uwolnić się z pułapki. Wystraszony do granic możliwości Kamil próbował się wycofywać, cały czas leżąc na plecach. Strach, jakiego aktualnie doświadczał, był tak wielki, że ledwo pamiętał o oddychaniu, nie mówiąc już o podjęciu jakiegokolwiek racjonalnego działania – po prostu nie był w stanie zrozumieć, że jeśli się podniesie i zacznie uciekać pieszo, będzie to o wiele efektywniejsze od tego, co robi aktualnie.

– Kamil! – krzyknęła Kasia, podbiegając do chłopaka. W pierwszej chwili miała ochotę rzucić się w stronę schodów, wbiec po nich i zamknąć się z powrotem w sypialni, jednak zdusiła ten odruch w zarodku. Nie zastanawiała się, czy zrobiła tak dlatego, że kochała Kamila, czy dlatego, że bała się zostać zupełnie sama. Nie miała czasu na rozmyślanie, zareagowała automatycznie.

Gdy pomagała mu podnieść się z podłogi, drugi zombie zaczął gramolić się do środka. Przy przechodzeniu przez ramę okienną kobieta przejechała dłonią po wystającym szkłe i niemal ucięła sobie mały palec, jednak zdawała się zupełnie tego nie zauważać – parła dalej, wpatrując się w swoje przyszłe ofiary. Z wyraźnym trudem przełożyła jedną nogę przez parapet. Ruszała się bardzo nieskładnie, jakby każda część jej ciała była osobno sterowana. Wydawała przy tym nieartykułowane dźwięki, coś pomiędzy mruzeniem a warczeniem, zupełnie jak jej towarzysz zaplątany w zasłonę.

Na domiar złego Kasia zdążyła zauważyć, że na posesję wbiega, prawdopodobnie zwabiony hałasem, kolejny zombie. W krótkiej chwili zrozumiała, że jeżeli czegoś szybko nie zrobią, to ta banda zwariowanych kanibali potraktuje ich dokładnie tak samo, jak potraktowali ofiary wypadku czy ich sąsiadkę. Dziewczyna uświadomiła sobie, że zabawa się skończyła.

– Kamil, wstań! – krzyknęła z paniką do chłopaka, starając się poderwać go za rękę.

Jednak Kamil nie zamierzał w żaden sposób współpracować. Strach, wyciskający mu dech z piersi, odebrał również zdolność trzeźwego myślenia i racjonalnej oceny sytuacji. Chłopak nie mógł oderwać wzroku od kobiety, która już obiema nogami stała w salonie. Po prostu biernie się w nią

wpatrywał, czekając na dalszy rozwój wypadków, nieczuły na próby ocalenia jego życia, dokonywane przez zdeterminowaną Kasię.

Nagle chłopak poczuł, jak na jego nodze zaciska się czyjaś dłoń. Spojrzał na nią i zobaczył, że potwór zaplątany w zasłonę uwolnił się na tyle, by go chwycić. Na tym jednak nie poprzestał. Chwilę później zombie już zatapiał zęby w szczupłej łydce.

W pierwszej chwili Kamil nie czuł zupełnie nic. Szok i absurdalność całej sytuacji były tak wielkie, że chłopak najzwyczajniej w świecie wyparł ją ze swojej świadomości. Czuł się, jakby leżał na kanapie i oglądał film. I tyle, nic więcej. To przecież nie działo się naprawdę. Takie rzeczy nie mogą się wydarzyć. Nie ma zombie. Nie ma wałęsających się po ulicach bezmózgich, szydzących z boskich praw ożywieńców. Nie ma.

Niemniej sygnał, jaki odebrał mózg Kamila, był wyraźny i jednoznaczny: kawałek skóry i mięśni z jego lewej nogi został właśnie wygryziony przez drugiego człowieka. Fala bólu, która zalała świadomość chłopaka ułamek sekundy później, tylko to potwierdziła. Kamil wrzasnął wniebogłosy, przerażony i wściekły jednocześnie, jakby samym dźwiękiem chciał cofnąć bieg wydarzeń lub odpędzić zombie.

– Jezu, zabierz go, zabierz! – krzyczał do Kasi, która wcale nie zamierzała go słuchać. Chciała co prawda zabrać Kamila z dala od chyba martwego człowieka, ale podejście bliżej do istoty pełzającej po podłodze salonu nie wchodziło w grę.

– Wstawaj, podnieś się, kurwa! – próbowała go przekrzyczeć, cały czas ciągnąc ze wszystkich sił. Wiedziała, że jeżeli Kamil szybko się nie podniesie, nie uda się im uciec.

W tym momencie chłopak odzyskał możliwość trzeźwego myślenia. Wolną nogą kopnął zombie, przez co głowa trupa odskoczyła do tyłu, efektownie plując przy tym krwią. Dzięki temu Kamil zyskał sekundę przewagi i uwolnił się z potrzasku.

– Szybko! – upomniała go Kasia, ale chłopak już nie potrzebował ponagleń. To, że został mu odgryziony kawałek ciała, było wystarczającą motywacją. Podniósł się na równe nogi, ale zachwiał się i musiał skorzystać ze wsparcia, jakie dawała mu Katarzyna – noga Kamila została bowiem zraniona tuż nad kostką, co nie dość, że sprawiało chłopakowi ogromny ból, to jeszcze znacznie utrudniało chodzenie. Dziewczyna złapała go w pasie i zaczęła się wycofywać na pierwsze piętro. W tej chwili nie myślała o tym, że może być im trudno stamtąd zejść, a ucieczka dołem oznaczała, że musiałyby przeciskać się obok potworów, które sforsowały okno. A takiej opcji absolutnie nie brała pod uwagę.

Lecz wbrew temu, co pomyślała, Kasia uniosła głowę, aby ocenić szanse wydostania się z domu. Facet, który wygryzł Kamilowi kawałek ciała, wyplątał się z firanki i już zamierzał wstać, gdy nagle powietrze przeszył huk. Kasia aż podskoczyła. Zauważyła, jak głowa mężczyzny eksploduje, ozdabiając salon fragmentami roztrzaskanej czaszki i różowej tkanki mózgu. Wystarczył jeden pocisk wystrzelony nie wiadomo skąd, jednak niesamowicie precyzyjny i celny, żeby czaszka denata przeszła do historii. Zanim Kasia uświadomiła sobie, co tak naprawdę się stało, twarz kobiety, która miała duże problemy z dostaniem się do środka domu, również eksplodowała. Po chwili i trzeci

agresor leżał martwy. Dziewczyna nawet nie była świadoma tego, że krzyknęła tyle samo razy, ile było wystrzałów.

Oboje z Kamilem zamarli, ledwo łapiąc oddech w oczekiwaniu na to, co miało się teraz wydarzyć. Wiedzieli, że nie muszą dalej uciekać. Człowiek, który zastrzelił atakujących ich wariatów, nie mógł mieć wobec pary złych zamiarów, w innym wypadku by im po prostu nie pomógł.

„Ale czy na pewno?” – głos meandrujący pod czaszką nie dawał Kasi spokoju. Było już jednak za późno na jakiegokolwiek działanie. Zza ogrodzenia, kilka metrów przed wybitym oknem, wyłoniła się krótko ostrzyżona głowa faceta, który celował do środka mieszkania z karabinu maszynowego. Jego czujne, skupione spojrzenie zdawało się omiatać równocześnie całą okolicę, wliczając w to teren znajdujący się za nim. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest człowiekiem obytym z bronią – nie wyglądał jak pierwszy lepszy chłop, który dorwał się do pukawki. Nawet z tej odległości Kasia zauważyła, jak mięśnie drgają mu pod szarą, zdecydowanie nieświeżą koszulą.

– Jesteście cali? – odezwał się przybysz podniesionym głosem, po czym rozejrzał się czujnie po ulicy, wypatrując potencjalnego zagrożenia. Kasia wykorzystała tę sekundę nieuwagi, przykrywając ranę chłopaka wiszącym na poręczy schodów T-shirtem. Zawsze go karciała za pozostawianie ubrań gdzie popadnie, jednak tym razem okazało się to zbawienne.

– Co ty...? Jezu, ała... pomóż mi usiąść – poprosił cicho Kamil. Kasia wsparła chłopaka ramieniem, pomagając mu przycupnąć na schodach. – Skurwysyn, widziałaś co on mi...

– Wszystko w porządku? – usłyszała nagle nowy głos. Uniosła głowę i zauważyła, że tuż przy oknie pojawił się drugi niezapowiadany gość.

– Nic wam się nie stało? – zapytał. Wyglądał zupełnie inaczej niż facet stojący kilka metrów za nim. Tamten był umięśniony, z daleka można było w nim poznać wojskowego. Ten znajdujący się bliżej był natomiast drobniejszy, poza tym miał szarą, jakby zmęczoną twarz z ciemnymi worami pod oczami. Pomimo tego niezbyt obiecującego wyglądu, na podstawie pierwszego rzutu oka Kasia stwierdziła, że był to typ gościa, któremu można zaufać.

– Stało się! Ten facet... – zaczął mówić Kamil, ale Kasia przerwała mu w pół słowa:

– Mój chłopak jest ranny. Rozharatał sobie nogę szkłem – powiedziała szybko, wskazując nogę Kamila. On sam potwierdził diagnozę swojej kobiety głośnym stęknieniem z bólu. Dopiero teraz do niej dotarło, jak bardzo była roztrzęsiona. Coś jej podpowiadało, że nie może zdradzić prawdy dotyczącej rany mężczyznom z karabinami.

Panowie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Gość w białym T-shircie, ten stojący bliżej okna, odwrócił się do kompana plecami i zajrzał przez wybite okno do salonu.

– Nikogo więcej z wami nie było? – zapytał.

Kasia zmarszczyła brwi, w pierwszej chwili nie rozumiejąc pytania.

– Jeśli masz na myśli tych... – przerwała, szukając odpowiedniego słowa. Spojrzała na zwłoki leżące w salonie, co okazało się być wystarczająco wymowne. W odpowiedzi mężczyzna kiwnął głową – ...to nie, była tylko ta trójka – dodała cicho dziewczyna.

– Okej – odparł mężczyzna, wchodząc do wnętrza pokoju. Przerzucił na plecy mały karabinek ma-

szynowy i szybko podszedł do rannego chłopaka.

LAS, GODZINA 15:25.

Max, Kaja i Natalia patrzyli z pełnym napięciem wyczekiwaniem na budynki, między które przed paroma minutami zagłębili się Kuba i Paweł. Wszyscy trzymali broń w gotowości, na wypadek jakby strzały przywołały znajdujących się gdzieś między zabudowaniami zombie lub zwróciłyby uwagę hordy, która znajdowała się gdzieś w lesie za ich plecami. Dlatego też Max co i rusz zerkał za siebie, starając się dostrzec między drzewami jakikolwiek ruch. Na szczęście niczego nie udało mu się dostrzec. Chwilowo byli bezpieczni. Tomek leżał oparty o drzewo, regenerował siły.

– Czemu przestali strzelać? – zapytała z przerażeniem w głosie Natalia. W jej głowie kłębiły się już najczarniejsze scenariusze, wizje ukazujące jej męża rozszarpywanego przez hordy zombie, których mężczyźni nie dali rady pozabijać.

– Bo zabili wszystkich, których mieli zabić – odpowiedziała spokojnie Kaja. A widząc minę Natalii, dodała jeszcze: – Nie martw się, mój ojciec wie, co robi. Twojemu facetowi nic przy nim nie grozi.

– Tak? A skąd niby taka pewność? Mój mąż jest policjantem, a i tak ledwo udało nam się wyostać z miasta.

Kaja spojrzała zaskoczona na Natalię, wymieniając przy okazji spojrzenie z Maxem. Odczekała chwilę, żeby to, co zamierzała powiedzieć, osiągnęło lepszy efekt. Stary nawyk.

– Mój ojciec jest komandosem – mówiąc to, nie mogła ukryć delikatnego uśmiešku kielkującego na skraju jej ust.

Pomimo w oczywisty sposób trudnej sytuacji, Max również się ucieszył na myśl, że to właśnie on, a nie ktokolwiek inny, miał możliwość podróżowania z tym człowiekiem. Nie był w stanie powiedzieć dlaczego, ale czuł coś na kształt dumy. Zaskoczyła go natomiast wiadomość, że facet, którego przypadkowo spotkali na swojej drodze, okazał się być policjantem.

„Mamy więcej szczęścia niż rozumu” – pomyślał. „Pytanie tylko, jak długo jeszcze”.

A może właśnie nie, może to nie szczęście tylko doświadczenie i przeszkolenie, które pozwoliło tym facetom przeżyć, skrzyżowało ich drogi?

– Tak, spokojnie – wtrącił się do dyskusji. – Na pewno przestali strzelać, bo już wszystkich rozwalili.

– Powinniśmy to sprawdzić – nie ustępowała Natalia.

Kaja w duchu przyznała jej rację, jednak na głos powiedziała coś zupełnie innego:

– Nie możemy go przecież tak zostawić – stwierdziła, przenosząc wzrok na rannego Tomka.

– Nic mi nie jest – powiedział chłopak, ale jakby na zaprzeczenie tych słów stęknął z bólu. Widać było, że nie czuje się zbyt dobrze, ale równocześnie stara się nie być ciężarem dla grupy.

– To niech jedna osoba z nim zostanie – powiedziała szybko Natalia, wietrząc swoją szansę na dołączenie do męża. Coraz bardziej martwiła się o Kubę. Chciała działać, a nie stać i czekać bezwiednie na rozwój wypadków. Nie była tylko pewna, czy boi się o niego dlatego, że go kocha, czy też martwi się o niego dlatego, że nie wyobraża sobie walki bez niego u swojego boku.

– Idźcie sprawdzić, nic mi nie będzie – powiedział Tomek. – Mam tu pełno amunicji, jakby coś zaczęło się dziać, usłyszycie strzały i wróćcie.

Kaja już zmierzała odpowiedzieć, że to najgłupszy pomysł, jaki w życiu słyszała, że nie zdążą do niego wrócić, jak zostanie zaatakowany, jednak Max uprzedził jej słowa.

– Idą! – krzyknął, od razu unosząc beryla i przykładając kolbę do ramienia.

Chłopak wskazał kilka postaci wylaniających się spomiędzy drzew, jakieś sto pięćdziesiąt, może dwieście metrów od nich. Na razie nie udało mu się dostrzec szczegółów, jednak sposób ich poruszania wykluczał możliwość, by to mogliby być normalni ludzie – szli nieskładnie, krótkimi zrywami, z trudem omijając drzewa. Niektórzy potkali się o wystające korzenie i przewracali, stając się przeszkodami dla kolejnych. Jednak najgorsze było to, że Max odniósł wrażenie, jakby zombie podążali ich tropem. Wojskowa barykada musiała zostać rozbita, a żołnierze albo polegli, albo się wycofali. Tak czy inaczej, las był opanowany przez zombie.

– O Boże – wyszeptała Natalia, przykładając zaciśniętą dłoń do ust.

– Pieprzyć to, zbieramy się! – zarządziła Kaja, czując, jak jej żołądek kurczy się i podchodzi do gardła. – Nie strzelajcie, może nas nie zauważyli – dodała drżącym głosem.

Max opuścił broń i jednym susem doskoczył do Tomka. Chwyił go pod barki, na własne plecy zrzucając jeszcze jedną z toreb z bronią i amunicją. Pomimo ciężaru, jaki mu sprawiała, wiedział, że musi ją zabrać. Natalia i Kaja wzięły drugą, łapiąc ją wspólnie.

– Trzymajcie się nisko, idziemy w stronę tych budynków – ponownie zarządziła Kaja. Nie mogli pozostać między drzewami, licząc tylko na to, że zombie przejdą obok nich i ich nie zauważą. Wejście między zabudowania dawało im szansę na znalezienie bezpiecznego schronienia, miejsca, w którym można się zamknąć lub ukryć niezauważenie. Przy okazji, może znaleźliby po drodze pozostałych członków grupy.

Nikomu nie trzeba było powtarzać hasła do wymarszu dwa razy. Każdy, tak samo jak ona, walczył o życie. Każdy z nich tak samo bał się i był coraz bardziej zmęczony, jednak adrenalina naprawdę potrafiła działać cuda, wyłączając w jednej chwili znużenie, brak snu i głód. Pochyleni, przemknęli przez ulicę i dotarli na chodnik, próbując po drodze dostrzec jakąś otwartą furtkę, uchyloną bramę, cokolwiek, co pozwoliłoby im wejść na nieco trudniej, dla zombie rzecz jasna, dostępny teren.

Wtedy do ich uszu doleciało gardłowe jęknięcie. W biegu Kaja odwróciła się i spostrzegła, jak z pomiędzy krzaków znajdujących się tuż przy jezdni, wychodzą pierwsze maski.

„Niemożliwe, żeby dotarły tu tak szybko” – pomyślała dziewczyna, jednak w tej samej sekundzie zrozumiała, że po prostu front pochodu musi być niewyobrażalnie szeroki. Poczuła, jak strach dodaje jej dodatkowego kopa. Przyspieszyła, dobiegając z Natalią do Tomka i Maxa. Czuła się, jakby uciekała przed bezlitosną falą tsunami.

– Szybko, w tę uliczkę! – krzyknęła, łudząc się, że uda im się zgubić zombie. Niestety, podniesione głosy umarłaków świadczyły o tym, że potwory złapały ich trop. Z narastającym przerażeniem dziewczyna zauważyła, że niektóre już ruszyły biegiem w ich stronę. Odwracając wzrok, spostrzegła nazwę ulicy, w którą skręcali – Wesoła. To utwierdziło Kaję w przekonaniu, że Bóg nie tylko doskonale się bawi ich kosztem, lecz również w żaden sposób nie zamierza im pomagać. Zabawne, że Max zaledwie chwilę wcześniej miał zupełnie inne odczucia.

Słysząc było tylko ich świszczące, urwane oddechy, uderzenia butów o asfalt i pobrzękiwanie broni. Natalia biegła boso, zgubiwszy japonki kilka godzin wcześniej.

„Zginiemy” – pomyślała Natalia. Dopadła ją bezsilna złość, niemalże odbierająca zdolność trzeźwego myślenia. Nie mogła się skupić na ucieczce, nie była w stanie podjąć decyzji, czy powinni stanąć do walki, czy może muszą szukać bezpiecznego schronienia. Nie była w stanie stwierdzić nawet, w którą stronę powinni uciekać. Po prostu jej stopy tylko rytmicznie odbijały się od zimnego asfaltu, dźwigające ciężką torbę ramię bolało coraz bardziej, a dziewczyna myślała tylko o tym, jak bardzo życie jest niesprawiedliwe i jaki niesłuszny los został im przeznaczony.

I właśnie wtedy, w najmniej do tego odpowiednim momencie, zza dostawczej ciężarówki, którą właśnie mijali, wyskoczyły na nich zwłoki mężczyzny w średnim wieku. Umarłak z dzikim wrzaskiem wpadł z całym impetem w Tomka i Maxa, rozdzielając ich i przewracając obu na jezdnię.

Kaja zareagowała błyskawicznie. Zanim chłopaki upadli na ulicę, wypuściła z ręki torbę i uniosła karabinek, przygotowując się do strzału. Spodziewała się, że za ciężarówką może kryć się jeszcze więcej zombie, więc skierowała lufę w tamtą stronę. I miała rację – zza brązowego auta firmy kurierskiej wybiegła kobieta, wściekle wymachując rękami i plując krwią z poranionej i pogryzionej twarzy. Dziewczyna oddała jeden, precyzyjny strzał. Z takiej odległości nie mogła chybić – głowa denatki odskoczyła, uwalniając przy tym fontannę brunatnej krwi, a jej zwłoki, tym razem już na bank martwe, upadły z głośnym łupnięciem. Za nią pojawił się kolejny zombie, którego Kaja również zastrzeliła. Wszystko trwało zaledwie kilka sekund, jednak to właśnie sekundy determinują nasze dalsze życie, pokazując jak najmniejsza, pozornie nieważna część czasu może wywrócić cały ustalony porządek do góry nogami.

Gdy Kaja strzelała, Max zdążył podnieść się z ulicy. Słyszał krzyki chłopaka walczącego o życie, wiedział, że nie może zwlekać. Nieporadnym ruchem zdjął z pleców beryla, odbezpieczył go i puścił serię w faceta, który przygniótł Tomka. Zombie, w akompaniamencie fragmentów rozerwanego ciała i mżawki krwi, został odrzucony o kilka metrów w głąb ulicy. Max podbiegł do Tomka.

– Jesteś cały? Wstawaj! – krzyknął i nie czekając na odpowiedź, zaczął rozglądać się wokół.

Jednak leżący na plecach Tomek nic nie powiedział. Patrzył bowiem pełnym przerażenia i niedowierzania wzrokiem na stojącego nad sobą chłopaka, obie ręce dociskając do przegryzionej tętnicy szyjnej.

„Wiedziałem, że tak to się skończy” – pomyślał Grzegorz Kowalski, sierżant sztabowy policji, pilnu-

jący porządku w podwarszawskich Łomiankach od prawie dziesięciu lat. Jeszcze wczesnym wieczorem czuł, że wezwanie na spotkanie, które otrzymał nagle od komendanta, nie zwiastowało niczego dobrego. Niechętnie podniósł wtedy swoje ociężałe cielsko z wysłużonego fotela, rzucił jakieś niezrozumiałe słowo w stronę żony i wyszedł, odrobinę zbyt mocno zamykając drzwi. Trudno było się dziwić jego przeczuciom, skoro przez wszystkie lata służby doświadczył zaledwie kilku takich spotkań. Na dodatek jeszcze nigdy nie było takiej sytuacji, żeby cała Warszawa została odizolowana, ale nikt nie potrafił sensownie wytłumaczyć, dlaczego właściwie tak się stało. A on miał przecież fajrant, powinni dać mu spokój, ale nie.

Jednak pomimo tego wszystkiego absolutnie nie przypuszczał, że to się skończy „aż” tak źle. Uświadomił to sobie dopiero wtedy, gdy przyszło mu opierać całe swoje tłuste cielsko na małej główce i obdartych łokciach, gdy zwisał przypięty ciasno do fotela policyjnego radiowozu, który nagle postanowił dachować. Parę sekund wcześniej pędzili na sygnale wąskimi uliczkami Dąbrowy, spiesząc na wezwanie osób, które zostały zaatakowane przez – jak to określił dyspozytor – kanibali. Wyglądało na to, że wojskowy mur nie do końca zadziałał, ale panowie komendanci nie mogli się dogadać z oficjelami z wojska – za dużo było biurokratycznego pieprzenia oraz zawoalowanych wiadomości i wycieczek osobistych, za mało konkretów. No i dyspozytorzy, którym coś ostatnio odbiło – wzywali do walki, bo widziano kanibali.

Ka-ni-ba-li.

Ktoś nawet użył słowa „zombie”, co wywołało salwy śmiechu u wielu funkcjonariuszy.

Zombie.

W Łomiankach.

W środku ciepłego, lipcowego dnia.

Co za pieprzenie.

Lecz rozkaz to rozkaz. Grzegorz wyrzucił te niepotrzebne myśli z głowy, odwrócił wzrok i spojrzał na swojego kolegę, którego głowa była wygięta pod nienaturalnym kątem, a spojrzenie zniknęło gdzieś w bliżej nieokreślonej wieczności. Nagle, stając oko w oko ze śmiercią, poczuł, jak ogarnia go obezwładniający strach. Żołądek się skurczył, usta wyschły na wiór. Po chwili spojrzał ponownie i z dziwnym spokojem przyjął do wiadomości, że kumpel najwyraźniej nie żył. Wypadki się zdarzają, a teraz najważniejszym było wydostanie się z wraku cało. Przypomniał sobie, dlaczego dachowali – próbował ominąć człowieka, który nagle wyskoczył na środek ulicy. Ten wyglądał, jakby już przeszedł jeden wypadek, jego ręka bezwładnie zwisała wzdłuż ciała, które było całe pogryzione, brudne, poplamione krwią. Również jego twarz sprawiała wrażenie, jakby dorwało się do niej jakieś zwierzę. W automatycznym odruchu policjant starał się go wyminąć, przez co odbił się od krawężnika, przekręcił na bok i ostatecznie dachował. A to w rezultacie kosztowało życie jego partnera.

Grzegorz próbował się oswobodzić, czując, jak coraz więcej krwi spływa mu do głowy. Nagle zobaczył, że w jego stronę zbliża się jakiś człowiek – w pierwszej chwili pomyślał, że to może osoba, którą starał się wyminąć, jednak szybko zmienił zdanie – tamten człowiek ledwo stał na nogach,

natomiast ten zbliżał się pewnym, żwawym krokiem. Przechodnie, mieszkańcy, nieważne. Policjant z ulgą wydedukował, że oto nadchodzi pomoc.

Właściciel znoszonych, niebiesko-białych adidasów pochylił się, kucając przy oknie kierowcy.

„Bogu dzięki” – pomyślał policjant, przewidując rychłe ocalenie. Jednak przez parę długich sekund nie działo się absolutnie nic. Grzegorz z trudem przekręcił głowę i spojrzał na przybysza odrobinę zaniepokojony jego zachowaniem.

– Pomóż mi – wycedził.

Chłopak kucał przy wraku, uważnie przyglądając się uwięzionemu policjantowi.

– Teraz to pomóż, co? – zapytał spokojnie, po chwili spluwając ciężką flegmą na asfalt.

Policjant poczuł, jak wypełnia go coraz większe przerażenie. Szybko pojął, że naraził się temu chłopakowi, ale za cholerę nie wiedział, co takiego zrobił. Nie mógł sobie przypomnieć przyskrzywienia nikogo ważnego, żadnych członków gangu, niczego w tym stylu. Ktoś miałby się mścić za mandat? Nie no, ludzie, bez przesady, nie dajmy się zwariować.

– Ej, spokojnie. Pomóż mi się stąd wydostać, dogadamy się jakoś – zasugerował, licząc, że uda mu się przekonać chłopaka. Oczami wyobraźni już widział wytatuowane na jego przedramionach koślawe HWDP, JP, i sam nie wiedział, co jeszcze.

– Chyba nie da rady – odpowiedział ten, jakby wbrew własnym słowom schylając się do wraku. Jego młoda, dziwnie wysuszona i ostra twarz znalazła się teraz kilka centymetrów od oblicza policjanta, który zdecydował wykorzystać sytuację – spróbował złapać chłopaka jedną ręką, jednak szybko zrezygnował.

– Nie radzę – usłyszał, jak tylko jakimś cudem wyciągnął przed siebie rękę, opadając przy tym na jeden z boków. Pasy boleśnie wbiły mu się w obojczyk. Policjant syknął z bólu. Odwrócił wzrok i zobaczył, jak od strony pasażera klęczy młoda dziewczyna. W jej szczupłych dłoniach spoczywał pistolet, wycelowany prosto w jego głowę.

– Spokojnie – poprosił, z trudem przełykając ślinę i patrząc szeroko otwartymi oczami w wylot lufy broni, która jeszcze parę minut temu należała do jego partnera. I nagle go olśniło. Zrozumiał, że nie otrzyma pomocy od tych ludzi – przy odrobinie szczęścia tylko ograbią radiowóz i sobie pójdą.

Gdy tylko to sobie uzmysłowił, wszystko stało się jakby prostsze, wystarczyło teraz przestrzegać ich poleceń, poczekać, aż skończą, a potem się wydostać. Jakoś to będzie. Oby tylko udało się wszystkim zachować spokój, oby nikt nie zrobił niczego głupiego.

„Na przykład, żeby mnie nie zabili” – modlił się w duchu.

– Ej! Zostaw to, nie ruszaj! – krzyknął nagle.

– Zamknij ryj – usłyszał w odpowiedzi i zobaczył ostrze kuchennego noża, które nagle zmateriałowowało się mniej więcej trzy centymetry od jego twarzy. Uspokoił oddech, uważnie wpatrując się w połyskującą stal. Niewiele więcej mógł zrobić.

„Przeczekał to” – pomyślał. „Pójdą sobie, wtedy albo sam się uwolnię, albo znajdzie się ktoś normalny, kto mi pomoże”.

– Przestań się ciskać, bo wydlubię ci oczy. Rozumiesz, psie? – zapytał chłopak, zaciskając ze złości zęby. Wyglądał tak, jakby tylko czekał na najmniejszy pretekst, by to zrobić. Policjant niczego nie odpowiedział, bał się nawet głośniej odetchnąć.

Parę chwil później oboje, dziewczyna i chłopak, stali i patrzyli na podwozie zniszczonego radiowozu. Trzymanie w rękach prawdziwej, policyjnej broni dodawało im pewności siebie, dziwnego przekonania, że oto stali się panami losu nie tylko swojego, ale również innych ludzi – nieszczęślików, których napotkają na swojej drodze. Wszystkie cztery dodatkowe magazynki chłopak upchał po kieszeniach dżinsów. Następnie rozejrzeli się, odwrócili na pięcie i ruszyli wzdłuż ulicy.

– Ej, pomóżcie mi! – zaryzykował w końcu policjant. Czuł, że zaraz wydarzy się coś bardzo złego, a on był unieruchomiony i dodatkowo nie miał broni. – Niczego nie powiem, przysięgam! Ludzie, kurwa, ja po prostu chcę żyć!

Para zatrzymała się, odwróciła. Młody mężczyzna spojrzał na policjanta, a po chwili wyciągnął rękę, wskazując na coś z boku.

– On ci pomoże – stwierdził, widząc gramolącego się zza śmietnika zombie. Tego samego, którego z taką determinacją i poświęceniem chciał wyminąć Grzegorz – zombie musiał oberwać od jadącego radiowozu, a w wyniku uderzenia wylądować tuż za koszem. Jak widać, żywy trup niespecjalnie się tym zdarzeniem przejął.

Zombie w końcu stanął, następnie skierował się w stronę stojącego nieopodal chłopaka, mozolnie powłócząc nogami i wydając przy tym nieartykułowane dźwięki.

– No chodź, chodź – poprosił ten, ruszając w stronę radiowozu.

– Hrrrryyyyyaaaaagh – usłyszał w odpowiedzi.

– Tak, wiem. Chodź.

– Ghhuuuuuuu.....!

– Nie gadaj tyle, tylko rusz tą swoją rozpadającą się dupę.

Nie spuszczając celownika z głowy zombie, chłopak oparł się plecami o wrak. Truposz znajdował się zaledwie parę metrów dalej, ale ten zdecydował, że ma jeszcze trochę czasu. Schylił się i poklepał policjanta po ramieniu.

– No chodź, chodź. Zobacz, trzeba mu pomóc.

Zombie zobaczył policjanta, który zaczął się teraz szarpać, za wszelką cenę próbując się oswobodzić. W tym samym czasie chłopak wstał i powoli, żeby zbyt nie rzucić się w oczy i nie rozprasać potwora, odsunął się od wraku. Nim policjant odpiął pasy bezpieczeństwa, tym samym zwalając się na dach samochodu, było już za późno.

Jego głośne krzyki przetoczyły się przez okolicę, ale Krzysiek i Marta – bo to tę dwójkę miał pecha spotkać Grzegorz – nie czekali na finał ten intymnej sceny. Odwrócili się, pozostawiając konałego w męczarniach człowieka na pastwę losu.

– Dobre to było – stwierdziła z uznaniem dziewczyna.

– Noooo. Dzięki – odpowiedział dumnie Krzysiek.

– A tak w ogóle, to co on ci zrobił? – zapytała po chwili milczenia Marta. W sumie, była ciekawa,

dłaczego policjant został potraktowany aż tak okrutnie. I tak zamierzali go zabić, ale bardziej humanitarnie.

– On? – wzruszył ramionami jej brat. – Nic. Nie znałem go.

– Eeee... to po co ta cała szopka?

– No bo to pies był, nie? To niech zdycha, jebany.

ŁOMIANKI, GODZINA 15:30.

Mam na imię Kuba – przedstawił się. – A ten gość to Paweł – dodał, wskazując na faceta w szarym T-shircie, szybko zbliżającego się do wybitego okna. – Pomożemy wam – zadeklarował. – Gdzie macie apteczkę?

– Jestem Kasia, a to mój chłopak Kamil – odpowiedziała dziewczyna. Wiedziała, że wymiana uprzejmości teraz nie ma najmniejszego sensu, ale tak naprawdę chodziło jej o coś zupełnie innego – próbowała zyskać na czasie, aby się uspokoić oraz przypomnieć sobie, gdzie (i czy w ogóle) jest w tym domu apteczka.

– Zabiliście ich – odezwał się niespodziewanie Kamil, patrząc na Kubę. Dopiero teraz jego spojrzenie zdawało się odzyskiwać ostrość. – Zastrzeliliście tych ludzi! – krzyknął chłopak, plując przy tym śliną. Szok, jakiego doświadczył, zaczynał najwyraźniej mieszać mu w głowie.

Zaskoczony Kuba zerkał to na dziewczynę, to na chłopaka. Nie widział, co mógłby odpowiedzieć, ale po chwili uświadomił sobie, że tych dwoje wcale nie musiało wiedzieć, co się dzieje. Mogli nie zdawać sobie sprawy z tego, jakie tragedie rozgrywały się zaledwie kilkaset metrów dalej. Mogli nie widzieć, jak ludzie wygryzali sobie wnętrzności i ukręcali łby. Niestety, przekonali się o tym w możliwie najbrutalniejszy ze sposobów, ale na to już nikt nie mógł nic poradzić. Jednak był też pewien plus całej sytuacji – jeżeli chłopak zareagował na to zdarzenie z takim zaskoczeniem, istniała całkiem spora szansa, że zombie są dla niego czymś zupełnie nowym. Ergo – zaraza nie dotarła aż tutaj lub, żeby wyrażać się precyzyjniej, dopiero docierała. Co dawało im niewielkie szanse na przeżycie.

– Wybacz, ale to nie byli ludzie. Już nie – wtrącił się ten większy mężczyzna, podchodząc do okna. Nie wszedł do salonu, cały czas czujnie rozglądał się po okolicy.

– Skąd możesz to wiedzieć? – zapytał Kamil, trzymając się kurczowo za krwawiącą nogę.

Paweł odwrócił głowę i spojrzał na chłopaka. Popatrzył chwilę prosto w jego oczy, po czym przeniósł wzrok na ranę.

– Stąd – powiedział tylko.

Chłopak spuścił wzrok, nie znajdując kontrargumentu. Bo jak mógł uważać za normalną osobę, która parę chwil wcześniej próbowała, zresztą – z niemalym sukcesem – wygryźć mu kawałek ciała? Ponadto chłopak podejrzewał, że gdyby sytuacja potoczyła się inaczej, na nodze mogłoby się nie skończyć.

– Kamil, przecież sam widziałeś, co oni robili – wtrąciła się Kasia. Udało się jej odrobinę uspokoić i zebrać myśli – I nie tylko tobie. Pamiętasz, co stało się z tymi kobietami z wypadku i z...

Dziewczyna urwała w połowie zdania. Kamil podniósł głowę i spojrzał prosto w jej oczy, ale oboje

już wiedzieli. Nie musieli używać słów, aby przekazać to, czego żadne z nich nie chciało wypowiedzieć na głos. W salonie spoczywały zwłoki kobiety, o której wspomniała Kasia. Zwłoki osoby, która po śmierci uniosła się z asfaltu i ruszyła na żer. A do wspomnianej śmierci doprowadziło kobietę nic innego, jak właśnie ugryzienie. A teraz tak samo potraktowany został Kamil.

Paweł z Kubą zauważyli spojrzenia dwójki młodych ludzi. Spostreegli, jak ich wzrok prześlizgiwał się z ciała kobiety na ranę chłopaka i z powrotem, tak w kółko, jakby za każdym razem chcieli sprawdzić, czy na pewno taki sam łańcuch wydarzeń doprowadził martwą do takiego, a nie innego stanu. Mężczyzna przypomniał sobie opowieść Kai na temat obozu wojskowego na Polach Mokotowskich – gdy mówiła mu o tym, że wojsko nie ma pojęcia, jak powinno sobie radzić z zarazą. Gdy wspomniała, że pogryzione osoby przykuwano do łóżek, bo po jakimś czasie zamieniały się w zainfekowanych. Zastanowił się, czy Kuba też o tym wie.

– W jaki sposób się zraniłeś? – zapytał powoli Paweł, uważnie przypatrując się chłopakowi.

– Już mówiłam... – zaczęła szybko Kaśka, jednak tym razem przerwał jej Kamil:

– Jak się wbili do mieszkania, to stałem przy oknie. Rozciąłem sobie nogę, potknąłem się i jeszcze zahaczyłem o stół. Dobrze, że nie jest złamana – skłamał sprawnie, szybko i płynnie. Nawet podniósł głowę i spojrzał hardo w oczy Pawła. Kasia odetchnęła cicho z ulgą.

Jednak komandos nie do końca dał się przekonać.

– Ten facet ściemnia. Został ugryziony. Zmieni się – powiedział cicho, pochylając się nad uchem policjanta. Z jednej strony chciał sprawdzić jego reakcję, z drugiej – po prostu go ostrzec.

Kuba spojrzał na niego zmęczonym, pełnym rezygnacji wzrokiem. Jakby cała adrenalina z niego uszła. Dokładnie te same uczucia można było odnaleźć w jego głosie, gdy pytał:

– Co ty chrzanisz? Jesteś pewien?

– Raczej tak.

– Skąd wiesz?

– Moja córka widziała to na własne oczy.

– Świetnie... to co z nim robimy? – zapytał rzeczowo, co bardzo zaskoczyło Pawła. Spodziewał się raczej pytania o to, skąd ma na to dowody lub jak będą mogli mu pomóc, czy może powinni amputować nogę lub zrobić coś w tym stylu, ale policjant mile go zaskoczył. Wydawało mu się, że w tonie głosu Kuby dało się słyszeć coś, co można było interpretować jako chęć pozbycia się balastu.

Paweł spojrzał na dwoje młodych ludzi.

„Ciekawe, czy byli parą” – zastanowił się. Prawdopodobnie tak. Wbrew sobie musiał przyznać, że chyba nie powinni ich tak zostawiać, ale z drugiej strony bał się, że mogą przez nich mieć jeszcze więcej, zupełnie niepotrzebnych, problemów.

– Trzeba go opatrzyć, poprzytulacie się później – oznajmił Kuba, nie patrząc na Pawła. Wiedział, jakie ten posłał mu spojrzenie, czuł je na plecach. – Poza tym, nie możemy tu zostać, bo strzały mogą zwabić pozostałych.

– Pozostałych? – zapytała z paniką w głosie Kasia.

– Tak. Jest ich więcej. Dużo więcej. Tak wiele, że musieliśmy uciekać z Warszawy – mówił, zbliża-

jąc się do nich. Pod jego butami chrzęściło szkło z rozbitego okna. Uważnie stawiał stopy, starając się ominąć zarówno plamy krwi, jak i leżące zwłoki.

– O Jezu... – wyszeptała dziewczyna, wyraźnie blednąc. – Więc w „Wiadomościach” mówili prawdę...

– Tak. I jeżeli zaraz się stąd nie ruszymy, to już nigdy nie obejrzyście dziennika. Rozumiecie mnie? – zapytał cały czas spokojnym, ale znacznie bardziej stanowczym głosem.

– Nie ma sensu mnie opatrywać, wiesz przecież – wyszeptał Kamil prosto w ucho swojej dziewczyny. Ton jego głosu sprawił, że po plecach Kasi przeszedł lodowaty dreszcz, a jej brwi ułożyły się w łuk świadczący o skrajnym niedowierzaniu.

– Nawet tak nie myśl. I, do jasnej cholery, przestań zgrywać męczennika – zawarczała w odpowiedzi. Jednak wzrok jej chłopaka był nieobecny, a on sam wyglądał na osobę, która bardzo szybko pogodziła się z nieuniknionym.

– Albo się ruszycie, albo zostanieie tu sami. A z tego, co zdążyłem zauważyć, sami nie radzicie sobie zbyt dobrze – poganiał ich Paweł.

Kuba spojrzał na niego podejrzliwie. Próbował wejrzeć do umysłu komandosa, wyczytać jego prawdziwe intencje, jednak tym razem spojrzenie Pawła nie mówiło zupełnie nic. Równie dobrze mógłby próbować wyczytać coś ze spojrzenia obsydianowej rzeźby. W tej chwili najważniejsze było jednak co innego – to, że facet zdecydował się pomóc tym ludziom.

– Nikogo nie zgrywam – uniósł się Kamil, zupełnie ignorując ponaglenia Pawła. – Po prostu boli mnie noga. Ale dobrze, że mnie nie dosięgnął, bo widzieliśmy, co się dzieje z tymi, którzy zostali ugryzieni! – próbował brzmieć przekonująco, jednak przez piskliwy ton jego głosu przebijał strach.

„Coś tu bardzo śmierdzi” – pomyślał Paweł, patrząc pełnym powątpiewania wzrokiem na leżącego na schodach chłopaka. Tylko rannego, zresztą już kolejnego, było im teraz potrzeba. Piątego koła u wozu. Nie dość, że ledwo dają radę w i tak już licznej grupie, to jeszcze zaczną zbierać nieudaczników, o których potkną się po drodze. Poza tym, skoro widzieli, co się działo z ugryzionymi, to oznacza tylko jedno – że zaraza dotarła tu już wcześniej. A to nie wróży zbyt dobrze.

Kasia wróciła i ustawiła się plecami w stronę Pawła i Kuby, przez co dokładnie zasłoniła ranę. Wcześniej, podczas wymiany zdań zniknęła w kuchni, a teraz pojawiła się nagle, trzymając w rękę apteczkę. Podeszła do swojego chłopaka i nie pytając nikogo o zdanie, wyciągnęła gazik, nasączyła go wodą utlenioną i zaczęła przemywać ranę. Kamil, nim zdążył się zorientować, co się dzieje, już syczał z bólu, ale widząc determinację na twarzy dziewczyny, nie ośmielił się zaprotestować.

Kasia po obmyciu „skałeczenia” wylała na rozciętą skórę niemalże całą butelkę wody utlenionej, przyłożyła kolejny gazik i zaczęła owijać nogę bandażem. Gdy kilkadziesiąt sekund później skończyła, przyłożyła obie dłonie do opatrunku i spojrzała prosto w oczy chłopaka, cicho mówiąc:

– Jeszcze jeden taki tekst, a sama cię zastrzelę. Rozumiesz? – jej głos drżał ze zdenerwowania, jednak z całych sił starała się to ukryć. – Nie możesz mnie zostawić samej – dodała niemalże bezgłośnie, podnosząc się z podłogi i odchodząc z powrotem w stronę kuchni. Chciała sprzątnąć apteczkę, ale przede wszystkim usunąć się na bok. I to czym prędzej, bo miała wrażenie, że lada

chwila najzwyczajniej w świecie się rozryczy.

Do jej mózgu nie dotarło jeszcze, że odnoszenie apteczki na miejsce nie ma najmniejszego sensu. Równie dobrze mogłaby ją rzucić na środek salonu, spalić lub zostawić otwartą tam, gdzie leżała chwilę wcześniej. Pomijając oczywiście fakt, że mogła się przydać w przyszłości, ale o tym Kasia również nie chciała myśleć. Zamiast tego umysł Katarzyny zdecydował się zaklasyfikować całą sytuację jako jednorazowy wybryk. Jak wypadek, który przypadkowo miał miejsce, ale po którym nastanie długi okres spokoju i ciszy, zupełnie takiej, jaka była wcześniej. Nie dopuszczała do świadomości faktu, że zarówno dzicy napastnicy, jak i cudowni obrońcy mogą mieć, a nawet mają, bezpośredni związek z wypadkami w stolicy. Nie potrafiła lub nie chciała zrozumieć, że prawdopodobnie nic już nigdy nie będzie takie samo, jak było wcześniej. Że Warszawa praktycznie właśnie w tym momencie przestaje istnieć, a nawet jeżeli nie zostanie wymazana z mapy, to na pewno stanie się miejscem absolutnie niezdatnym do zamieszkania i to na długie lata.

Nie chciała myśleć o żadnej z tych rzeczy. Teraz najważniejsze było odłożenie apteczki na miejsce, uspokojenie się i wyjście z kuchni z podniesioną głową. Oparła ręce o laminowany blat, wzięła parę głębokich wdechów, każdorazowo powoli wypuszczając powietrze i starając się w ten sposób ukoić nerwy. Jak przez mgłę słyszała, że mężczyźni pozostawieni w salonie o czymś rozmawiają, jednak zupełnie nie obchodziło ją, na jaki temat. Do momentu, w którym Kamil poprosił, aby wróciła.

– Wszystko w porządku? – zapytał ją jeden z mężczyzn, ten szczuplejszy. Chyba nazywał się Kuba. Ale po co miałyby zapamiętywać jego imię, zaraz przecież sobie pójdą, ona wróci z Kamilem na górę i... no właśnie, i co dalej? Poczula na twarzy delikatny powiew wiatru, który wdarł się przez wybite okno w salonie. Razem z nim przypomniał o sobie zapach śmierci i prochu, który cały czas dawało się wyczuć w powietrzu.

– Tak – powiedziała.

– Kasia, posłuchaj mnie – poprosił Kamil. Siedział teraz na czwartym stopniu schodów. Nie trzymał się za opatrunek, natomiast jego twarz zaczynała nabierać normalnych kolorów. Na szczęście przez biel bandaża nie przebijała czerwień krwi, więc pewnie rana szybko się zagoiła i być może nie doszło do zakażenia. O niewielkiej zależności między rozmiarami rany a prawdopodobieństwem zakażenia Kasia również nie chciała myśleć.

– Słuchajcie – zaczął mówić Kuba, przerywając wypowiedź Kamila, nim ta na dobre się rozpoczęła – naprawdę nie możemy tracić czasu. Musimy się stąd zabierać i sugerowałbym, żebyście...

– Idziecie czy nie? – brutalnie wtrącił Paweł, bezceremonialnie przerywając Kubie. Policjant spojrzał na niego spode łba.

Kasia i Kamil wymienili między sobą pytające spojrzenia. Dziewczyna zmarszczyła brwi, widząc zdumione spojrzenie Kamila.

– Przepraszam, ale nie rozumiem – zaczęła – jak mamy zabrać się z wami? Gdzie idziecie? Dlaczego nie możemy tu zostać?

Kuba wziął głęboki wdech i już otwierał usta, żeby po raz kolejny wszystko wytłumaczyć, gdy ponownie ubiegł go Paweł:

– Możecie.

Powiedział tylko to jedno słowo, następnie odwrócił się i ruszył w stronę okna, którym wszedł do salonu. Po szoku, trwającym trochę ponad sekundę, Kuba podbiegł do niego, złapał go za ramię i gwałtownie odwrócił w swoją stronę. Paweł spodziewał się tego, nie spodziewał się jednak, że Kuba okaże się mieć aż tyle siły.

– Co ty odpierdalasz? – policjant zaatakował bez ogródek. Pomimo ściszonego głosu, sparaliżowani sytuacją Kasia i Kamil doskonale słyszeli jego słowa. – Przecież wiesz, że nie możemy ich tu zostawić.

Zamiast odpowiedzieć, Paweł skierował palące spojrzenie na dłoń Kubę. Męczyzna chwilę wytrzymał intensywny żar, jednak w końcu musiał ustąpić i zabrać rękę.

– Mylisz się – odpowiedział Paweł. – Możemy ich tu zostawić. Nie możemy za to ich do niczego zmuszać.

– Przecież wiesz, że tu zginą – odwarknął błyskawicznie Kuba, jeszcze bardziej ścisząc głos. Tym razem para mogła mieć problemy z tym, aby go usłyszeć.

– Posłuchaj, harcerzyku – przeszedł do kontry Paweł, niemalże łapiąc Kubę za koszulę. Powstrzymał się przed tym gestem dosłownie w ostatniej chwili. – Jak lubisz, to możesz sobie ratować, kogo tylko zechcesz, ale ja na pewno nie będę brał na swoje barki odpowiedzialności za zupełnie obcych ludzi. Robiłem to przez całe życie, teraz mam dość. Jasne? Ale jak ty masz na to ochotę, to proszę bardzo, droga wolna.

Kuba zmarszczył brwi. Takiej reakcji zupełnie się ze strony Pawła nie spodziewał. To przecież on pierwszy ruszył biegiem, usłyszawszy wołanie o pomoc. To przecież on koordynował całą akcję wydostania się z rozbitej furgonetki, to on pomógł im wydostać się z przybudówki pod Cmentarzem Północnym. Nie potrafił pojąć, skąd taka nagła zmiana.

Paweł z kolei zdawał się w lot wychwytywać jego wątpliwości. Zacisnął zęby, próbując uspokoić zszargane nerwy. Zupełnie mu się to nie podobało. Nie chciał brać na swoje barki brzemienia związanego z ochroną cywili, zwłaszcza że wiedział, że nie da rady ochronić ich wszystkich. Dlatego wołał ich zostawić, licząc w duchu na to, że jednak uda się im przeżyć.

– Posłuchaj – powiedział już dużo spokojniejszym głosem. – Tam jest moja córka. To moje jedyne dziecko. Straciła matkę przy porodzie. Nie mam nikogo więcej, rozumiesz? Zrobię wszystko, aby ona z tego wyszła, jednak nie będę odpowiadał za totalnie nieznanomych ludzi. Kurwa, obaj doskonale wiemy, że ten chłopaczyna stanie się jednym z nich. I nawet nie próbuj zaprzeczyć. – Mówiąc ostatnie zdanie, najpierw wskazał palcem Kamila, a następnie Kubę. Siedzący na schodach chłopak doskonale zdawał sobie sprawę z tego, o czym rozmawiają obaj mężczyźni, jednak nie miał odwagi wtrącić się do dyskusji.

Kuba natomiast tylko słuchał, pozwalając się wygadać większemu od siebie facetowi. Z doświadczenia wiedział, że czasem to jedyny sposób na dotarcie do kogoś – możesz próbować takiego przekrzyczeć, możesz lać go pałą po łbie, ale czasami typ musi się po prostu wygadać, przez co sam dojdzie do jedynie słusznych wniosków. Wystarczy posłuchać i cierpliwie poczekać.

Komandos w międzyczasie skończył swoją tyradę. Stał teraz, mocno zaciskając szczęki, i wlepił twarde spojrzenie w policjanta. Lecz ten i tak wiedział, co ma powiedzieć:

– Zabieramy ich ze sobą – odrzekł.

– Na twoją odpowiedzialność. Rozumiesz? Skazujesz ich na śmierć, a przy okazji narażasz nas na jeszcze większe niebezpieczeństwo – powiedział chłodnym głosem Paweł, następnie odwrócił się i zrobił krok przez rozbite okno. Ten niespodziewany w jego zachowaniu chłód, chociaż lepiej byłoby powiedzieć: mróz, był czymś, co zdecydowanie bardziej przstraszyło i zaniepokoiło Kubę. Zdecydował, że musi mieć tego faceta na oku.

– Zbierajcie się – Paweł rzucił jeszcze do Kasi i Kamila.

– Czy ktoś może mi w końcu powiedzieć, co tu się dzieje?! – wrzasnęła dziewczyna.

Paweł w pierwszej sekundzie miał ochotę, za to darcie się i zwracanie na nich jeszcze większej uwagi, ją zastrzelić, jednak powstrzymał się, chociaż kosztowało go to sięgnięcie do bardzo głęboko ukrytych rezerw cierpliwości.

– Dobrze – stwierdził smutnym, zrezygnowanym głosem Kuba – opowiem wam, ale proszę, kurwa, zróbmy to po drodze. Bo ani ja, ani Paweł nie zostaniemy tu ani sekundy dłużej. Strzały zwa-
bią kolejnych zombie, którzy będą tu lada chwila, a nie wiem jak wy, ale my chcemy jeszcze trochę pożyć.

– Zombie...? – zapytała, marszcząc brwi Kasia. Oczywiście, wiedziała, z czym ma do czynienia, nie była aż tak głupia, jednak o tym również nie chciała myśleć. Wiedziała, że jak jeden człowiek wstaje po śmierci i wgryza się drugiemu w twarz, to znaczy, że właśnie stał się zombie. Żywym trupem. Szwendaczem, Pożeraczem Mięsa itp., itd. Określeń w filmach i grach były dziesiątki, ale żaden film, żadna gra czy żaden komiks, nie jest w stanie oddać ładunku emocjonalnego, jakie niesie ze sobą słowo „zombie” wypowiedziane przez faceta, który wszedł do twojego mieszkania przez wybite okno i zastrzelił troje ludzi, tym samym ratując cię przed pożarciem żywcem. Dlatego to nadużywane, tandetne dla niektórych słowo sprawiło, że Kasia poczuła lęk, który paraliżował jej ciało. Miała ochotę skulić się w kącie i cicho zapłakać, gdyż w tej jednej sekundzie dotarła do niej groza i absurdalność całej sytuacji, w jakiej się znalazła.

– Dobrze – powiedziała po chwili, kierując nieobecny wzrok gdzieś w przestrzeń przed siebie – tylko skoczę na górę po torbę i wezmę kilka rzeczy.

– Masz minutę – powiedział Paweł. Zdawał sobie sprawę z tego, w jak trudnej sytuacji została postawiona ta dwójka, dlatego też zgodził się dać im jeszcze chwilę na zabranie najpotrzebniejszych drobiazgów. Kasia już zniknęła na szczycie schodów, gdy do głowy komandosa wpadła pełna nadziei myśl.

– Macie samochód? – zapytał Kamila, starając się, aby jego głos brzmiał spokojnie.

Chłopak uniósł głowę i odpowiedział:

– Nie. To znaczy właściciele domu mają dwa, ale wyjechali wczoraj do roboty i jeszcze nie wrócili. „Jeszcze” – pomyślał z ironią Paweł. „Chłopaku, nie dość, że już tu nie wrócą, to na dodatek sam niedługo się z nimi spotkasz”.

Pomimo tego że Paweł zachował te myśli dla siebie, Kamil zdawał się zauważyć w jego oczach szyderstwo. Skierował smutny wzrok w podłogę, zatrzymując go na zwłokach mężczyzny, który zmienił jego życie. Zacisnął z wściekłości zęby.

Wtedy do ich uszu doleciały dalekie odgłosy wystrzałów. Kamil zobaczył, jak oczy Pawła zwężają się, zupełnie niczym u kota gotującego się do skoku na ofiarę.

– Kaja – wyszeptał tylko i nie czekając ani na Kamila, ani na Kasię czy chociażby na Kubę, rzucił się biegiem przez salon, wyskoczył przez okno i popędził w stronę źródła hałasu.

– Dogonicie nas! – wykrzyczał Kuba i ruszył w pogoń za Pawłem.

Policjant modlił się, aby strach dodał mu skrzydeł i żeby przypadkiem nie skręcili w złą uliczkę, natomiast pozostawieni sami sobie Kasia i Kamil nie bardzo wiedzieli, jak mają się zachować.

ŁOMIANKI, GODZINA 15:38.

Jezu, nie! – krzyknęła Natalia, podbiegając do rannego Tomka. Chłopak rozglądał się wokół siebie, co chwila przenosząc zdezorientowany wzrok z Maxa na Natalię, jakby chciał tym samym zmusić ich do udzielenia sobie pomocy. Dziewczyna spostrzegła, jak spomiędzy jego dociśniętych do szyi palców sika jasna krew i zrozumiała, że na jakąkolwiek pomoc jest już zdecydowanie za późno. Zauważyła też drugą ranę na jego prawym przedramieniu. Wygryziony kawałek skóry i ubytek w mięśniach odsłaniał niewielki fragment kości, przez co Natalia o mało nie wymiotowała. Zakryła usta dłonią i odwróciła wzrok, nie mogąc dłużej znieść tego widoku.

– Co z nim? – zapytała Kaja, cały czas nie odrywając spojrzenia od ulicy, z której właśnie wybiegli. Do skrzyżowania graniczącego z lasem dzieliło ich mniej więcej pięćdziesiąt metrów, a dziewczyna wiedziała, że muszą działać szybko, bo za kilka sekund na horyzoncie ukąszą się kolejni zombie.

– Max, Tomek, wstawajcie do cholery! – nie uzyskała odpowiedzi na pytanie, więc krzyknęła do chłopaków, jednocześnie odwracając się od skrzyżowania. Wtedy jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Tomka.

Z ust chłopaka chlusnęła krew, jakby próbował coś powiedzieć. Jego spojrzenie wyrażało bezgraniczną panikę, strach przed spotkaniem z kostuchą, która stała nad nim z otwartymi ramionami i tylko czekała, aż biedny chłopaczyna padnie w jej objęcia. Tomek rozumiał, jak poważnie został ranny. Rozumiał, ale nie zgadzał się z tym, nie chciał tego zaakceptować. Chciał cofnąć czas, chociaż o kilka sekund. Czy naprawdę prosił o tak wiele? Pragnął tylko naprawić swoje błędy – zmienić rękę, którą opierał się o Maxa, trzymać w ręku karabin, a nie kurczowo ścisnąć żebra. Tylko tyle, nic więcej. Dobrze, nawet nie musiałby nieść broni, po prostu jakby miał wolne obie ręce, to odskoczyłby na bok i wtedy cała ta farsa mogłaby nie mieć miejsca. Prosił o parę sekund, wiedział, że więcej mu nie potrzeba.

Niestety, wiedział również, że nie będą mu one dane, a im bardziej ulatywało z niego życie, tym bardziej był tego świadom. Do jego zmaltretowanego, zgwałconego umysłu wpadło jeszcze egoistyczne pytanie – dlaczego on? Przecież to Max mógł iść z lewej strony, to on mógł teraz leżeć na asfalcie i wykrwawiać się na śmierć.

Ciałem młodego chłopaka zaczęły wstrząsać konwulsyjne dreszcze.

Natalii udało się powstrzymać odruch wymiotny, ale natychmiast po tym poczuła, jak do oczu napływają jej łzy. Przecież to ten chłopak uratował im życie. To dzięki niemu w ogóle udało im się wydostać z Warszawy, zapewnił im dach nad głową, pozwalając odpocząć, zebrać myśli i przygotować się do dalszej drogi. A teraz? Ledwie wyjechali z Warszawy, a on już leżał w kałuży własnej krwi. Lecz w tej samej sekundzie pomyślała, że to mógł być jej Kuba. Lub ona. Poczuła się przez to

straszliwie winna, niemniej zaczynała pojmować stawkę, o jaką toczyła się gra, przez co ze wszystkich sił postarała się uspokoić oddech i odzyskać trzeźwość umysłu. Zacisnęła idealnie równe i śnieżnobiałe zęby, zmuszając się do odzyskania panowania nad sobą.

– Idą! – krzyknął Max, a obie dziewczyny, jak na komendę, uniosły do góry broń i skierowały ją w stronę, którą wskazywał chłopak. Z przerażeniem w oczach zauważyły dużą grupę zombie, wchodzących z ulicy, którą przed chwilą przybiegli. To musiała być horda, która deptała im po piętach w lesie – na początku pojedyncze sztuki, po chwili już dziesiątki zombie, szybko tworzących brudny, nieskoordynowany tłum. Niektórzy zombie rzucili się z wrzaskiem przed siebie, inni, ci poruszający się wolniej, wyciągali ręce, jakby próbowali powstrzymać towarzyszków przed zagarnięciem zdobyczy tylko dla siebie.

– Uciskaj rany. Mocno. Wytrzymaj, słyszysz? – desperacko poprosił Max, klękając nad rannym chłopakiem.

Bez zbędnego wahania otworzyli ogień, z bólem serca zrzucając konającego Tomka na drugi plan. Każde z nich musiało, a nawet wołało strzelać, niż bawić się teraz w medyka. Po pierwsze, dlatego że nikt nie wiedział, jak mogliby opatrzyć tak poważnie rannego chłopaka. Po drugie, po prostu bali się wejść w kontakt z zarażoną krwią. Każde z nich czekało, aż ktoś inny zacznie go ratować.

Z powodu utraty dużej ilości krwi Tomek coraz wolniej odbierał bodźce zewnętrzne. Nie czuł promieni słońca grzejących jego umierające ciało. Nie czuł delikatnego wiatru drażniącego jego otwarte rany, nie dostrzegał unoszących się wysoko na niebie niewielkich obłoków. Zaczynało być mu obojętne, co się dalej z nim stanie. Prosił tych ludzi o pomoc, jak im tam było, Maxa i Natalię... albo Ulę. Nieważne. Prosił ich, ale on nie chcieli mu pomóc. Nie zależało im. Zostawią go, a on wykrwawi się na tej zimnej, przeraźliwie nudnej i zwykłej drodze... „Bo nie mogli ci pomóc” – usłyszał podszept w swojej głowie. „Nie mogli, bo walczyli z tym, co ciebie zabiło”, dodał ten sam nowy, spokojny głos. Tonem przypominał głos jego matki. Chłopak przez chwilę odniósł wrażenie, że czuje jej obecność, ciepły dotyk dłoni na swoim czole. Dotyk, swoją siłą wymazujący z jego umysłu ból i cierpienie, którego aktualnie doświadczał. Czuł, jak delikatnie głaszcząc go po krótkich włosach i jak spokojnym głosem mówi, że wszystko będzie dobrze. Doświadczał nie tylko jej obecności, ale wiedział również, że za nią stoi jego ojciec i siostra. Ją ostatni raz widział w niedzielę wieczorem, ale na pewno nic się jej nie stało. Przecież jej koledzy nie pozwoliliby na to. Przez ułamek sekundy w jego umyśle pojawiła się wizja przedstawiająca tych kolegów martwych, ale pomimo tego wściekle rozszarpujących ciało jego wrzeszczącej z bólu, bezbronnej siostry. Na szczęście Tomek miał za mało energii, aby ta wizja została w jego umyśle na chociażby sekundę dłużej.

Widział, jak karabin trzymany przez Maxa, co chwila pluje ogniem. Dostrzegł zacięcie na jego twarzy, wolę walki, której jemu w tym momencie tak bardzo brakowało. Łuski wypadały z broni jakby w zwolnionym tempie, przy czym sam karabin nie wydawał z siebie żadnego odgłosu.

„Dziwne” – pomyślał umierający chłopak. „Przecież nie mieli tłumika...”. Zdażył jeszcze zobaczyć, jak nad jego ciałem pojawia się w cień rosłego mężczyzny, materializujący się jakby znikąd. Rozpoznał w nim Pawła, ciesząc się, że to akurat on. Bo kto, jak kto, ale Paweł na pewno mu pomoże. On

nie będzie się bał, on będzie potrafił go opatrzyć.

Była to ostatnia rzecz, jaką pomyślał w swoim krótkim, zbyt wcześnie i zbyt brutalnie zakończonym życiu.

Paweł pochylił się nad konającym Tomkiem. Zauważył, jak ręce chłopaka bezwładnie osunęły się na asfalt, odsłaniając przegryzioną tętnicę. Zrozumiał, że go stracili, ale wiedział też, że muszą działać szybko, aby nie stracić nikogo więcej.

– Tato! – krzyknęła Kaja. W jej głosie było słycać skrajne przerażenie, coś, od czego serce Pawła zabiło kilka razy szybciej. Dla niego strach przed śmiercią był niczym w porównaniu ze strachem przed utratą jedynej córki, jedynej osoby, która motywowała go jeszcze do życia.

– Kaja, wycofaj się, znajdź nam jakieś bezpieczne miejsce! – krzyknął, podbiegając do niej. Zajął stanowisko ogniowe, zyskując dla niej chwilę na ucieczkę w głąb ulicy Wesolej i znalezienie czegoś, co mogłoby im posłużyć za kryjówkę. Córka wymieniła z ojcem porozumiewawcze spojrzenie. Wiedziała, czego od niej oczekuje, wiedziała, że zapewni jej bezpieczeństwo, ale też musiała dać z siebie wszystko, żeby odpłacić tym samym. Pamiętała, jak w przejściu podziemnym pod centrum Warszawy wykonali dokładnie ten sam manewr. Wtedy się jej udało, więc teraz również musi się udać. Nie zastanawiała się, czy ulica, w którą wbiegnie, będzie kryła kolejnych zombie. Nie mogła teraz o tym myśleć, bo sparaliżowałby ją strach, dodatkowo odbierając jakąkolwiek wolę walki. Ruszyła biegiem w stronę, z której – jak się jej zdawało – przybiegł jej ojciec.

Doświadczenie bojowe, jakiego przez lata nabył komandos, nauczyło go oddzielać emocje od zadań, które miał wykonać. Teraz jego zadaniem było zapewnienie córce przeżycia, toteż od razu przyłożył beryla do ramienia i zaczął prowadzić spokojny, systematyczny ostrzał. Z zadowoleniem stwierdził, że na asfalcie leżało już kilkanaście zwłok, czyli trening strzelecki, jaki fundował Kai, nie poszedł na marne. Max i Natalia również strzelali, jednak komandos był pewien, że większa część przeciwników została powalona przez jego córkę. Ta świadomość była teraz absolutnie zbędna, aczkolwiek pokrzepiająca.

Kuba podbiegł do Natalii, pobieżnie oglądając żonę od stóp aż po czubek głowy. Musiał się upewnić, że nic jej się nie stało, że nie została ranna. Była brudna i miejscami umazana zakrzepłą krwią, ale z ulgą stwierdził, że ta nie sączy się z jej własnych ran.

Cała czwórka prowadziła teraz ostrzał. Max wyrzucił pusty magazynek, to samo po chwili uczyniła Natalia, po omacku wkładając pełny. Ręce się jej przy tym tak trzęsły, że ledwo trafiła. Paweł z przyzwyczajenia krzyknął „zmiana!” – w ten sposób na dziesiątkach misji komunikował kolegom, że przez kilka sekund może być wyłączony z akcji, przez co powinni mieć na niego większe baczenie. Załadowanie pełnego magazynka zajęło mu zdecydowanie najmniej czasu ze wszystkich, ale jego uwadze nie umknął fakt, że Kuba również zrobił to szybko i sprawnie.

Nacierająca na nich fala wyraźnie traciła na impecie, chociaż i tak mieli szczęście, bo to wyglądało tylko na forpocztę całej kolumny nieumarłych. Ci znajdujący się najbliżej, biegnący zombie, leżeli

teraz bezwładnie z przestrzelonymi głowami – w przeciwieństwie do maszkar znajdujących się dalej, z których nie wszystkie zostały trafione w tak dokładny sposób. Na spływającej krwią ulicy leżało kilkadziesiąt ciał. Niektóre z nich cały czas się poruszały i czołgały w stronę ludzi, wydając przy tym potępiénce jęki. Do nich oddano jeszcze kilka strzałów, eliminując tylko te, które stanowiły realne zagrożenie.

– Max, weź amunicję – poprosił chłopaka komandos. Ciężko oddychał, czując, jak jego ciało rozsadza krążąca w żyłach adrenalina.

– Nic ci nie jest? – zapytał z troską w głosie Kuba, przykładając brudną i mokrą od potu dłoń do twarzy Natalii. W normalnej sytuacji odepchnęłaby ją pewnie z obrzydzeniem, jednak teraz nie dość, że tego nie zauważyła, to jeszcze była zadowolona z ciepła, jakie poczuła.

– Nie, mi nie, ale... Boże... – wypowiadając te słowa, skierowała spojrzenie na leżącego kilka metrów dalej Tomka. Nie musiała mówić już niczego więcej.

Kuba przełknął głośno ślinę. W tym czasie Paweł zdążył załadować ostatni pełny magazynek i przeładować broń, którą cały czas trzymał w gotowości. Wymienił spojrzenie z policjantem. Zdawać by się mogło, że mężczyźni bez słów rozumieli, że to właśnie na ich barkach spoczywa największa odpowiedzialność. Że to w nich Natalia, Kaja i Max pokładają nadzieję na ocalenie. Tak samo, jak robił to Tomek, który teraz leży przed nimi martwy. Stracili członka grupy. Paweł szybko sobie z tym poradził, zwłaszcza że nie był z nim tak związany jak chociażby Natalia czy Kuba. Co prawda, nie zdążył poznać ich historii, ale zdążył, na podstawie reakcji smukłej blondynki, wysnuć odpowiednie wnioski. I dlatego doszedł do wniosku, że to, co zamierza zrobić, nie spotka się ze zbytnią aprobatą z ich strony.

Ukucnął nad zwłokami i przyłożył palce do przegubu lewej ręki Tomka. Odczekał kilka sekund, unikając spojrzenia pary, chociaż wiedział, że na niego patrzą. Natalia stała zalana łzami, próbując za wszelką cenę odzyskać panowanie nad sobą. Kuba zmarszczył brwi, czekając na werdykt.

Niestety, Paweł pokręcił przecząco głową, zgodnie z tym, czego Kuba się spodziewał. Nie spodziewał się natomiast tego, co po chwili się wydarzyło – wstawszy z klęczek, Paweł wycelował lufę karabinku w czoło Tomka i pociągnął za spust.

Kuba w sekundę znalazł się przy komandosie, łapiąc go za koszulkę.

– Co ty, kurwa, zrobiłeś?! – wrzasnął, opluwając przy okazji twarz Pawła. Oblicze policjanta wykrzywiła wściekłość, furia, której zdawać by się mogło, nic nie byłoby w stanie ugasić. Nie siląc się na udzielenie odpowiedzi, Paweł najpierw zbił z siebie dłoń policjanta, następnie błyskawicznym kopniakiem podciął go w taki sposób, że po chwili twarz Kuby znajdowała się na asfalcie, a kolano Pawła przygniatało jego kark. Również lewa dłoń policjanta znalazła się we władaniu komandosa, który przytrzymał ją, stosując dźwignię i tym samym zyskując całkowite panowanie nad ciałem towarzysza. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Natalia nawet nie zdążyła krzyknąć.

– Uspokój się – powiedział spokojnym, opanowanym głosem Paweł. – Wiesz, że musiałem. Wolałbyś, żeby się przemienił? – zadawszy to pytanie, skinął głową w stronę dziesiątek zastrzelonych zombie, którzy leżeli teraz kilkanaście metrów od nich.

– Pierdolisz, skąd możesz wiedzieć, że by się zamienił? – wypluł z siebie rozwścieczony Kuba. Próbował się wyrwać z uścisku, chociaż z doświadczenia wiedział, że po tak profesjonalnym powaleniu na ziemię jego szamotanie się nie ma większego sensu. Co nie znaczy, że nie mógł próbować.

– Wiem. I ty też to wiesz. Więc się uspokój, bo mam ważniejsze rzeczy do roboty niż trzymanie cię na glebie. Rozumiesz? – wysyczał mu do ucha Paweł.

Leżący na ulicy policjant najwyraźniej zrozumiał przekaz, bo przestał stawiać opór. Kiwnął głową na znak, że już jest spokojny. Zauważywszy to, Paweł poluzował uścisk, wstał i wyciągnął rękę, aby pomóc Kubie się podnieść. Ten, cały czas ciężko oddychając, złapał wyciągniętą do niego dłoń i wstał, co spotkało się z niemalym zaskoczeniem komandosa – spodziewał się raczej, że facet, którego powalił, obrazi się i będzie go teraz unikał. Kuba nie uraczył Pawła nawet jednym spojrzeniem, podszedł natomiast od razu do Natalii, mówiąc jej, że się zbierają, i ruszył w stronę, w którą pobiegła Kaja.

Nie zamierzał jednak zapominać upokorzenia, jakie zafundował mu Paweł, ale był na tyle zdeterminowany w kwestii przeżycia, że zepchnął je na drugi plan.

Max stał, trzymając na plecach ciężką torbę z bronią. Serce łomotało mu w klatce piersiowej tak mocno, że chłopak miał wrażenie, jakby za chwilę miał dostać zawału. Oddychał z trudem, do tego miał wrażenie, jakby jego czaszkę miażdżyło niewidzialne imadło pulsującej krwi. Patrzył na ulicę usianą mężczyznami, kobietami i nastolatkami w jego wieku. Dziećmi. Bez trudu można było odróżnić tych lepiej ubranych, zamożniejszych przedstawicieli społeczeństwa, od tych biedniejszych, pozornie gorszych. I co z tego? Jaka była różnica czy przed nim czołgał się zombie w koszuli od Armaniego, czy w tanim T-shircie kupionym na kilogramy w lumpeksie? Czy któryś miał na palach pierścionki z diamentami i kieszenie wypchane „iShitem”, czy plastikowe zegarki? Po śmierci wszyscy gniją tak samo. Przyglądał się leżącym na ulicy zwłokom, błędził wzrokiem po jęczących zombie, których nie udało im się zastrzelić, i zastanawiał się, jak długo to jeszcze potrwa. Przeraziło go nowe uczucie, które w nim wykiełkowało – satysfakcja.

„Tak” – stwierdził w duchu – „w życiu bywają momenty, w których widok ulicy usianej trupami może przynieść satysfakcję”. Bo jakby nie spisali się jak należy, na ulicy leżałyby teraz ich zwłoki.

Po trwającej chwili refleksji odwrócił wzrok od zombie i zatrzymał go na martwym Tomku. Zaskoczyło go to, jak duże wrażenie wywarła na nim jego śmierć – przecież ledwie go znał.

„Ale czy trzeba kogoś znać, aby jego śmierć miała dla nas jakieś znaczenie, aby wyciągnąć z niej lekcję?” – zastanowił się. Patrzył na ciało swojego rówieśnika i myślał, jak niewiele brakowało, aby on leżał na jego miejscu. Poczuł, jak zaczyna mu się kręcić w głowie, a umęczona stresem klatka piersiowa unosi się coraz ciężiej i wolniej. Tysiące myśli przelatywało przez głowę chłopaka w tym samym momencie. Aż nagle Max poczuł, jak coś w nim pęka. Wrażenie było tak silne i realne, że aż osunął się na kolana.

I trudno było go nie zrozumieć – ostatnie godziny wywarły piętno na każdym z nich. Wszyscy musieli walczyć o przetrwanie, czy to uciekając, czy chowając się w najczarniejszych dziurach, jakie tylko udało się im znaleźć. Przeszli przez prawdziwe piekło i już, kiedy mieli je opuszczać, dostali

jeszcze raz po dupie i to od ludzi, których uważali za swoich sojuszników. Zmiana stylu życia była absolutną koniecznością. Musieli zabijać, inaczej sami zostaliby zabici. Najgorsze w tym wszystkim było to, że nikt nie mógł być pewien, czy osoby przez nich zabite zostały zabite... słusznie. Czy to nie była chwilowa anomalia, która zniknęłaby po kilkunastu godzinach czy dniach. Dlatego może zastrzelenie Tomka wcale nie było potrzebne – przecież nie zdążył stać się zombie, tylko zginął w wyniku utraty zbyt dużej ilości krwi.

Łatwo jest teoretyzować i prawić morały na temat sytuacji, w jakiej „może kiedyś się znaleźć”. Co innego natomiast stanąć oko w oko z martwym człowiekiem, który przecząc fundamentalnym zasadom życia, patrzy się w twoją stronę i wyciąga łapczywie łapy, aby tylko cię dosięgnąć. Masz w ręku naładowany pistolet i wiesz, co musisz zrobić. Niezależnie od motywów, jakie tobą kierują, z każdym strzałem zabijasz część własnego człowieczeństwa, aż docierasz do granicy, po przekroczeniu której nie potrafisz już sobie przypomnieć, kim tak właściwie jesteś.

Chłopak nie potrafił poukładać myśli, nie umiał wykrzesać w sobie siły, aby wstać, zrobić pierwszy krok i dołączyć do Pawła. Ten natomiast stał i nawoływał go, machał rękami, próbując w jakikolwiek sposób zmusić go do działania i uratowania własnego życia. Ale czy to miało jeszcze jakikolwiek sens?

W tym samym czasie Kaja pędziła na złamanie karku ulicą Wesołą. Wiedziała, że szybko musi znaleźć jakąś dobrą miejscówkę, bo od tego zależy kwestia ich przetrwania. Starła się nie myśleć o tragicznej śmierci Tomka, nie myśleć o odpowiedzialności, jaka na niej ciążyła. Na to przyjdzie czas później, o ile teraz dobrze się spisze.

Dobiegła do końca ulicy i wpadła w kolejną, Partyzantów. Nie wiedziała skąd, ale znalazła w sobie resztki pozytywnego myślenia, które pozwoliły jej smutno uśmiechnąć się, gdy zobaczyła nazwę ulicy. Na wprost siebie zauważyła wielkie, nowoczesne wille, zabezpieczone wysokim, niemożliwym do przeskoczenia murem. Z pozoru wyglądały na idealne miejsca na kryjówkę, ale wejście było od drugiej strony ulicy. Już zamierzała ruszyć w ich kierunku, gdy jej oczy zarejestrowały ruch po prawej stronie drogi. Dziewczyna błyskawicznie uniosła broń do twarzy, przygotowana na oddanie strzału.

– Nie strzelaj! – usłyszała.

Ludzie.

„Żywi ludzie” – pomyślała Kaja, a jej serce o mało nie wyskoczyło z klatki piersiowej.

– Pomóż nam! – usłyszała błagalny okrzyk dziewczyny.

– Cholera jasna – wyszeptała Kaja i ruszyła w stronę krągłej dziewczyny, która na swoich barkach wspomagała kulejącego, chudego chłopaka. Nie mogła ich przecież tak zostawić, zwłaszcza w stanie, w jakim się znajdowali. Nie daliby rady ubiec nawet stu metrów, zanim nie dopadłby ich tłum rozwścieczonych zombie.

– Stójcie, musimy się ukryć! Nie w tę stronę! – krzyknęła Kaja, biegnąc w ich kierunku.

Na szczęście nie trzeba było im tego dwa razy powtarzać, bo dziewczyna wspierająca rannego od razu zaczęła się rozglądać za jakąś kryjówką. I nim Kaja zdążyła do nich dobiec, ci już pokuśtykali w kierunku czegoś, co było ukryte przed jej wzrokiem.

– Tutaj, chodź! – krzyknęła grubaska, zanim zniknęła za betonowym rogiem ogrodzenia.

– Za chwilę, muszę poczekać na pozostałych! – odpowiedziała jej Kaja, nerwowo zerkając za siebie. Przestały do niej dobiegać odgłosy wystrzałów, co znaczyło, że udało się im powstrzymać atak i wszyscy właśnie się wycofują. Niestety, mogło to równie dobrze oznaczać, że zostali zamordowani, a ich ciała aktualnie są rozrywane przez wygłodniałych zombie. Ale o tym Kaja nawet nie chciała myśleć. Na szczęście, po kilku sekundach pełnego napięcia wyczekiwania, zza zakrętu wybiegł Kuba z Natalią. Nerwowo rozglądali się dookoła, ewidentnie starając się ją zlokalizować.

– Tutaj! – krzyknęła dziewczyna, machając jednocześnie rękami.

Szybko ją spostrzegli i ruszyli w jej kierunku. Po chwili zza zakrętu wybiegł ojciec wraz z Maxem. Dziewczyna zauważyła, że udało się im zabrać obie torby z bronią, jednak jeszcze większą radość w dziewczynie wywoływał fakt, że za nimi nie biegło stado żadnych krwi potworów.

Teraz, kiedy wszyscy już widzieli, w którą stronę mają biec, Kaja ruszyła, aby zobaczyć kryjówkę, jaką zaproponowała im nieznana dziewczyna. Oczywiście, kierując wszystkich do miejsca, którego sama nie знаła i którego nie była w stanie wcześniej chociażby zabezpieczyć, narażała ich na olbrzymie niebezpieczeństwo, niemniej w takiej sytuacji nie miała co wybrzydzać. Musiała zaufać nieznamym, licząc na to, że jej instynkt przetrwania jest rozbudowany tak mocno, że nie wskaże im jakiegokolwiek absurdalnie nieprzydatnej miejscówki, jak chociażby opuszczonego pustostanu stojącego tuż obok.

Po wybiegnięciu za wspomniany budynek, Kaja ujrzała, jak dziewczyna kuca pod opuszczoną do połowy roletą antywłamaniową i przywołuje ją do siebie nerwowymi gestami. Kaja histerycznie uśmiechnęła się w duchu, zadowolona z faktu, że jednak znaleźli dobrą kryjówkę. Gdy prześlizgnęła się obok dziewczyny, znalazła się w średniej wielkości sklepiku spożywczym. Nie miała jednak teraz czasu, aby rozglądać się po półkach uginających się od wszelkiej maści towaru.

– Jeszcze czwórka – wydyszała Kaja. – Jak tylko wejda, zamykaj.

– Okej – odpowiedziała, jeszcze bardziej zdyszana dziewczyna. Pot spływał grubymi kroplami po jej czerwonej od wysiłku twarzy. Widać było, że ratowanie chudzielca kosztowało ją naprawdę wiele.

Chłopak pomógł Kai się podnieść. Kiwnął głową, jakby na przywitanie. Dziewczyna odpowiedziała mu tym samym.

– Sprawdź zaplecze – powiedziała i ruszyła z uniesionym karabinkiem między sklepowe półki. Zanim zdążyła dotrzeć do końca sklepu, usłyszała jeszcze, jak pod roletą prześlizguje się Natalia.

„Jeszcze tylko chwila” – pomyślała w duchu Kaja. „Jeszcze parę sekund i będziemy bezpieczni. Przynajmniej na jakiś czas”.

Wkroczyła na zaplecze. Minęła po lewej stronie grube, brązowe drzwi, z konsternacją zauważając, że są otwarte na oścież. Uważnie je obchodząc, zrobiła kilka ostrożnych kroków na wprost i weszła

do pomieszczenia, które musiało niegdyś służyć za magazyn. Pod ścianami stały regały zastawione towarem aż po sam sufit, a na środku niewielkiej klitki można było dostrzec wciąż działające zamrażarki. Dziewczyna zauważyła również drzwi wychodzące na podwórze, ale musiały być nieużywane, bo były zastawione regałem z towarem. I nie wyglądało to na blokadę odgradzającą ludzi od zombie, a na coś, co stało tam od zawsze. Kaja zajrzała jeszcze do skromnej toalety, ale nigdzie nie znalazła ani śladu zainfekowanych. Skierowała się więc z powrotem w stronę sklepu, ponownie mijając brązowe drzwi. Ostrożnie przez nie wyjrzała – wychodziły na ciasny podjazd, na którym stał stary, mocno zużyty dostawczy volkswagen. Samochód był otwarty, biały lakier został gdzieś umazany plamami zakrzepłej krwi. Na pace leżały sterty towaru przeznaczonego do wyładowania do sklepu – między innymi wielkie kawały mięsa w czerwonych pojemnikach, wokół których zdążyły się już nagromadzić stada tłustych, czarnych much. Kaja musiała się upewnić, że miejsce jest w stu procentach bezpieczne, więc ignorując obrzydzenie, powoli wyszła na podjazd. Ujrzała za sobą zamkniętą drewnianą wiatę, ale zdecydowała się na razie jej nie sprawdzać – skoro była zamknięta, niech taka pozostanie. Okrążyła ostrożnie samochód, który był tak duży, że można było przejść obok niego tylko z jednej strony, co przy okazji eliminowało drogi, którymi dziewczyna mogłaby zostać zaatakowana. Oddychała ciężko. Szła maksymalnie skupiona, z uniesionym wysoko karabinkiem gotowym do strzału. Do jej uszu dobiegł huk zatrzaskiwanej rolety antywłamaniowej, co uznała za znak, że wszyscy są już w środku. To od niej teraz zależało, jak bardzo będą bezpieczni. Wyszła naprzeciw auta, chcąc zamknąć drewnianą bramę, która pozostawała cały czas otwarta. Ostrożnie wyjrzała na ulicę, widząc stąd front sklepu. Zgodnie z jej przypuszczeniami, roleta była teraz w pełni opuszczona. Po drugiej stronie wąskiej ulicy znajdował się przystanek autobusowy, za nim natomiast rosło kilka krzaków i parę starych drzew. Były również działki mieszkalne, jednak cała okolica bardziej przypominała zurbanizowaną wieś niż pełnokrwiste miasto. Na horyzoncie nie było widać nawet jednego umarlaka, więc wyglądało na to, że skutecznie udało im się zgubić pogoń. Dziewczyna przerzuciła karabinek na plecy, szybko i cicho zamykając drewniane skrzydła bramy metalowym skoblem. Zawsze to kolejna przeszkoda do sforsowania. Odwróciła się, aby wrócić do sklepu i dołączyć do reszty grupy. I zamarła.

Dopiero teraz zauważyła, że w ciasnym przejściu między samochodem a siatką ogradzającą posesję leżą dwa ciała. Przez pierwszych parę sekund Kaja bała się poruszyć, jednak po chwili zrozumiała, że patrzy na zwłoki. Takie prawdziwe, całkowicie martwe ciała. Wzięła głęboki wdech i niepewnie do nich podeszła.

Pierwszym trupem była ekspedientka ze sklepu. Jej martwe ciało opierało się w groteskowy sposób o siatkę odgradzającą sklep od sąsiedniej posesji. Jasnozielony fartuch był zachlapany krwią, która wyciekła z jej rozbitej głowy. Kaja zauważyła również, że młoda dziewczyna ma głęboką ranę na ramieniu oraz szyi. Walka musiała trwać jakiś czas, ale to cios w głowę ją powalił. Przeniosła wzrok na drugie ciało – należało do młodego chłopaka, mniej więcej dwudziestopięciolatek w czarnym T-shircie i bojówkach. Wyglądał, jakby spał. Ubranie było miejscami pochłapane krwią, jednak poza tym nie było widać żadnych śladów, które wskazywałyby na rodzaj zadanej mu śmierci. Do-

piero gdy dziewczyna się pochyliła, zauważyła, że kark i barki chłopaka są niemalże całe pogryzione. Zatem ekspedientki były dwie. Podczas gdy chłopak walczył w ciasnym przejściu z jedną z nich, druga zaszła go od tyłu i zaatakowała. W tak ciasnym przesmyku nie miał jak się obrócić z... dopiero teraz Kaja spostrzegła narzędzie mordy. W wytatuowanych rękach młodzieńca spoczywał ciężki topór. W pierwszej chwili Kaja zmarszczyła brwi, zupełnie nie rozumiejąc, skąd tu takie narzędzie. Nim doszła do jakiegokolwiek konstruktywnego wniosku, młodzieniec gwałtownie otworzył oczy.

Kaja odskoczyła jak poparzona, w ostatniej chwili unikając ręki, która próbowała ją chwycić. Wykonując ten jakże powolny i niemający kompletnie najmniejszych szans powodzenia ruch, chłopak wydał z siebie żalony, pośmiertny jęk.

„Więc jednak faktycznie spał” – przeleciało przez jaźń dziewczyny.

Widząc, że nie da rady jej dosięgnąć, chłopak zajęczał raz jeszcze. Drugą ręką próbował się podeprzeć, aby wstać, jednak jego ruchy były bardzo nieskładne.

„Przemienia się” – zrozumiała dziewczyna. Musiał zostać pogryziony stosunkowo niedawno, chociaż nie wiedziała, jak dokładnie to działa ani ile czasu musi upłynąć od ugryzienia do przemiany. Wiedziała jednak, że jest to nieuniknione.

Wiedziała też, że nie może go zastrzelić, bo to zwróci na nich uwagę całej hordy i wszystkich wążających się po okolicy zombie, którzy bez wątpienia gdzieś tu są. Nie, musiała się go pozbyć w nieco dyskretniejszy sposób. Próbuując ją złapać, chłopak wypuścił z ręki topór. Dziewczyna schyliła się, aby go chwycić. Udało się jej przeciągnąć broń po kostce, którą był wyłożony cały podjazd, tak, że zombie-chłopak nie miał jak jej dosięgnąć. Kaja przerzuciła karabinek na plecy i zważyła w rękach nowy oręż. Okazał się zaskakująco ciężki. Wyglądał również na ostry, ale nie miała ochoty dotykać ostrza, uwalanego krwią zombie.

Chłopak cały czas jęczał i próbował się wyswobodzić z wąskiej pułapki. Dziewczyna wzięła głęboki oddech. Wiedziała, co należało zrobić, jednak przyszło jej to z bardzo dużym trudem. Co innego strzelać do kogoś, kto jest oddalony o kilkadziesiąt metrów, a co innego mordować osobę znajdującą się mniej niż metr przed sobą. Przy tym pierwszym wariantcie można poczuć się bardziej anonimowo, zwłaszcza jak prowadzi się ogień do ściany przeciwników i to w kilka osób. Nie sposób jest zgadnąć, kto kogo posłał do piachu, kto akurat trafił kogo w głowę a kto w kolano. Niestety, sytuacja, w jakiej znalazła się Kaja, przypominała bardziej rozmowę kwalifikacyjną – była tylko ona, chłopak w czarnym T-shircie i oliwkowych bojówkach oraz topór. Nie było niczego ani nikogo więcej. Rozmowa w cztery oczy, w zamkniętym, klaustrofobicznym pomieszczeniu, z którego mogło wyjść tylko jedno z nich.

„I to nie będę ja” – pomyślała Kaja. A chłopak, jakby w proteście, zawył głośniejsz niż dotychczas. I kolejny raz spróbował sięgnąć do niej ręką.

Dziewczyna wzięła zamach i opuściła ciężką broń prosto na krótko ostrzyżone włosy. Ostrze zatopiło się w jego głowie na dobre piętnaście centymetrów, powodując natychmiastową śmierć.

„Przynajmniej się nie męczyłeś” – pomyślała Kaja, nie zastanawiając się nad tym, ile czasu spędził między siatką a samochodem, zanim zdążył się wykrwawić.

Kaja próbowała wyciągnąć topór, jednak udało się jej to dopiero wtedy, gdy zaparła się nogą o ramię chłopaka. Chlusnęła krew, nieomal ją oblewając. Stała tak chwilę i ciężko dyszała, próbując dojść do siebie po tym, co przed chwilą zrobiła.

– Kaja? – usłyszała głos ojca.

– Tu jestem. Już do was idę – odpowiedziała natychmiast, przypominając sobie o pozostałych członkach grupy.

Dzierżąc w dłoniach dwie bronie, ruszyła z powrotem do sklepu. Zanim znalazła się za brązowymi, antywłamaniowymi drzwiami, zdążyła jeszcze pomyśleć, że to wszystko nie może się dziać naprawdę. To niemożliwe, że dwa dni wcześniej była normalną dwudziestolatką, której głównymi problemami była praca i studia zaoczne, a teraz strzela do zombie, a nawet przebija ich czaszki toporem. To po prostu niemożliwe. Ten wyjątkowo popieprzony, chory sen mógłby się wreszcie skończyć.

Zamknęła drzwi, przekręciła zamek i przytuliła się mocno do ojca. Po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła, jak w jej oczach zbierają się łzy. Z jej dłoni bezwładnie wysunął się topór i z głośnym łupnięciem upadł na podłogę, wyszczerbiając przy tym kawałek wyblakłej terakoty.

KRAKÓW, GODZINA 16:38.

Cholera, niezła akcja – stwierdził Mateusz, odstawiając filiżankę z resztką cappuccino na drewniany stolik. – Ale kurde, jak tak sobie myślę, to musi być jakaś ściema, nie mogli przecież zamknąć całego miasta, jest za duże – mówił pewnym siebie głosem, na co Sylwia już nieraz dała się nabrać. Wcześniej uważała, że skoro mówi coś tak przekonująco, na pewno jego wnioski musiały być podparte jakimiś konkretnymi argumentami.

Pociągnęła łyk soku ze świeżo wyciśniętych pomarańczy, zastanawiając się nad tą całą sytuacją. Młoda kelnerka stojąca za ladą zapytała, czy może w czymś jeszcze służyć. Sylwia uprzejmie odmówiła, pomimo faktu, że miała olbrzymią ochotę na latte i przepysznie wyglądającego muffina z orzechami i rodzynkami, ponoć ręcznie wykonanego przez wspomnianą już kelnerkę. Przypomniała sobie, jak kiedyś sama musiała tak pracować, aby mieć za co opłacić studia. Prześlizgnęła się wzrokiem po starych meblach porozstawianych po kątach. Sami siedzieli na dwóch różnokolorowych, tak samo jednak wielkich fotelach, pomiędzy nimi natomiast stał chybotliwy stolik, który ktoś zapewne wyrzucił dawno temu na śmietnik. Pomimo pozornego chaosu, bardzo podobał się jej pomysł wykorzystania starych, niepotrzebnych już sprzętów. Przez to czuła się jak u siebie w domu.

– Skąd wiesz? – zapytała w końcu, patrząc na Mateusza. – Przecież mogli to zrobić. Sam widziałeś, ile wojska pojechało wczoraj wieczorem do Warszawy.

Tu Mateusz musiał przyznać jej rację. Nawet stary kumpel Sylwii, który zdecydował się pójść w kamasze zamiast na studia, pisał jej jeszcze wczoraj SMS-a, że zbliżają się do stolicy. Potem wspomniał tylko, że ściągnięto oddziały z całego kraju i że jest taka chmara woja, że na pewno ze wszystkim sobie poradzą. W jego wiadomości pobrzmiwała duma, ale też pewnego rodzaju przejęcie. Napisał też, że ich piątkowy wypad na dawno obiecane piwo jest aktualny, bo pewnie po powrocie do macierzystej jednostki, wszyscy dostaną jednorazowe przepustki. Od tamtej pory jednak ani nie odbierał telefonu, ani nie odpisał na nawet jednego SMS-a, chociaż Sylwia kilkakrotnie próbowała się z nim skontaktować. Dlatego nie zamierzała wierzyć w bzdury, jakie wygadywał Mateusz.

– No nie wiem, może masz rację... – ciągnął dalej chłopak – ale jakoś trudno mi w to uwierzyć. Po prostu myślę, że nie daliby rady tego zrobić i już. Nie w tym kraju. Poza tym wiesz, ludzie atakujący ludzi... Jeśli to jakiś wirus, to i tak pewnie się rozprzestrzeni. Zawsze się w końcu rozprzestrzenia.

Wrodzony sceptycyzm Mateusza nie dawał się wyplenić.

„I co dalej, głąbie?” – pomyślała Sylwia. Przecież jakby nie udało się utrzymać w stolicy tego, cze-

go nie chcieli wyjaśnić ani pokazać w oficjalnych komunikatach, zagrożone byłoby całe państwo – chociaż tego z oczywistych powodów również nikt nie mówił na głos. Niemniej wyraz konsternacji i zdenerwowania na twarzach policjantów czy wojskowych oficjeli pokazywanych w telewizji, mówił sam za siebie. Próbowali robić dobrą minę do złej gry, ale Sylwia nie dawała się na to nabrać. Czuli w kościach, że nadciąga coś bardzo złego.

Już otwierała usta, żeby odpowiedzieć chłopakowi, co myśli na temat jego negatywnego podejścia do absolutnie wszystkiego, gdy do jej uszu doleciał dźwięk policyjnej syreny. Niezbyt często zdarzało się, aby pod Sukiennicami było go słychać, więc nic dziwnego, że spowodował, iż po plecach dziewczyny przebiegł złowieszczy dreszcz. Co prawda Sylwia nie należała do typu ludzi, którzy z powodu byle sensacji biegną i oglądają tragedię innych, jednak tym razem coś kazało jej wstać i podejść do okna.

Zza napisu promującego świeże i pyszne croissanty zauważyła, jak na rynek wjeżdża radiowóz na sygnale. Tuż za nim wpada rozpędzona karetka. Zmarszczyła brwi, zauważając, że drugie auto jedzie zdecydowanie zbyt szybko, nawet jak na pojazd uprzywilejowany. Ludzie jeszcze nie zdążyli usunąć się z drogi, więc ambulans mógł spowodować zdecydowanie więcej szkód niż korzyści tak brawurową jazdą. Ledwo zdążyła o tym pomyśleć, gdy nagle karetka gwałtownie skręciła. Kierowca stracił panowanie nad pojazdem, który odbił w prawo i wpadł w kiosk, oferujący magnesy, drewniane toporki, karty i masę przeróżnych pierdół, które każdy zagraniczny turysta chętnie zabierze ze sobą do domu, płacąc za nie naprawdę słono. Wszystkie gadzety wyleciały efektownie w powietrze, rozsypując się po kocich łbach.

– O Boże – szepnęła dziewczyna, widząc, jak pod koła rozpędzonej karetki został wciągnięty kioskarski i przypadkowy spacerowicz, który akurat miał niefart znaleźć się na drodze auta.

Ułamek sekundy później karetka zderzyła się ze ścianą. Koguty zgasły, syreny ucichły. Zapadła upiorna cisza. Sylwia poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła.

Ludzie rozbiegli się w popłochu, jednak znalazło się parę osób, które pospieszyło z pomocą. Również radiowóz zawrócił i szybko podjechał na miejsce wypadku. Nieme światła rozbitej karetki cały czas wirowały, rozświetlając okolicę magiczną, upiorną poświatą, a Sylwia czuła się, jakby oglądała film akcji z wyłączonym dźwiękiem.

Osoby, które pospieszyły z pomocą załodze karetki, zaczęły wyciągać z niej rannego. Co najdziwniejsze, wyglądało to tak, jakby udało mu się wyjść o własnych siłach. Przez umysł Sylwii przeleciała refleksja na temat siły i sprawności człowieka, który o własnych siłach wychodzi z tak poważnego wypadku – przecież impet uderzenia powinien być wyrzucić go przez przednią szybę, a nawet jeżeli nie, to potężnie połamać lub chociaż ogłuszyć. Cóż, z drugiej strony mógł po prostu mieć cholernie dużo szczęścia.

Jednak wtedy wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego – poszkodowany (przynajmniej według opinii Sylwii) zaatakował stojącą najbliżej niego osobę. Z daleka wyglądało to, jakby chciał się przytulić, jednak dziewczyna spostrzegła, że mężczyzna wgryzł się w twarz stojącego obok niego chłopaka. To wywołało gwałtowną reakcję otaczających ich ludzi, którzy rozbiegli się w popłochu, nawet

nie starając się zachować pozorów chęci niesienia pomocy.

Widząc, to Sylwia poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Wiedziała, czego była świadkiem, na co patrzyła. To samo działo się w Warszawie. Nie wiedziała, skąd to wie, ale była tego pewna. Dlatego tyle wojska ściągnięto do stolicy.

„Jezu, może nas nie zauważy” – pomyślała. „Może w tej kawiarence jest jakaś piwnica, gdzie uda się nam schować” – łudziła się, obserwując, jak mężczyzna porzuca pierwszą zaatakowaną ofiarę i rzuca się w pogoń za kolejną. Sylwia domyślała się, że wkrótce będzie ich więcej. Dużo więcej.

Poza tym, dziewczyna uświadomiła sobie jeszcze jedną rzecz – że tajemnicza zaraza ze stolicy dotarła aż do Krakowa.

ŁOMIANKI, GODZINA 16:07.

Siedmioro świeżo zapoznanych ze sobą osób siedziało w zamkniętym na cztery spusty sklepie, nie bardzo wiedząc, o czym mieliby rozmawiać. Kilkanaście minut wcześniej udało im się opuścić roletę antywłamaniową, zamknąć boczne drzwi oraz dodatkowo zabezpieczyć wyjście znajdujące się na zapleczu sklepu. Po zdawkowych pytaniach i deklaracjach „czy nic ci nie jest?”, „czy jesteś cała bądź cały?”, „nie ugryźli cię, już okej, będzie dobrze”, „jesteśmy tu bezpieczni” i wszelkiej maści innych frazesach mających na celu sprawdzenie statusu danej jednostki oraz podniesienie niemalże zerowego morale, w końcu zapadła cisza. Każda z zamkniętych w sklepiku osób prowadziła teraz dialog z własnymi demonami, starając się jakoś zebrać myśli i ochłonać. Jedni przeprowadzali cichą, wewnętrzną spowiedź, przepraszając za grzechy, jakich się dopuścili, dziękując jednocześnie za to, że przeżyli wystarczająco długo, aby taką spowiedź przeprowadzić. Inni planowali, jakie dalsze kroki powinni podjąć i co byłoby lepsze dla przetrwania całej grupy. Jeszcze kolejni zastanawiali się nad błędami, jakie popełnili, przysięgając w duchu, że nie popełnią ich już w przyszłości.

Byli też tacy, którzy nie tylko rozmyślali nad tym, jak w tej beznadziejnej sytuacji się znaleźli, ale też przypuszczali, że wałęsające się po okolicy żywe trupy mogą nie być ich największym problemem.

Niezależnie od wniosków czy postanowień, każdy wiedział, że ich życie już nigdy nie będzie takie samo. Nawet jeżeli cała zaraza miałaby zniknąć równie gwałtownie, jak się pojawiła, już do końca życia będą ich budziły krzyki żądnych krwi zombie.

– Przepraszam – zaczął nieśmiało Max, zwracając się w stronę Kai – mogę zapytać, gdzie to znalazłaś? – zapytał, odkładając na podłogę drugi papierek po snickersie. Popił batonika colą, którą wcześniej przyniósł sobie z lodówki. Ku jego zdumieniu napój był całkiem chłodny.

– Hm? – uniosła brwi Kaja.

Kudłaty chłopak wskazał skinięciem leżącą obok dziewczyny broń.

– To cholera, które wygląda jak topór krzyżacki.

– Ah, to... leżało z tyłu – zerknęła z delikatnym uśmiechem na swoją nową broń. Z uśmiechem, od którego Maxowi zrobiło się ciepło w okolicy podbrzusza. Dopiero teraz mógł przyjrzeć się na spokojnie dziewczynie i stwierdzić, że jest naprawdę ładna. – To znaczy – zastanowiła się chwilę, jak powinna ubrać to w słowa. – Znalazłam to z tyłu. Ktoś użył go do walki, ale nie mam pojęcia, skąd go wcześniej wytrzasnął.

– Fajny – przyznał chłopak, modląc się, żeby tylko nie zrobił się czerwony.

– To topór dokrojenia mięsa – wtrącił Kuba. – Pewnie na zapleczu stoi drewniany pień, na

którym cięli wielkie kawałki schabu.

Max kiwnął głową, Kaja uniosła brwi i złożyła usta w kształt delikatnej podkowy, co miało świadczyć o tym, że uznaje taki argument za całkiem prawdopodobny i absolutnie wystarczający. Przy okazji rozwiązało to gnębiącą ją zagadkę, bo przez chwilę była poważnie zaniepokojona tym, skąd tu się wziął taki kawał żelastwa.

– Jak myślicie, wiedzą, że tu jesteśmy? Widziały nas, jak tu się chowaliśmy? – zapytała nieśmiało Natalia, wbijając nieobecny wzrok w przerwę między kafelkami. Właściwie to ledwie poruszała ustami, jakby zmuszając się do zadania pytania.

Kubie nie trzeba było wyjaśniać zachowania żony; znał ją zbyt długo, aby nie wiedzieć, co leży jej na sercu. Jednak nie tylko on spostrzegł, że pytanie Natalii ma drugie dno – prawie wszyscy czuli to samo co ona. Chcieli po prostu zatrzymać się, złapać oddech i choć na chwilę przestać walczyć, czy uciekać. Lub uciekać, walcząc, co przeważnie w ostatnim czasie praktykowali.

– Nie, nie wiedzą – powiedział Paweł, sprawdzając stan swojego beryla. Niestety, amunicja była na wyczerpaniu, został mu niespełna magazynek, więc będzie musiał przerzucić się na lekki karabinek MP5, co w gruncie rzeczy nie stanowiło dla niego najmniejszego problemu. Doświadczenie nie pozwalało mu siedzieć beczynnemu, nawet jeśli kryjówka była w stu procentach bezpieczna. Wiedział, że musi wykorzystać darowany mu czas na przejrzanie sprzętu i uzupełnienie zapasów, tak, aby był gotowy do natychmiastowej ewakuacji, gdy kryjówka okaże się jednak nie być tak do końca bezpieczna. Stwierdził, że da pozostałym kilka minut na złapanie oddechu, zanim poinstruuje ich, aby zrobili to samo.

– Skąd wiesz? – zapytał Kuba. Ewidentnie przestawał mu się podobać ten facet z wojskowym drygiem. Coś mu w nim nie grało – panoszył się, był arogancki i jakby tylko mógł, najchętniej wydawałby wszystkim rozkazy. Miał to wypisane na twarzy. Tego, że był tępem, Kuba był niemalże pewien – potrafił wyczuć służby mundurowe, zwłaszcza że sam reprezentował jedną z nich. Chociaż, z drugiej strony, może po prostu znajomości rozpoczęte od celowania do siebie z broni palnej mają właśnie taki szorstki przebieg?

– Wiem, bo jakby miały choćby blade pojęcie o tym, gdzie jesteśmy, to stałyby pod tą roletą i waliły w nią aż do usranej... – przerwał, szukając odpowiedniego słowa. Przecież nie mógł powiedzieć „śmierci”, bo oni już i tak właściwie jakby nie żyli – ...no waliliby i tyle. Już raz tego doświadczyłem.

Max przypomniał sobie, jak koczowali w małej kawiarence w podziemiach gdzieś w okolicy Dworca Centralnego. I nie potrzebował wiele, aby przypomnieć sobie, jak komandos niemalże gołymi rękami poradził sobie z zombie.

– Tak – wtrąciła Kaja. – Jak opuszczaliście roletę, byłam na zewnątrz od strony zaplecza. Zamknęłam tam bramę, potem drzwi. Są antywłamaniowe. I nie było widać żadnego z nich.

– Myślę, że przez jakiś czas będziemy tu bezpieczni – dodał Paweł, odkładając na bok czyszczoną broń. Uniósł wzrok i przyjrzał się pozostałym. Widział zmęczone, zmartwione twarze. Brudne ubrania, gdzieś tam poplamione lub poplamione zaschniętymi, śmierdzącymi plamami krwi i in-

nego rodzaju brudem, w jaki przyszło im się przyozdobić po drodze. Każdy z nich, nieważne jak źle lub jak dobrze wyglądał, miał jedną cechę wspólną z pozostałymi – ciemne wory pod przekrwionymi oczami. Pod oczami, których spojrzenie wyrażało teraz odrobinę mniej dezorientacji, więcej natomiast spokoju i woli walki.

„To dobrze” – pomyślał. „Zaczynają się adaptować do sytuacji, może dzięki temu będzie mi łatwiej przekonać ich do pozostania w ruchu”. Chociaż, z drugiej strony patrząc – mężczyzna zaczął się zastanawiać, czy jest sens i czy w ogóle ma ochotę jeszcze kogokolwiek do czegokolwiek przekonywać. W końcu każdy jest kowalem własnego losu, prawda? Wziął głęboki wdech, stwierdzając, że zebrani tu ludzie mają jeszcze jedną cechę wspólną – śmierdzą potem. Nie tylko typowym potem powstałym na klimatyzowanej siłowni, ale tym specyficznym rodzajem smrodu, który wydziela śmiertelnie wystraszony człowiek. Ostra, słonawa woń wbijała się głęboko w nozdrza, chociaż zdawało się, że nie każdy miał możliwość ją czuć.

– To dobrze. Jednak myślę, że powinniśmy z tego skorzystać – ciągnął dalej, starając się zignorować nieprzyjemny zapach – wykorzystajcie chwilę i doładujcie magazynki, przejrzyjcie broń. Powinniście też spakować kilka batoników do kieszeni, tak na wszelki wypadek.

– Słucham? Przejrzyjcie broń? – zapytała Natalia, marszcząc brwi. – To znaczy, co mam zrobić, bo nie bardzo rozumiem. Popatrzeć sobie na nią z każdej strony? Czy raczej wyczyścić? Może rozłożyć i złożyć na czas, jak na filmach?

– A potrafisz? – zapytał z rozbawieniem Paweł, zupełnie ignorując buntowniczy ton Natalii. Czuł, że rozmowa pójdzie w całkiem zabawną stronę.

– Pierdol się. Czy ja ci wyglądam na trepa? – zaatakowała blondynka.

– Posłuchaj – odparował Paweł. Miało być śmiesznie, ale Natalia zaczęła z grubej rury, toteż mężczyzna stwierdził, że należy ją szybko sprowadzić na ziemię. – Mówię to tylko dla twojego dobra. Powinnaś...

Nie skończył, bo do dyskusji wtrącił się Kuba.

– Nie. To ty posłuchaj. Kim ty właściwie jesteś? Dlaczego mamy ciebie słuchać? I to zwłaszcza po tym, jak zastrzeliłeś Tomka.

Paweł wbił twardy wzrok w Kubę. Następnie głośno wypuścił powietrze i rozmasował palcami czoło. Zupełnie nie miał ochoty na tego typu rozmowę. Nie chciało mu się po raz kolejny tłumaczyć, zapewniać i instruować. Zaczynał być tym już zmęczony. Kłótnia i ta dziecinna przepychanka była ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, ale na razie jechali na jednym wózku, toteż zebrał się w sobie i odpowiedział:

– Daruj sobie. Doskonale wiesz, że za kilka godzin wstałby i zaczęłby się szwendać tak samo jak pozostali.

Słyszając to, Kasia bezwiednie ścisnęła dłoń Kamila. Jej serce przyspieszyło, bo bała się, że jej chłopaka czeka taki sam los. Musiała jak najdłużej ukrywać jego stan, bo nie daj Boże, ten facet zdecyduje się zastrzelić i jego. Niestety, stan Kamila nie pozwalał na konspiracyjne działanie – kilka minut wcześniej zaczął gorączkować, pomimo upału panującego na dworze.

– Skąd ty to wszystko wiesz? Jesteś jakimś pieprzonym wróżbitą, czy co? – zapytał wzburzonym głosem Kuba.

Paweł nie odpowiedział, tylko spojrział na Kaję.

– Widziałam to – wyjaśniła dziewczyna, pojmując intencje ojca. – Byłam na Polach Mokotowskich, dokąd ewakuowali mnie żołnierze. Uratowali mi życie, bo w Centrum musiałam się skryć na dachu kiosku. Oni, to znaczy zombie, byli wszędzie. Dosłownie... ten dach to było jedyne miejsce, na którym byłam bezpieczna. Widziałam, jak ogień trawi kolejne budynki, płonął Novotel, Rotunda, ale nikt nie przyjechał, żeby je ugasić. Nie mogłam się ruszać... nie miałam jedzenia ani picia, nie wspominając o chociaż odrobinie cienia, bo leżałam na rozgrzanym dachu i dosłownie czułam, jak się smażę – dodała jakby w celu rozładowania napiętej atmosfery, ale sama nie była w stanie nawet delikatnie się uśmiechnąć. Gdy mówiła to wszystko, przed oczami Kai zaczęły przelatywać makabryczne sceny, które przeżyła. Dziesiątki wyciągniętych w jej stronę rąk, nieludzkie zawodzenie umarłych, którzy zdawali się wcale nie być martwi. Panujący wokół chaos i brak jakiegokolwiek perspektywy ocalenia. W końcu odnalezienie w tłumie twarzy swojego chłopaka. Nie mogła zapomnieć też o malcu, który na jej oczach zamienił się w zombie. Wzięła głęboki oddech, przypominając sobie jego czarne, bezdenne oczy. – W końcu skorzystałam z tego, że nadjechało wojsko. Zombie... – spojrzała na Maxa, który pierwszy w jej otoczeniu użył tego słowa. Na początku się z nim o to kłóciła, ale wyglądało na to, że chłopak miał jednak rację. Nieznacznie skinął jej głową, dając do zrozumienia, że wie, jak jest jej ciężko, ale jest przy niej i wszystko będzie dobrze. Odwróciła wzrok i mówiła dalej – ...oni... rzucili się na nich, pozostawiając mnie samą, a muszę podkreślić, że siedziałam na tym kiosku kilka ładnych godzin. Nie miałam jak uciec. Wcześniej wzięłam na dach małego chłopca, który został pogryziony – tym razem spojrzała na Kubę. – Niewiele czasu minęło, zanim umarł, żeby... nie upłynęło pięć minut, a on znowu otworzył oczy. A ja widziałam, jak umiera, nie da się tego pomylić z czymkolwiek innym. Odszedł, ale po chwili się obudził.

Pozostali milczeli, z nabożnym szacunkiem i domieszką przerażenia słuchając opowieści o tym, jak ta młoda dziewczyna walczyła o życie.

– Poza tym – mówiła dalej – jak już trafiłam do tego obozu wojskowego, to tam widziałam, jak przykuwają rannych do łóżek. Rozmawiałam na ten temat z jednym z żołnierzy, który powiedział, że robią tak, dlatego że nie wiedzą, jak inaczej mają sobie z nimi poradzić. Powiedział, że ugryzione osoby prawie zawsze umierają, a potem budzą się jako jedni z nich. Jako zombie.

Historia dziewczyny, choć może właściwie wypowiedzenie na głos tego, co większości z nich siedziało głęboko w głowie, spowodowało, że przez chwilę nikt się nie odzywał.

Po chwili Kuba wstał i podszedł do jednej z lodówek z piwami, ale nie w celu wzięcia sobie jednego z nich – zamiast tego zajrzał w szparę między ścianą a lodówką i wyjrzał na ulicę. Lodówka była ustawiona tak, że swoim tyłem przylegała centralnie do okna, ale wychylając się pod odpowiednim kątem, można było zobaczyć, co znajduje się za nią.

– Pusto – odwrócił się do pozostałych. Dopiero teraz otworzył lodówkę i wyjął butelkę Tyskiego. – Ktoś chce?

Natalia posłała mu wzrokiem gromy ze swoich niebieskich oczu, jednak policjant sprawnie ich uniknął.

– Daj pan jedno – poprosił Max. – Tylko Namysłów, jeśli można.

– No można, można – powiedział i podał mu butelkę. Nie obchodziło go to, że młodziak nie wygląda na pełnoletniego. Kuba aktualnie miał to głęboko w poważaniu. Bo i po co się przejmować takimi rzeczami? Powoli dochodził do wniosku, że nic, czym się do tej pory przejmował, nie było tego warte.

– To ja też poproszę jedno – stwierdził Paweł.

Przez głowę Kuby przeleciała wizja, jak bierze zamach tym piwem i roztrzaskuje je na krótkich włoskach tego palanta albo rzuca je w taki sposób, że twardy spód butelki łamie mu nos.

– Jakie? – zapytał tylko.

– Może być Żywiec, jak masz pod ręką.

„Pod ręką mam też karabin, głąbie. Mogę cię zastrzelić, tak na wszelki wypadek, jakby ktoś kiedyś mógłby przyjść i cię ugryźć. Czysto prewencyjnie. Co ty na to?” – pomyślał z mściwą satysfakcją.

– Proszę.

– Dziękuję.

Kaja i Natalia, chociaż ta druga dopiero po namowach, po chwili również siedziały z otwartymi butelkami. Alkohol sprawił, że wszyscy nieco się rozluźnili. Nie można powiedzieć, że to wyłącznie z powodu jego ilości. Poza tym, po przeżyciu tak silnego stresu jednego piwa po prostu się nie czuje. Ale jakoś zrobiło im się lżej na sercach. Tylko Kasia i Kamil siedzieli skuleni w kącie, nie odzywając się, nie prosząc o piwo ani o nic innego. Wyglądali tak, jakby chcieli wtopić się w półki i po prostu zniknąć. Niestety, zanim udało im się tego dokonać, wyłapał ich czujny wzrok Pawła.

– Wszystko w porządku? – zapytał spokojnie, uważnie się im przyglądając.

– Tak, tak, jest okej. Tylko jesteśmy trochę... no wiesz, wystraszeni i zmęczeni, sam rozumiesz, ta sytuacja, ciężko nam się odnaleźć i pozbierać ale... – zaczęła z siebie wypluwać Kasia, próbując stworzyć zasłonę dymną, pod którą schowałaby Kamila.

„Że też, cholera, akurat ten gość musiał nas zauważyć” – pomyślała. Oczami wyobraźni widziała, jak sięga po broń i przystawia lufę karabinu do czaszki jej chłopaka. A z tego, co zdążył jej wcześniej udowodnić – on raczej nie pudłuje.

– Aha. A co z nim? Nie wygląda za dobrze – przerwał jej Paweł, zupełnie ignorując potok słów wlewający się z ust dziewczyny. Dopijając piwo, wpatrywał się w bladego, zdawać by się mogło – śpiącego chłopaka, niczym kot koncentrujący wzrok na harcującej po stodole myszy.

– Z nim? Nic, zmęczony jest. Zestresowany. Ma astmę, więc musi odpocząć, bo spory kawałek tu biegliśmy – udawała głupią Kaśka. Jednak wiedziała, że nie uda się jej wybrnąć z tej sytuacji, gdyż oczy całej grupy były już zwrócone w ich stronę.

– Na pewno? – zapytała Kaja, wstając powoli z miejsca. Paweł wyciągnął rękę w jej stronę, jakby chciał powstrzymać ją przed podchodzeniem do bladego chłopaka.

Kasia nic nie odpowiedziała, tylko ułożyła usta w podkowę, a jej podbródek zaczął drżeć jak u niemowlaka, który lada chwila ma się rozryczeć.

Kaja w tym czasie podeszła do Kamila i bardzo ostrożnie przyłożyła dłoń do jego czoła. Od razu spojrziała prosto w oczy Kasi.

– Ma gorączkę – powiedziała cicho, ale i tak wszyscy ją usłyszeli. Te dwa słowa miały siłę dynamitu zdetonowanego na alpejskim stoku – i na lawinę, którą miały wywołać, nie trzeba było długo czekać. Pierwszy poderwał się z podłogi Paweł. Kamil próbował coś powiedzieć, ale z jego ust dostało się tylko niezrozumiałe mruknięcie.

– Odsuń się! – krzyknął, unosząc beryla do strzału.

– Nie! – wrzasnęły jednocześnie Kaja i Kasia, ta druga zasłaniając swoim ciałem gorączkującego chłopaka.

– Odłóż to! Opuść broń! – krzyknął Kuba, gwałtownie wstając. Złapał lufę karabinu Pawła i skierował ją w stronę półki z alkoholem. Przez twarz komandosa przebiegł grymas wściekłości.

– Jezu, uważaj! – pisnęła Natalia, mrużąc oczy i unosząc dłonie do twarzy, jakby chciała ją osłonić przed jakimś niewidzialnym niebezpieczeństwem.

Tylko Max siedział względnie spokojnie i przyglądał się wszystkiemu, zakładając, że dzieje się tak dużo, że dla niego nie ma już miejsca, wobec czego tylko posiedzi i popatrzy. Również jako jedyny został z piwem w ręku, gdyż pozostałe butelki albo leżały rozbite na podłodze, albo gdzieś się po niej turlały. A po co było się tak stresować? Nawet jeżeli ten chudy gość zaraz się obudzi jako zombie, Paweł i tak go szybko zastrzeli.

– Jest zarażony! – krzyknął Paweł.

– I co, zastrzelisz go? – zapytał prowokacyjnie Kuba, cały czas trzymając za karabin.

– Głośniej się drzyjcie, bo za spokojnie tu jest! – wyszczała Kaja, patrząc wściekle na szamoczących się mężczyzn.

Przez sekundę komandos niczego nie odpowiedział, myśląc tylko, co powinien dalej zrobić, gdzieś po drodze próbując wytlumić wzbierającą w nim złość. Eskalacja konfliktu mogła skończyć się tragicznie – strzelaniną, rannymi, zabitymi, a co najgorsze, zwróceniem na nich uwagi zombie, którzy pewnie krążyli gdzieś w pobliżu. Warto było spuścić z tonu i spróbować negocjacji. Poluzował mięśnie, wyraźnie dając Kubie do zrozumienia, że nie zamierza zastrzelić chłopaka. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Okej, wyluzujmy wszyscy – powiedział, unosząc lewą dłoń w geście pokoju. Prawa w dalszym ciągu jednak obejmowała rękojeść karabinu.

Kuba jeszcze przez chwilę trzymał broń Pawła, bojąc się, że to może być podstęp i ten tylko czeka, aż policjant odpuści. Jednak stwierdził, że facet nie może być aż tak głupi – na linii strzału stała przecież jego córka. No, chyba że jest na tyle głupi i pewny siebie, żeby oddać strzał obok własnego dziecka. Policjant zaryzykował jednak i cofnął ręce. W końcu to nie jego dziecko stało na wprost lufy.

– W co został zraniony? – zapytała Kaja, patrząc na Kasię. Twarz dziewczyny była już mokra od

leż. Pociągnęła nosem, wycierając je w rękę.

– W nogę. I przedramię – powiedziała, pokazując bandażę. Kaja wcześniej myślała, że to zwykłe opatrunki zabezpieczające zwyczajne skaleczenia.

– Dawno? – zapytała.

Kasia spojrzała na zegarek. Wskazywał za dziesięć piątą.

– Jakies dwie godziny temu. To źle?

Kaja zignorowała jej pytanie, odwracając głowę do pozostałych. Kuba i jej ojciec cały czas nad nią stali.

– Musimy go jakoś odizolować – powiedziała do nich.

– Coooo? – krzyknęła Kasia głosem pełnym wyrzutu i niedowierzania.

– Zamknij się – zareagowała niespodziewanie szybko Kaja, przykładając dłoń do jej ust, co wywołało u dziewczyny jeszcze większy szok. Poczuli się, jakby ktoś przetrzymywał ją tu wbrew woli, jak zakładnika. Jednak w ciemnych oczach smukłej brunetki zauważyła pewien rodzaj niepokoju, obawę o własne życie. To kazało się jej uspokoić.

– Posłuchaj mnie – poprosiła Kaja, opuszczając dłoń. – Przestań wrzeszczeć, bo mogą nas usłyszeć i się tu zlecieć, rozumiesz? – zapytała i poczekała, aż pulchna dziewczyna da jej jakikolwiek znak, że docierają do niej jej słowa. Uznała nieśmiało kiwnięcie głową za wystarczający sygnał. Mówiła dalej:

– Twój chłopak jest ranny. Nie wiem, czy go ugryźli, czy został zwyczajnie ranny i po prostu wdała się infekcja, ale musimy być ostrożni. Nawet nie wiem, czy to robi jakąkolwiek różnicę. Nie mamy innych możliwości, poza tym... teraz jest już za późno na jakąkolwiek dezynfekcję.

– Zdezynfekowałam wodą utlenioną – powiedziała natychmiast Kasia, ponownie pociągając nosem.

– Okej. Ale to mogło nie wystarczyć. Rozumiesz? Wybacz mi, ale musimy go jakoś odizolować, gdzieś zamknąć czy... przywiązać do czegoś. Ze względów bezpieczeństwa. Jakbyś była na naszym miejscu, zrobiłabyś dokładnie to samo.

– Możesz przy nim siedzieć, jeżeli chcesz – powiedział Kuba, próbując jakoś pomóc przejść przez to dziewczynie.

– Jednak nie radzę – dodała Kaja.

– On... on się zmieni, prawda? Będzie jednym z nich? – zapytała cicho Kasia, zerkając na trawionego gorączką Kamila. Chłopak przez cały ten czas był nieobecny duchem, kręcił tylko rozpaloną głową z jednej strony na drugą, co jakiś czas majacząc, bądź zapadając w niespokojne drzemki.

– Nie wiem – skłamała Kaja. – Trudno mi powiedzieć, ale zrozumiem, że musimy się jakoś zabezpieczyć.

Kasia przełknęła ślinę i kiwnęła tylko głową.

– Idę zerknąć na zaplecze, sprawdzę, czy możemy go jakoś tam umieścić – powiedział Kuba i przeszedł obok Pawła. Panowie zgodnie odsunęli się, aby uniknąć zderzenia barkami, na co każdy z nich miał jednakowo dużą ochotę.

Policjant po chwili zniknął za rogiem. Paweł wbił twarde spojrzenie w Kamila, zastanawiając się, czy na pewno dobrze robią – jego wahanie musiała wychwycić Kasia, bo jak tylko ich spojrzenia się spotkały, dziewczyna szybko odwróciła przestraszony wzrok.

W tym czasie Max wypuścił głośno powietrze.

– Co za gówno – powiedział bardziej do siebie, niż do zgromadzonych w sklepiku osób. Następnie wstał i podszedł do lodówki z piwem, aby wyrzucić za nią i sprawdzić, czy aby na pewno kłótnia nie zwróciła uwagi szwendających się gdzieś po okolicy zombie.

Chłopak nie zauważył, jak w domu naprzeciwko delikatnie poruszyła się zasłona.

LUBLIN, GODZINA 16:58.

Dobra, ja spadam – powiedział Dawid, zamykając laptopa.

– Ale jak to? Przecież jest za dwie – zauważyła Iwona, wyraźnie zaskoczona i oburzona jego zachowaniem.

– No tak, ale byłem dzisiaj za pięć – odparował błyskawicznie, używając codziennie tego samego argumentu. Dodatkowo dzisiaj wyjątkowo się postarał i dołożył jeszcze wisienkę na torcie, mówiąc: – Poza tym, nadgodzin jakoś tak dokładnie nie ewidencjonujesz.

To zawsze działało. Iwona nie skomentowała tego, co więcej – nawet nie pozwoliła po sobie poznać, że ta uwaga do niej trafiła. Po prostu skierowała beznamiętny wzrok na siedemnastocalowy monitor swojego komputera, poprawiła okulary i wróciła do pracy, energicznie stukając zadbanymi, smukłymi palcami w klawiaturę.

– Jak tylko jutro przyjdiesz, to wyślij mi raport. Rano – rozkazała, pokazując, kto tu ma ostatnie zdanie.

– Który raport? – Dawid wbił jej kolejną szpilę.

Iwona posłała mu spojrzenie, które, gdyby tylko miało taką moc, zamieniłoby go w kamień, ropuchę albo po prostu zdematerializowałoby biedaka. Jednak ten był zbyt wyluzowany na to, żeby ta opcja zadziałała. Poza tym, cała ta przepychanka zbytnio go bawiła.

– Muszę ci to jeszcze tłumaczyć? – spytała jadowitym głosem.

– Nie, nie musisz. Wiem przecież. Żarcik taki – powiedział, chociaż oboje doskonale wiedzieli, że nie żartował. – Wyślę z samego rana. Widzimy się jutro.

Nie odpowiedziała. Może zareagowałaby inaczej, gdyby wiedziała, że już nigdy nie ujrzy swojego podwładnego, którego gdzieś tam w głębi duszy nawet lubiła, ale przecież absolutnie nie mogła tego po sobie pokazać. W końcu był jej podwładnym.

Nie wiedziała również, że ani Dawid, ani ona nie wyślą w swoim życiu już nawet jednego raportu, nawet połowy maila i nigdy nie odbiorą telefonu. Przesnąć istnieć spotkania biznesowe, telekonferencje, wyjazdy służbowe, smycze magnetyczne i wszystkie te rzeczy, które wydawały im się tak ważne i niezbędne do prawidłowego funkcjonowania wszechświata. Ten ostatni zamierzał pokazać im, że rządzi się prawami o wiele prostszymi, lecz zarazem znacznie głębszymi niż to, na co tracili czas przez całe dni.

Pierwszy przekonał się o tym Dawid. Niewielkie biuro, w którym pracował od niespełna dwóch lat, miało własny parking, co swego czasu bardzo mile go zaskoczyło – nie musiał, tak jak w poprzedniej pracy, desperacko szukać miejsca dla swojego auta na ulicy. Wyszedł z trzypiętrowego, pomalowanego na jasny błękit budynku i skierował się do swojej żółtej alfy romeo, po drodze za-

kładając okulary przeciwsłoneczne. Cieszył go fakt, że po wyjściu z pracy było jeszcze jasno i mógł korzystać ze słońca. Pozwolił myślom swobodnie płynąć, planując, w jaki sposób spędzi wieczór ze swoją dziewczyną. Co prawda spotykali się dopiero od kilku miesięcy, ale Dawid, chyba po raz pierwszy w swoim życiu miał przeczucie, że może z tego być coś naprawdę dobrego, że to jest „to”, jak to niektórzy mawiają.

Zbliżył się do drzwi auta, ale nim je otworzył, jego uwagę przykuło coś, czego absolutnie się nie spodziewał. Przed maską samochodu leżał kobiecy but – czarna szpilka na bardzo wysokim obcasie. Przez jego głowę przeleciały dwa pytania – po pierwsze, czyj to but, po drugie, jak właścicielka zdołała na nim dojechać aż tutaj, drepcząc po grubym żwirze, którym pokryty był cały parking. Chociaż, jak się głębiej zastanowić, dla niektórych kobiet to nie stanowiłoby najmniejszego problemu. Zrobił kilka kroków, zachodząc przed maskę własnego auta. Nie zastanawiał się, po co to robi lub dlaczego nie zostawił buta tam, gdzie ten leżał i po prostu nie wsiadł do wozu i nie odjechał. Nie mógł odjechać, musiał przecież zobaczyć, co się stało. Ciekawość była zbyt silna.

Dopiero gdy wyszedł przed alfę, zobaczył, że kilkanaście centymetrów od buta spoczywa jego właścicielka. Leżała na boku i już na pierwszy rzut oka było widać, że przeżyła poważny wypadek. Krwawiła z wielu ran, była ubrudzona na kolanach, jakby szła na czworakach, a beżową sukienkę miała w strzępach. Szkoda, że poznali się w takich okolicznościach, bo jej figura wydawała się chłopakowi całkiem niegłupia. Dawid pomyślał, że jakiś palant musiał ją potrącić, przez co kobieta przeleciała po żwirze aż pod jego wóz. Mogło być jeszcze tak, że ktoś uderzył w nią w zupełnie innym miejscu, ale podrzucił ranną po biuro. Mogło tak być. Tylko po co by to robił?

Nim przez jego umysł przebiegły te wszystkie wspomniane wyżej myśli, chłopak zdążył już pochylić się nad ranną, chociaż, prawdę mówiąc, wcale nie miał na to ochoty. Niestety, rozumiał, że nie mógłby jej tak zostawić – cały parking jest monitorowany i na pewno kamera zarejestrowała, że przeszedł na przód auta, skąd po prostu nie mógł jej nie zobaczyć. A nie miał ochoty zostać oskarżonym o nieudzielenie pomocy, mimo że ranna kobieta mocno pokrzyżowała mu plany.

– Halo, proszę pani – próbował ją ocucić, delikatnie potrząsając za szczupłe ramię. Nie zastanawiał się, czy ona w ogóle jest nieprzytomna, ale nie miał innego pomysłu, jak powinien zareagować. Chciał, żeby było widać, że próbuje jej pomóc. Kobieta jednak pozostała nieruchoma.

– Jezu, kurwa mać, co mam robić? – wyszeptał, rozglądając się po parkingu. Sytuacja zaczynała go coraz bardziej irytować. Dopiero teraz dotarło do niego, że jeszcze nikt nie wyszedł z biura. Często opuszczał parking, gdy inni dopiero wychodzili z budynku, jednak tym razem było nieco inaczej.

„Nie ma kogo poprosić o pomoc” – pomyślał, czując, jak narasta w nim panika. I wtedy zobaczył człowieka na drugim końcu parkingu, przy samym szlabanie odgradzającym wyjazd na ulicę. Dzielilo ich mniej niż pięćdziesiąt metrów. Mężczyzna szedł powoli chodnikiem.

„Facet nie wygląda na pracownika firmy, ale może będzie mógł pomóc” – pomyślał z naiwną nadzieją Dawid.

– Halo, proszę pana! – krzyknął chłopak, machając rękami, by zwrócić na siebie jego uwagę. – Mam tu ranną kobietę, potrzebuję pomocy!

Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił głowę w stronę chłopaka.

„Na szczęście mnie usłyszał” – pomyślał. „No dalej, rusz tyłek i mi pomóż. Nie bądź bucem”.

Jak na komendę facet z chodnika rzucił się biegiem w stronę Krzyska, któremu dzięki temu spadł kamień z serca.

„Dobrze” – pomyślał. „Zagadam go chwilę i będę mógł sobie pojechać. A tak to pewnie musiałbym tu siedzieć do jutra”.

Wtedy jednak zauważył coś dziwnego – facet nie biegł równo, tylko kuśtykał, jakby był ranny w kostkę lub miał nogę w gipsie.

„Świetnie, trafił mi się jakiś paralytyk. No ale trudno, lepsze to niż nic” – pomyślał i odetchnął z ulgą. Nawet odrobinę się uspokoił, czując, jak słońce niemiłosiernie pali go w kark.

Odwróciwszy wzrok od nadbiegającego mężczyzny, Dawid zerknął na kobietę. I wtedy poczuł, jak pomimo upału przenika go paralizujące zimno.

Kobieta patrzyła na chłopaka szeroko otwartymi, ciemnymi oczami. Wyglądała jak istota z taniego horroru. Jej, jak się okazało, pogryziona twarz nie zdradzała żadnych emocji. Kobieta po prostu patrzyła, ale w tym wzroku było coś, co przenikało chłopaka na wylot.

Dopiero wtedy zrozumiał, co się dzieje. Słyszał coś w „Wiadomościach”, ktoś ze znajomych wspominał, że w Warszawie wybuchła jakaś epidemia. Że miasto zamknięte, że wojsko, że ludzie powariowali. Nie mówili nic więcej, a Dawid nie wnikał w szczegóły, bo nie miał ochoty czytać samych złych wiadomości. Ostatnio wszelaki hejt zrobił się bardzo popularny, więc nie było najmniejszego sensu, żeby zwracać baczniejszą uwagę na zapewne przerysowane doniesienia ze stolicy.

W tym momencie usłyszał krzyk dobiegający z biurowca, który opuścił zaledwie kilka minut wcześniej. Podniósł wzrok akurat, żeby zobaczyć, iż kuśtykający mężczyzna zdążył już do niego dobiec i właśnie się na niego rzuca.

ŁOMIANKI, GODZINA 17:03.

Myślicie, że się zmieni? – zapytała Natalia, wtulając się jeszcze mocniej w swojego męża.

Prawie wszyscy siedzieli teraz w hali sklepu. Ktoś przytargał sobie skrzynkę po piwie, ktoś usiadł na przekręconym na bok koszu po pomarańczach, ktoś zbudował sobie tron ze zgrzewek z puszkami piwa, ktoś inny po prostu siedział na podłodze. Jednak pomimo różnorodnych siedzisk, wszyscy, jak jeden mąż, odpoczywali, łapali oddech i uzupełniali płyny – pili wodę i wszelkiej maści inne trunki, których było pod dostatkiem. Tak samo jak słodczy, owoców, wędlin, serów, wczorajszego pieczywa (choć niektóre chleby były opakowane w folię z kilkudniowym terminem spożycia). Jednym słowem, mieli pod ręką wszystko, czego tylko mogli zapragnąć.

Jednak pomimo tego dobrobytu wypili tylko kilka piw i małych butelek z wodą, zjedli kilka batoników i parę owoców, tak jakby nie chcieli narażać właściciela obiektu na zbytne straty. Jakby chcieli tylko zaspokoić pierwszy głód. Na razie jeszcze krępowała ich sytuacja, w jakiej się znaleźli. Jednak wkrótce miało się to zmienić.

Kaja spojrzała na Natalię, ale odpowiedziała bez zbędnego wahania i ze – zdawać by się mogło – arogancką wręcz pewnością siebie:

– Tak. Zmieni się.

– Skąd wiesz?

– Mówiłam już, byłam tego świadkiem. Widziałam, jak przykuwali rannych ludzi do łóżek.

– Ale to nie znaczy przecież, że oni na pewno się zmieniali, nie? Widziałas tylko, jak ich przykuwali, nie widziałas, jak się zmieniali. Tego już nie wiesz na pewno – próbowała przeforsować swoją rację Natalia. Dziewczyna przeczuwała, że tak to właśnie będzie wyglądało, jednak nie chciała dopuścić do siebie tej myśli, że gdy w końcu udało im się znaleźć bezpieczne schronienie (choć jest roleta antywłamaniowa wobec zamkniętego komisariatu), to jedna z tych poczwara znalazła się tu razem z nimi.

Kaja głośno westchnęła, zakręcając butelkę z wodą. Nie miała ochoty na piwo. Nie czuła się w tym sklepie na tyle bezpiecznie, aby pozwolić sobie na jeszcze kilka browarów, które mogłyby ją otumanić i spowolnić czas reakcji.

– Słuchaj, nie chce mi się z tobą kłócić. Ja uważam, że on się zmieni. Że każdy, kto zostanie ugryziony, również się zmieni. Nie musisz w to wierzyć, poczekamy i sama zobaczysz.

Z głosu Kai wyraźnie przebijał strach i niepokój związany ze słowami, które sama wypowiedziała. Natalia nic nie odpowiedziała, ale spostrzegła, jak dłonie jej rozmówczynie delikatnie drżą, tak samo zresztą jak i jej podbródek.

– Chyba tak właśnie się rozmnażają – powiedział Max, stwierdzając po chwili, że chyba użył jed-

nak nieodpowiedniego terminu. – To znaczy, tak przenosi się ten wirus. Wiecie, o co mi chodzi.

– Poprzez ugryzienie? – zapytał nagle Kuba.

– Tak. Jak inaczej wytłumaczyć, że nagle zrobiło się ich pełno dosłownie wszędzie – Max zaczął tłumaczyć swój punkt widzenia, wkładając sobie przy okazji chipsa do ust. Odkąd względnie udało im się zabezpieczyć sklep, chłopak cały czas coś pałaszował. – Zobaczcie, ledwo wyjechaliśmy z Warszawy, gdzie byli na każdym rogu, a już tu też są. I to w megakrótkim czasie. Jeżeli to nie roznosi się poprzez ugryzienie albo zadrapanie, chociaż w zadrapanie to szczerze wątpię, to jak? Inaczej wirus musiałby znajdować się w jedzeniu albo w wodzie, może nawet w powietrzu. Ale to by oznaczało, że wszyscy jesteśmy zarażeni i prędzej czy później sami zmienimy się w zombie.

Na zakończenie tej przemowy chłopak wsadził sobie do ust całą garść chipsów, co skutecznie dyskwalifikowało go z prowadzenia dalszej konwersacji przynajmniej przez kilka najbliższych sekund.

– Ja pierdolę. Możesz mieć rację – stwierdził Kuba, pociągając łyk z nowo otwartego piwa.

– Tego się właśnie obawiam – skomentował ze smutkiem Max, przez co kilka chipsów wypadło mu z ust. W tonie jego głosu można było wyczuć pewien rodzaj żalu. – Kiedy pierwszy raz na nich trafiliście? – dopytał po chwili, przecierając wierzchem dłoni usta i strącając z nich okruszki na podłogę.

– Jakoś we wtorek, chyba około południa. Tak mi się przynajmniej wydaje – stwierdził Kuba, patrząc na Natalię.

– No, ja i Paweł też. Trafiliśmy na nich w metrze. Pociąg się przez nich wykoleił – mówiąc to, zerknął na komandosa, który tylko pokiwał potakująco głową. Wyglądało to tak, jakby każdy z nich potrzebował świadka, który potwierdziłby ich wersję wydarzeń, tym samym zaprzeczając, że oczywiście powariowali.

– Tak, to było coś koło tego. Pamiętam, że staliśmy na moście, był duży korek... i potem ten szpital eksplodował – dodała Natalia, uchwyciwszy wcześniej wzrok męża.

– Szpital? – dopytał Paweł.

– Tak, na Karowej – wyjaśnił policjant. – To tam pierwszy raz widziałem jednego z nich, to znaczy... zombie, jak to mówisz. Chyba powinniśmy zacząć się przyzwyczajać do tego terminu.

Pozostali kiwnęli głowami. Nie było tu niczego, czego nie mogliby zrozumieć. Kuba wyraźnie sposepniał, przypomniał sobie płonącego mężczyznę stojącego na szpitalnym korytarzu. Wtedy myślał, że facet zachowuje się dziwnie w wyniku szoku, jakiego doznał. Że po prostu umiera, a umierający ludzie mają przecież prawo zachowywać się dość dziwnie, tak to przynajmniej sobie tłumaczył. Jednak szybko przypomniał sobie popłoch, jaki zastał po powrocie na most. Jak z płonącego szpitala wychodziło coraz więcej osób i jak wszyscy zaczęli atakować strażaków i znajdujących się w dole policjantów. Przypomniał sobie pełen niedowierzania strach, który nim wtedy zawładnął.

Siedzieli w piątkę, gdyż Kasia zdecydowała się spędzić czas ze swoim chłopakiem. Zignorowała ostrzeżenia, nie zgodziła się wziąć ofiarowanej broni. Kamil się nie zmieni i tyle – twierdziła. Ma gorączkę, pewnie wdało się zakażenie, ale na pewno przez to nie stanie się jednym z tych bezmóz-

gich, obdartych potworów. Nie ma takiej opcji i koniec. Wobec tego siedziała teraz przy nim i głaskała dłonią jego rozpalone, spocone czoło. Łzy kapały na brązowe linoleum za każdym razem, gdy jej wzrok przeskakiwał na węzły, jakimi skrępowany był jej ukochany.

Kilkanaście minut wcześniej Kuba, Kaja i Paweł przenieśli Kamila na zaplecze, gdzie przywiązali go kilkoma znalezionymi przedłużaczami do kaloryfera. Opletli mu klatkę piersiową, minimalizując w ten sposób zasięg jego szczęk, jakkolwiek makabrycznie i niedorzecznie by to nie brzmiało. Paweł chciał, aby zrobić mu pętlę również wokół czoła, jednak pozostali stwierdzili, że obwiązanie klatki piersiowej w zupełności wystarczy. Poza tym chłopak miał jeszcze skrępowane ręce. Komandos przestał się upierać, gdy uświadomił sobie, że ten zabieg ma na celu powstrzymanie rannego tylko w pierwszej fazie po przemianie – musi być unieruchomiony w momencie przemiany i kilka minut po niej. Później będzie martwy i żadne węzły nie będą mu potrzebne, o co Paweł – jeżeli nadejdzie taka potrzeba – na pewno się zatroszczy.

Od tamtej pory Kasia siedziała przy nim i rozmyślała nad tym, co ją czeka.

– Dobra, więc musimy założyć, że ktoś raz zraniony, a raczej ugryziony, zmienia się w jednego z nich. Dobrze rozumiem? – zapytał Paweł.

– No, na to wychodzi. Myślicie, że jak kogoś zadrapią, to też się zmienia? – zapytał Max.

– Jezu, jak to brzmi – powiedział Kuba i pociągnął łyk piwa. – Zadrapią. Dobrze, że nie powyrastały im kły i pazury – dodał, uśmiechając się ironicznie i robiąc przy okazji dziwną minę, która w zamierzeniu miała go upodobnić do wilkołaka. Niestety, wyglądało na to, że chyba nikt nie załapał jego żartu, gdyż odpowiedziała mu cisza. Kuba natomiast błyskawicznie spowaźniał, i dodał: – Ale tak na serio... – zrobił teatralną pauzę, czekając, aż pozostali poświęcą mu swoją uwagę – ...dlaczego oni nas atakują? Czego od nas chcą?

Po tym pytaniu zapadła ciężka, przygniatająca wręcz cisza, która zdawała się trwać w nieskończoność, aż w końcu usta Maxa się rozchyliły i chłopak odpowiedział:

– Może oni nas po prostu nienawidzą.

– Co ty pierdolisz? – z marszu jego słowa skwitował Kuba. – Nienawidzą? A co my im zrobiliśmy? Poza tym, cholera, przecież to są zwykli ludzie! Niektórych z nich na pewno znałeś! – dodał pełen złości, słysząc tak niedorzeczne wytłumaczenie chłopaka.

– Może i znałem – od razu zripostował Max. Jego głos zadrżał na wspomnienie rodziców i na wyobrażenie, że teraz mogli wałęsać się jako zombie, klucząc gdzieś pomiędzy szarymi blokami Bemowa. Kuba zrozumiał, że posunął się o krok za daleko, ale nie odwrócił wzroku od twarzy Maxa. Ten złapał kilka głębokich oddechów, próbując się uspokoić. – Nienawidzą nas za to, że żyjemy – dodał.

Po tych słowach zapadła kilkusekundowa cisza.

– Nie wiem, cholera, jak mam to wszystko rozumieć – powiedział Kuba, wstając. Nie mógł dłużej usiedzieć na miejscu, miał w sobie zbyt wiele złości wywołanej nie tylko ciągłą walką o przetrwa-

nie, ale też poczuciem totalnej bezradności.

– Nikt tego nie wie – stwierdziła filozoficznie Kaja.

– Właśnie wiem, że nikt, ale i tak tego nie rozumiem! Dlaczego nas atakują? Dlaczego gryzą? – dopytywał policjant. Zaczynały mu puszczać nerwy, a sytuacja po prostu go przerastała. W końcu, był tylko człowiekiem. Musiał się czymś zająć, żeby tylko przestać myśleć o ciągłym zagrożeniu.

– Może budzą się w nich jakieś pierwotne instynkty? – spróbowała Kaja.

– Pierwotne? Bo co, kiedyś ludzie zjadali samych siebie? – obalił jej teorię Paweł.

– Jakieś pierwotne plemiona, gdzieś tam w zaszranej dżungli albo na wyspie na drugim końcu świata pewnie tak robiły – zgadywał Kuba.

– To nie znaczy, że pierwotnym instynktem człowieka jest zjedzenie drugiego – odpowiedział komandos. – I co to ma być, pierwotny wirus z zaszranej dżungli? Słyszelibyśmy o tym wcześniej.

– Więc czemu atakują? – nie dawał za wygraną policjant, mruczając pod nosem w kółko to samo pytanie.

– Nie wiem, jakiej odpowiedzi od nas oczekujesz? – warknął Paweł, ale nie wstał z miejsca, chociaż miał na to wielką ochotę. – Co, myślisz, że ktoś z nas wie, dlaczego za tymi drzwiami łażą jakieś pierdolone zjeby i próbują nas zezreć? Człowieku, ja od wczoraj robię wszystko, żeby przeżyć. Nie mam czasu się zastanawiać, skąd to gównno się wzięło. Jak dopisze nam szczęście, może kiedyś to zrobię, ale teraz mam odrobinę ważniejsze rzeczy na głowie. Na przykład przetrwanie. Rozumiesz?

– A jak chcesz przetrwać, nie wiedząc, z czym walczysz? – zapytał kąśliwie policjant. Facet irytował go wręcz niemiłosiernie, ale nie zamierzał po raz kolejny się z nim szarpać lub chociażby kłócić. Spróbował powrócić w znane sobie, policyjne tory myślenia, podejść do problemu z perspektywy inspektora prowadzącego śledztwo.

– To, że nikt z nas tego nie wie, to akurat... wiem. Ale może jakoś uda nam się do tego dojść. Chodzi mi tylko o to, że im lepiej poznamy... – przerwał, szukając odpowiedniego słowa – im lepiej poznamy przeciwnika, tym łatwiej będzie nam z nim walczyć. Z tym chyba wszyscy się zgodzicie. – Nie czekał jednak na ich aprobatę, tylko mówił dalej: – Podejrzewamy, że każda osoba ugryziona zmienia się w jednego z nich. – Kiwnął głową w stronę zasłoniętego okna, jakby chciał potwierdzić własne słowa. – Może gryzą i atakują innych dlatego, że w ten sposób się rozmnażają, tak jak to stwierdził...

– Max – pomógł mu kudłacz.

– Max. Dzięki. Wirus ich do tego zmusza. Może to jest to – mówiąc to, jego oczy przepelnił błysk, jakiego Natalia nie widziała już od jakiegoś czasu. Podniosło ją to na duchu, ucieszyła się, że jej mąż jeszcze z nią jest i potrafi racjonalnie podejść do problemu. I nie baczyła na to, że kończył już drugie piwo, a za chwilę pewnie sięgnie po trzecie. Już dawno zaakceptowała fakt, że w tak stresującej pracy, jaką miał, przyzwyczał się do radzenia sobie z problemami za pomocą alkoholu.

– Atakują nas nie dlatego, że widzą w nas posiłek – kontynuował swój wywód Kuba – tylko dlatego, że muszą się rozmnażać. Jak jakiś wirus, albo nie wiem, owady jakieś czy coś. Gdzieś w naturze

taki schemat na pewno występuje – dodał po części zadowolony z tak błyskotliwej konkluzji, po części zawiedziony, że nie udało mu się znaleźć dobrego, naturalnego porównania, co znacznie podniosłoby wiarygodność jego teorii.

– Jeżeli jest tak, jak mówisz, wtedy ugryźliby raz, a nie rozszarpywaliby ludzi na strzępy – powiedział spokojnie Paweł.

Kuba sposepniał, marszcząc czoło.

– No tak... ale może jest jakaś selekcja? Może, powiedzmy... trzydzieści procent ofiar idzie na rzeź, bo reszta musi skądś czerpać siłę, żeby... no, żeby cały gatunek mógł się rozrastać – zasugerował, ale bez jakiegoś specjalnego przekonania.

– Może – odpowiedział krótko Paweł, jednak ton jego głosu zdradzał znacznie więcej niż treść wypowiedzi. Mężczyzna wyraźnie nie miał ochoty ciągnąć tego tematu, bo chwilowo był pogrążony we własnych myślach lub chciał nabrać dystansu i spojrzeć na problem z dalszej i świeższej perspektywy.

– Czy to w ogóle są jeszcze ludzie? – zapytał na koniec Kuba, modląc się w duchu, aby ktoś powiedział, że „nie, to już nie są ludzie”, dzięki czemu będzie można ich bezkarnie mordować, nie prowadząc ciągłej batalii z własnym sumieniem przed oddaniem kolejnego strzału.

Na te słowa, ciałem Natalii wstrząsnął dreszcz. Wbiła niewidzący wzrok gdzieś w podłogę, podczas gdy pozostali wymieniali doświadczenia, licząc na to, że w jakiś sposób pomoże im to zrozumieć sytuację. Ona już dowiedziała się tego, czego chciała się dowiedzieć. Jak cię ugryzą, to się zmienisz. Teraz wystarczyło tylko zadbać o to, żeby żaden z tych toczących pianę z pyska potworów nigdy nie ugryzł ani jej, ani jej męża. Pryszcz.

– Według mnie nie. Dla mnie to już nie są ludzie. Dla kogoś, kto się zmienił, nie ma drogi powrotnej – powiedział Paweł, wzdychając. Wyglądało na to, że Kuba szybko nie zakończy swojej tyrady.

– No tak, to już zauważyłem. Widać, kolego, że masz ostre parcie na cyngiel.

Paweł zmarszczył brwi. Siedział bez ruchu i tylko wpatrywał się czujnym wzrokiem w Kubę. Odychał powoli, tłumiąc wszelkie emocje wewnątrz siebie, ale był coraz bliżej tego, aby wstać i dać temu zarozumiałemu gościowi w zęby.

– A ty co byś zrobił? Zostawiłbyś go i pozwoliłbyś, żeby za jakiś czas wstał i łąził z rękami wyciągniętymi przed siebie? – zapytał Paweł, unosząc delikatnie górną wargę. Widać było, że panowie nie przypadli sobie do gustu, chociaż wcześniej, z lepszym lub gorszym skutkiem, starali się to ukrywać.

Kuba nie potrafił odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Ścisnął tylko mocniej butelkę z piwem, powstrzymując się przed ciśnięciem nią w twarz swojemu rozmówcy. Tak naprawdę temat dyskusji nie miał dla niego już większego znaczenia – wystarczyło mu, że nie zgadzali się ze sobą, nie potrafili się dogadać już na samym początku znajomości. Policjant nie umiał tego wytłumaczyć, ale czasem po prostu tak bywa, że na naszej drodze pojawia się osoba, z którą – pomimo najszczerzych chęci – nigdy nie uda nam się znaleźć wspólnego języka.

– Kurwa, dorośli faceci, a zachowujecie się jak rozwydrzone bachory – skomentowała Kaja. Paweł spojrzał na nią pełnym niedowierzania wzrokiem, jakby celem potwierdzenia, że to na pewno jego córka. Po chwili jednak jego ogorzałą od częstego przebywania na świeżym powietrzu twarz rozświetlił uśmiech.

– Masz rację – stwierdził. – To może zaczniemy jeszcze raz. Jestem Paweł Petelicki. Podporucznik GROM-u – powiedział, wyciągając rękę w stronę Kuby. Nie lubił tego faceta, ale znając swoją wartość, z góry założył, że jest nie tylko wyższy stopniem, ale też po prostu lepiej przygotowany do przetrwania, więc to on powinien uczynić przysłowiowy „pierwszy krok”. Jak starszy brat, który daje młodszemu przykład. Poza tym, zamierzał zgnieść przeciwnika wykonywanym przez siebie zawodem. Pokazać, że może jednak nie warto z nim zaczynać.

„No tak, mogłem się domyślić” – przeleciało przez myśl Kubie. „Ale żeby od razu GROM?”.

– Inspektor Jakub Drejer, wydział kryminalny, Komenda Główna Policji. Bardzo mi miło, panie podporuczniku – powiedział, witając się z Pawłem tak, by w żadnym stopniu nie ukryć ironii. – A to moja szanowna małżonka, Natalia.

Dziewczyna uniosła wzrok, patrząc niebieskimi oczami na obu mężczyzn, nie do końca rozumiejąc, co się właściwie dzieje.

– Miło mi – powiedziała cicho, wyciągając szczupłą dłoń w stronę komandosa.

– To moja córka, Kaja.

– Max – dodał chłopak, nie czekając na to, aż ktoś oficjalnie go przedstawi. I tak wątpił, że ktokolwiek zapamięta jego imię.

– Fajnie. To już się znamy – powiedziawszy to, Kuba wstał i wszedł za ladę. Rozglądał się przez chwilę, podrapał po głowie, aż w końcu otworzył długą zieloną szufladę, nad którą stała kasa fiskalna. Uśmiech na jego twarzy zdradził, że mężczyzna znalazł to, czego szukał. Sekundę później uniósł dwa opakowania czerwonych lucky strike’ów, od razu jedno z nich chowając do kieszeni ciemnych, brudnych jeansów.

– Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko? – zapytał, otwierając paczkę. Pozostali nie odpowiedzieli, ale wzrok Natalii zmusił mężczyznę do pokombinowania i znalezienia miejsca, w którym mógłby spokojnie zapalić, nie zaczadzając przy okazji wszystkich wokół.

– Okej – powiedział tylko i ruszył w stronę zaplecza. Liczył na to, że uda mu się chociaż trochę otworzyć drzwi lub uchylić lufcik, który chyba gdzieś tam widział. Pomyślał, że przy okazji zobaczy, jak się trzyma ten ranny chłopak i jego dziewczyna. Poza tym, a właściwie przede wszystkim – chwilowo bardzo chciał opuścić to miejsce, zmienić towarzystwo, chociaż na parę sekund.

– Słuchajcie, może coś zjemy? – zaproponowała Kaja. Dopiero teraz, gdy emocje już opadły do poziomu, który umożliwiał racjonalne myślenie, dziewczyna poczuła wilczy głód. A cały sklep stał przed nimi otworem.

– O tak, to dobry pomysł. Zajebiecie dobry pomysł – podłapał od razu Max, podnosząc się z podłogi. Paweł również wstał, przyglądając się chłopakowi. Wyglądało na to, że pochłonięte przez niego batoniki i chipsy stanowiły tylko rozgrzewkę, o której chłopaczyna już dawno zapomniał.

– To co jemy? – zapytał.

Jego córka uśmiechnęła się, a przez jej ciemne oczy przeleciał figlarny błysk.

– Jemy to, na co tylko mamy ochotę. Rachunek przyślą pocztą.

Niestety, jeszcze wtedy nie wiedzieli, że na obiad będą musieli trochę poczekać.

– I co z nim? – zapytał Kuba, głęboko zaciągając się papierosem. Na szczęście na zapleczu udało mu się znaleźć lufcik. Co prawda był zastawiony ciężkim, metalowym regałem, na którym poustawiane były zgrzewki z sokami i wodą, jednak po chwili kombinowania i przysunięcia pieńka, na którym bez wątpienia było szatkowane mięso, udało mu się uchylić go na tyle, żeby wypuścić dym. Zdradliwa nikotyna, rozchodząca się po płucach z każdym wdechem, przynosiła mu coraz większe ukojenie.

Kasia uniosła ku niemu spojrzenie mokre od łez. Nie musiała niczego mówić, wszystko wyrażała jej przerażona twarz. Kuba szybko odwrócił wzrok, wypuszczając dym w wąską szparę. Nie chciał patrzeć na dziewczynę. Nie chciał chłonąć jej strachu ani cierpienia, a nawet nie tylko nie chciał, ile po prostu nie mógł. Musiał chociaż przez parę minut, przez tylko kilkadziesiąt pieprzonych sekund, popatrzeć przez okno i poudawać normalnego człowieka, który stoi sobie przy lufniku i pali szluga. Po prostu. Może to niewiele, ale potrzebował tego, aby pozostać przy zdrowych zmysłach. Dopiero gdy odjął papierosa od ust, zauważył, jak bardzo drżą mu ręce. I poczuł olbrzymią ochotę, aby utopić to drżenie w pewnym bezbarwnym trunku, którego dodatkowo teraz miał pod dostatkiem.

Jednak od razu uświadomił sobie, że jakby teraz poszedł w cug, jutra mogłoby dla niego w ogóle nie być.

„Jakoś to przetrwam” – pomyślał. „Jakoś to będzie. Wystarczy poczekać na posiłki”. W policji zawsze było tak, że jak dorwali jakiegoś bandziora, z którym nie mogli sobie poradzić, wzywali wsparcie i... czekali. Tutaj trzeba zrobić tak samo. O ile, oczywiście, da się tak zrobić, a na podstawie ostatnich paru dni łatwo stwierdzić, że mogą być z tym małe problemy.

– O Boże... – usłyszał nagle przerażony głos dziewczyny. – O Jezu, Kamil, nie, kochanie, nie rób mi tego, Kamil...

Nieskładna kakofonia wydobywała się z jej ust, przypominając modlitwę lub jakieś zaklęcie odczytujące zły urok. Błagała Boga, zaklinała Kamila i ich miłość, aby to, co aktualnie się działo, wcale nie miało miejsca. Żeby jej chłopak nie umierał.

– Co się dzieje? – zapytał Kuba, zeskoczywszy z pieńka. Zanim to zrobił, odruchowo zgasił papierosa o metalowy parapet i wyrzucił kiepa za okno. Zobaczył, że chłopak leży bez ruchu, a dziewczyna próbuje go ocucić. Zdążył również pomyśleć, że coś się na niego uparło i jeżeli nie zginie w walce, to sam sobie palnie w łeb, bo długo takiej presji i takiego tempa nie wytrzyma.

– Nie wiem, przestał oddychać, nie mogę go obudzić, zrób pan coś! Co się z nim dzieje? Kamil, obudź się, proszę, kochanie, niemożeszmiatego zrobić, Kamiil... – mówiła coraz szybciej i coraz głośniej dziewczyna. Jednocześnie chaotycznie próbowała, a to mierzyć mu tętno, a to cucić go po-

przez uderzenia w policzek. Próbowwała wszystkiego, nie robiąc tak naprawdę nic. Ale nie można było jej za to winić. Dopiero człowiek postawiony w takiej sytuacji może zrozumieć, jak to naprawdę wygląda. Zawsze łatwiej jest stać z boku i wymądrzać się z bezpiecznego miejsca, najlepiej z rękami skrzyżowanymi na piersi. Poznajemy siebie dopiero w momencie, kiedy to my gramy pierwsze skrzypce.

A skrzypce Kasi były wyjątkowo rozstrojone.

Kuba podbiegł do niej, prosząc, aby się odsunęła. Nie usłuchała.

– Odsuń się, kurwa, jestem policjantem – wycodził przez zęby. – Wiem, co mam robić, a ty?

Pełna skrajnego przerażenia dziewczyna spojrzała na niego i przyłożyła dłonie do ust. Nie wiedziała. Dopiero teraz to sobie uświadomiła, dopiero teraz poczuła, jak ciężar całego wydarzenia osiada na jej barkach, a ona nie może zrobić nic, tylko biernie pozwalać, aby ją przygniatał.

– Nie, nie, proszę, niech pan coś zrobi.

– Spróbuję.

Kuba zbliżył ucho do delikatnie rozchylonych ust chłopaka. Jednocześnie przyłożył mu dwa palce do żył na nadgarstku, starając się wyczuć puls. Nie wychwycił ani jednego, ani drugiego. Dodatkowo zdawało mu się, że gorączka, która trawiła go przez ostatnie godziny, teraz nagle ustąpiła. Istniało tylko jedno wyjście z tej sytuacji.

– Pomóż mi go rozwiązać – polecił Kasi.

Dziewczyna w pierwszej chwili spojrzała na niego, jakby zupełnie nie rozumiała słów, które do niej wypowiedział. Bo gwoli prawdy – nie rozumiała. Znajdowała się bowiem w zbyt wielkim szoku. Poza tym najpierw kazali go jej skrepować, związali jej chłopaka przy kaloryferze, a teraz ma go rozwiązać, również na ich polecenie?

– Szybko! – krzyknął policjant, walcząc z węzłami krępującymi jego klatkę piersiową. – Żeby mu zrobić sztuczne oddychanie, musi leżeć na płaskiej i twardej powierzchni.

– Nie, zostaw go! – znajomy głos doleciał zza pleców Kuby. Nie musiał się odwracać, aby wiedzieć, że to nikt inny jak Paweł, który właśnie dotarł na zaplecze zwabiony krzykami zatroskanej Katarzyny. Ale Kuba i tak się odwrócił. Że to był Paweł, zgadł bezbłędnie. Nie zgadł natomiast, że mężczyzna będzie dzierzył w rękach przygotowany do strzału karabinek MP5.

– Przestań go rozwiązywać, bo kurwa, przysięgam, że cię zastrzelę – wykrzyczał podbiegający do nich mężczyzna.

Kuba nie wytrzymał. Musiał się przeciwstawić teraz, liczyła się każda sekunda. Facet nie odpuści, więc Kuba musi mu pokazać, kto tu rządzi. W końcu gra toczyła się o życie tego chłopaka i nieważne, że przeciwnik ma broń. Blefował, na pewno do niego nie strzeli. Policjant błyskawicznie poderwał się z podłogi, aby przyłożyć Pawłowi, jednak komandos tylko na to czekał. Zręcznie ominął wyprowadzony cios i zdzielił policjanta kolbą, trafiając go sierpem prosto w szczękę. Uderzenie było precyzyjne i potężne – Kuba upadł nieprzytomny na stos papierów toaletowych i kuchennych ręczników, która, na jego szczęście, znajdowała się tuż obok.

Tymczasem w parterowym domku naprzeciwko sklepu ponownie zafalowała stara, żółta od tytoniowego dymu firanka.

– Zamknęli sklep – wyszeptał trzeźwiejący mężczyzna.

– No przecież ci mówiłem! – odpowiedział podniesionym głosem jego siedemnastoletni syn.

– Wiem, ale ty co chwila coś tam papłasz. Chciałem sam zobaczyć – stwierdził ojciec, puszczając swojemu dziecku pełne złości spojrzenie. – Dawno tam są?

Chłopak zastanowił się i spojrzał w sufit, jakby tam mogła być wypisana odpowiedź. Stary sportowy zegarek na jego rękę nie chodził od paru miesięcy, więc nie mógł się w tym momencie na nic przydać. No ale przecież nie mógł się pokazać między chłopakami bez zegarka, więc mimo zauważalnych braków, wciąż go nosił.

– A nie wiem, z godzinę może.

– Godzinę?! – wydarł się ojciec, waląc chłopaka w tył głowy. – Czemu mnie, kurwa, nie obudziłeś?

– Budziłem! Spałeś jak zarżnięty! I chrapałeś, że martwy by się obudził – odpowiedział, rozmasowując bolącą czaszkę i patrząc na ojca spojrzeniem pełnym wyrzutu. – Budziłem – dodał jeszcze, jakby na zapas, w przypadku gdyby za pierwszym razem ojciec nie usłyszał.

– Te, zamknąć się! – krzyknęła matka, podrywając się ze starego fotela. Odłożyła gazetę, puszkę piwa i podeszła do dyskutujących mężczyzn. – Co wy znowu? Będziecie mi się tu drzeć, to te zomby się tu najdą.

– Sklep zamknięty – odpowiedział pełnym strachu głosem chłopak. Bał się, że zaraz dostanie w łeb od matki, nie tyle, że coś źle zrobił, tylko dlatego, że jakoś będzie musiała wyładować złość.

– Coooo?! Nasz sklep zamknęli? – zapytała głosem pełnym niedowierzania. Wepchnęła swoje małe, tłuste łapki pomiędzy mężczyzn, odsuwając niemniej tłustą firankę.

– A niech mnie chuj – wyszeptała, zerkając na zaciągniętą do samej ziemi roletę antywłamaniową. Jej uwadze nie umknął również fakt, że i brama została zamknięta. – Widziałeś kto?

– Tak – odpowiedział syn, a jego brudną twarz rozświetlił uśmiech zadowolenia. – Jakaś taka grupa.

Ojciec znowu zdzielił chłopaka w głowę. Ten zacisnął zęby i posłał mu wojownicze spojrzenie.

– Za co?!

– Grupa-srupa! Kto tam wszedł? Znasz ich? Dużo ich było? – rodziciel zasypał go gradem pytań.

Synek potrzebował chwilę, żeby ochłonąć, po drodze starając się przypomnieć sobie, ile faktycznie w tej „grupie” było osób.

– Nie wiem, z pięć chyba. Kilku facetów, dwie baby, jakiś brudas. I Kaśka z nimi była z tym swoim pedałkiem.

– Gruba Kaśka? – spytała matka.

„Bo ty jesteś taka chuda” – pomyślał chłopak, po czym szybko odpowiedział, aby nie dostać znów po głowie.

– Tak.

– No to ładnie. I co teraz? – zapytała mamuśka po raz kolejny.

Ojciec zaczął się zastanawiać nad nowym problemem, ale matka szybko zauważyła, że może trochę potrwać, zanim zaproponuje jakieś rozwiązanie. Musiała użyć argumentu, który szybciej do niego przemówi.

– Co my teraz będziemy pić? – zapytała cicho, starając się ukryć strach w swoim głosie. Słyszając to, ojciec ewidentnie się obruszył. Coś mu drgnęło pod powieką, a usta momentalnie wypełniły się śliną.

– Mówiłam, że od razu powinniśmy wszystko zabrać, ale wy nie, trzy flaszki wam wystarczyły – dodała, aby podkreślić swoją rację.

– Trzeba ich wygonić, zanim nam wszystko wypiją – powiedział cicho syn.

– Skurwysyny... no tak – wyszeptał ojciec. Naraz jakby sobie coś przypomniał: – Czemu mnie nie obudziłeś wcześniej! Cóżes przez godzinę robił? – ponownie chciał zdzielić dziecko w łeb, jednak tym razem syn się uchylił.

Nie zdążył odpowiedzieć, bo z pokoju obok wyszła jego osiemnastoletnia siostra, dopinając ostatni guzik starej, wypłowiałej koszuli.

– Czego tak morderczy drzecie? – zapytała tylko, podchodząc do ojca. Przytuliła się do niego. Ojciec posłał synowi spojrzenie, ale nie było w nim już złości. Cieszył się, że ten jest prawdziwym mężczyzną i daje upust swoich nastoletnim żądzom.

– Jebańce, wam tylko jedno w głowie – odpowiedziała matka, wracając na swój stary, zapadnięty prawie do samej podłogi fotel.

Synalek posłał ojcu uśmiech, wiedząc już, że tym razem mu się upiekło. Zamiast dostać w łeb, dostał pochwałę, co było ostatnio coraz większą rzadkością.

– Dobra, coś wymyślimy. Ale to za chwilę – stwierdził, podczas gdy jego ręka znajdująca się na plecach córki, zaczęła zjeżdżać niżej.

– Ej, won z tymi łapskami! – krzyknęła Marta, odpychając rękę ojca. Ten tylko zaśmiał się paskudnie, swoim charkliwym, przepitym głosem.

– Wyluzuj, młoda. Jak tam nasza dziewczyneczka, wymęczyłaś ją pewnie, co? – zapytał.

Marta spojrzała na niego ze złością w oczach, jednak w ułamku sekundy, jakby całą frustrację ręką odjął – uśmiechnęła się, spojrzała rozmarzonym wzrokiem w górę.

– Nie tylko ja, Krzysiek tam trochę wcześniej powalczył – posłała bratu dwuznaczne spojrzenie. – Ale nic po niej, znowu zemdlą, cipa jedna. Chyba za mocno ją zwiążaliście, bo ma sine dłonie i trochę krwawi.

– Inaczej by uciekła. No ale dobra, to ja może później – odpowiedział ewidentnie smutny ojciec i powrócił do obserwowania sklepu.

ŁOMIANKI, GODZINA 18:13.

Inspektor Jakub Drejer powoli otworzył oczy, wcześniej kilkakrotnie nimi mrugając. Ból towarzyszący powrotowi świadomości był niczym kubel zimnej wody, wylany na jego uśpiony, brutalnie wyłączony umysł. Jego dłonie od razu powędrowały do obolałej szczęki, macając ją i sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu.

– Kochanie, żyjesz? Nic ci nie jest? – zapytała z troską w głosie Natalia.

„Nie, oczywiście, że nic mi nie jest. Zostałem tylko znokautowany, ale to nic, czuję się poza tym wyśmienicie” – pomyślał.

– Nie, jest okej – powiedział tylko.

Zona z troską wpatrywała się w jego obolałą twarz, ale policjant nie miał teraz czasu na amory. Ignorując ból, wyrzwał za nią, próbując znaleźć chłopaka, którego nie udało mu się uratować. Oczy mi wyobraźni widział luźne węzły, leżące swobodnie na podłodze zaplecza. „Pewnie ten wojskowy palant go zastrzelił, a zwłoki wyrzucił ze sklepu” – pomyślał. Ba, jakby mógł, to założyłby się o wszystkie pieniądze, że tak właśnie się stało.

I teraz byłby bez grosza przy duszy.

Kamil tkwił na swoim miejscu. Wokół niego nie było krwi, nie miał dziury po kuli w czole ani w klatce piersiowej. Ciągle był związany tak jak wcześniej, jednak coś było inaczej. Kuba wiedział to, jeszcze zanim dostrzegł świadczący o tym szczegół – knebel w ustach skrupowanego chłopaka – i poczuł, jak wzbiera w nim strach, gdyż zaczynał powoli pojmować, co się wydarzyło. Ale dopiero gdy jego wzrok trafił na szeroko otwarte oczy chłopaka, policjant poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła, a strach, którego przed chwilą doświadczył, był niczym w porównaniu do grozy, jaka momentalnie go przepełniła. Miał wrażenie, że zagląda w oczy jakiemuś mitycznemu demonowi, który za pomocą mrocznej magii przedostał się do świata śmiertelników tylko po to, aby pożreć jego duszę.

Odwrócił wzrok i spojrzał na Natalię, która wpatrywała się w męża względnie spokojnym i ciepłym spojrzeniem, jednak w kącikach jej oczu kielkowało coś na kształt rezygnacji. Wyglądała jak człowiek, który po wielu latach walki pogodził się z nieuleczalną chorobą, przez co nie musiał się jej już dłużej bać. Ten pełen rezygnacji spokój jego żony przeraził Kubę jeszcze bardziej. Jeżeli jego Natalia nie reaguje jakoś żywiołowo, nie krzyczy, nie ucieka, to znaczy, że sytuacja trwa już od jakiegoś czasu. Jak długo był nieprzytomny?

Kamil, pomimo zgonu teraz zaczął się szamotać, próbując wyswobodzić się z węzłów. Gdyby nie one, z pewnością rzuciłby się na policjanta oraz na Natalię, jednak kable wytrzymały. Kaloryfer również. Kuba patrzył na to wszystko, ale miał wrażenie, jakby przyglądał się przygodom kogoś to-

talnie obcego. Jakby siedział u siebie w mieszkaniu na starej, wysłużonej kanapie z IKEA i najzwyczajniej w świecie oglądając film o zombie, popijając do tego zimne piwko i zagryzając wszystko paprykowymi chipsami.

Nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć, nie wiedział, jak ma się zachować, nie wiedział, co robić. Nie wiedział już nic. Nie chciał wiedzieć ani nawet zastanawiać się nad tym. Chciał znowu stracić przytomność, bo tak było najłatwiej. Gdy kotara nieświadomości opadła, było cicho i spokojnie, a dokładnie tego w tym momencie potrzebował. Jednak gdy do jego skołowanego umysłu dotarło, że to właśnie on, a nie ktoś inny jest głównym bohaterem rozgrywających się scen, Kuba zaczął wierzgać nogami, jakby chciał się wycofać i dosłownie wejść w ścianę. Natalia starała się jakoś uspokoić męża, ale ten zdawał się jej nie zauważać.

– Spokojnie – dobiegł do niego głos, gdzieś jakby zza pleców. Znienawidzony głos. To on sprowadził Kubę na ziemię.

– Co jest, do cholery – zapytał, odwracając się, chociaż doskonale znał odpowiedź. Chciał zamienić swój strach w agresję, rozszarpać tego, który wypowiedział to słowo, a potem uciec. Uciec i biec przed siebie, nie bacząc na to, gdzie go nogi poniosą.

– Wiesz przecież. Nie bój się, nie wyrwie się. Dobrze go związaliśmy.

Kuba szybko oddychał. Widział dużo makabrycznych scen z racji wykonywanego zawodu. Widział zwłoki dzieci, żon, ojców, przypadkowych przechodniów. Ciała pocięte nożami czy siekierami, napuchnięte i białe zwłoki topielców. Widział dużo, ale nigdy nie widział tego, co widzi teraz. Resztką zdrowego rozsądku nakazał sobie spokój, chociaż kosztowało go to naprawdę wiele. Powoli odzyskiwał panowanie nad sobą. Wracała ostrość widzenia i trzeźwość umysłu.

„Jeżeli chcieliby mnie zabić, to nie czekaliby na to, aż się ocknę” – pomyślał. „Poza tym, przecież nikt z tu zebranych nie chciał mojej śmierci” – uświadomił sobie po chwili.

No tak, nie zastrzelił go, zostawił chłopaka, żeby mu pokazać, że faktycznie miał rację. A może po to, żeby go upokorzyć? Żeby samemu się przekonać, czy się nie mylili? Motywacja żołnierza chyba nie miała najmniejszego znaczenia, liczyło się tylko to, że teoria została podparta argumentem, którego nie sposób było podważyć.

Odwróciwszy się, zobaczył Pawła siedzącego na schodku prowadzącym do sklepu. Na jego kolanach cały czas spoczywał karabinek MP5. Tuż za nim, pod ścianą siedziała Kaja, trzymając głowę w rękach opartych o kolana. Kasi ani Maxa nie było nigdzie widać. Mężczyźni mierzyli się wzrokiem przez kilkanaście ładnych sekund, chociaż w chłodnym spojrzeniu komandosa nie dało się zbyt wiele wyczytać. Tak, udowodnił, że miał rację, jednak nie wyglądał, jakby się z tego specjalnie cieszył – bo i z czego tu się cieszyć? To zdarzenie pokazało dobitnie, że nawet nie mogą pozwolić, aby łażący wokół zombie ich ugryźli, bo to będzie oznaczało koniec ich brawurowej ucieczki z przeklętego miasta.

– Przepraszam, ale musiałem to zrobić – powiedział Paweł, kiwając delikatnie głową w stronę policjanta.

– Wiem. Dobre trafienie – skomentował Kuba i potarł cały czas bolącą szczękę. – Długo byłem

nieprzytomny?

– Jakieś pół godziny, nie więcej.

– Aha. Jak udało wam się założyć knebel Kamil... eee... temu czemuś?

– Zrobiłem to, jeszcze zanim się obudził. Jak odpadłeś, zbadalem mu puls i tętno, nie było ani jednego, ani drugiego, nie oddychał, a jego gorączka spadła praktycznie do zera. Nie wiem, jak to możliwe w tak krótkim czasie, ale to nieważne. Musieliśmy go szybko związać, bo nie wiedzieliśmy, po jakim czasie się obudzi. Nie wiedzieliśmy, czy w ogóle się obudzi, ale nie mogliśmy ryzykować i ani go zastrzelić, ani pozostawić bez dodatkowego zabezpieczenia, rozumiesz? No i go związaliśmy. Od razu. I wiesz co? – Po tym pytaniu zrobił teatralną pauzę. – Otworzył oczy po dwóch minutach i czterdziestu siedmiu sekundach.

Kuba wpatrywał się w Pawła, by po chwili przenieść wzrok na Kamila, który cały czas szamotał się i próbował wyswobodzić z węzłów. Miało się wrażenie, że chłopak wydawał z siebie jakieś dźwięki, niemniej knebel skutecznie spełniał swoją rolę.

„Mniej niż trzy minuty” – pomyślał Drejer. „Muszę zapamiętać, że to mniej niż trzy minuty”.

– I co dalej? Chyba nie będziemy go tu trzymać? – zapytał, wstając z podłogi. Zakręciło mu się w głowie, więc wsparł się o stojącą przy nim Natalię.

– Nie, zamkniemy go w łazience – odpowiedział Paweł.

– Tu za drzwiami jest jakaś drewniana przybudówka – powiedziała Kaja, kładąc dłoń na ramieniu ojca. – Może tam „to” zamkniemy?

– Przybudówka? Może to nie jest głupi pomysł. W sumie, jeżeli zostaniemy tu na noc, kibel może się nam przydać.

– A zostajemy tu na noc? – zapytał Kuba.

– A masz lepszy pomysł? – odpowiedział pytaniem Paweł.

Nie miał.

– Dobra, Kaja, ta przybudówka była otwarta? – zapytał Paweł, patrząc na córkę. Momentami ciężko było mu uwierzyć w to, że trafił na nią na Polach Mokotowskich.

„Jednak opatrność istnieje” – pomyślał. I ta jedna myśl na chwilę odgoniła ciemne chmury gromadzące się nad jego głową, robiąc miejsce jasnemu strumieniowi ciepłego światła, które nappełniło komandosa zarówno spokojem, jak i nadzieją. Niemniej, jeżeli opatrność istnieje, to dlaczego pozwala na to, co się dzieje od paru dni? Chmury ochoczo nadciągnęły z powrotem.

– Nie, zamknięta. Nie sprawdzałam jej, zamknęłam tylko bramę. Przy samochodzie leżą dwa trupy. Chłopak wygląda, jakby ktoś go zaatakował od tyłu, ale nie było tam nikogo więcej.

Kaja powiedziała to bardzo szybko i rzeczowo. Na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że wspomnienia tego, co widziała za brązowymi drzwiami, nie należą do najprzyjemniejszych i że dziewczyna nie zamierza wchodzić w zbędne szczegóły. Paweł myślał przez chwilę, zastanawiając się, co powinni zrobić, chociaż właściwiej byłoby powiedzieć – jak to zrobić.

– Okej. Przeniesiemy go do tej przybudówki – powiedział, wskazując na Kamila. – Wyjdę i sprawdzę, co i jak.

Nie czekając na decyzję pozostałych, komandos wstał i podszedł do drzwi. Wyjrzał przez judasza, który ukazywał fragment podjazdu. Niczego specjalnego nie było widać – ot kawałek siatki odgradzającej teren sklepu od sąsiadów, śmietnik, tył samochodu i jakieś stare skrzynie po owocach. Mężczyzna żałował, że nie ma okna wychodzącego na tę stronę budynku lub że sklep nie miał zainstalowanego monitoringu. No, ale nie można mieć przecież wszystkiego. W sumie i tak trafiło im się idealne miejsce, jakby nie patrzeć. Przekręcił cicho zamek w drzwiach i powiedział do córki:

– Jak tylko wyjdę, zamknij za mną drzwi, jasne?

– Po co, przecież mogę iść z tobą, we dwójkę będziemy się ubezpieczać i będzie bezpieczniej, dla czego...

– Jasne?

Dziewczyna szybko wypuściła powietrze, a jakby mogła, to zrobiłaby to jeszcze z przytupem. W jej ciemnych oczach błysnęła złość, którą jednak zatrzymała dla siebie.

– Tak.

Paweł próbował się uśmiechnąć, żeby jakoś załagodzić sytuację, ale nie mógł. Był już zbyt skupiony na tym, co go czekało.

– No dobra. To idę.

Otworzył drzwi i wyszedł na ciepłe, lipcowe popołudnie.

Oddychał spokojnie i głęboko. Nauczony doświadczeniem dostarczał organizmowi wiele tlenu, żeby w razie potrzeby bogate w niego mięśnie mogły zareagować wystarczająco szybko. Szedł przy ścianie z pomarańczowej cegły, chwilowo zamkniętą przybudówkę pozostawiając za plecami. Uważnie stawiał stopy, bacząc na to, aby swoimi krokami nie wywołać zbyt wiele hałasu. Zamierzał podejść do bramy i sprawdzić, jak wygląda ulica. Owszem, jego zadanie było inne, lecz żeby je wykonać, musiał się rozeznać w sytuacji – musiał wiedzieć, czy w najbliższej okolicy nie kręcą się jakieś maskary, gotowe zaatakować wtedy, gdy będą próbowali przetransportować chłopaka do przybudówki. Po paru krokach minął białego, zdezelowanego dostawczaka i zbliżył się do bramy, którą wcześniej zamknęła jego córka. Bardzo powoli wyjrzał zza budynku.

Ulica była pusta, co pozwoliło Pawłowi odetchnąć pełną piersią i odrobinę ochłonąć. „Może jednak nam się uda?” – pomyślał. Zanim wyszedł ze sklepu, oczami wyobraźni widział wałęsających się po ulicy Partyzantów zombie, lecz teraz, jak tylko okiem sięgnąć – nie było widać ani jednego z nich. Zatem może uda im się przeżyć. Może popadały z głodu? Może wszystkie ruszyły w stronę miasta, gdzie zwabiło je... sam nie wiedział co. Hałas? Pożary? Wystrzały? Zrugął się w myślach za to, że zamiast się skupiać i myśleć racjonalnie, szukał na siłę beznadziejnych wymówek. Istnieje szansa, powtarzał sobie w duchu. I musiał to powtarzać, inaczej jego walka nie miałaby najmniejszego sensu. Zawsze jest jakaś szansa, zawsze jest nadzieja. W końcu to ona umiera ostatnia, nawet gdyby przy tym miała dławić się własną krwią.

„Powiedz to Tomkowi”, usłyszał w głowie głos Kuby. Przeklął w myślach. Próbował sobie wmówić,

że zrobił dobrze. Że zrobił to, co trzeba było zrobić. Czasami człowiek jest zmuszony do podejmowania trudnych decyzji, nieważne, czy się z nimi zgadza, czy nie. To był właśnie jeden z takich momentów i Paweł przeczuwał, że czeka go jeszcze więcej takich wyborów.

Wtedy jego oczy ujrzały słupy dymu unoszące się gdzieś w oddali po drugiej stronie ulicy. Nie rozumiał, jak mógł nie zauważyć ich od razu. Może wyglądały dla niego jak drzewa lub kominy? A może nie widział ich dlatego, że patrzył, ale tak naprawdę nie widział niczego. Po raz kolejny w ciągu ostatnich paru chwil zrugął się w myślach.

„Skup się” – nakazał sobie w duchu. „Skup się”.

Zmarszczył brwi, przymknął powieki, pozostawiając między nimi tylko wąską szparkę, przez którą zerknęły jego szare oczy. Patrzył parę sekund w każdą ze stron ulicy, wypatrując najmniejszego ruchu, samemu pozostając nieruchomym. Gdyby nadeszła taka potrzeba, potrafiłby tkwić tak i kilka godzin, jednak teraz to nie było potrzebne. Czysto. Może okolica jest atakowana, może jest wymarła – to drugie raczej na pewno – ale ogólnie Paweł nie wiedział nic. Pewnie ludzie pochowali się po domach lub pouciekali, pozostawiając cały dobytek – to w sumie i tak nieważne. Ważne było tylko to, że najwyraźniej chwilowo mieli spokój. Mężczyzna był jednak świadom faktu, że takie chwile nie trwają wiecznie, a co więcej, bardzo szybko się kończą. Trzeba działać, póki mają ku temu okazję.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę przybudówki. Zdążył jeszcze zerknąć między samochód a siatkę ogradzającą posesję – tak jak mówiła Kaja, leżały tam dwa ciała. Martwy, wytatuowany chłopak wybrał miejsce równie sprytne, co zdradzieckie – w wąskim przesmyku było go ciężiej dopaść, chyba że zaszło się go od tyłu, co też agresor musiał uczynić. Pawłowi przypomniało to pewną starożytną bitwę. Skojarzenie było bardzo na miejscu, komandos stwierdził, że będzie czerpał z niego siłę. I nieważne, że jego bohaterowie polegli. Ważne było to, co uczynili przed śmiercią.

Parę chwil później delikatnie, najciszej jak potrafił, otworzył drewniane drzwi przybudówki. Spodziewał się ataku zombie znajdującego się w środku – nie wiedział czemu tak myślał, ale wołał się nastawić na najgorsze – w końcu ktoś, kto pozbawił życia chłopaka, musiał być gdzieś tu w pobliżu. I Pawłowi wcale nie chodziło o jego własną córkę.

Uchylił dyktę (bo raczej tak należało nazywać drzwi przybudówki) na mniej niż pół metra i zrobił dwa kroki w tył. Jego plan był prosty – jeżeli w środku był jakiś zombie, to zwabiony światłem i ruchem najprawdopodobniej rzuci się w jego stronę. Wtedy mężczyzna będzie miał wystarczająco dużo czasu na reakcję, jak i wystarczająco dużo miejsca na oddanie strzału.

Jednak nic się nie wydarzyło. Paweł wiedział, że przez wizjer umieszczony w brązowych, antywłamaniowych drzwiach obserwuje go Kaja. Czuł na sobie jej spojrzenie, wiedział, że córka się o niego martwi.

Skup się.

Zajrzał do środka. Słońce rzucało jeszcze ciepłe promienie na zawartość składziku, obnażając stosy zgniecionych kartonów, skrzynie po owocach, pojemniki po mięsie i plastikowe skrzynki po piwie. Wszystko puste, czekające na dostawców, którzy za parę dni mieli zapewne po nie przyjechać

i zabrać, wymieniając na pełne. Dodatkowo stały dwa regały po części zastawione niesklasyfikowanym badziewiem i złomem. Poza tym Paweł nie zauważył żadnego zombie, nawet nie trafił na ślad po nim – nie to, żeby te stwory zostawiały po sobie ciągnący się śluz czy inny równie przyjemny biologicznie twór – komandos szukał w składziku śladów krwi czy chociażby fragmentów ludzkich ciał. Śladów walki. Czegokolwiek, co świadczyłoby o ich obecności. Na szczęście okazało się, że prawdopodobnie żaden nie postawił tu swojej splugawionej stopy. Dodatkowym plusem składziku było to, że na jego szkielet składały się drewniane belki, grubości około dwunastu centymetrów każda. W oczach Pawła natychmiast powstał plan – wystarczy wybić dziurę w płycie wiórowej robiącej za ścianę po obu stronach belki i przewlec przez nią kabel – w taki sposób będą mogli przywiązać do niej chłopaka.

Odsunął kilka skrzynek, robiąc miejsce dla Kamila. Wrócił na podwórze, gdzie znalazł ciężki, stalowy nóż do krojenia mięsa. Zbutwiałe płyty ustąpiły szybciej, niż się tego spodziewał, toteż po kilku minutach odsunął się od belki i spojrzał na swoje dzieło – cztery otwory wielkości pięści, po dwie na każdą stronę belki.

„Powinno wystarczyć” – pomyślał.

Zadowolony z siebie odwrócił się i ruszył ponownie w stronę sklepu.

Kaja otworzyła mu drzwi. Wcześniej rozkazał, żeby je zamknęła tuż po jego wyjściu, co dziewczyna, pomimo licznych sprzeciwów, uczyniła. Oczywiście, stała i bacznie śledziła poczynania ojca przez wizjer, gotowa w każdej chwili złamać nakaz i wybiec mu na ratunek. Paweł o tym doskonale wiedział, ale czasami rodzice muszą postawić na swoim, jakkolwiek głupio by to nie brzmiało.

– I jak? – zapytała.

– Miejsce jest dobre. A nawet bardzo dobre – odpowiedział jej ojciec, zarzucając karabinek na plecy. – Bierzemy go. Max, pomóż nam – rzucił w stronę sklepu, wynurzając głowę z korytarza i szukając wzrokiem chłopaka. Zanim go spostrzegł, zobaczył siedzącą w kącie dziewczynę Kamila. Miała czerwona, opuchniętą od płaczu twarz. Spoczywała na podłodze, rękami obejmując kolana. Obok niej stała otwarta i już częściowo opróżniona flaszka wódki.

„Później trzeba będzie się nią zająć” – pomyślał mężczyzna. W międzyczasie Max wstał i ruszył w stronę Pawła.

– Co mam robić? – zapytał, podchodząc do mężczyzny.

– Chodź. Przydasz się – odpowiedział tylko i wrócił na zaplecze.

Zatrzymał się niespełna dwa metry od Kamila. Ten, widząc zbliżającą się ofiarę, zaczął się szamotać i wrywać. Kaloryfer wydawał przy tym dźwięki, jakby zaraz miał się rozlecieć. Na szczęście wytrzymał. Nikt z obecnych na zapleczu nie miał ochoty sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby chłopak się uwolnił. Wszyscy i tak wiedzieli, jak by się to skończyło. Wliczając w to nawet Kubę.

– Dobra – zaczął Paweł. – Kaja, jak go weźmiemy, to otworzysz nam drzwi i będziesz nas osłaniała od strony ulicy. Nikogo tam nie było, ale mogą się pojawić.

Dziewczyna w skupieniu przytaknęła, zaciskając usta w wąską kreskę.

– Max, jak go doprowadzimy do tego składziku, ja go przytrzymam przy ścianie, a ty obwiążesz

kablem belkę. Zrobiłem w ścianie kilka dziur, przełożysz przez nie kable i z całej siły je zaciągniesz.

Chłopak pokiwał kudłatą głową, co prawdopodobnie oznaczało aprobatę.

– Dobra, zrobi się – dodał. Jednak w tym momencie przeniósł wzrok na szamoczącego się potwora, którego nie dość, że miał dotknąć, to jeszcze przetransportować i związać. Pomyślał, że wbrew słowom Pawła nie będzie lekko.

– Ej, spokojnie – powiedział, jakby czytając w jego myślach Paweł. – Knebel mocno siedzi, nie ugryzie cię. Ani nikogo innego.

Max uniósł swoje brązowe oczy i wlepił je w komandosa. Chłopak bał się, co było absolutnie normalnym zachowaniem, ale wiedział, co należało zrobić. Tłumaczył to sobie w taki sposób, że chwila strachu minie szybko, a dzięki temu będą mogli spędzić w tym sklepie bezpieczną noc. Była to cena, którą chętnie zapłaci.

Nagle stało się coś, czego żaden z nich się absolutnie nie spodziewał – Kuba podszedł do nich i zapytał, jak może pomóc. Pomimo zaskoczenia, Paweł bez zbędnego wahania postanowił zrobić pożytek z dodatkowej pary silnych rąk.

– Chcemy go wynieść i przywiązać w pomieszczeniu na zewnątrz – zaczął tłumaczyć, ale policjant mu przerwał.

– To wiem – powiedział nieco zamyślony, wpatrując się w Kamila. – Poczekaj, daj mi chwilę.

Komandos zmarszczył brwi, ale niczego nie odpowiedział. Był ciekawy, na jaki pomysł wpadł Pan Inspektor, który właśnie wyszedł.

Kuba nie kazał na siebie długo czekać. Wrócił, niosąc w rękach dziwne, pozornie nieprzydatne i niezwiązane ze sobą rzeczy – worek po ziemniakach i przeźroczystą folię do pakowania wędlin.

– Masz jeszcze jakieś kable? – zapytał Pawła.

– Nie, znalazłem tylko dwa przedłużacze. Może jeszcze jakieś znajdziemy w biurze – stwierdził i ruszył w stronę kolejnego pomieszczenia. Faktycznie, w dolnej szufladzie biurka znaleźli jeszcze jeden przedłużacz, ale też dwa długie kable telefoniczne. W ich aktualnej sytuacji to więcej, niż potrzebowali.

– Dobra, to zrobimy tak – powiedział Kuba, przyglądając się Kamilowi. – Zwiążaliście mu obie ręce razem, ale chce to trochę zmienić – stwierdził, kucając przy Kamilu. Chłopak ożywił się przy tym jeszcze bardziej, jego oczy przepelniała wściekłość i furia, jakiej żaden z nich nigdy wcześniej nie widział. No, może nie licząc ostatnich paru dni.

– Hm... – mruknął Kuba, zaglądając w oczy zombie. – No może jednak nie, zaczniemy inaczej – stwierdził i założył chłopakowi worek po ziemniakach na głowę. Raz, że dzięki temu nie będą musieli oglądać jego parszywej gęby, a dwa, że wtedy jeszcze trudniej będzie mu cokolwiek ugryźć.

Gdy głowa Kamila zniknęła w pachnącym ziemią i wilgocią jutowym worku, Kuba założył pętlę na jednym z jego nadgarstków. Z drugiego kabla zrobił kolejną pętlę, zakładając ją na drugi.

– Co chcesz zrobić? – zapytał Paweł.

– Chcę związać jego ręce oddzielnie, przywiązać je do ciała, po przekątnej. Wiesz, jak w kaftanie bezpieczeństwa. Wtedy będzie mu trudniej się ruszyć. Związane razem są dużo bardziej niebez-

pieczne.

– Okej, dobra myśl – wyraził swoją aprobatę komandos. Pomysł nawet przypadł mu do gustu.

Kabel wiążący lewą dłoń przełożyli nad szyją po prawej stronie chłopaka, natomiast drugi, krępujący prawą dłoń – poniżej pachy po lewej stronie. Zrobili tym samym z jego ciała dźwignię, która posłuży im do naciągnięcia wiązań. Oczywiście, to nie było takie proste, jak mogłoby się wydawać, gdyż Kamil cały czas walczył, rzucał się i próbował się oswobodzić. Na szczęście tylko w zakresie, na jaki pozwalały mu założone wcześniej więzy.

– Max – powiedział Kuba. Oddychał szybko i z trudem. Na czole wystąpiły mu duże krople potu. – Rozwiąż mu ręce, a my wtedy pociągniemy za kable i przyciśniemy je do jego ciała, dobra? Tylko musimy to zrobić równo.

– Okej.

– Gotowi? – zapytał policjant. Pozostali nie odpowiedzieli, tylko wpatrywali się w szamoczącego się potwora. Kuba uznał to za potwierdzenie.

– Dobra. Teraz!

Wszystko trwało ułamek sekundy. Max poluzował i zdjął kable z rąk zombie, który, wyczuwając luz, natychmiast spróbował zaatakować – jednak Paweł i Kuba byli szybsi – zamiast w stronę szyi Maxa, ręce Kamila powędrowały w górę jego ciała, aby szczelnie do niego przylgnąć. Mężczyźni naciągnęli kable, potem wymienili się nimi kilka razy, owijając klatkę piersiową i brzuch chłopaka. Na końcu związali je razem ze sobą, co według Kuby nie było najlepszym rozwiązaniem, ale nie mieli innego wyjścia, bo jeden z kabli po prostu się skończył.

Kuba odetchnął z ulgą.

– Nawet nieźle poszło, nie? – zapytał, obnażając w uśmiechu żółtkłe od tytoniu i kawy zęby.

– No, chyba – odpowiedział komandos.

– Okej, to teraz jeszcze jedno. Jak go odwiążemy od grzejnika, to jeszcze chcę owinać skurwiela tą folią.

Max i Paweł spojrzeli na Kubę.

– Folią? Po co? – zapytali niemalże jednocześnie.

– Podwójne zabezpieczenie. Jeszcze trudniej będzie mu się ruszyć.

– A mogłem go po prostu zastrzelić – mruknął Paweł, niby szeptem i do siebie, ale tak, aby każdy z nich słyszał jego słowa. Policjant zignorował docinek.

Okazało się, że założenie planu Kuby może i było niegłupie, jednak techniczne owinięcie folią nieumarłego przysporzyło im więcej kłopotów, niżby tego chcieli. Dwóch silnych mężczyzn musiało trzymać go z całych sił, pocąc się przy tym i stękając z wysiłku, podczas gdy Max razem z Kają obwijali go całego, skutecznie krępując ręce i prawdopodobnie skrajnie utrudniając oddech. Chociaż o tym drugim nikt z nich nawet nie pomyślał. Gdy skończyli, stwierdzili, że nie zaszkodzi owinać też i nóg.

Kilka minut później zombiak owinięty w folię spożywczą leżał na podłodze, gotowy do wyniesienia.

– Jezu, zobaczcie, jak on wygląda – powiedziała Kaja. Pomimo absurdalności i grozy całej sytuacji na jej ustach wykiełkował delikatny uśmiech.

– No, jak kebab albo jakaś ryba złapana w sieć – odparł Max, zaśmiewając się niemalże w głos.

Kuba również zaczął się śmiać, chociaż był to śmiech przez łzy – mężczyzna nie potrafił jeszcze do końca zaakceptować faktu, że którakolwiek z osób, z którymi zamienił chociażby dwa słowa, może zamienić się w takiego potwora.

– Ej, bierzemy go. Miejmy to już z głowy – rzucił Paweł. Jemu nie było do śmiechu. Kaja spojrzała zaskoczona na swojego ojca. Zawsze miał niezłe poczucie humoru, nigdy nie stronił od żartów, nawet w najtrudniejszych sytuacjach potrafił ją rozśmieszyć jakimś głupim tekstem, a teraz? Zmienił się w zimnego, pragmatycznego żołnierza. Nie padł rozkaz, aby się śmiać, więc się nie śmiał.

Paweł uchwycił spojrzenie córki. Nie miał ochoty teraz jej tłumaczyć, że najważniejsze jest zapewnienie bezpieczeństwa całej grupie, że chwilowo nie może myśleć o niczym innym. Też by się chętnie pośmiał, ale nie może, bo jego myśli przepętnia strach także o jej los.

– Zombie na wynos, raz! – powiedział podniesionym głosem Max. Kaja zaśmiała się tym razem już głośno, to samo uczynił Kuba. Niespodziewanie Natalia, do tej pory obserwująca ich poczynania z boku, również dołączyła do zabawy:

– Wygląda jak foka! – stwierdziła, chociaż nikt z zebranych nie mógł się dopatrzeć podobieństwa.

Paweł próbował ich uspokoić, ale bezskutecznie. Co chwila ktoś rzucał kolejny żart i wszystkim było coraz bardziej do śmiechu. Komandos wiedział, że głupawka musi im minąć sama, że czasami ludzie w taki sposób właśnie odreagowują stres. W końcu uległ i sam się zaśmiał, próbując zrozumieć absurdalność całej sytuacji. Poza tym porównanie związanego chłopaka do burrito uznał za faktycznie całkiem zabawne.

Nagle Max skierował swoje spojrzenie na korytarz prowadzący do sklepu. Natychmiast przestał się śmiać i przetarł dłonią mokrą od łez twarz. Kaja, nim powędrowała za jego wzrokiem, pomyślała, że ktoś nie zamknął drzwi. Że zombie wdarli się do środka, a stąd nie ma miejsca ucieczki i wszyscy zginą. Jednak dziewczyna się myliła – w przejściu stała tylko Kasia. Po jej twarzy spływały ciężkie, słone krople łez, jednak usta dziewczyny były wykrzywione w grymasie wściekłości.

– Skurwysyny – powiedziała cicho, ale to jedno słowo zabrzmiało mocno, niczym uderzenie w dzwon.

Wszyscy błyskawicznie spowaźnieli. Odwrócili wzrok od stojącej dziewczyny niczym od rodzica, który przyłapał nas na gorącym uczynku. „My? Nie, skąd. To nie ja, to on zaczął”.

Zabijając niezręczną ciszę, odezwał się Paweł:

– Bierzemy go – zarządził.

Unieśli Kamila we czwórkę, podczas gdy Kaja ruszyła otworzyć drzwi.

– Chodźcie – wyszeptwała, sprawdzwszy najpierw otoczenie. Gdy przechodziła obok Kasi, ta odsunęła się, wracając do wnętrza sklepu, jednak wcześniej posłała wszystkim spojrzenie, które gdyby mogło, strąciłoby ich na samo dno piekła.

Z trudem udało im się donieść chłopaka do kanciapy. Następnie ustawili go w przygotowanym

przez Pawła miejscu, tyłem do słupa, do którego miał zostać przywiązany. Podczas gdy mężczyźni go przytrzymywali, Max owijał wokół Kamila kable.

– Czemu po prostu nie przywiązaliśmy go za nogę, czy coś? – zapytał. Teraz dziękował w duchu Kubie za ten pomysł z folią spożywczą, która odgradzała go od zombie. Dzięki temu Max mógł sobie wyobrazić, że przywiązuje do belki kawałek mięsa lub chociażby zwłoki, co było znacznie lepszą opcją od przywiązywania żywego trupa.

– Chcę mu jutro zdjąć ten worek i zobaczyć, co się stanie – wysapał Paweł.

– Aha. Na dobrą, skończyłem – stwierdził chłopak.

Kuba i Paweł powoli puścili Kamila, odsuwając się, aby z odpowiedniej perspektywy przyjrzeć się swojemu dziełu.

– Chodźmy stąd – powiedział zrezygnowany i zmęczony policjant. – Mam dość zombie na dzisiaj.

Pozostali mu przytaknęli. Tylko Paweł, wychodzący jako ostatni, zanim zamknął drzwi przybudówki, zatrzymał się i spojrzał ponownie na Kamila. Chłopak lub to, czym się stał, cały czas się szamotał, próbując się oswobodzić. Wyglądało na to, że w ogóle się nie męczył, jakby mógł tak tańczyć całą noc.

I po co to wszystko?

Z tą pesymistyczną myślą Paweł zamknął drzwi, po chwili znikając w sklepie, do którego również wszedł jako ostatni. Zupełnie nie miał ochoty podchodzić do bramy i sprawdzać, czy jacyś inni zombie nie usłyszeli ich śmiechu lub czy po prostu nie pojawili się przypadkiem przed sklepem. O tym będzie myślał jutro, natomiast teraz – jak to trafnie określił Kuba – już dość zombie na dzisiaj.

GDAŃSK, GODZINA 18:32.

Szanowni państwo, serdecznie dziękujemy za wybranie «Korsarza»! Za parę minut dobijemy do portu, prosimy o przestrzeganie poleceń załogi podczas opuszczania statku”.

Stara, sfatygowana łajba udająca statek wycieczkowy, skierowała zbutwiały dziób w stronę nadbrzeża. Późne popołudnie leniwie przepoczwarzało się w wieczór, dzięki czemu słońce już nie paliło, tylko przyjemnie grzało plecy pasażerów. Jeszcze z dala od miejskiego gwaru, pośród szumiących fal i skrzeku wszędobylskich mew, Magda poczuła się prawdziwie szczęśliwa. Ujęła dłoń Janka w swoje ręce i uśmiechnęła się serdecznie. Lubiła go obserwować. Po chwili przysunęła się i pocałowała go, zupełnie ignorując niechęć chłopaka do publicznego obnażania swoich uczuć. Czasem było trzeba i już. Magda wiedziała, że jeszcze minie trochę czasu i Janek się do tego przyzwyczai. Tymczasem – co było dla niej niemałym zaskoczeniem – Janek odwzajemnił pocałunek.

– Ale czadersko, co? – zapytał, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Pytasz o pocałunek czy ogólnie o wycieczkę?

Chłopak zaśmiał się w głos.

– Ogólnie. Jest... właśnie tego potrzebowałem – stwierdził, obejmując dziewczynę swoimi długimi, szczupłymi ramionami.

Magda nie skomentowała. Nie chciała psuć słowami tej doskonałej chwili, toteż po prostu wtuliła się w niego, prosząc Boga, aby ten moment trwał jak najdłużej.

Niestety, poczucie błogości minęło równie szybko, jak się pojawiło. Dziewczyna nagle odsunęła głowę od torsu Janka, przyglądając się dziwnej krzątaninie na nadbrzeżu. Widziała, jak kilka osób bieгло w stronę morza, inni zwyczajnie stali i przyglądali się z bezpiecznej odległości, najprawdopodobniej nie wiedząc, ani co się dzieje, ani jak mają się zachować. Zupełnie tak jak ona teraz.

– Co jest? – zwrócił uwagę zaniepokojony jej zachowaniem Janek.

– Nie wiem, zobacz, chyba coś się tam stało – powiedziała, zerkając na niego.

Naraz usłyszeli krzyk. Magda powróciła wzrokiem do miejsca, do którego bardzo powoli się zbliżali, i poczuła, jak zalewa ją fala niemalże zwierzęcego strachu. To, co się tam działo, nie wyglądało na napaść na tle rabunkowym, ale raczej na jakieś porachunki lub ustawkę kiboli. Dziewczyna widziała, jak ludzie się szarpiają, biją, walczą. W ruch poszły pięści, kopniaki i wszystko, co kto miał pod ręką. Kilka osób rzuciło się w pogoń za uciekającym mężczyzną. Po chwili ktoś inny na niego wpadł, przecinając mu drogę, przez co kilka osób trafiło do wody. Coraz więcej osób krzyczało, coraz więcej ratowało się ucieczką.

Dziewczyna poczuła się, jakby oglądała film katastroficzny – nie potrafiła zrozumieć, że to się dzieje naprawdę, że obrazy, jakie przewijają się przed jej oczami, naprawdę rozgrywają się kilka-

dziesiąt metrów przed nią. A czasu na reakcję pozostawało jej coraz mniej.

Wiedziała, że musi zacząć działać. Nie miała pojęcia, co się dzieje kilkadziesiąt metrów od nich, ale czuła w kościach, że jest to coś bardzo złego. Coś, co może zagrażać bezpośrednio ich życiu. A łajba, na której siedzieli, bezwładnie dryfowała dokładnie w stronę tego czegoś.

Magda zaczęła w panice rozglądać się po pokładzie, szukając wzrokiem kapitana. Przecież trzeba było mu powiedzieć, że muszą zatrzymać statek, że nie wolno im podpływać do brzegu. Janek robił to samo – szukał kogokolwiek z załogi. Dopiero teraz poczuła, że chłopak kurczowo ściska jej dłoń w swojej dłoni. Spotkali się wzrokiem.

Łajba była już mniej niż trzy metry od pomostu. Kilka dziwnie wyglądających osób sprawiało wrażenie, jakby tylko na to czekało – mały tłumek stłoczył się na końcu pomostu, osoby na jego skraju były wpychane przez pozostałych do wody. Niektórzy wyciągali ręce w stronę statku, krzyczeli. Wszyscy byli w mniejszym lub większym stopniu poranieni; wszyscy krwawili. Ktoś na pokładzie także zaczął krzyczeć. Kapitan najprawdopodobniej dał sygnał „cała wstecz”, jednak było już na to zbyt późno – moment bezwładności wystarczył, aby dryfujący statek zbliżył się przystani. Nagle dwóch mężczyzn, ubranych w drogie garnitury, wbiegło na pomost kilka metrów dalej, rozpędziło się do granic swoich możliwości i wskoczyło na pokład. Jeden z nich miał rozszarpaną szyję, w której zionęła dziura. Magda zdążyła jeszcze zauważyć ich wykrzywione grymasem wściekłości twarze, spojrzenia pełne szaleństwa i krew ściekającą z rozdartych ust. Potem był już tylko chaos.

ŁOMIANKI, GODZINA 19:25.

Na pewno wszystko zamknięte? – nie przestawał dopytywać Kuba. Pomimo samodzielnego sprawdzenia drzwi prowadzących na podjazd, gdzie znajdował się biały dostawczak i przybudówka, pomimo pogrzechotania roletą antywłamaniową i zamknięcia drzwi znajdujących się tuż za nią, policjant cały czas nie mógł zaznać spokoju. Nawet sprawdził wejście prowadzące na podwórko z tyłu budynku. Kaja twierdziła, że powinni jeszcze sprawdzić same budynki, jednak Paweł upierał się, że nie powinni robić tyle hałasu – niech docenią to, co mają, chciwość może nie popłacać.

– Kochanie, sprawdzałeś wszystko już tyle razy – stwierdziła ze znużeniem w głosie Natalia.

Mąż spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem. Chciał zapytać, czy naprawdę tak szybko zapomniała, że kute drzwi pod kościołem na Starym Mieście również były dobrze zamknięte, czy zapomniała, jak długo krążyli w katakumbach? Że na komisariacie też było wszystko pozamykane, a i tak nie było tam bezpiecznie. Jednak wtedy przypomniał sobie, że to nie zombie sforsowali zbudowane przez nich barykady, tylko zrobili to ludzie. Odpuścił więc, podszedł do żony, przyłożył swoje czoło do jej czoła i powiedział:

– Tak, wiem. Przepraszam.

I dokładnie to miał na myśli. Było mu przykro, że tak się zachowuje, przykro, że muszą brać udział w tym chorym przedstawieniu. Natalia spojrzała na niego swoimi niesamowicie niebieskimi oczami. Kuba od razu poczuł, jak robi mu się lżej na duszy, jednocześnie dziwiąc się, że ta kobieta potrafi jednym spojrzeniem zmienić jego nastrój. Magia jakaś.

– Usiądź. Zjedzmy coś, bo umieram z głodu.

Miała rację. Pomimo dostępności wszelkiej maści towarów jakoś wcześniej nie było okazji zjeść niczego konkretnego. Emocje były zbyt silne, adrenalina buzowała w ich żyłach, odsuwając głód na drugi plan, niemniej, gdy pozbyli się już wszelkiego zagrożenia, gdy umościli sobie względnie bezpieczne i przytulne lokum – z ich brzuchów zaczęły się wydobywać podejrzane pomruki. Może wcześniej zjedli kilka batoników czy wypili kilka butelek, jednak było to nic w porównaniu z zapotrzebowaniem energetycznym, jakie aktualnie miały ich organizmy.

– No, chyba czas najwyższy – zgodził się Kuba. – Na zapleczu widziałem kuchenkę gazową.

Parę minut później Natalia stała przed wąską kuchnią i gotowała w dużym garnku kilka „Kociołków drwała”, które jednogłośnie uznali za najlepszy wybór z dostępnego menu. Przyjemny zapach podgrzewanego mięsa, ziemniaków i aromatycznego sosu błyskawicznie rozszedł się po całym sklepie, wywołując koncert brzuchowych burczeń. Zdecydowali, że aby szybciej i konkretniej się najeść, dobiją się jeszcze pieczywem, a podczas czekania na posiłek otworzą sobie kolejne piwa. I nawet tłumaczenie Pawła, że nie powinni przesadzać, że muszą być gotowi, że to lekkomyślne itp., na nic

się zdało. Grupa chciała w jakiś sposób odreagować, zrobić coś, co było normalne i kojarzyło się im ze zwykłym, nudnym, ale jednocześnie jakże szczęśliwym i bezpiecznym życiem. Przez chwilę każdy z nich chciał choć na chwilę zapomnieć o czyhającym za drzwiami niebezpieczeństwie.

– Zobaczcie, dziesięć minut temu zaczęły się „Wiadomości” – oznajmił Kuba, zerknąwszy na swój srebrny zegarek.

Jeżeli to miał być żart, to ewidentnie mu nie wszedł. Pozostali spojrzeli na niego z politowaniem. Jedyne nie zrobiła tego Kasia, która odmówiła posiłku, kazała im iść do diabła i zostawić ją samą z jej, już prawie opróżnioną do końca, flaszką.

– Ciekawe, jak to wygląda w telewizji – zastanowił się Max.

– Pewnie mówią, że sytuacja jest ciężka, ale prawie opanowana, pewnie pokazują rannych w szpitalach za Warszawą, jakieś zdjęcia z daleka, ale na pewno nie wnikają w szczegóły – zasugerował Paweł. – Pokazują też żołnierzy na ciężarówkach, ale ciężkiego sprzętu raczej nie, bo to już by oznaczało, że sytuacja jest poważna.

– No i na bank wypowiada się premier, a partie wzajemnie się obwiniają o całą sytuację.

– Tak, pewnie tak – stwierdził Kuba, delikatnie się uśmiechając.

– Ej, ale ludzie muszą przecież wiedzieć, co tu się dzieje. Na pewno jakieś filmy czy zdjęcia wyciekły do sieci, na bank – stwierdził Max.

– A działał ci telefon w Centrum? – przypomniał mu Paweł.

Max pokręcił przecząco głową.

– No właśnie – stwierdził mężczyzna, chociaż w jego głosie nie było szyderstwa ani dumy, a raczej smutne poczucie racji. – Muszą manipulować informacjami, inaczej w całym państwie błyskawicznie wybuchłaby panika.

– Ale jak nie wiedzą, co tu się dzieje, to jak mogą nam pomóc? – zastanowił się Max i zanim skończył pytanie, już znał na nie odpowiedź.

– Ci, którzy mają wiedzieć, wiedzą. Tym się nie martw – uspokoił go komandos, pochylając się nieznacznie w stronę chłopaka.

Jakby na potwierdzenie tych słów, usłyszeli nadciągający huk. Pomimo zamknięcia w pomieszczeniu z jednym piętrem i strychem nad głową, hałas był wręcz ogłuszający. Po kilku sekundach dźwięk osiągnął apogeum, wywołując u zebranych drzenie i szybsze bicie serca, po czym szybko zaczął słabnąć.

– Jezu, co to? – zapytała Natalia, patrząc z przerażeniem na sufit. Bała się, że ten za chwilę się zawali. Nikt z pozostałych nie miał wątpliwości, co właśnie usłyszeli.

– Samoloty? – zapytał Max.

– Myśliwce. F-16 – wyjaśnił komandos, a nikt z zebranych nie miał zamiaru kwestionować poziomu jego wiedzy.

– Ale po co...? – zapytała Natalia, jednak Paweł uniósł dłoń w geście proszącym ją o zachowanie cichy. Przez chwilę nie było słyhać niczego oprócz słabnącego huku myśliwców i bulgotania gulaszu.

Po chwili do ich uszu doleciały huki dalekich eksplozji. Natalia przyłożyła dłoń do ust, łyżka do

mieszania kolacji prawie wypadła jej na podłogę.

– Jezu, bombardują miasto – wyszeptała tylko, a jej oczy przepęłniły łzy. Kuba wstał i przytulił żonę, cały czas w jednym ręku dzierżąc otwartą butelkę piwa.

– Chyba pociski burzące, ale nie jestem pewien. Raczej nie chcą puścić miasta z dymem – stwierdził lodowatym głosem Paweł, wbijając skupiony wzrok w podłogę.

– Ale przecież tam są jeszcze ludzie, na pewno nie wszyscy zdążyli uciec – powiedziała płaczącym głosem Natalia. – Przecież oni ich pozabijają...

Kuba nie mógł znaleźć słów, które mogłyby ją pocieszyć. Odwrócił się i zobaczył, jak Max siedzi z głową schowaną w dłoniach, a po brudnej twarzy Kai spływa samotna łza. Policjant widział tylko jedno rozwiązanie tej sytuacji.

– Ale my żyjemy – powiedział, patrząc żonie głęboko w oczy. – To jest teraz najważniejsze – dodał, uwalniając się z jej uścisku i biorąc do ręki łyżkę. – Zjedzmy gulasz, już jest chyba dobry.

Chciał się czymś zająć, chciał czymś zająć zebrane wokół siebie osoby. Morale grupy leżało i dogorywało gdzieś w resztkach ich świadomości, a mężczyzna wiedział, że jak ci ludzie przestaną mieć ochotę do walki lub wiarę w to, że im się uda, będzie to oznaczało koniec. Natalia jeszcze trochę pochlipywała. Kaja i Max nieco się ożywili. Nawet Paweł uniosł głowę, a w jego spojrzeniu policjant wyczytał coś na kształt wdzięczności.

– Kto chce pierwszą porcję?

Trzy osoby równocześnie uniosły ręce.

– Masz, musisz zjeść – powiedziała Kaja, wyciągając talerz z parującym gulaszem w stronę Kaśki.

– Spiedaalaj – odpowiedziała dziewczyna, patrząc na nią wilkiem.

– Musisz jeść, jutro będziesz potrzebowała sił – naciskała Kaja. Domyślała się, że z pijaną desperatką może być ciężko się dogadać, jednak nie darowałaaby sobie, gdyby nie spróbowała.

– Nicnie musze. Daj mispohuj – wybełkotała dziewczyna.

Kaja spojrzała na nią, nie ukrywając swojej dezaprobaty, ale jednocześnie starając się zrozumieć, co też dziewczyna mogła czuć. Jej oczom ukazywał się obraz nędzy i rozpaczki kobiety, która utraciła w niezrozumiały dla siebie sposób bardzo ważną osobę. Kaja bała się, że już nic z niej nie będzie, chociaż nie potrafiła zrozumieć, skąd znalazła w sobie tyle empatii i dlaczego tak przejmuje się jej losem. Może dlatego, że wskazała im ten sklep? Może. Mogłaby dać sobie spokój, mogłaby tu nie przychodzić i zostawić ją samą sobie – jednak wiedziała, że nie tak należało uczynić. Kaja już miała okazję zobaczyć, jak niewiele potrzeba, aby ludzie zapomnieli o człowieczeństwie i uwolnili demony, które siedziały głęboko w ich głowach. Przez to wierzyła, że tylko bycie dobrym i dbanie o innych może ją odróżnić od potworów, które kręciły się wszędzie dookoła.

– Wiesz, że musieliśmy to zrobić – powiedziała najspokojniej, jak potrafiła. Ukucnęła tak, aby ich głowy znalazły się na jednej wysokości.

Nagle Kaśka machnęła ręką, przewracając talerz z jedzeniem.

– Wypierdalał poiedziaam! – krzyknęła, zerkając jednocześnie na bałagan, jaki narobiła. – Won – dodała na końcu, cedząc ostatnie słowo tak, jakby była absolutnie trzeźwa i doskonale wiedziała, co mówi i co robi.

Kaja wyprostowała się i stanęła nad nią.

„Nie to nie” – pomyślała. „Przynajmniej spróbowałam”.

– Każdy kogoś stracił – powiedziała cicho, chociaż jej serce zabiło szybciej na myśl o tym, w jak cudowny sposób trafiła na swojego ojca. Zawsze mogła powiedzieć, że utraciła Adama, chociaż w głębi duszy niespecjalnie za nim tęskniła.

– Won – upierała się Kaśka, pociągając ostatni łyk wódki.

Kaja odwróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem na zaplecze.

– I jak? – zapytała Natalia.

– Nie chciała. Wyrzuciła mnie – stwierdziła ze spokojem Kaja.

– Taaa, słyszeliśmy – burknął Kuba, który zdawać by się mogło, był najbardziej zmartwiony zachowaniem Kaśki, chociaż starał się tego nie pokazywać. – W sumie to nie ma co się jej dziwić...

– Serio, zamierzasz ciągnąć ten temat w nieskończoność? – zapytał nagle Paweł, zatrzymując widelec w połowie drogi do jego ust. – Dalej myślisz, że źle zrobiliśmy?

Kubę to pytanie wyraźnie zbiło z pantałyku.

„Może faktycznie muszę przystopować?” – pomyślał, w sumie nie do końca rozumiejąc, czemu cały czas czepia się Pawła.

– Okej, sorry. Zrobiliście dobrze. Widziałem – powiedział, skupiając się na swoim talerzu.

Jedzenie smakowało zdecydowanie lepiej, niż wyglądało. Pomimo tego, że ze słoika i gotowe, było naprawdę dobrze doprawione, a przede wszystkim – ciepłe i sycące, a te dwie ostatnie rzeczy były im najbardziej potrzebne. Po paru minutach Max zaczął czyścić talerz pieczywem przyniesionym ze sklepu.

Natalia spojrzała się na niego, a jej twarz rozpromienił uśmiech:

– Mogę ci jeszcze odgrzać, jak chcesz – stwierdziła, dumna z siebie, że tak dobrze ugotowała.

– No, poproszę, bo jakieś kosmiczne ssanie mi się włączyło – stwierdził z zadowoleniem chłopak.

Natalia wstała i poszła po więcej słoików z jedzeniem. Kuba odprowadził ją wzrokiem, a gdy zniknęła za rogiem, stwierdził:

– Fajnie tu. Pełno żarcia, alkoholu, rolety antywłamaniowe... – zaczął wymieniać, a Paweł i pozostali już wiedzieli, do czego dąży.

– No, w sumie. Miejscówka jest dobra – stwierdziła Kaja.

– Serio? Dobra na co? – zapytał szybko jej ojciec.

Dziewczyna spojrzała na niego, marszcząc ze zdziwienia brwi.

– No tak, serio, a co z nią nie tak? – zapytała zdezorientowana.

Paweł nabrał głęboko powietrza, następnie powoli je wypuszczając, powiedział:

– Kaja, kochanie, a miejscówka – zaczął z przekąsem – na Polach Mokotowskich była dobra? Pełno wojska, ciężkiego sprzętu, zasieków, jedzenia, lekarstw, wartowników – zaczął wymieniać, chociaż nie trzeba jej było tego przypominać, bo i tak zapewne dobrze to pamiętała.

Speszona, oblizwała nagle wyschnięte usta. Nic nie odpowiedziała, zerknęła tylko na Maxa, który wpatrywał się w nią swoimi brązowymi oczami. Niczego nie mogła z nich wyczytać, może poza delikatną, sympatyczną próbą uzmysłowienia jej, że owszem, miejscówka może i jest dobra, ale jej ojciec ma rację. Bo chyba faktycznie ją miał, chociaż wydawało się to teraz bardzo trudne do zrozumienia.

– No dobra, powiedz po prostu, o co ci chodzi – poprosiła.

– Myślę, że nie powinniśmy tu zostawać – stwierdził bez zbędnych ceregieli.

– Chcesz teraz wyjść? Przecież zaraz będzie noc. Nie zamierzam uciekać po nocy – od razu zakomunikował policjant. Natalia tymczasem zdążyła wrócić i nastawić kolejną porcję jedzenia. Usłyszawszy słowa męża, odwróciła się i spojrzała przerażonym wzrokiem na rozmawiających mężczyzn.

– Nie, absolutnie nie teraz – sprostował Paweł. – Ale jutro. Powinniśmy ruszyć z samego rana.

Kuba zmarszczył brwi, zastanawiając się, czy aby na pewno dobrze usłyszał. Zresztą, tak samo jak pozostali, którzy też zdawali się być zaskoczeni – mieli podjąć decyzję o rezygnacji z przytulnego, ciepłego miejsca pełnego jedzenia na rzecz wyprawy w nieznane. I niebezpieczne. Jednak po chwili namysłu policjant zrozumiał. Zaczął kojarzyć fakty, dodawać do siebie elementy nowego świata, w którym przyszło im egzystować. Faktycznie zdawać by się mogło, że mają tu wszystko, czego im potrzeba – niestety, prawdopodobnie mają tego nawet za dużo.

– Dlaczego? – zapytała Natalia. – Przecież mamy tu wszystko.

– Pamiętasz komisariat? – zapytał Kuba, zerkając porozumiewawczo na Pawła. Po chwili zaczął tłumaczyć – W Warszawie spędziliśmy noc na komisariacie, na placu Bankowym. Zamknięte drzwi, cele, idealne miejsce. Może nie było tyle jedzenia co tutaj, ale poza tym było bezpiecznie. Było parę trupów, ale wobec tego, co się działo na ulicach, to nic... No wiecie, liczyłem na to, że spotkam tam kogoś, kto powie, co się do cholery dzieje... Ale nikogo nie spotkaliśmy. Nikogo żywego – zrobił pauzę, pociągnął łyk piwa. – Było spokojnie do momentu, w którym jacyś goście nie wpadli po broń. Okazało się, że ciała, które wcześniej mijaliśmy, to nie byli zombie, tylko zwykli ludzie zamordowani z zimną krwią. Zdecydowanie zanim zostali ugryzieni lub się przemienili.

Paweł pokiwał głową, wszyscy słuchali w milczeniu.

– Dokładnie. Tu może być tak samo – stwierdził komandos. – Zobaczcie, ludziom zaraz się skończą zapasy w domach, więc wyjdą na ulicę szukać jedzenia. Przyjdą do sklepów, przyciągając za sobą zombie. Tak jak gazy przyciągają za sobą drapieżniki do wodopoju. Nie będziemy tu bezpieczni. Poza tym jeszcze to – powiedział, wskazując palcem sufit.

– Co? – zapytał zdezorientowany Kuba. Nie bardzo wiedział, co Paweł może mieć na myśli.

– Ostrzał. Były F-16, pewnie zaraz wjadą czołgi albo puszczą ogień z haubic. I szczerze wątpię, żeby ktokolwiek przejmował się ewentualnymi ofiarami wśród cywili. Cały teren i tak jest już spi-

sany na straty, teraz tylko będą próbowali zdusić to w zarodku i nie pozwolić na dalsze rozprzestrzenianie się zarazy.

– Ładny mi zarodek – skomentował Max.

– Lepsze miasto niż całe państwo, nie?

Gęstą atmosferę, jaka zapadła po jego wypowiedzi, dało się wyczuć w powietrzu. Każdy był zmęczony, zniechęcony i przerażony, a Paweł dokładał im jeszcze problemów, zabierając jednocześnie resztki nadziei i zmuszając do dalszej, niemalże panicznej ucieczki. Komandos chyba zobaczył wyraz rozczarowania malujący się na ich twarzach. Ale musiał być twardy, chcąc kierować grupą, jednocześnie wiedział, że nie ma przed sobą oddziału bezwzględnych profesjonalistów, tylko zwykłych ludzi, o których morale trzeba mocno dbać.

– Słuchajcie... Wiem, że jest wam ciężko. Mnie też. Wybaczcie, że podchodzę do sprawy w taki pragmatyczny, zimny sposób, ale... jakkolwiek głupio to nie zabrzmie, już nieraz byłem w chujowej sytuacji. Już nieraz musiałem walczyć o życie. No dobra, nigdy nie goniła mnie horda trupów, ale wiecie, co mam na myśli – starał się uśmiechnąć. Max i Kuba delikatnie unieśli kąciki ust, co mężczyzna uznał za niebywały sukces. – Przez to nauczyłem się patrzeć na takie problemy z odpowiedniej perspektywy, zawsze przygotowując się na najgorsze – kontynuował, patrząc twardym spojrzeniem na zebranych. – A fakt, że wam to mówię, świadczy chyba o tym, że moje metody się sprawdzają.

Pozostali popatrzyli po sobie, jakby chcieli się telepatycznie porozumieć i podjąć decyzję, nie konsultując się w tej sprawie z Pawłem. Ich miny i nieśmiałe kiwnięcia głową zdradzały, że chyba pozwoli przyznają mu rację. Pierwszy po chwili odezwał się Max.

– Dobrze, to co proponujesz? – zapytał. Doświadczenie nabyte podczas ucieczki z metra i dalszej podróży przez miasto pozwalało mu wierzyć, że komandos naprawdę wie, co mówi i co ma robić. Wyglądało na to, że teraz też ma w zanadrzu jakiś plan.

– Po pierwsze – zaczął, odkładając talerz na zgrzewki z litrową colą, żeby mieć wolne ręce, którymi właśnie zaczynał gestykulować – musimy zrobić małe zapasy. Może znajdziemy tu jakieś torby czy plecaki, coś, w co uda się napchać najpotrzebniejsze rzeczy tak, żeby każdy miał swoją rację. Postawimy to przy wyjściu, na wypadek, gdybyśmy musieli nagle opuścić budynek, gdy na przykład jakiś pocisk trafi w ścianę lub zdarzy się coś nieoczekiwanego, przez co możemy mieć kłopoty. Zrobimy te drobne zapasy, najemy się, co już prawie zrobiliśmy, potem złapiemy trochę dobrego snu i o świcie ruszymy dalej. Ktoś również powinien stać na warcie, będziemy się zmieniać. Ja mogę pilnować wszystkiego już od drugiej w nocy.

– Czemu dopiero od drugiej? – zapytała Natalia. Wydawało się jej, że Paweł powinien wziąć pierwszą wartę, jak gentleman czy coś. Poza tym przecież sam zaproponował czuwanie, to niech czuwa.

– Bo wtedy jest najgorzej. Jest takie małe przesilenie, dzień wypiera noc, człowiekowi jest najtrudniej zachować przytomność – wyjaśnił.

– Aha. – Ten argument przemówił do kobiety.

– No, więc rano wstaniemy i...

– Właśnie, i co dalej? – zapytał Kuba. Pomysł i plan Pawła może był i niegłupi, jednak policjant wolał poznać maksymalnie dużo szczegółów, zanim powierzy mu swoje życie. I miał szczerą nadzieję, że te szczegóły będą konkretne.

Paweł zastanowił się chwilę, aż w końcu powiedział po prostu:

– Nie wiem.

Ta szczerza deklaracja zszokowała wszystkich. Mieli wrażenie, że z pomieszczenia uszło wszelkie powietrze, a niebo skryło się pod ciężkimi, burzowymi chmurami.

– Jezu. Zginiemy – zaszlochała Natalia.

– Kochanie, nie mów tak, wszystko będzie dobrze – szybko spróbował pocieszyć ją Kuba, chociaż sam nie do końca wierzył w swoje słowa. Nagle jego żona wybuchła:

– Jak to będzie dobrze? Co będzie dobrze? Będziemy tak uciekać, nie wiadomo gdzie, tylko po to, żeby po kolei ginąć!

– Damy radę, uwierz mi.

Pochylił się i ucałował żonę w czoło. Nie odwzajemniła pocałunku. Nie uśmiechnęła się nawet, a jej oczy cały czas wypełniały łzy.

Gdy policjant odsunął się od niej, z konsternacją przyglądając się jej zatroskanej twarzy, Paweł wyjaśnił:

– Nie wiem, gdzie dokładnie powinniśmy się udać, ale wiem, że jak najdalej od dużych skupisk ludzkich. Przede wszystkim powinniśmy pozostać maksymalnie mobilni. Nawet jeśli gdzieś się zatrzymamy, to musimy być gotowi natychmiast opuścić to miejsce.

– Tato, mówisz tak, jakby cała Polska już była opanowana przez zombie – zauważyła przytomnie Kaja. – Przecież wcale tak nie musi być.

– Wiem, ale powinniśmy założyć, że tak właśnie jest. Wyjaśnię wam – powiedział, usadawiając się wygodniej – od momentu ugryzienia do przemiany mija mniej więcej ile czasu, trzy, pięć godzin? Powiedzmy, że trzy. Jeżeli ktoś zarażony znalazł się w PKS-ie, busie, pociągu czy zwykłym aucie, to znaczy, że strefa trzech godzin jazdy od Warszawy jest potencjalnie zagrożona. W samolocie może nie, bo tam jest ściśle określona procedura bezpieczeństwa, bramki i tak dalej. Nie chodzi mi o to, że powinniśmy teraz uciec i zaszyć się w lesie – absolutnie nie. Ale zanim podejdziemy do jakiegoś większego miasta, powinniśmy się mu wcześniej przyjrzeć.

– Bo inaczej znowu wpieprzymy się w gówno – podsumował Kuba.

– Dokładnie tak, dzięki.

– Może to ma sens.

– Mówiłem. Naprawdę nie zamierzam się przechwalać, ale jak do tej pory udawało mi się przeżyć – skwitował z uśmiechem.

– Nam też. No dobra, to co mamy robić? – zapytał Kuba. Wyglądało na to, że policjant postanowił dać komandosowi szansę. Może wcześniej zareagował zbyt pochopnie, może ocenił go niewłaściwie – każdy z nich był zestresowany ciągłą walką o najwyższą z możliwych stawek. Do trzech razy

sztuka.

Kilkanaście minut później cała grupa zebrała się ponownie na zapleczu sklepu (z wyjątkiem Kaśki, która w międzyczasie zapadła w pijacką drzemkę).

– To co my tu mamy? – zapytał Paweł.

Każda z osób miała proste zadanie – zebrać dla siebie jedzenie pozwalające na przeżycie co najmniej trzech dni. Oczywiście, to nie był ostatni sklep w kraju, jednak gdyby cała ta apokaliptyczna sytuacja przedłużała się, to znalezienie pokarmu może być coraz trudniejszym zadaniem.

– Mamy ci wszystko dokładnie raportować? – zapytał Max. Niby żartem, niby serio, ale tak naprawdę pytanie miało drugie dno – okej, Paweł ratuje im życie, ale niech nie próbuje wprowadzić wojskowego drylu i zagęszczać i tak już gęstej atmosfery.

– Nie no, jasne, że nie. Pytam z ciekawości, bo gdzieś zniknęły wszystkie snickersy – odpowiedział z uśmiechem na ustach.

To rozśmieszyło również chłopaka. Kaja z kolei uniosła brwi, udając, że nie ma pojęcia, o czym mowa. Zaczęli kolejno wymieniać, co udało im się zebrać – królowały batoniki, czekolady, konserwy turystyczne, wysokoenergetyczne batoniki, krojony i zapakowany w folię chleb, batoniki z musli, zupki chińskie, pasztety, batoniki z orzechami, brzoskwinie w puszcze i przeznaczone dla sportowców batoniki, których całe trzy sztuki udało się wygrzebać Kai gdzieś spod lady. Podczas spisu Kuba nie wspomniał o dwunastu paczkach papierosów i butelce whisky single malt, na którą nigdy wcześniej nie mógł sobie pozwolić, a której zawsze miał ochotę spróbować.

Pomimo tak urozmaiconych i porządných zapasów, przysparzały one pewien problem – transport.

– Będziemy wyglądać jak tabor Cyganów – skwitował Kuba, patrząc na siatki wypełnione towarami. Żeby wszystko było wytrzymalsze, użyli kilkunastu reklamówek (pakuując jedną w drugą), zakładając, że podczas ewentualnej ucieczki pojedyncza mogłaby nie wytrzymać. Niestety, wcześniej, pomimo dokładnego przekopania sklepu, nie udało im się znaleźć żadnej torby sportowej czy cokolwiek w tym rodzaju. Kaja jako jedyna miała plecak, jednak zmieściła się do niego tylko niewielka część zapasów.

– Mamy jeszcze torby z amunicją – stwierdził Paweł.

– Obie pełne – zauważył Kuba.

– Tak nie do końca pełne. Jak rozdzielimy broń i amunicję, to trochę rzeczy się w nich zmieści.

– Ale po co? Chyba nie chcesz iść z tym wszystkim pieszo? Znajdziemy rano jakieś auto i wpakujemy zapasy do bagażnika – zaproponował policjant.

Paweł pokiwał głową. Faktycznie, pomysł nie był głupi.

– Raczej dwa auta – stwierdził.

– Jedno. Drugie stoi przed sklepem, wystarczy, jak znajdziemy do niego kluczyki. Tak nawet będzie bezpieczniej, jakby jedno się rozkle...

Kuba nie dokończył, bo nagle usłyszeli donośne huknięcie. Wszyscy automatycznie się skulili i zaczęli się rozglądać w przerażeniu. Po chwili huk się powtórzył, i tak jeszcze kilka razy, aby w końcu

przejsć w regularną kanonadę.

– Tym razem co? – krzyknął Max, rozglądając się w panice.

– Chyba artyleria. Są kilkaset metrów stąd – odpowiedział Paweł, prostując się.

– Skąd wiesz? – zapytała Natalia.

– Słyszę przecież.

„No tak, słyszy” – stwierdziła w myślach. „Ja też słyszę i co z tego?”.

Ostrzał trwał kilkanaście minut. Grupa w sklepie uspokoiła się nieco, gdy Paweł przekonał ją, że pociski nie były skierowane w tę stronę. Niedługo po kanonadzie na zewnątrz rozległ się hurgot łączący w sobie zgrzyt metalu i dudnienie ciężkich silników spalinowych. Wszyscy podeszli wtedy do okna i zerkając przez zastawiający je asortyment, zaryzykowali wyjrzenie na ulicę.

Ujrzeni kolumnę ciężkiego sprzętu wojskowego – wozy pancerne, transportery opancerzone i kilka czołgów. Żaden z pojazdów nie był otwarty, z wieżyczek nie wystawał nawet najmniejszy kawałek munduru, wszyscy żołnierze byli zamknięci w stalowych bestiach, które miały za zadanie dowiezienie ich bezpiecznie do miejsca przeznaczenia. Ciężkie czołgi momentami wgniały asfalt w ziemię, młóćąc go gąsienicami, jakby był zrobiony z piaskowca. Kolumna składała się z około dwudziestu pojazdów.

– Czemu tędy jadą? – zapytała Natalia.

– Pewnie trasa szybkiego ruchu jest zablokowana – stwierdził Max. Zdawało się, że z całej grupy to właśnie on najlepiej zna okolicę.

– Wychodzimy? Idziemy do nich? Co robimy? – zapytała cicho Kaja.

– Nic – odpowiedział spokojnie, aczkolwiek stanowczo Paweł.

Nikt z nich nie miał ochoty wyjść wojsku naprzeciw, mężczyzna tylko wypowiedział na głos to, o czym wszyscy myśleli. Z drugiej strony, może jednak powinni wyjść, powinni się pokazać – w końcu nie wszyscy żołnierze muszą być tacy jak ci, których już spotkali na swojej drodze. Niemniej intuicja podpowiadała mu coś zupełnie innego – absolutnie się do nich nie zbliżać, chyba że uda się odnaleźć kogoś znajomego i zaufanego. Jednak zanim to w ogóle nastąpi, są zdani tylko i wyłącznie na siebie.

Kilka minut później ostatni czołg zniknął za zakrętem, chociaż obecność konwoju była jeszcze przez pewien czas doskonale słyszalna. Grupa rozeszła się w milczeniu. Tylko Kaja pozostała przy oknie, patrząc na ulicę niczym więzień wyglądający zza krat na wolność, którą utracił.

– Wiesz, co mnie zastanawia? – powiedziała spokojnie Kaja, czując, że podszedł do niej Max.

– Hm? – mruknął chłopak.

– Gdzie, do cholery podziali się wszyscy ludzie?

Max zbliżył się do dziewczyny, zerkając na drogę. Faktycznie, była całkowicie pusta, jakby panowała ciemna, burzowa noc, a nie ciepły, letni wieczór. Abstrahując od całej sytuacji, jacyś ludzie przecież powinni się kręcić po okolicy. Ot, jak choćby oni. Ktoś powinien przemykać cichcem, ska-

cząc od krzaka do krzaka. Ktoś ranny powinien był wałęsać się po okolicy, nieświadomie korzystając z ostatnich chwil życia. Tymczasem nic takiego nie miało miejsca. Kaja poczuła się niczym robotek na bezludnej wyspie.

– Nie wiem – zaczął Max. – Może robią to samo, co my? Chowają się po domach, wyglądają przez szpary w oknach. Boją się wyjść.

– Może. Ale to i tak dziwne, że nikt nie wyszedł na widok wojskowego konwoju.

„Może to dla nich nawet lepiej” – pomyślał chłopak, przypominając sobie własne doświadczenia ze spotkań z żołnierzami. Tę myśl jednak postanowił zachować wyłącznie dla siebie.

Po pewnym czasie odgłosy walki zaczęły się przybliżać. Pojedyncze strzały, stłumione odległością, wybuchy dobiegały, zdawać by się mogło, tuż zza zakrętu. I to zza każdego zakrętu. Kilka razy udało im się usłyszeć krzyk, chociaż schowani na zapleczu nie mogli go dokładnie zidentyfikować. Wcześniej przenieśli na tył sklepu również Kaškę, której bezwładne, napompowane alkoholem ciało okazało się być sporym ciężarem nawet dla dwóch dobrze zbudowanych mężczyzn. Ułożyli ją w części biurowej. Podczas transportu nie ocknęła się nawet na sekundę.

Dopadło ich zmęczenie. Rozmawiali ze sobą coraz rzadziej. Natalia usnęła wtulona w męża, który przeglądał „Newsweeka” i popijał kawę. Po tym, jak zobaczył konwój i jak odgłosy walki zdawały się coraz bardziej zbliżać, zdecydował, że nie będzie pił więcej alkoholu, chociaż miał olbrzymią ochotę na kolejne zimne piwo. Może się napije, jak będzie na warcie. Nie miał też ochoty kłaść się spać, chociaż wiedział, że powinien zregenerować siły. Ustalili, że będą się zmieniać co dwie godziny. Od północy do drugiej był czas Kuby, który zamiast teraz spać – prześlizgiwał się wzrokiem po artykule, choć nie potrafił zapamiętać nawet jego tytułu.

Pierwszy na warcie miał stanąć Max. Mężczyźni zgodnie stwierdzili, że kobiety muszą wypocząć, a oni zajmą się pilnowaniem obozu. Kaja natychmiast zaprotestowała, twierdząc, że na pewno sobie poradzi i że to po prostu dyskryminacja, jednak gdy tylko Paweł wspomniał, że o czwartej rano zrobi im pobudkę, zamilkła. Aby uspokoić rozjuszony ego dziewczyny, dodał na odchodnym, że następnej nocy będzie ich kolej.

CZWARTEK

ŁOMIANKI, GODZINA 04:25.

Spałaś? – spytał cicho Paweł, zerkając przekrwionymi oczami na swoją córkę.

Kaja podeszła do niego powoli, po drodze przeciągając się i ziewając.

– Trochę, ale słabo – odpowiedziała tylko, rozmasowując opuchnięte oczy. Właściwie to nie musiał pytać, bo podczas swojej zmiany warty doskonale widział pozostałych członków grupy. Natalia i Kuba spali, jakby nic się nie wydarzyło. Widać było, że dogoniły i powaliły ich emocje. Kasia, z racji wypitego wcześniej alkoholu, również zapadła w głęboki sen. Raz wstała w nocy i powlekła się do toalety, nie racząc odezwać się do wartownika nawet jednym słowem, o goście czy chociażby najkrótszym spojrzeniu nie wspominając. Zamknęła się w sobie i wyglądało na to, że nie zamierza zbyt szybko tego stanu zmieniać. Natomiast Max i Kaja ewidentnie mieli problemy z uśnięciem. Chłopak złapał może z godzinę nieprzerwanego snu, Kaja podobnie – otwierali oczy i wiercili się za każdym razem, gdy okolicę przeszywał wybuch lub huk wystrzału.

– A ty jak tam? – zapytała dziewczyna.

– Dobrze. Spokojnie – skłamał Paweł.

Nie zamierzał od samego brzasku informować jej, że jest gorzej niż źle. Gdy o drugiej w nocy przejął wartę, na początku faktycznie było względnie spokojnie. Pierwsze trzydzieści minut mógł odpocząć, pozwolić myślom płynąć bez żadnego konkretnego celu. Patrzył w noc, wsłuchiwał się w odgłosy i starał się nie myśleć o tym, co ich czeka. Jednak, gdy w pewnym momencie okolicę przeszył wystrzał z broni palnej, po którym nastąpił krzyk, a właściwie seria krzyków, Pawłowi nie trzeba było tłumaczyć, co to mogło oznaczać – wiedział już, że zaraza coraz bardziej opanowuje okolicę, przez co dużo trudniej będzie się im wydostać. Widział, jak kilkoro nieumarłych przebiegło przed sklepem. Wkrótce po tym na ulicy pojawiło się niewielkie stado, jeżeli mógł tak to nazwać – grupa zombie składająca się z około trzydziestu sztuk. Obu płci, różnego wieku; infekcja nie była specjalnie wybredna pod względem doboru ofiar. Przyglądał się temu z bezpiecznego ukrycia. Z jednej strony bał się poruszyć czy chociażby głębiej odetchnąć, z drugiej jednak wiedział, że są tu w miarę bezpieczni. Sklep był zamknięty z każdej możliwej strony, jedzenia mieli w bród, aby przetrwać oblężenie trwające nawet długie miesiące – oczywiście, przy racjonalnym gospodarowaniu zapasami. Cholera, mieli nawet toaletę. Miejscówka, jak określała sklep Kaja, zdawała się coraz bardziej namawiać go do pozostania, ale mężczyzna szybko odrzucił tę myśl. Wiedział, że prędzej czy później skończyłoby się to dla nich tragicznie.

Korzystając z bezpiecznego ukrycia, dokładnie przyjrzał się maszerującym po ulicy kreaturom. Blask księżyca i oddalonych od siebie latarni nadawał całej scenerii mrocznego, niepokojącego charakteru, jakby sama w sobie nie była wystarczająco złowieszczą. Zombie szli powoli, nieskładnie,

często powłócząc nogami, chociaż szybko zauważył, że nie była to reguła. Niektórzy pojękiwali, jakby byli świadomi losu, który ich spotkał. Inni w milczeniu rozglądali się wokół, prawdopodobnie w poszukiwaniu kolejnej ofiary. Niektórzy zaczepiali pobratymców, jakby chcieli sprawdzić swą siłę, zaznaczając tym samym swoje miejsce w hierarchii. „Zachowują się jak zwierzęta” – pomyślał Paweł.

Pomimo wyraźnych różnic, wszystkie wyglądały niemalże identycznie – ubranie poszarpane w wyniku przegranej walki o życie, zakrzepła krew, brak ucha, policzka, ręki, kawałka nogi. Niewątpliwie jednym ze wspólnych mianowników każdej z kreatur był brak jakiegoś fragmentu ciała.

„W końcu to nawet logiczne” – pomyślał Paweł. „Przecież jakoś musieli się tym syfem pozarażać”.

I wtedy zrozumiał, że to eliminuje pewne drogi, jakimi wirus może się rozprzestrzeniać – nie spotkał jak do tej pory osoby, która nie byłaby w jakiś sposób uszkodzona, a byłaby zombie. Mężczyzna jeszcze nie wiedział, czy to dobrze, czy źle, ale postanowił zapamiętać tę informację.

– Czym wy jesteście? – wyszeptał w ciemność. To pytanie nie dawało mu spokoju.

Jeden z zombie stojących na środku drogi odwrócił głowę w jego stronę. Zupełnie jakby go usłyszał. Paweł zastygł, wstrzymując powietrze w płucach i modląc się, aby maskara nie dostrzegła go między zastawionymi towarem półkami. Lecz po chwili pełnej grozy zombie odwrócił wzrok i kontynuował swoją podróż w nieznaną.

Pomimo doświadczenia nabytego w niesamowicie trudnych sytuacjach, w których nieraz musiał brać udział, Paweł poczuł autentyczny, wcześniej głęboko skrywany lęk. Bał się. Komandos poczuł, jak przez jego ciało przechodzi dreszcz. Mógł to przyznać dopiero przed samym sobą, wiedział, że nie może obnażyć swoich odczuć przed grupą – zdawał sobie sprawę z tego, w jaki sposób postrzegają jego osobę. Był również świadomy faktu, że nigdy wcześniej aż tak się nie bał. Problemem nie była walka z zombie. Problemem był brak jakichkolwiek perspektyw zakończenia tej walki. W świecie Pawła cała planeta została opanowana przez nieumarłych polujących na żywych. Nie miał komu zaufać, a jednocześnie samotnie musiał dźwigać na swoich barkach niesamowicie ciężkie brzemie.

Doświadczony komandos GROM-u, zimny profesjonalista i dotychczasowa opoka grupy, w tym momencie sam potrzebował wsparcia.

– Na pewno wszystko dobrze? – wyrwała go z zamyślenia córka.

Spojrzał na nią wzrokiem, który był w stanie przekazać znacznie więcej niż jakiegokolwiek słowa.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, tylko powoli i głęboko nabrała powietrza.

– Jakoś sobie poradzimy – obiecał jej ojciec, po czym rozchylił ramiona, zapraszając ją w swoje objęcia. Przyjęła zaproszenie. Chciał nie tylko poczuć ciepło jej ciała, ale przede wszystkim ukryć swoją twarz przed jej wzrokiem.

Parę minut później Paweł obudził policjanta. Kuba, pomimo wcześniejszych obaw, dał się pokonać zmęczeniu. Usnął tak mocno, że w pierwszej chwili po przebudzeniu nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje, ani co się wokół dzieje. Jednak, gdy tylko sobie to uświadomił, wyprężył się jak struna, gwałtownie się rozglądając. Wyciągnął z kabury swojego walthera i zaczął panicznie wymachiwać bronią.

– Co się dzieje, są tu, weszli? – zapytał szybko, zerkając we wszystkie możliwe strony. Swoim zachowaniem zbudził Natalię, która przespała większość nocy.

– Nie, spokojnie – odpowiedział Paweł, unosząc dłonie w pokojowym geście. – Nic wam nie grozi, możesz opuścić broń. Jesteśmy w sklepie, pamiętasz?

Kuba spojrział na komandosa. Zmarszczył brwi, starając się przypomnieć sobie, co właściwie się stało. Po chwili sposepniał, co potwierdzało, że wszystkie wspomnienia wróciły.

– Taaa. Pamiętam – powiedział, chowając pistolet do kabury. – Sorry za to – dodał.

– Spoko – odparł Paweł.

– I tak nie mam do niego naboju – zablefował, jakby na usprawiedliwienie, policjant. Paweł nie skomentował, tylko uśmiechnął się do niego i wstał. Pora obudzić Maxa, potem zostanie jeszcze tylko Kaśka. Osoba, którą miał najmniejszą ochotę budzić. Jak dla niego, mogliby ją tu zostawić, niech sobie idzie do przybudówki i rozpacza nad losem swojego chłoptasia.

Kudłatego chłopaka nie trzeba było długo nakłaniać do wstania. Właściwie to otworzył oczy, jeszcze zanim Paweł do niego podszedł.

– Która godzina? – zapytał, ziewając.

Paweł zerknął na zegarek, odpowiadając, że jest parę minut przed piątą.

– O Jezu – wymamrotał chłopak, siadając na podłodze. Nie mieli łóżek, nie bardzo też mieli nawet jak zrobić sobie prowizoryczne posłania. Max wykorzystał dwie paczki papieru toaletowego jako poduszkę, poza tym leżał bezpośrednio na podłodze. Nie znaleźli w sklepie wystarczająco dużo papieru i ręczników, aby można było z nich zrobić choćby jedno względnie wygodne posłanie.

– Kawy? – zapytał komandos.

– Tak, chętnie, poproszę – odpowiedział chłopak. – Tylko z mlekiem, jeśli można – dodał, przypominając sobie, jaką siekierę złopał Paweł.

– Jasne. A z jakim: tłustym, chudym, light, kokosowym? Wiesz, mamy spory wybór – stwierdził Paweł, wskazując kciukiem sklep. Uśmiechnął się przy tym, następnie wstał i nie czekając na odpowiedź chłopaka, poszedł wstawić wodę.

– Komuś jeszcze kawy? – zapytał.

Pytanie retoryczne. Jeżeli ktoś po dwóch godzinach snu nie ma ochoty na kawę, to ewidentnie coś z nim jest nie tak. Wszyscy mieli ochotę. Nawet Kasia, nieśmiało stając w przejściu prowadzącym do miejsca, które szumnie zostało ochrzczone mianem biura.

– Ja też, jak można. Tylko z mlekiem. I z cukrem. Dużo cukru.

Każdy spojrział na dziewczynę, która, delikatnie mówiąc, nie wyglądała zbyt dobrze – miała opuchnięte oczy i potargane włosy. Wczorajszy makijaż był miejscami rozmazany, ubranie pogniecione. Do tego należało doliczyć odór przetrawionej wódki, który roztoczył się po pomieszczeniu, gdy tylko otworzyła usta. Na twarzach zebranych osób Kasia wyczytała, w jakiej jest formie.

– Słuchajcie... – zaczęła, ale przerwał jej Paweł.

– Okej. Wiemy. Nie musisz się tłumaczyć. Każdemu z nas jest ciężko.

Spojrziała na niego, a jej oczy ponownie zrobiły się szklane od łez, jakby za chwilę znowu miała

się rozplakać. Jednak dziewczyna wzięła głęboki wdech, wypuszczając po chwili powietrze z taką ilością alkoholu, że prawdopodobnie upiłoby siedmiolatka.

– Przepraszam – powiedziała. – Wiem, to znaczy... ciężko mi to wszystko zrozumieć. I jeszcze...

Kamil. Ja widziałam, co się stało z naszą sąsiadką, jak została ugryziona, ale wiecie, ciężko to zrozumieć, jak przytrafia się to komuś bliskiemu. To jest zajebiście nierealne, po prostu.

– Wiemy – powiedział spokojnie Kuba. Przed oczami stanął mu Tomek i Paweł strzelający w jego głowę. – Wiemy, co to znaczy.

– Przepraszam, musiałam to jakoś odreagować – wyjaśniła raz jeszcze, tym razem zerkając na Kaję. Dziewczyna kiwnęła jej głową, dając do zrozumienia, że nie żywi urazy.

– Mogę go zobaczyć? – zapytała w taki sposób, że jej pytanie było ledwo słyszalne.

Paweł zmarszczył brwi i przechylił delikatnie głowę na bok. Zastanowił się parę sekund nad odpowiedzią, aż w końcu rzekł:

– Możesz, jasne. Ale na twoim miejscu najpierw bym coś zjadł. Potem możesz nie mieć na to ochoty. A przed nami długi dzień – powiedział bez ogródek.

Kaśkę najpierw wkurzyły te słowa, jednak po chwili zamiast agresji poczuła niewypowiedzianą wręcz wdzięczność – ci ludzie nie dość, że uratowali jej dwa razy życie, to jeszcze teraz otwarcie mówią, że nie zamierzają zostawić jej samej na pastwę losu. Że może, a nawet powinna iść z nimi, gdziekolwiek zdecydują się podróżować. Przelknęła głośno ślinę i przyznała Pawłowi rację, chociaż była to jedna z najcięższych prób jej życia.

Okolo pół godziny później wszyscy zebrali się na zapleczu, przy śniadaniu. I to całkiem konkretnym – zgodnie stwierdzili, że skoro mają do dyspozycji cały sklep spożywczy, to należy z tego skorzystać, bo nie wiadomo, kiedy znowu taka okazja może się nadarzyć. Na zgrzewkach z piwem (stołu nie było), rozłożyli twarde czasopisma służące za obrus i blat jednocześnie, a na nich z kolei spoczęła cała fura jedzenia. Nawet ugotowali sobie jajka na twardo. Jak szaleć, to szaleć. Oczywiście, produkty, których użyli, zostały zabrane bezpośrednio ze sklepowych półek – nikt nie zamierzał dotykać pakunków przygotowanych na drogę. Przy okazji każdy skorzystał z toalety, odrobinę się odświeżając, aby zachować choć minimum higieny i poczucia normalności.

Posilali się, rozmawiali o niczym i za wszelką cenę starali się odwlec moment, w którym trzeba będzie skończyć, wstać i wyjść ze sklepu. Nawet udawało się im ignorować odgłosy walki dobiegające gdzieś z oddali.

– Jak było w nocy? – zapytał Kuba Pawła, stwierdzając w duchu, że może i jest fajnie, ale czas najwyższy zabrać się za konkrety.

– Raczej spokojnie – odezwał się komandos. – Tylko będziemy musieli bardzo uważać, jak wyjdziemy szukać samochodu – dodał, patrząc głęboko w oczy policjanta.

„Czyli jesteśmy w czarnej dupie” – Kuba zrozumiał przekaz Pawła. „Świetnie, kurwa”.

– Jasne. Jak zawsze.

– Czemu nie możemy iść wszyscy razem? – zapytała Natalia, wpatrując się w swojego męża. Rozdzielenie się było absolutnie ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę.

– Natka, bo tak będzie bezpieczniej dla wszystkich – spróbował przekonać ją Kuba. – Chwilowo nie możemy zostawić sklepu, tu jest zbyt wiele cennych rzeczy. Jakbyśmy wyszli szukać samochodu z tymi wszystkimi siatami, to byłoby nam po prostu niewygodnie. Sama rozumiesz.

– U nas w mieszkaniu są dwa plecaki turystyczne – odezwała się niespodziewanie Kasia. Paweł pokiwał głową z uznaniem, pomysł od razu przypadł mu do gustu.

– Okej, a daleko stąd mieszkanie? – spytał się i od razu pożałował takiego doboru słów, lecz dziewczyna zdawała się puścić jego nietakt mimo uszu.

– Jakies pięć minut piechotą, może nawet mniej. Wtedy szliśmy wolno, bo Kamil był ranny – odparła, nabierając powietrza. – Wam pewnie pójdzie szybciej.

– Można spróbować. Macie jakieś auto? – starał się dowiedzieć Kuba.

– Nie, my nie. Właściciele domu, w którym wynajmowaliśmy pokój, mieli samochód, jednak nie wrócili do domu.

– Okej, coś znajdziemy – stwierdził rozczarowany policjant. – Nikt nie znalazł kluczyków od dostawczaka? – zapytał jeszcze.

– Nie, niestety – doleciało do niego kilka odpowiedzi.

– Ale poczekajcie, naprzeciwko nas mieszkała taka jedna dziewczyna. Czasami pożyczalam od niej auto, miała takie stare bmw.

Wszyscy spojrzeli pełnym wyczekiwania wzrokiem na Kaśkę.

– Wiem, gdzie chowała kluczyki – dodała.

Paweł z Kubą wymienili spojrzenia.

– Dobra, chyba powinniśmy się powoli zbierać – zaproponował żołnierz.

Nikt z nich nie miał ochoty wychodzić z bezpiecznej i dobrze wyposażonej kryjówki, jednak czasami trzeba zrobić coś, czego absolutnie nie chcemy robić. I im szybciej zjemy tę żabę, tym lepiej.

Dziesięć minut później Paweł przekręcił zamek w bocznych drzwiach. Wcześniej wyjrzał przez wizjer, aby upewnić się, że po okolicy nie kręci się żaden zombie. Sprawdzili również teren przez okna, jednak ich perspektywa była bardzo ograniczona. Oprócz karabinku MP5 Paweł zabrał ze sobą kuchenny nóż, wsuwając go za pasek spodni. Dodatkowo wokół prawego przedramienia owinał i skleił taśmą ręcznik, tworząc dzięki temu grubą warstwę pancerza, który miał go chronić w przypadku bezpośredniej konfrontacji z zombie. Kuba uczynił to samo, nie ograniczając się jednak do jednej ręki – oba przedramiona miał owinięte pociętym i poklejonym ręcznikiem. Niby niewiele, a mężczyźni czuli się tak zabezpieczeni względnie komfortowo, o ile można się czuć komfortowo, na myśl o wyjściu między nieznane uliczki, po których kręczą się zombie zamierzający wygryźć ci kawałek tyłka. Zabrali ze sobą po karabinku i po pięć magazynków. Dodatkowo Paweł po kombinował trochę podczas nocnego czuwania i wprowadził pewne zmiany w obu broniach. Po

pierwsze, skleił magazynki taśmą izolacyjną znaną w części biurowej zaplecza. Stamtąd również wygrzebał skrzynkę z narzędziami, niestety, bardzo ubogo wyposażoną, i dał Kubie młotek, który miał mu pomóc w przypadku bezpośredniej konfrontacji z przeciwnikiem. W modyfikowaniu broni poszedł jednak kawałek dalej – z nieużywanego i rozmontowanego plastikowego regału zabrał dwie nogi, rurki o średnicy mniej więcej trzech centymetrów i długości trzydziestu. Przymocował je do lufy broni, starając się w ten sposób skonstruować coś na kształt tłumika. W środku rurek włożył złożony magazyn, sklejąc go wcześniej taśmą izolacyjną. W założeniu miało to spełniać dwie role – po pierwsze tłumić dźwięk, ale również i ogień wydobywający się z lufy podczas wystrzału. Jak wyjdzie w praktyce, mógł tylko domniemywać.

– Nie mam pojęcia, czy to zadziała. Zobaczymy – stwierdził, patrząc dość krytycznie na swoje dzieło.

– Dobra. Idziemy. Natalia, zamknij za nami drzwi i nikomu nie otwieraj. Trzymajcie broń w pogotowiu – poprosił Kuba.

Natalia, Kaja, Max i Kasia stali i patrzyli z przejęciem na obu mężczyzn. Każde z nich czuło się niepewnie, ale wiedzieli, że skończył się czas na sentymenty. Jakby to powiedziało dziecko – musieli być dzielni.

– Spokojnie, nic nam nie będzie – stwierdziła Kaja. – Tylko pamiętajcie, jak za trzydzieści minut nie wrócicie, wychodzimy was szukać.

– Jasne. Wrócimy – powiedział Paweł, otwierając drzwi i wychodząc na rześki poranek.

Wcześniej ustalili kierunek, w którym będą się poruszać. Uzgodnili też, a właściwie stwierdziły to Kaja i Natalia, że jeżeli nie wrócą po określonym czasie, to wychodzi za nimi grupa poszukiwawcza składająca się... ze wszystkich, którzy teraz zostają w sklepie. Obaj mężczyźni wiedzieli, że jakkolwiek opór z ich strony nie miał sensu – one i tak by wyszły, czy tego chcą, czy nie. Zgodzili się, jednocześnie gwarantując swój powrót przed upływem ustalonego czasu. Zapytali również Kaśkę, jak dokładnie trafić do ich domu, stwierdzając przy okazji, że powinni go rozpoznać bez większego trudu, bo już mieli okazję w nim przebywać. Dziewczyna przekazała im też informację dotyczącą lokalizacji plecaków turystycznych, jak i miejsca przetrzymywania kluczyków od bmw w posiadłości naprzeciwko.

Ich plan był, zdaje się, dość prosty – pójść, znaleźć plecaki, żeby można było łatwiej transportować rzeczy, i przy okazji (lub przede wszystkim) – znaleźć środek transportu. I wrócić.

Bez zbędnych ceregieli opuścili sklep. Zgodnie stwierdzili, że nie chcą teraz zaglądać do kanciapy i sprawdzać, jak sobie radzi Kamil.

Tymczasem w domu naprzeciwko sklepu ponownie poruszyła się żółta firanka.

– Wychodzą – powiedział spokojnie chłopak.

Ojciec podszedł do okna, podciągając wiszące na tyłku spodnie.

– O skurwiele. Zobacz, jakie mają karabiny – stwierdził, dopinając rozporek.

– No – przyznał mu rację syn. – Spoko, my też mamy – odpowiedział, odwracając się od okna. Spojrzał na leżące na stole dwa pistolety, które zrabowali z radiowozu stojącego parę ulic dalej.

Ojciec podążył za jego wzrokiem. Uśmiechnął się na myśl o władzy, jaką daje taki mały, połyskujący w porannym świetle przedmiot.

– Dobra, szykować się. Marta, ogarniaj się! Poczekamy parę minut i wychodzimy – stwierdził z zadowoleniem w głosie. Jego plan był genialnie prosty – wyjść, odbić sklep... koniec. Albo zabić ludzi w środku, albo ich nie zabijać, może zabić część, a część uprowadzić, żeby im usługiwali. Generalnie przejąć nad nimi kontrolę, wreszcie zobaczyć, jak to jest. Całe życie ktoś kontrolował jego, jak nie policja, to te pieprzone biurwy z Urzędu Pracy, a jak nie one, to śmierzący brygadziści lub inne szuje, które łapówkami i podstępem dorobiły się stołków. Ale nie, koniec z tym. Teraz przyszedł czas na nich, oni sami sobie będą panami. Mają broń, za chwilę odbiją sklep, w którym jest wszystko, co im potrzebne do szczęścia. A te kurwy, które się w środku zagnieździły, bardzo tego pożałują.

– Matka, ty zostajesz – powiedział, przechodząc obok swojej żony, która akurat kończyła piwo, zgniatając puszkę w rękę. Miał ochotę ją pocałować przed wyjściem, zrobić coś, czego nie robił od ładnych paru lat. Spojrzał na nią i stwierdził, że jednak przeszła mu ochota.

– Przynieście browary, bo się kończą – poprosiła, ziewając. – Ja zrobię jajka – stwierdziła, z trudem dźwigając swoje tłuste cielsko z wypłowiałego fotela.

ŁOMIANKI, GODZINA 06:06.

Paweł podszedł do drewnianej bramy, poruszając się niemalże bezszelestnie i cały czas trzymając się blisko ściany. Przez głowę idącego za nim Kuby przeleciała myśl, że choć facet jest od niego starszy, to sprawniej się porusza i jest lepiej zbudowany. Policjant poczuł się przez to z jednej strony stetryczały, z drugiej jednak zadowolony, że ma kogoś takiego przy swoim boku. Co nie zmieniało faktu, że dalej uważał go za zarozumiałego buca. Tylko w tym momencie Paweł awansował na przydatnego zarozumiałego buca. Pomimo wczesnej pory, słońce już dawało o sobie znać, przyjemnie grzejąc. Zapowiadał się naprawdę piękny dzień, na niebie nie było widać nawet jednej chmury.

„Nie tak sobie wyobrażałem koniec świata” – przeleciało przez myśl Pawła.

Komandos powoli wyjrzał zza rogu budynku. Po chwili odwrócił się i rzucił w stronę Kuby:

– Czysto.

Policjant skinął głową w odpowiedzi. Okolica faktycznie zdawała się być opustoszała. Na ulicy nie było żywego ducha, nieżywego również na szczęście brakowało – jednak mimo pozornej sielanki obaj wiedzieli, że ta sytuacja może się zmienić w ułamku sekundy. Musieli działać szybko, dobra passa w każdej chwili mogła się skończyć.

– Dobra, chyba możemy iść – powiedział Paweł, wychodząc za bramę. Szedł chodnikiem, nisko pochylony, blisko ogrodzenia, poruszając się w kierunku południowo-wschodnim. Kuba kroczył tuż obok niego, ubezpieczając lewą stronę drogi i ich tyły. Nie było sensu rozciągać formacji i iść w dużym odstępnie, przynajmniej nie musieli tak robić do momentu, w którym zombie nauczą się używać broni palnej. Komandos krył przód i prawą stronę. Uzgodnili, że otwierają ogień tylko w przypadku bezpośredniego zagrożenia. Przeszli kilkadziesiąt metrów, gdy nagle Paweł zatrzymał się, kucając.

– Co jest? – zapytał cicho Kuba, rozglądając się czujnie.

– Nic. Nasłuchuję – odpowiedział Paweł.

Policjant zrobił to samo. Przez kilkanaście sekund tkwili w bezruchu, czujnie obserwując okolicę. Wszystkie widziane przez nich domy wyglądały na opuszczone. Nie miały, co prawda, powybijanych szyb, okna i wejścia nie były pozabijane deskami, czyli mijano się to z typową wizją postapokaliptycznego miasta opuszczonego w wyniku obłączenia żywych trupów. Jednak w powietrzu wisiała trudna do sprecyzowania atmosfera porzucenia. Nie słychać było szczekania psów, ani silników samochodów – okolica zdawała się wstrzymywać oddech przed nadchodzącą nawałnicą.

– Kaśka mówiła, że mamy tu skręcić, tak? – upewnił się Kuba, wskazując skrzyżowanie oddalone od nich o mniej więcej sto metrów. Według instrukcji dziewczyny na pierwszej krzyżówce mieli

skręcić w prawo, a po przejściu mniej więcej połowy kilometra, trafić na jej dom.

– Tak. Idziemy – odpowiedział Paweł i ruszył przed siebie.

Pomimo ciszy był bardzo niespokojny. Nie podobało mu się to. Było zbyt cicho. Komandos odnosił wrażenie, że za każdym rogiem, w każdym oknie i pod każdym krzakiem czają się zombie, którzy tylko czekają na błąd z ich strony. Niemalże czuł na plecach ich wzrok, chociaż próbował przekonać sam siebie, że to on ma nad nimi przewagę – może niekoniecznie w postaci nieprzegryzalnego, superpancernego ręcznika, którym owinął sobie przedramię, ale raczej w postaci pięciu magazynków do MP5 i swojego wyszkolenia strzeleckiego. Przy racjonalnym dysponowaniu tymi zasobami mógł położyć nawet setkę przeciwników, i to zakładając, że jedna trzecia pocisków minie cel. Wystarczyło pozwolić zombie wejść w odpowiedni zasięg i trafić go w głowę. Drobnostka. Mężczyzna obliznął spierzchnięte wargi.

Kuba odbierał sytuację podobnie jak Paweł, z tą tylko różnicą, że policjant był znacznie mniej pewny siebie. W jego oczach komandos był prymitywnym, aczkolwiek doskonale wyszkolonym barbarzyńcą, który jest nastawiony na przeżycie za wszelką cenę. Nawet jeżeli miałyby to oznaczać przypadkowe wyeliminowanie kilku nie do końca „zombifikowanych” obywateli. Policjant natomiast w głębi siebie dalej wierzył w możliwość wyleczenia tych osób. Był wewnętrznie rozdarty; wiedział, że musi strzelać, aby zabić. Rachunek był prosty – albo oni, albo on. Na własne oczy przecież widział przemianę Kamila. W jego opinii to potwierdzało jednak tylko domniemanie, że mieli do czynienia z jakimś wirusem, z tajemniczą chorobą. A takie rzeczy, jak powszechnie wiadomo – się leczy. No może nie wszystkie, ale zdecydowaną większość. Dlatego nie potrafił zapomnieć, co Paweł zrobił z Tomkiem.

Dotarli do skrzyżowania. O ile wcześniej można było się łudzić, że zaraza tutaj nie zasiała aż takiego spustoszenia, teraz należało pozbyć się wszelkich wątpliwości. Na drugim końcu ulicy, gdzie właśnie zamierzali się udać, płonęły domy. Nieugaszony przez nikogo ogień rozprzestrzeniał się bez przeszkód się na kolejne posesje. „Tym bardziej powinni się stąd ewakuować” – pomyślał Paweł. Dodatkowo na ulicy stały porzucone auta, niektóre po wypadkach, inne nie. Jeden stary nissan stał wbity w słup. Wzrok Kuby jednak od razu spoczął na małej srebrnej toyocie, która zdawała się być po prostu porzucona. Podbiegł do niej, wyprzedzając Pawła. Samochód nie wyglądał na uszkodzony, ale to i tak nic im nie dało – w stacyjce nie było kluczyków.

– Cholera – zaklął policjant.

Dobiegł do niego Paweł.

– Nie ma kluczyków? – zapytał, chociaż odpowiedź była dość oczywista.

Nagle policjant gwałtownie uniósł broń. Paweł podążył za jego wzrokiem i zobaczył, jak kilka metrów dalej na ulicy leżą zwłoki. Wcześniej nie mogli ich zobaczyć, zasłaniał je bowiem samochód. Paweł zrobił kilka kroków w stronę ciała, a krew w jego żyłach zaczęła pulsować nieco żwawiej. Był niemalże pewien, że patrzy na trupa, który już nie wstanie, jednak musiał się upewnić.

Podszedł ostrożnie do ciała i uważnie je obejrzał. Martwa kobieta spoczywała na brzuchu z twarzą skierowaną w stronę nadchodzącego komandosa. Bez wątplenia była martwa i to tak martwa,

jak być powinna – świadczyły o tym nie tylko liczne rany powstałe prawdopodobnie w wyniku wypadku, ale też nienaturalnie skręcony kark.

„Umarła młodo, miała może z dwadzieścia parę lat” – stwierdził w myślach Paweł. Zastanowił się od razu, czy jego córka dożyje tego wieku, a ciężar pytania niemalże wbił go w asfalt. „Skup się” – nakazał sobie w myślach. „Nie patrz na plamy krwi na jej żółtej sukience, nie patrz na jej szeroko otwarte, ale niczego niewidzące oczy. Nie patrz na wygryzione kawałki ciała, na ślady po zadrapaniach i kałuże krwi wsiąkniętej w asfalt. Nie patrz na to. Skup się na tym, co masz zrobić, i zrób to. Skup się na tym, żeby twoja córka przeżyła znacznie dłużej niż ona”.

Jednak nie mógł się uspokoić. Poczuł, jak jego ciałem wstrząsa niespodziewany dreszcz. Następnie gwałtownie zgiął się wpół, uklęknął i zwymiotował. Szybko znalazł się przy nim Kuba. Ukucnął metr dalej i rozglądał się po okolicy, sprawdzając, czy zachowanie Pawła nie ściągnęło na nich czyjejś uwagi.

Mężczyzna skończył, wycierając usta w zamontowany na swoim przedramieniu ręcznik.

– Przepraszam – powiedział, nie patrząc nawet na towarzysza. Było mu cholernie głupio.

– Luz. Możemy?

– Jasne.

Kuba był zadowolony z tego, co zobaczył, ponieważ dowodziło to faktu, że Paweł jest jeszcze człowiekiem, a nie tylko zimnym profesjonalistą. Nie zamierzał się jednak tym dzielić ani z nim, ani z nikim w grupie – niech postrzegają go tak, jak robili to do tej pory. Wyraźnie tego potrzebowali. Paweł natomiast wżgardził samym sobą, czując się jak ostatnia, wystraszona ciota.

Pomimo wczesnej pory obaj obficie się pocili. Było to spowodowane nie tylko szybko rosnącą temperaturą, lecz przede wszystkim strachem. Szybko okazało się, że ręcznik owinięty wokół ich przedramion nie tylko pełnił funkcję pancerza, ale również ocieplacza. Pot to spływał na łokcie, to na dłonie, czyniąc broń coraz trudniejszą do utrzymania. Co jakiś czas obaj panowie wycierali spoczone ręce w spodnie. Na swojej drodze spotkali jeszcze kilka ciał. Część z nich miała przestrzelone głowy, część miała dziury w czaszkach powstałe od uderzenia ostrym narzędziem.

„Zaczyna się formować ruch oporu” – przeszło przez myśl komandosa. Z jednej strony to go ucieszyło, z drugiej nappełniło obawą – nie wiedział, czego będzie się można spodziewać po silnych, niezależnych grupach. Cały czas miał w głowie ludzi, których musiał zastrzelić na Polach Mokotowskich, i obawiał się ponownego spotkania z tego typu zbieraniną.

– Zejdźmy ze środka drogi – zasugerował towarzyszowi.

– Poczekaj. Zobacz – poprosił Kuba, wskazując Pawłowi ścianę lasu, przed którą droga gwałtownie skręcała.

– O cholera – stwierdził tylko. Nie potrafił znaleźć innych słów. – Pospieszmy się.

Kilkaset metrów przed nimi zombie pożywiali się leżącymi na ulicy zwłokami. Trupy było odwrócone do nich plecami, dzięki czemu mieli szansę przejść niezauważeni.

Kubie nie trzeba było dwa razy powtarzać. Gdzieś niedaleko nich rozległy się strzały.

– Paweł! – teatralnym szeptem krzyknął Kuba.

Komandos zatrzymał się gwałtownie i obejrzał za siebie. Policjant zerkał w stronę, z której dolaływały odgłosy walki.

– Może potrzebują pomocy? – zastanowił się na głos.

– Może. Ale my też potrzebujemy pomocy – stwierdził brutalnie Paweł. Brutalnie i niestety dość racjonalnie. – Nie uratujemy całego miasta. Dawaj dalej.

Nie oglądając się na policjanta, ruszył przed siebie. Wiedział, że ten za chwilę do niego dołączy, prawdopodobnie klnąc i złorzecząc w myślach. Nic go to jednak nie obchodziło.

Po paru minutach skradania się dotarli do mieszkania Kaśki i Kamila. Oczywiście, mogli poszukać plecaków znacznie bliżej. Mogli też poszukać auta na którejś posesji w bezpośrednim sąsiedztwie sklepu – jednak to zajęłoby im zdecydowanie więcej czasu i naraziło na dodatkowe niebezpieczeństwo. Tutaj wiedzieli, że znajdą dwa plecaki turystyczne, które mogą im bardzo pomóc w momencie, gdy musieliby zrezygnować z transportu samochodowego. Wiedzieli również, że w domu nie było więcej domowników, wobec czego, jeżeli nie przypałał się tu ktoś z zewnątrz, budynek powinien stać pusty. Gra była więc warta świeczki, pomimo odległości, jaką musieli pokonać.

Paweł jako pierwszy przekroczył parapet. Wchodzili przez rozbite okno, dzięki czemu mieli od razu widok na cały salon, korytarz i klatkę schodową. Na podłodze cały czas leżały zwłoki trzech zombie, których mężczyźni wcześniej zastrzelili. Wydawało się, że wydarzenia te miały miejsce wieki temu, a nie ledwie kilkanaście godzin wcześniej.

– Uważaj na szkło – polecił kompanowi.

– Wiem – odpowiedział szorstko Kuba. Nie lubił, jak ktoś mówił mu tak oczywiste rzeczy.

Kuba przeszedł na ugiętych nogach przez salon, zawracając wzrok w stronę przedpokoju. Zajrzał do drewnianej skrzyneczki na klucze, jednak nie znalazł kluczyków od auta – pomimo informacji uzyskanych od Kaśki policjant i tak sprawdził skrzynkę – w końcu dziewczyna mogła się mylić, może właściciele posesji mieli auto, o którym nie wiedziała. Pokiwał jednak Pawłowi na znak, że takiego auta nie ma.

– Plecaki mają być na górze, nie? – spytał cicho.

Kuba nie odpowiedział, kiwnął tylko głową.

– Sprawdzamy cały dom? – dopytał policjant, stając przed schodami. Obaj cały czas trzymali broń w gotowości, rozglądając się wokół siebie, na wypadek jakby niespodziewanie pokazał się gdzieś jakiś zombie.

– Nie. Bierzemy plecaki i spadamy stąd – zaproponował Paweł.

„I dobrze” – pomyślał Kuba. „Niezbyt mi się uśmiecha chodzenie po domu pełnym trupów”.

Pierwszy na górę ruszył komandos. Schody zaskrzypiały kilka razy, przez co mężczyzna zamarł, nasłuchując innych dźwięków w domu. Czekał, aż skądś dobiegną kroki, trzaśnięcie drzwi, warknięcie. Niczego takiego jednak nie usłyszał.

Po kilkunastu sekundach wspinaczki dotarli do szczytu schodów, gdzie się zatrzymali. Paweł wychylił szybko głowę na korytarz, cofając ją od razu, jak tylko zerknął na przejście. Zakładał, że dom jest pusty i nikogo w nim nie spotkają, jednak w takich sytuacjach nie można być po prostu zbyt

ostrożnym.

Komandos odwrócił się i kiwnął głową policjantowi, dając mu tym samym do zrozumienia, że góra wydaje się bezpieczna. Nieważne, że na korytarz wychodziły cztery pary drzwi, a oni nie sprawdzili jeszcze żadnego pomieszczenia. Było pusto i już. Przynajmniej tyle podpowiadała mu intuicja.

I faktycznie, na ich szczęście górne piętro okazało się być opustoszałe. Z drugiej strony wiedzieli, że jedyne żywe osoby opuściły dom, więc zombie, nawet, jeżeli jacyś by weszli na jego teren, nie mieliby tu czego szukać. Szybko znaleźli plecaki (oba były schowane na górze szafy) i zakładając je na plecy, ruszyli w drogę powrotną. Zeszli już znacznie pewniejsi siebie, wiedząc przecież, że w mieszkaniu nie ma nikogo poza nimi.

Jednak wtedy, jak zawsze gdy człowiek myśli, że nic złego mu się nie przytrafi, usłyszeli strzały dobiegające gdzieś z ulicy. Paweł uniósł dłoń, nakazując Kubie, by ten się zatrzymał, co policjant i tak doskonale wiedział. Tym razem nie miał czasu się denerwować, gdyż odgłosy walki dobiegały ze zdecydowanie zbyt bliskiej odległości. Jednak jakiś impuls nakazał Kubie ruszenie się, coś mu podpowiadało, że nie może stać odsłonięty na schodach.

Wiedziony instynktem rzucił się w stronę kuchni. Tam też od razu przywarł plecami do ściany, bojąc się, że może trafić go jakaś zabłąkana kula. Paweł w tym samym czasie zaklął i dał nura za kanapę, zza której po chwili wychylił się, aby zerknąć na ulicę.

– Widzisz coś? – zapytał cicho Kuba.

– Nie. A ty?

Kuba wyjrzał zza wejścia do kuchni. Ulica zdawała się być pusta, nie licząc rozbitych samochodów i kilku leżących ciał, jednak coś było nie tak. Jakieś zagrożenie wisiało w powietrzu, wiedział, że lada chwila coś się zdarzy. Pokręcił głową, dając Pawłowi znak, że niczego nie widzi, jednak gdy tylko skończył to robić, błyskawicznie schował się z powrotem w kuchni, bo sytuacja nagle się zmieniła.

Na ulicy przed domem pojawił się mężczyzna z pistoletem, biegnący od strony lasu. Facet w średnim wieku, lekko tłustawy. Wyglądał jak przedstawiciel handlowy lub akwizytor – szary, absolutnie zwykły garnitur miał pobrudzony krwią w kilku miejscach, lewa nogawka była rozerwana, odsłaniając zranioną nogę. Akwizytor czy nie, facet walczył o życie. Mężczyzna co parę kroków zatrzymywał się i oddawał strzał. Kuba doskonale wiedział, do czego strzelał uciekinier, nie wiedział natomiast, ilu zombie dybie na życie samotnego nieszczęśnika. Policjant spojrzął na komandosa i zauważył, że ten również wpatrywał się w faceta na ulicy. „Dobra” – pomyślał. „Tym razem nie będę cię pytał o zdanie”.

Powiedziawszy to, ruszył przed siebie. Kątem oka zobaczył, jak Paweł zerka na niego pełnym zaskoczenia wzrokiem.

– Co ty robisz? – zapytał. – Nie, kurwa, nie idź, nie możemy...

Coś tam chyba jeszcze mówił, ale Kuba go nie słuchał. Zamierzał uratować tego człowieka, nieważne, jakim kosztem. Musiał, po prostu rozpaczliwie potrzebował zrobić coś, żeby zrehabilitować

się, żeby odkupić swoje winy. To, że nie udało mu się uratować Kamila i Tomka, siedziało głęboko w jego sercu. Cały czas widział ich twarze przed swoimi oczami. Sam tego nie potrafił zrozumieć – ledwo ich znał, jednak ci bezbronni, ranni chłopcy symbolizowali dla niego wszystko, o co warto było walczyć. Symbolizowali słabość, której Kuba musiał nieść pomoc i o którą musiał się troszczyć. Takie już było jego zadanie.

Zrobił krok przez okno, wybiegając na podwórze. I wtedy cały entuzjazm z niego uleciał, jak powietrze z przebitego balonu.

– O Jezu – wyszeptał tylko, nieświadomy tego, że ostatnimi czasy coraz częściej wzywa imię Syna Bożego.

Kilkadziesiąt metrów dalej ulica roiała się od zombie. Poczwały wylażyły z lasu i spomiędzy otaczających go posesji – wyglądało to tak, jakby załęgły się tam wcześniej i tylko czekały na odpowiedni moment do ataku. Jak szczury, które po latach chowania się w ciemnych i mokrych podziemiach, nagle stwierdzają, że odbiorą ludziom władzę. Niektórzy zombie biegli nieskładnie przed siebie, potykając się o własne, zmasakrowane i uszkodzone nogi, czasem przewracając się i podcinając jedni drugich.

Policjant spotkał się wzrokiem z mężczyzną w szarym garniturze. Jego spojrzenie wyrażało żal i poczucie absolutnej klęski. Kuba krzyknął, aby uważał, bo kilku zombie było już mniej niż dziesięć metrów od niego, biegnąc co sił w martwych kończynach. Jednak spojrzenie mężczyzny wyrażało coś jeszcze – coś, bo było gorsze niż żal, gorsze, niż poczucie klęski – wyrażało rezygnację, zmęczenie i absolutny brak woli do dalszej walki.

Nim pierwszy zombie go dopadł, mężczyzna przystawił sobie pistolet do skroni i cały czas patrząc smutnymi oczami na Kubę, pociągnął za spust. Policjant mimowolnie krzyknął, aby tego nie robił, jednak tamten nie mógł go usłyszeć.

Jeszcze zanim bezwładne zwłoki opadły na zimny asfalt, do faceta podleciał pierwszy truposz i rzucił się na niego jakby z wściekłością, że to nie on go zabił. Sekundy później patroszyło go już kilka osobników.

Czas spowolnił, a Kuba poczuł się, jakby oglądał film. Jakby to, co działo się przed jego oczami, tak naprawdę nie było niczym więcej, niż tylko fikcją. Policjant zaczął się zastanawiać, dlaczego tamten człowiek to zrobił. Dlaczego się zastrzelił, przecież mógł walczyć. A oni mogliby go uratować, mogliby go włączyć do swojej grupy.

„I co dalej?” – pomyślał Kuba. Czarne myśli zaczęły trawić jego umysł w najmniej odpowiednim do tego momencie, spychając na drugi plan aktywne działanie.

– Kurwa mać – wycedził przez zaciśnięte zęby Paweł. – Dawaj! – krzyknął i otworzył ogień do znajdujących się najbliżej zombie, podchodząc szybkim krokiem do Kuby. Komandos miał niedostępną zwykłemu śmiertelnikowi zdolność prowadzenia ognia podczas przemieszczania się. Dodatkowo był to powtarzalny, celny ogień.

Dopiero słysząc wystrzał i rozkaz Pawła, Kuba oprzytomniał. I w ułamku sekundy uświadomił sobie nie tylko, że to nie był film, ale również to, jak bardzo mają teraz przesrane.

Pierwsza maskara została przeorana serią dziewięciomilimetrowych pocisków, które przeszły przez nią od klatki piersiowej aż po sam czubek głowy. Padła martwa, powalając potwora biegnącego tuż za nią. Jeden z pocisków, wystrzelony przez Pawła, zabił również drugiego zombie. Komandos błyskawicznie przypomniał sobie, że nie walczy ze zwykłym człowiekiem, którego strzał w korpus praktycznie wyłącza z gry – tego jedynie odrobinę spowalnia. Wiedział, że musi celować w głowę, oszczędzając w ten sposób każdą kulę. Wymagało to od niego wiele skupienia, ale nie miał czasu się teraz nad tym zastanawiać. Priorytetem było wyeliminowanie najbliższych zombie, tak żeby zyskali na czasie przed nadciągającą nawałnicą. Chłonał pole bitwy każdą cząstką własnego ciała. Stał się jednym wielkim zmysłem – słuchem, wzrokiem i koncentracją.

Strzelał raz za razem, zauważając, że dołączył do niego Kuba. W powietrzu unosił się zapach karbidu i krwi. Prowizoryczne tłumiki nie dość, że nie spełniały swojego zadania, to jeszcze zaczynały przeszkadzać – Paweł na chwilę przerwał ogień i klnąc, zerwał kawałek plastiku z gazetą w środku z lufy. Jego prowizoryczny tłumik i tak opadł w taki sposób, że kula przebijała go przy każdym strzale.

Pomimo względnie celnego ostrzału atak nie słabł, a wręcz przeciwnie – można było przypuszczać, że jeszcze przybrał na sile. Kilkunastu zombie pędziło przed siebie z szaleństwem w oczach, starając się dopaść swoje ofiary.

– Musimy wiać! – krzyknął Paweł, wsuwając przy okazji pełny magazynek do karabinu. Pustych magazynków nie wyrzucał, tylko wsadzał je do kieszeni spodni, aby później je wykorzystać – tylko w durnych filmach bohaterowie je wyrzucają... Jeżeli żołnierze by tak robili, w co ładowaliby naboje? Oddał jeszcze kilka strzałów, po czym odwrócił się i rzucił biegiem przed siebie.

– Kurwa, kurwa, kurwa – wycedził przez zaciśnięte zęby Kuba, odwracając się i ruszając za żołnierzem.

– Biegnij! Nie odwracaj się! – krzyknął Paweł, samemu nagle przystając za wrakiem auta. Czas pomiędzy zatrzymaniem się, odwróceniem i przyjęciem pozycji strzeleckiej Paweł wykorzystał na maksymalne skoncentrowanie się. Skupił wszystkie myśli, całą wolę walki na jednym, jedynym zadaniu – prowadzeniu ognia. Tak naprawdę starał się nie myśleć o celowaniu, nie myśleć o niesamowicie trudnych do trafienia celach, o znikomej ilości amunicji, zamiast tego pozwolił swojemu ciału wykonywać doskonale wytrenowane i zaplanowane sekwencje ruchów. Skupił się na oddechu i wyciszeniu umysłu. Oparł lewe przedramię o dach auta i powoli wypuścił powietrze, pociągając jednocześnie kilkanaście razy za spust. Pędząca wcześniej za nim kobieta została wyeliminowana pociskiem, który trafił ją centralnie między oczy. Siła uderzenia ją przewróciła, powodując spektakularny upadek na plecy. Tak samo zachowywały się pozostałe trafione cele, które wyglądały tak, jakby zderzały się z niewidzialną przeszkodą. Jakby jakieś ponure, prastare bóstwo dawało im pstryczki w czoło.

Jednak pomimo celnych strzałów mężczyzna czuł, jak wokół jego szyi zaciska się niewidzialna pętla, coraz bardziej utrudniająca oddychanie. Trudno było zachować spokój i trzeźwość umysłu, widząc ulicę wypełnioną hordą żywych trupów. Ludzi, którzy jeszcze kilkadziesiąt godzin temu wie-

dli normalne życie, mieli marzenia, potrzeby. Jedno ugryzienie zmieniało ich w monstra łaknące krwi. Paweł szybko zrozumiał, że przeciwników było zdecydowanie zbyt wielu, a pocisków – zbyt mało. Tak samo jak czasu, który mu pozostał na dotarcie do bezpiecznej kryjówki.

„Nie zdążymy” – pomyślał komandos, opuszczając mentalną gardę. „Zdechnę na tej pieprzonej, obcej ulicy, zeżarty przez wygłodniałe trupy”. Niemniej nawet te ponure myśli nie pozwoliły mu przerwać ognia. Zdażył wyeliminować więcej niż tuzin przeciwników, jednak kolejne z każdą sekundą znajdowały się coraz bliżej. Komandos ponownie zmienił magazynek, przekręcając go tylko do góry nogami – wcześniej, jeszcze w sklepie skleił ze sobą dwa magazynki taśmą izolacyjną, co pozwalało mu znacznie szybciej je teraz wymienić. Odwrócił się do biegu, zauważając, że policjant wystrzelił jak z procy i jest już dobre pięćdziesiąt metrów dalej.

Na szczęście, jakby usłyszawszy jego myśli, Kuba odwrócił się i zaczął prowadzić ostrzał. Pędzący między wrakami porzuconych aut Paweł starał się nie myśleć o tym, że policjantowi omsknie się ręka i wystrzelony przez niego pocisk go dosięgnie. W głowie błyskawicznie pojawiła mu się scena, w której zostaje postrzelony w kolano, przewraca się i dopada go horda, jeszcze zanim zdąży strzelić sobie w łeb. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzałby w swoim życiu, byłyby prawdopodobnie piękne, wysokie brzozy równomiernie rosnące wzdłuż drogi. Widok równie chwytający za serce, co pospolity.

Jednak biegł. Pędził najszybciej, jak potrafił, podczas gdy powietrze wokół niego przeszywały pociski wystrzelone przez Kubę. Dobiegając do kompana, komandos zauważył przerażenie na jego twarzy – zastanowił się, czy sam też tak wygląda.

Przebiegł obok niego i nagle wydarzyło się coś, czego żaden z nich absolutnie się nie spodziewał – z bocznej uliczki wypadło bordowe volvo V40. Stare kombi zatrzymało się z piskiem opon kilka metrów od nich. Otworzyły się drzwi od strony pasażera i z wnętrza wozu dobiegło ich tylko jedno słowo:

– Wsiadajcie!

Paweł nawet przez sekundę nie zastanawiał się nad decyzją – z racji mniejszej odległości od auta podbiegł do niego i otwierając tylne drzwi, wpakował się na miejsce pasażera. Miejsce z przodu zostawił dla Kuby, który po paru sekundach znalazł się w środku i trzasnął swoimi drzwiami.

– Jedź, jedź, jedź! – krzyknął, chociaż nikogo nie trzeba było poganiać. Kierowca tylko czekał na drugiego pasażera, ruszając natychmiast, gdy ten wsiadł. – Skręć tu w lewo!

– Wiem – powiedział spokojnie, co wywołało konsternację zarówno u Kuby, jak i u Pawła. Jednak nim zdążyli o cokolwiek dopytać, kierowca dodał:

– Obserwuję was od wczoraj.

ŁOMIANKI, GODZINA 07:10.

Musimy po nich wyjść! – upierała się Natalia, próbując przecisnąć się obok Kai.

– Nie! Czekaj! – oponowała dziewczyna, zagradzając jej drogę.

– Ale oni tam zginą! Przecież słyszałaś strzały!

Stojący tuż za Kają Max stwierdził, że ta wściekłość nawet dodaje jej uroku. Musi być naprawdę piękną kobietą, skoro pomimo potu i czerwieni wywołanej złością, dalej wydaje się tak atrakcyjna.

– Uspokój się! – próbowała Kaja. – Wyjdziemy po nich, ale nie wybiegniemy na pałę, bo nie wiemy, co jest za drzwiami.

– Przecież. Oni. Tam. Zginą. Jeśli im nie pomożemy – Natalia straciła cierpliwość, złapała Kają za ramiona i zaczęła nią potrząsać. Jednak drobniejsza i młodsza od niej dziewczyna nie pozwoliła sobie na takie traktowanie – złączywszy ręce ponad rękami Natalii, jednym silnym ruchem zbiła jej dłonie z własnych ramion. Następnie wyciągnęła przed siebie rękę, kładąc ją na obojczyku zdezoorientowanej blondynki – nie w formie ataku, ale próbując załagodzić sytuację.

– Uspokój się. Wyjdziemy – podkreśliła. – Ale przed sklep, nie dalej. Jeżeli coś ich ściga, a pewnie ściga, to będziemy ich osłaniać. Rozumiesz? Inaczej tylko spowolnimy ich ucieczkę.

Nie czekając na odpowiedź Natalii, Kaja odwróciła się do Maxa i powiedziała:

– Bierz strzelbę, wychodzimy.

Chłopakowi nie trzeba było dwa razy powtarzać – nosił przy sobie broń, odkąd Paweł i Kuba opuścili sklep. Teraz tylko kiwnął głową. Jego wąskie, zaciśnięte usta i zmrużone oczy wskazywały na potężną determinację.

– Dobra. Dawaj – powiedział, przeładowując i unosząc kolbę do ramienia.

„Pięć pocisków” – przypomniał sobie chłopak. „Pamiętaj, żeby liczyć. Pięć pocisków w broni, po pięć w każdej kieszeni”.

Drugiego imperatora trzymała Kaja, Natalia natomiast dzierżyła w drżących rękach MP5 z również sklejonymi magazynkami.

Cała trójka wymieniła wystraszone spojrzenia. Byli stosunkowo młodzi, a rzeczy, jakie przyszło im robić, widzieli tylko na filmach. Kaśka, jeszcze będąca na kacu, zdecydowała, że zostanie w sklepie i zamknie go po ich wyjściu. Poza tym, jak otwarcie przyznała, i tak nie potrafiła posługiwać się bronią, więc mogłaby tylko kogoś postrzelić.

– Tylko uważajcie, żeby ich nie trafić – poprosiła Natalia.

Bez zbędnych ceregieli Kaja przekręciła zamek i otworzyła drzwi. Wypadli na zewnątrz.

Uderzyło ich ciepłe, suche powietrze, tak bardzo różniące się od klimatyzowanego powietrza wypełniającego wnętrze sklepu. Cała trójka zmrużyła oczy, przyzwyczajając się do słonecznego blasku,

ale nie zwolniła biegu. Po paru sekundach znaleźli się na ulicy, rozglądając się wokół z zawadiacko uniesioną bronią. Nie było widać ani Pawła z Kubą, ani zombie.

Nagle Kaja zamarła.

Wybiegając ze sklepu, przeoczyli czającego się przy ogrodzeniu mężczyznę. Facet był w średnim wieku, na pierwszy rzut oka widać, że egzemplarz mocno zużyty, zwłaszcza wątroba. Jego strój mówił sam za siebie – rozchodzone, rozpadające się buty, wypłowiałe, szare spodnie i bura koszula z podwiniętymi rękawami. Przetłuszczone włosy były zawadiacko zaczesane na bok, tworząc równy przedziałek z lewej strony głowy. Małe, zwężone oczka uważnie przyglądały się Kai, popękane wargi unosiły się w paskudnym uśmiechu prezentującym brązowe, zniszczone zęby. Brudna, zaniedbana dłoń trzymała kontrastujący z całością czysty, połyskujący w porannym słońcu pistolet wycelowany prosto w jej czoło.

Dziewczyna poczuła pełną po plecach strach, ale nie straciła rezonu, nie dała się porwać panice – cały czas trzymała swoją broń wysoko, gotową do strzału. Widziała już tego typu ludzi, wiedziała, że ta hiena na pewno nie pomoże w walce. Ale mogła w niej znacznie przeszkodzić.

– Rzuć broń! – krzyknęła, starając się przejąć inicjatywę.

Później długo się zastanawiała, dlaczego wtedy po prostu nie strzeliła. Dlaczego pozwoliła na to, aby sytuacja wymknęła się spod kontroli, zamiast zrobić to, co podpowiadała jej intuicja.

– Nie, to kierowniczką broń rzuci – wysyczał mężczyzna. – Wszyscy! Rzućta te karabiny!

Natalia z Maxem zareagowali na krzyk Kai, toteż cała trójka mierzyła do menela schowanego przy ogrodzeniu, między białym dostawczakiem a siatką.

– Jesteś sam, nas jest trójka, rzuć broń! Nie szukamy kłopotów! – krzyknął Max, przechodząc parę kroków po ulicy, aby zmienić kąt strzału. W ten sposób mężczyzna został wzięty w krzyżowy ogień.

– Stój! – krzyknął facet, nerwowo wymachując bronią.

Max nie usłuchał. Wiedział, że muszą się spieszyć, bo lada chwila okolica zaroi się od zombie. Zrobił jeszcze parę kroków, gdy nagle poczuł coś zimnego na szyi.

– Nie słyszałeś, kurwa, brudasie jeden, że masz się zatrzymać? – usłyszał tuż obok ucha. Krzysiek przyłożył Maxowi nóż kuchenny do szyi, z nieskrywaną satysfakcją mocno go przyciskając. Chłopak błyskawicznie przeanalizował swoją sytuację – nie dość, że młodziak znajdujący się za nim był prawdopodobnie nieobliczalny, to jeszcze nienawidził metali, czemu dał wyraz tym jednym wypowiedzianym zdaniem. Z doświadczenia Max wiedział, że takie osoby są zdolne do wszystkiego. A sytuacja sprzyjała robieniu, co się komu żywnie podoba, bo przecież nie trzeba było ponosić żadnych konsekwencji swych czynów. Musiał być posłuszny i grzeczny. Tylko wtedy może mieć minimalne szanse na przeżycie.

– Okej, spokojnie – powiedział, czując, jak jego jabłko Adama ślizga się po ostrzu noża. Uniósł ręce w górę, trzymając w jednej z nich strzelbę. – Odkładam broń, zobacz.

– Co zobacz, chuju! Co, wódkę razem piliśmy? Od kiedy jesteśmy na ty? – wysyczał chłopak, opluwając przy tym Maxowi ucho.

– Przepraszam, proszę pana.

– No, kurwa. Dobry brudas – skomentował zadowolony z siebie chłopaczyna. Max natomiast poczuł, że niezależnie od tego, jak sytuacja się rozwinie, on niechybnie zginie. Ot tak, chociażby dla uciechy dewianta z nożem. W tym momencie wypuścił z ręki broń, która z głośnym trzaskiem upadła na kostkę.

Tymczasem Kaja gorączkowo próbowała znaleźć wyjście z sytuacji. Starła się objąć wzrokiem mężczyznę przy samochodzie i młodego gościa, który posłużył się Maxem jak tarczą. Wiedziała, że musi działać szybko, ale absolutnie nie wiedziała jak. Co robić? Żadnego sensownego wyjścia z tej sytuacji nie było, mogli być tylko ulegli i wykonywać ich polecenia.

– Ej, słyszeliście, co ojciec powiedział! Rzućcie broń! – krzyknął ponownie Krzysiek. – Marta, pomóż im!

Na dźwięk kobiecego imienia Kaja odwróciła się, ale było już za późno – drewniana, kwadratowa deska wylądowała z głuchym łupnięciem na jej plecach, boleśnie powalając ją na ziemię. Wypuściła z rąk strzelbę, aby móc ochronić się przed upadkiem. Poczuła przeszywający ból w prawej łopatce, po czym zderzyła się z zimną kostką brukową. Świat na chwilę zawirował, ciemne plamy wytańczyły szydery taniec przed jej oczami.

– Dobrze, wal ją – śmiejąc się, krzyczał chłopak stojący za Maxem.

– Przestań! Odłóż to! – krzyczała jednocześnie Natalia, celując z karabinu do dziewczyny. Żona policjanta była przerażona, lecz wiedziała, jak wiele od niej zależy – zaryzykowała i szybko odwróciła się, aby zobaczyć, czy i do niej nikt nie podchodzi od tyłu, ale nikogo takiego nie było. Jako jedyna stała tyłem do sklepu i prawdopodobnie to ją ratowało. Dziewczyna z dechą zaniechała bicia Kai, ale stała nad nią, władczo unosząc kawał drewna. Nie mogła go wypuścić i schylić się po broń, bo Natalia trzymała ją na muszce.

– Ej, niech się panienska uspokoi, to nikomu nic złego się nie stanie – powiedział podstępnie mężczyzna, prawdopodobnie ojciec pozostałej dwójki. Facet wychylił się zza samochodu, wychodząc na chodnik. Celował teraz do Natalii, pozostali byli przecież unieszkodliwieni.

Natalia odwzajemniła gest i również skierowała lufę w jego stronę, czując jednocześnie, jak nogi zaczynają jej drżeć ze strachu. „Jak strasznie chciałabym mieć przy sobie Kubę, jak bardzo go teraz potrzebuję” – pomyślała.

I w tym momencie wydarzyło się coś, czego nikt się nie spodziewał – ze skrzyżowania oddalonego o kilkaset metrów wyskoczyło nagle rozpędzone, bordowe kombi. Samochód szybko zbliżał się do sklepu. Menel z pistoletem nie zastanawiał się zbyt długo, wycelował pistolet w stronę auta i bez zbędnego wahania zaczął strzelać.

Natalia wykorzystała moment zamieszania, w którym oczy wszystkich były skierowane w stronę nadjeżdżającego pojazdu – przyłożyła policzek do kolby karabinku, zerknęła przez szczerbinę i na jej końcu ujrzała głowę przeciwnika. Wiedziała, że jej wahanie może kosztować życie ludzi znajdujących się w aucie, ponadto podejrzewała, że jedną z tych osób jest jej mąż, jednak nie wiedziała, jak trudno jest strzelić do człowieka, jak bardzo trzeba złamać zasady, które są nam wpajane od

małeńkości. W głowie rozbrzmiały jej słowa męża – albo oni, albo my.

Nacisnęła spust kilka razy. Nieświadomie przy tym krzyknęła, nie tylko z powodu popełnionego właśnie morderstwa, ale ze sposobu jego popełnienia – głowa mężczyzny niemalże eksplodowała, pozostałe pociski przeorały jego szyję i klatkę piersiową, powodując nie tylko śmierć na miejscu, ale również fontannę krwi i wnętrzności, dekorującą szary, przeraźliwie nudny chodnik.

Do krzyku Natalii dołączył się krzyk dziewczyny, która zaatakowała wcześniej Kaję – teraz rzuciła niepotrzebną już deskę i podbiegła do martwego ojca, ciężko upadając na jego zwłoki. W tym samym czasie chłopak, który trzymał Maxa, zupełnie bezwiednie opuścił nóż, uwalniając tym samym zakładnika. Szok, jakiego doznał, odebrał mu siłę i zdolność racjonalnej oceny sytuacji, o ile to drugie kiedykolwiek posiadał. Max miał głęboko w poważaniu skrupuły – odwróciwszy się, wyróżnął młodszego od siebie chłopaka w skroń. Tamtego zamroczyło, osunął się na kolana. Prawdopodobnie nie było to spowodowane siłą uderzenia, ale otumanieniem. Max nie zamierzał mu dać zbyt wiele czasu na reakcję i dojście do siebie, spodziewał się, że ten w każdej sekundzie może się na niego rzucić z nożem, więc szybkim ruchem podniósł z ulicy strzelbę, przeładował i wycelował.

– Nie ruszaj się – powiedział drżącym głosem. Miał cholerną ochotę rozwalić mu łeb, ale okazało się to nieco zbyt trudne – Max miał bowiem skrupuły, podobne do tych, które dręczyły Natalię.

Podczas tych paru sekund samochód zdążył do nich podjechać. Trzasnęły drzwi.

– Nic wam nie jest? – krzyknął Kuba, podbiegając do Natalii. Jego żona nie zareagowała na pytanie, wpatrywała się tylko swoimi wielkimi, niebieskimi oczami w martwego mężczyznę. Kuba nie musiał się nawet domyślać, do czego tu doszło, widział wszystko dokładnie zza szyb samochodu.

– Kochanie, posłuchaj mnie – poprosił szybko spokojnym głosem, biorąc jej twarz w swoje dłonie. – Zrobiłaś to, co musiałaś zrobić. Inaczej trafiłby mnie, Pawła albo kierowcę. Wszyscy byśmy zginęli. Zrobiłaś dobrze, słyszysz? Nie myśl w tej chwili o tym, teraz musimy stąd uciekać.

Niczego nie odpowiedziała, ale jej oczy były mokre od łez.

– Natalia! – krzyknął, policzkując ją.

Dziewczyna ocknęła się, jakby dopiero teraz spostrzegła męża. Zamrugowała kilkukrotnie.

– Potrzebuję cię – powiedział Kuba.

Natalia przełknęła głośno ślinę i skinęła głową. Ruszyli w stronę wejścia do sklepu.

– Bierzemy rzeczy i spadamy! – krzyknął Paweł, pędząc w stronę brązowych drzwi zaplecza. Widział, że Kaja jest cała, widział Maxa trzymającego na muszce jakiegoś przypadkowego gnojka, więc szybko doszedł do wniosku, że sytuacja jest względnie opanowana. Biegając, pośliznął się na kilku drobnych kamyczkach, ale udało mu się utrzymać równowagę.

– Zaraz tu będą! – dodał.

– Max, zostaw go – krzyknęła Kaja, znajdując się blisko chłopaka – odpuść, nie jest tego wart – poprosiła.

– Ten skurwiel prawie poderzwał mi gardło – wycedził przez zaciśnięte zęby. Odwrócił się i spojrział na Kaję, a w jego spojrzeniu było tyle złości, że dziewczyna prawie się cofnęła.

Słyszając to, klęczący chłopak przeniósł pełen nienawiści wzrok na Maxa. Wcześniej wpatrywał się

w ojca, próbując zrozumieć, co się właściwie stało – jednak teraz w jego spojrzeniu nie było nawet grama braku wiary. Była w nim tylko pierwotna, nieokiełznana wściekłość.

– Rzuć ten nóż – powiedział chłodno Max.

Chłopak nie usłuchał. Wstał spokojnie i poszedł w stronę dziewczyny, która opłakiwała zastrzelonego ojca. Opierała głowę na jego zakrwawionej, porozrywanej piersi, uderzając jednocześnie pięściami w asfalt. Krzysiek szedł tyłem do niej, cały czas nie spuszczać z Maxa wzroku. W pewnym momencie odwrócił się, odnalazł wzrokiem Natalię i uniósł przed siebie nóż, celując w nią. Max miał ochotę go zastrzelić.

– Max, musimy spadać! Leć po rzeczy, ja ich przypilnuję – powiedziała Kaja, wyczuwając jego intencje. Wiedziała, że jak zostawi go z nimi samego, niechybnie zginie ktoś jeszcze.

– Nie, ty idź, a to ja ich popilnuję – powiedział stanowczo i odwracając się do dziewczyny, dodał: – Nie zabiję go. Chyba że będę musiał. Idź.

Kaja nie wierzyła mu, ale nie miała czasu na jałową dyskusję. Odwróciła się na pięcie i pobiegła w stronę sklepu. Zauważyła, jak z drzwi wybiega jej ojciec, trzymając przerzuconą przez plecy torbę z amunicją oraz dźwigając w rękach siatki z jedzeniem. Szybkim skokiem usunęła mu się z drogi, unikając staranowania.

– Szybciej! – ponaglał kierowca kombi, stając przy otwartym bagażniku.

Gdy Paweł podbiegł do samochodu, wrzucił niedbale pakunki na pakę. Jedna z siatek rozerwała się, zasypując bagażnik jedzeniem. Kilka puszek z mielonką i parę batoników wypadło na ulicę, ale mężczyzna nie zamierzał się po nie schylać.

– Kaja, pakuj się! Max, Kuba! – krzyczał do pozostałych, samemu stając obok samochodu i zerkając w stronę skrzyżowania, zza którego wypadł już pierwszy zombie.

– Kurwa mać, ruszcie się! – błagał. Uniósł broń gotową do strzału, ale zdecydował się jeszcze nie strzelać, jeszcze było zbyt wcześnie. Próbował uspokoić oddech, policzyć w głowie do dziesięciu. Serce waliło mu jak oszalałe, krew dudniła w skroniach. Był tak nakręcony, że nawet nie odczuwał znacznego, pomimo wczesnej pory, upału.

Przy sześciu pociągnął za spust.

W tym samym czasie Kaja usiadła już w aucie, a Max wpakował się na miejsce obok niej. Kasia również się dosiadła. Cała trójka zajęła tylną kanapę, Kuba doniósł pozostałe siatki i torbę z amunicją do strzelby, która okazała się niepokojąco lekka. Sam usiadł ponownie na siedzeniu pasażera, biorąc Natalię na kolana.

– Pakuj się pan! – kierowca krzyknął do Pawła, który zdążył już zastrzelić kilku zombie, tym samym zyskując dla drużyny cenne sekundy.

– Wsiadaj!

– Paweł!

Ponaglali go wszyscy, ale Paweł był zbyt skupiony na prowadzeniu ognia. Wiedział, że nie musi ich zabijać, wiedział, że może po prostu wsiąść do auta i odjechać. Nie wiedział tylko, gdzie mieliby pojechać, po co mieliby to robić, skoro wszędzie będzie to samo. Teoretycznie tego też nie mógł

wiedzieć, ale irytowało go to wystarczająco mocno, że nie potrafił przerwać prowadzenia ognia. Opętała go dzika, pierwotna chęć niszczenia i mordowania. Prawdopodobnie byłby w stanie rzucić się na zombie gołymi rękami, gdyby nie usłyszał jednego słowa:

– Tato!

Zareagował dopiero na piskliwy, pełen przerażenia krzyk swojej córki. Wskoczył ciężko na siedzenie, miażdżąc przy tym co najmniej dwie osoby siedzące na tylnej kanapie, ale absolutnie się tym nie przejmował. I zdawało się, że oni również nie – najważniejsze było tylko to, że drzwi zostały zamknięte, a przeładowany samochód ruszył z kopyta, pozostawiając za sobą żwir i kurz. Najbliższy zombie znajdował się zaledwie kilka metrów od auta, toteż został zbombardowany odłamkami kamieni i zniknął w tumanie kurzu.

Max zdążył jeszcze posłać spojrzenie w stronę chłopaka i dziewczyny oplakujących, jak się domyślił, ojca, ale nigdzie nie było po nich śladu.

Po kilkunastu minutach kluczenia wąskimi, często jednokierunkowymi uliczkami, ciszę przerwała Natalia, zwracając się do kierowcy:

– Może się pani zatrzymać?

Kobieta siedząca za kierownicą spojrzała na nią zdziwiona. Z przyzwyczajenia zerknęła w boczne lusterka, następnie naciskając pedał hamulca odrobinę zbyt mocno, gwałtownie się zatrzymała. Wszyscy w aucie ciężko pochylili się do przodu.

Natalia szybko otworzyła drzwi, wypadła na szutrową ulicę. Gdy tylko oddaliła się kilka metrów od auta, zgięła się wpół i głośno zwymiotowała, pozbywając się ciężkiej, dławiącej kuli, która zalegała jej w gardle. Kuba wyszedł tuż za nią, rozglądając się czujnie i trzymając broń w gotowości do strzału. Na razie nie chciał podchodzić do żony, rozumiał, że mogłoby to ją krępować, jednak trzymał się na tyle blisko, żeby nie musiała się niczego obawiać.

Paweł również wykorzystał chwilę przerwy i wysiadł, co spotkało się z głośnym westchnieniem pełnym ulgi.

Po paru chwilach już wszyscy stali zgromadzeni wokół samochodu. Komandos dopiero w tym momencie miał okazję dobrze przyjrzeć się swojemu wybawcy – oto przed nimi stała kobieta w mocno zaawansowanym wieku, mężczyzna dałby jej coś około sześćdziesięciu pięciu, siedemdziesięciu lat. Liczne zmarszczki zdobiły jej twarz, nadając jej wyraz szlachetności i mądrości, jakiej można nabyć tylko z wiekiem i życiowym doświadczeniem. Była szczupła, średniego wzrostu – ot, na pierwszy rzut oka człowiek, którego nie sposób zapamiętać, mijając go na chodniku. Jednak jej brązowe oczy skrywały drobne, figlarne iskierki.

– Dziękujemy – powiedział Paweł, wyciągając swoją dużą, twardą dłoń w stronę kobiety. Ta uściśnęła ją ochoczo, uśmiechnęła się i odparła:

– Nie ma za co. W końcu trzeba sobie pomagać, prawda? Inaczej nic by po nas nie zostało. Jestem Krystyna.

– Paweł – odpowiedział mężczyzna, przedstawiając po kolei wszystkich członków grupy.

– Naprawdę dziękujemy, że pani nas uratowała – zapewniła Krystynę Kaja. – Gdyby nie pani, nie wiem, co by się...

– Drobiazg, moje dziecko, drobiazg – powiedziała delikatnie kobieta. Wyglądała tak, jakby zamierzała zmierzwić dziewczynie włosy, ale ostatecznie się powstrzymała.

– Przepraszam – powiedziała Natalia, podchodząc do pozostałych. Pani Krystyna uśmiechnęła się do niej życzliwie.

– Długo pani... właściwie to jak udało... – zaczęła nieporadnie dziewczyna, jednak kobieta jej szybko przerwała:

– Proponuję przenieść rozmowę do auta. Możemy przecież jechać i dyskutować, prawda? Wybaczcie mi, ale po tym, co ostatnio zobaczyłam, chciałabym się stąd jak najszybciej oddalić.

Przyznali jej rację, wsiadając z powrotem do samochodu. Paweł tym razem wsiadł jako przedostatni, biorąc córkę na swoje kolana. Parę sekund później byli już w drodze. Mijali piękne, drogie wille, często z pootwieranymi na oścież bramami. Ominęli kilka rozbitych aut, gdzieś tam trafiały się plamy krwi na chodniku czy ulicy. Łomianki, które mijali po swojej prawej stronie, stały w ogniu – słupy dymu sięgały wysoko w bezchmurne, bezwietrzne niebo, tworząc wokół atmosferę rodem z przemysłowego miasta z końca dziewiętnastego wieku.

– Dotarli aż tutaj – powiedziała cicho Kaja, jakby sama do siebie. Nikt nie rozmawiał, nikt wcześniej się nie odzywał. Zebrani w samochodzie ludzie po prostu patrzyli przez okna, dostrzegając coraz to nowe szczegóły apokalipsy, w której mieli wątpliwą przyjemność uczestniczyć. Czuli się jak bohaterowie „Parku Jurajskiego”, przez bezpieczną szybę oglądający obcy, wrogi świat.

– Tak, moje dziecko – odpowiedziała Krystyna, nie odrywając oczu od drogi. – Jakoś we wtorek w nocy, może w środę rano wszystko zaczęło się walić. Mamy szpital w Dziekanowie Leśnym. Tam przyjmowane były pierwsze ranne osoby. Szybko zabrakło miejsc. O szpitalu na Bielanach mogliśmy zapomnieć, ale jakoś trzeba było sobie radzić, więc uszkodzonych przetrzymywano w budynku gminy lub po domach. Na szczęście tam nie byłam, ale moja przyjaciółka jest lekarzem, zawsze z nią rozmawiam, jak wychodzi zapalić... – Kobieta zamyśliła się chwilę. – Wychodziła – dodała szeptem, ale w cichym samochodzie i tak było ją słyszeć. Nikt nie dopytywał o szczegóły, które każde z nich mogło bez problemu sobie dopowiedzieć. Krystyna odchrząknęła i kontynuowała opowieść:

– Mówiła, że mają wiele ofiar wypadków, ale najwięcej było osób pogryzionych i podrapanych. Z początku myśleli, że to jakieś psy dostały wścieklizny, że może lisy albo coś, jednak nie, rany nie potwierdzały teorii, że zadały je drapieżniki. Coś mówiła na ten temat, ja tam się dokładnie na tym nie znam, ale chyba chodziło o to, że zwierzęta przegryzają skórę, a ranni w szpitalu wyglądali, jakby im tę skórę próbowano wyrwać, łapiąc zębami czy coś w tym guście. Nie wiem dokładnie. Nim zaczęli to kojarzyć z tym, co działo się w Warszawie, było już za późno. Kilka osób zmarło, zostało odwiezionych do szpitalnej kostnicy, skąd niewiele później sobie po prostu wyszło. Ale wydaje mi się, że resztę tej historii znacie – stwierdziła na zakończenie swej opowieści.

Zwolniła, zbliżając się do skrzyżowania równorzędnego. Przez ostatnie kilka minut nie minęło ich żadne auto, jednak stare nawyki nie dawały się tak po prostu wyplenić. I prawdopodobnie to uratowało im życie, bo przez skrzyżowanie przejechały dwa auta, pędząc co najmniej sto kilometrów na godzinę. Kaja zdążyła zauważyć twarze pełne przerażenia, należące do dzieciaków zajmujących tylne siedzenia.

– Jedziemy za nimi? – spytała szybko.

– Nie – odpowiedziała stanowczo Krystyna. I ruszyła prosto przed siebie, upewniając się wcześniej, że droga jest pusta.

– Zaraz, chwila – domagał się odpowiedzi Kuba. – Przepraszam, ale gdzie właściwie jedziemy? – zapytał. – Wiem, że uratowała nam pani życie i za to serdecznie dziękuję. Absolutnie nie chciałbym, aby to zabrzmiało niegrzecznie, ale gdzie nas pani wiezie?

– Nie, to nie brzmi niegrzecznie, nie martw się – odpowiedziała, nie racząc go spojrzeniem. – Jedziemy do dworku mojego brata. To stary budynek, po części pensjonat, po części restauracja.

– Nie powinniśmy się zatrzymywać w jakimś dworku, to zbyt niebezpieczne. Pewnie tam będzie sporo ludzi, a i ciężko będzie taki teren zabezpieczyć... – zaczął mówić Paweł, jednak jego wywód został dość brutalnie przerwany.

– Chwila – powiedziała Krystyna, zatrzymując gwałtownie auto. Odwróciła głowę i wbiła pełen złości wzrok w komandosa. – Posłuchaj mnie, młody człowieku. Mam już swoje lata, swoje też widziałam. Myślę, że wiem, kiedy można sobie spacerować po ulicy, a kiedy należy wejść do pokoju, zamknąć drzwi na klucz i siedzieć cicho pod kocem. Rozumiesz mnie? We dworze, gdzie pracuje mój brat, miała się odbyć jakaś konferencja biznesowa, jednak nikt nie zdążył przyjechać, bo rozpętało się to piekło. Teraz jest tam może... z pięć osób, a do tego sam dworek jest na uboczu.

Przerwała na chwilę, robiąc teatralną pauzę. Następnie prześlizgnęła się wzrokiem po każdej z osób, tak aby to, co zamierzała powiedzieć, nabrało odpowiedniej wagi.

– Tam właśnie jadę. Możecie jechać ze mną. Obserwowałam was, jak byliście w sklepie, wiem, co zrobiliście z tym chłopakiem. Nie zabiliście go, to znaczy, że dobrzy z was ludzie. Dlatego was ze sobą zabrałam. Ale nic na siłę, nie chcecie ze mną jechać, to nie. Powiedzcie tylko, kiedy was wysadzić.

Skończywszy, odwróciła głowę i delikatnie zwolniła sprzęgło, dociskając jednocześnie pedał gazu.

Siedzący z tyłu pasażerowie wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Natalia, spoczywająca na kolanach Kuby, odwróciła się do nich, próbując zinterpretować reakcję współtowarzyszy. I zdaje się, że zinterpretowała ją nad wyraz słusznie.

– Jak można, to my się chętnie zabierzemy z panią – powiedziała spokojnym głosem do Krystyny. Kobieta nic nie odpowiedziała, uśmiechnęła się tylko i kiwnęła z uznaniem głową.

– A gdzie ten dworek jest? – zapytał Max.

– Pod Nowym Dworem, niedaleko lotniska w Modlinie.

TRASA, GODZINA 08:45.

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz było tu tak pusto – powiedziała kobieta siedząca za kierownicą. Patrzyła skupionym wzrokiem na wymarłą drogę przed sobą.

– No, jakby wszyscy nagle zniknęli – podjęła dyskusję Natalia.

Z Łomianek do Nowego Dworu Mazowieckiego mogli swobodnie przejechać trasą E7, szeroką, łagodną drogą ekspresową, która po dwudziestu kilku kilometrach, doprowadziłaby ich do celu. Niestety, okazało się, że trasa była nieprzejezdna. Próbowali na nią wjechać w kilku miejscach, lecz bezskutecznie. Tomek, gdyby jeszcze żył, mógłby się podzielić doświadczeniem i powiedzieć im, że w Warszawie sytuacja wyglądała identycznie. Ludzie, próbując ewakuować się z atakowanego miasta, szukali na to najszybszego sposobu – a droga ekspresowa czy autostrada, jak wiadomo, sprzyja szybkiej jeździe. Problem polegał na tym, że w wielu samochodach rodziny zabierały swoich rannych, nie wiedząc, że tym samym skazują się na pewną śmierć. Ataki zombie w samochodzie były przyczyną wypadków, wypadki szybko zamieniały się w karambole, które tworzyły gigantyczne korki. Z kolei inni ludzie próbowali dostać się na trasę każdą możliwą dojazdówką, więc wycofanie się zeń graniczyło z cudem. Hałasy klaksonów i krzyki przerażonych, sfrustrowanych kierowców przyciągały nielicznych jeszcze wtedy zombie, dla których korki były doskonałym miejscem do żerowania. A uwięzieni w samochodach ludzie przypominali bawoły starające się przedostać na drugi brzeg rzeki pełnej krokodyli.

Dlatego zamiast od godziny siedzieć sobie w dworku, którym zawiadywał brat pani Krystyny, dopiero wyjechali na wysokości Czosnowa.

– Możemy się na chwilę zatrzymać? – zapytał nagle Paweł.

Krystyna spojrzała w lusterka, uważniej przyjrzała się też najbliższej okolicy, aż w końcu zwolniła, zjechała na pobocze i stanęła.

– Dzięki – odpowiedział mężczyzna, otwierając drzwi. Wypuścił Kaję, a sam ruszył w stronę rosnących niedaleko krzaków, w wiadomym nie tylko dla siebie celu. Kaja przeciągnęła się, wydając przy tym głośnie ni to stęknienie, ni to miauknięcie.

– Jezu, strasznie mnie połamalo – wyjaśniła, wyłapując zdziwione spojrzenia pozostałych. Max też wysiadł, czujnie rozglądając się wokół. I nie widział niczego, czego nie widziałby wcześniej – tutaj jednak różnicą było to, że trasa znajdująca się po ich lewej stronie była absolutnie pusta. Trafili na takie bezludne miejsca już przedtem, szybko jednak okazywało się, że te placki wolnej przestrzeni łączą początek jednego karambolu z końcem drugiego. Od samej trasy oddzielało ich wielkie, płaskie pole. Bliżej nich stały nieregularnie rozsiane stare domy, czasami zbite w grupę po trzy, cztery, czasami stojące samotnie. To świadczyło o tym, że znaleźli się na obszarze, który jeszcze kilka-

dziesiąt lat temu był regularną wsią. Chłopak rozglądał się dookoła, wypatrując najmniejszych oznak życia, kogokolwiek ocalałego. Nie mógł pojąć, jak ludzie tak nagle i szybko zniknęli. Wszyscy zdążyli się schować? Ewakuować? Może jednak wojsko i inne służby zorganizowały i skoordynowały akcję ewakuacyjną, a oni po prostu schrzaniłi temat, chowając się po sklepach? A może trochę tego i tamtego, a całość została posypana szczyptą pikantnej zarazy, która losowych wybrańców zamieniała w żywe trupy?

Jakby w odpowiedzi na swoje pytanie, w oddali dostrzegł idącego powoli i nieporadnie człowieka, ale nie łudził się, że to normalna osoba. Był tylko małą plamką znajdującą się więcej niż czterysta metrów od nich, więc Max nie wszczynał alarmu. Trzymał cały czas dłoń na kolbie strzelby, z którą nie zamierzał się już w ogóle rozstawać, a zimny dotyk metalu dodawał mu pewności siebie. Uspokajał. Chłopak powoli przyzwyczajał się do tego uczucia. Już nie reagował paniką, była ona powoli wypierana przez metodyczny spokój, jaki niosło ze sobą gromadzenie coraz większego doświadczenia.

– Czy teraz możemy już poszukać drugiego auta? – zapytał Kuba, korzystając z tego, że Paweł wrócił, załatwiwszy swoją potrzebę.

– Tak, chyba tak – odpowiedział, absolutnie ignorując ton wypowiedzi policjanta.

Podczas próby wyjechania z Łomianek grupa zgodnie stwierdziła, że będzie bezpieczniej, jak znajdą sobie drugi środek transportu. Paweł również tak uważał, jednak nie godził się, aby zabierać auto właśnie z Łomianek, gdzie co drugi samochód był pobrudzony prawdopodobnie zainfekowaną krwią, gdzie co chwila mijali jakiegoś trupa bezwładnie powłóczącego nogami lub całe stado trupów, które na ich widok rzucało się w pościg. Dlatego twierdził, że opuszczenie względnie bezpiecznego volva może być tragiczne w skutkach. W końcu część przyznała mu rację, ale koniec końców wszyscy zdecydowali, że pojedą dalej, a jakieś auto znajdą później. To znaczy Krystyna zdecydowała, kategorycznie żądając, aby obaj kłócący się mężczyźni pozamykali gęby.

Odpowiadając na pytanie Kuby, Paweł rozejrzał się, nie dostrzegł jednak żadnego samochodu. Wszyscy teraz stali wokół kombi, korzystając z chwili przerwy w podróży i z tego, że znaleźli się na otwartej przestrzeni, dzięki czemu mogli wystarczająco szybko dostrzec zagrożenie.

– Macie tam coś do picia? – zapytała starsza kobieta. – Skończyła mi się już kawa w termosie.

– Tak, oczywiście. W sklepie zrobiliśmy małe zakupy – powiedziała Kaja, podchodząc i otwierając bagażnik. – Mamy wodę, parę soków... whisky? – spojrzała zdziwiona na butelkę z bursztynowym płynem.

– Tak, to moje – wyjaśnił szybko Kuba, bezskutecznie starając się ukryć zażenowanie.

– Nie, tych perfum nie chcę. Podaj mi, dziecko, wodę – poprosiła Krystyna.

Dziewczyna podała jej plastikową butelkę, posyłając Kubie wymowne spojrzenie. Policjant odwrócił wzrok.

– Daleko jeszcze mamy? – spytał Paweł. Cały czas uparcie rozglądał się, szukając jakiegoś samochodu, jednak nie dostrzegł niczego specjalnie interesującego. Niestety, na przeszukiwanie domów i garaży nie mieli czasu.

– Nie, za jakieś pół godziny będziemy na miejscu – powiedziała kobieta, przecierając usta wierzchem dłoni. – Chociaż to zależy od trasy – możemy dojechać później, możemy wcześniej.

– A paliwa starczy?

– Tak, w weekend zatankowałam do pełna. Jakbym to przeczuwała... – dodała, dziwnie się przy tym uśmiechając. Pomimo niewątpliwie trudnej sytuacji zdawało się, że kobieta potrafiła zachować pogodę ducha. Albo jest wariatką.

Nagle Max wpadł na pomysł, na który powinien był wpaść co najmniej godzinę wcześniej.

– Radio! – powiedział podniecony, odwracając wzrok od człapiącego w oddali zombie. – Włączmy radio, może się czegoś dowiemy!

Pozostali popatrzyli po sobie wzrokiem pełnym politowania, zażenowania i wstydu jednocześnie. Każde spojrzenie zadawało to samo pytanie – dlaczego nikt nie wpadł na to wcześniej? Jak mogli być aż tak głupi?

Chłopak zanurkował za kierownicę, wcisnął przełącznik radiowy. Po chwili usłyszeli trzask, zrobił głośniejsze. Wszyscy zebrali się przy samochodzie, uważnie nadstawiając uszu.

– *...enerale, proszę w takim razie powiedzieć naszym słuchaczom, czego mogą się spodziewać. Jak powinni się zachować w zaistniałej sytuacji?* – zapytała spikerka, której lata doświadczenia pozwoliły na utrzymanie profesjonalnego, zimnego tonu wypowiedzi, chociaż niewątpliwie była przerażona równie mocno, jak wszyscy inni.

– *Szanowna pani* – drugi głos, należący z całą pewnością do pytanego, był głębszy, męski. Słuchając go, można było wyobrazić sobie około pięćdziesięcioletniego oficera Wojska Polskiego, prawdopodobnie siedzącego w studiu ze swoją starą, wysłużoną czapką oficerską trzymaną w dłoniach. – *Jak już mówiłem, jedyne zachowanie jakie możemy teraz sugerować, to pozostanie w domach, zamknięcie drzwi i czekanie na pomoc z zewnątrz. Nie polecamy zwracania na siebie uwagi. Ludzie powinni zachowywać spokój. Absolutnie odradzamy nawoływanie o pomoc, wygłaszanie komunikatów przez głośniki czy inne formy zwrócenia na siebie uwagi. Jeżeli ktoś musi się przemieszczać, niech robi to cicho i ostrożnie. Wiemy, że chorzy ludzie...*

– *Coraz częściej pojawia się termin „zombie”* – przerwała mu spikerka.

– *...reagują na...* Proszę się nie wygłupiać, ci zombie to wymysł hollywoodzkiego science fiction. Tu mamy do czynienia z wirusem, wyjątkowo niebezpiecznym i zabójczym, owszem, ale cały czas wirusem. Jest to pewne ponad wszelką wątpliwość.

– *Oczywiście, prawdopodobnie ma pan rację, jednak nie opisuje to tego, co się dzieje, a bardziej pasuje do wizji apokalipsy zombie znanej właśnie z hollywoodzkich produkcji. Pani generale, proszę mnie źle nie zrozumieć, ale mamy prawo – jako ludność cywilna – wiedzieć coś więcej na ten temat. Oczywiście, ze względów bezpieczeństwa. Poza tym, jak już powszechnie wiadomo, wirus rozprzestrzenił się poza Warszawę. Czy są wieści z innych miast?*

Zapanowała grobowa cisza, jednak dawało się słyszeć ciężki, pełen rezygnacji oddech generała.

– *Pani redaktor, nie tylko sztab wojska, ale również główne instytucje rządowe, cała flota prywatnych firm oraz wszelkiej maści specjalistów najwyższej klasy, od poniedziałku stara się ustalić przyczynę tego ewenementu...* – zaczął, powoli i dokładnie dobierając słowa. Wyraźnie przy tym sposepniał, zamilkł na chwilę, jakby chciał zmienić temat. – *Zresztą... wczoraj dotarły do nas sygnały, które zmusiły nas do zmiany spojrzenia*

na problem. To, co teraz powiem, jest tylko spekulacją, proszę to zapamiętać, jednak uważam, że ludzie powinni wiedzieć. Może to mieć bezpośredni wpływ na ich bezpieczeństwo, a ja mówiąc to, ryzykuję swoją karierę, więc proszę mieć to na uwadze.

– Oczywiście – powiedziała dziennikarka odrobinę zmienionym, teraz wyraźnie podnieconym głosem. Tylko ona widziała twarz generała, tylko ona mogła dostrzec strach i rezygnację w jego załamanych oczach, co absolutnie nie zmieniało faktu, że laurka za zdobytą informację przypadnie właśnie jej.

– Poza naturalnym sposobem powstania wirusa, poza jakąś niewyobrażalnie przypadkową mutacją genetyczną, musimy wziąć pod uwagę czynniki ludzkie. Nie możemy skreślić ewentualności, że za wywołaniem tego exodusu stoi nic innego jak atak terrorystyczny. I, niestety, istnieją przesłanki mówiące o tym, że ta ostatnia opcja jest najbardziej prawdopodobna.

Tym razem to spikerka niezbyt dokładnie wiedziała, jakich słów powinna użyć. Jednak szybko się zdecydowała:

– Przepraszam, czy pan twierdzi, że...?

– Proszę mi nie przerywać – autorytatywnie wtrącił generał. – Pozwolę sobie przytoczyć teraz fakty, które niewątpliwie wszyscy znamy, jednak spojrzenie na nie z odpowiedniej perspektywy pozwala wysnuć dość intrygujące wnioski. We wtorek, wczesnym rankiem, wirus pojawił się w Warszawie. Jak doskonale pani wie, ściągnięto do stolicy większość oddziałów Wojska Polskiego, pozostawiając w pozostałych jednostkach tylko stany wymagane do minimalnego zabezpieczenia i niezbędną rezerwę. Wiemy już, że wirus potrzebuje około trzech godzin na zabicie i następnie wskrzeszenie swojego nosiciela, co znacznie ogranicza i określa strefę, w której mógłby się samodzielnie rozprzestrzenić. Wobec tego, oczywiście, znaczna część kraju była potencjalnie zagrożona, jednak nie było technicznej możliwości, aby zainfekowane osoby pojawiły się w najdalszych jego zakamarkach. I to w praktycznie tym samym czasie.

– Ma pan na myśli ataki odnotowane w Gdańsku, Krakowie, Lublinie, Wrocławiu, Toruniu...

Słychać było szelest kartek, na których spikerka miała zanotowane nazwy miejscowości.

– Tak. Do tego w Elku, Białymstoku, Elblągu, a nawet w Szczecinie, i w wielu, wielu innych miastach. Proszę powiedzieć, czy można się dostać do Szczecina w trzy godziny, jadąc z Warszawy autem? Oczywiście, nie ma mowy o samolocie, do którego nikt nie wpuściłby osoby zainfekowanej. I nie chodzi mi tutaj o ciemną noc, puste drogi i kierowcę z ciężką nogą w białym bmw. Zainfekowany, gorączkujący, rozbiłby się po przejechaniu kilku kilometrów.

– No chyba nie, chociaż nie jestem pewna.

– No dobrze, to może inaczej – zaproponował generał, nie pozwalając zbić się z pantafyku. – Czy nie wydaje się podejrzane, że doniesienia o atakach występujących w praktycznie każdym mieście zamieszkanym przez około dwieście tysięcy ludzi, pojawiły się praktycznie w tym samym czasie?

– No tak, to może przypominać dość osobliwy zbieg okoliczności.

– Tak, ja również tak uważam. I bardzo dyplomatycznie pani to ujęła – generał przerwał na chwilę, pociągając łyk wody. – Dziwię się, że jeszcze nie przerwali transmisji, ale widać, są mocno zajęci. Proszę mnie uważnie posłuchać. Mamy bardzo poważne podstawy, aby przypuszczać, że nasz kraj padł ofiarą najlepiej zorganizowanego

wanego i najokrutniejszego ataku terrorystycznego, jaki zna historia tej planety. Niektórzy z naszych ekspertów twierdzą, że rozprzestrzenienie wirusa w stolicy było tylko akcją dywersyjną, mającą na celu skierowanie znacznej części sił obronnych kraju w jedno konkretne miejsce, tym samym szykując w innych sektorach podłoże, w którym wirus, dostarczony tam odpowiednio później, będzie miał idealne warunki do rozwoju. A mówię to dlatego, że w tej sytuacji samo wojsko nie zdoła obronić obywateli. W tej sytuacji potrzebujemy pełnej współpracy ze strony ludzi, którzy swoim zachowaniem mogą nie tylko ocalić życie swoje, ale również życie swoich rodzin i znajomych. Dlatego należy pozostać w domach, a osoby zaatakowane, ugryzione czy chociażby zadrapanie bezwzględnie odizolować. Bezwzględnie! Apeluję o odłożenie sentymentów na bok, gra toczy się o nasze życie. Następnie należy spokojnie czekać na przybycie odsieczy.

– Tak, wspominał pan o tym, również tłumacząc sposób, w jaki takie osoby mogą na siebie zwrócić uwagę.

– Dokładnie.

Nastąpiła chwila ciszy. Zebrani przy samochodzie ludzie popatrzyli na siebie pełnym niezrozumienia i powątpiewania wzrokiem.

– Atak terrorystyczny? Czy ich totalnie pojebało? – zapytał Max.

– Nie wierzę. Kto byłby w stanie zrobić coś takiego? – zapytała Natalia.

Pozostali tylko zerkali na siebie, czekając, aż prezenterka dojdzie do siebie po tym, co właśnie usłyszała.

– Jaki człowiek... – zaczęła Natalia, mówiąca jakby sama do siebie, jednak Kuba przewał jej, przykładając palec do swoich ust.

– Dla tych z państwa, którzy dopiero włączyli odbiorniki – zaczęła mówić reporterka, zebrawszy w sobie siły – generał brygady Wojciech Kozieradzki wypowiadający się z ramienia Wojska Polskiego, zdecydowanie zaleca wszystkim obywatelom pozostanie w zabezpieczonych domach, niezwracanie na siebie uwagi w sposób inny, niż poprzez powieszenie białego prześcieradła w oknie. Białe prześcieradło jest znakiem mówiącym, że w środku domostwa są ludzie i nie ma z nimi nikogo zarażonego. W przypadku, gdyby ktoś z waszego najbliższego otoczenia został ugryziony, zadrapany lub miałby kontakt z zainfekowaną krwią, należy go bezzwłocznie odizolować, ponieważ jest on osobą potencjalnie niebezpieczną. W takim wypadku służby proszą o powieszenie prześcieradła z dużym, namalowanym znakiem X pośrodku.

– Dokładnie tak, dziękuję.

– To ja dziękuję, panie generale. Proszę mi jeszcze odpowiedzieć na jedno pytanie. Wiemy, że sytuacja w naszym kraju jest bardzo poważna, rząd rozważa aktualnie ogłoszenie stanu klęski żywiołowej oraz wprowadzenia stanu wojennego, proszę mi powiedzieć, jakiej pomocy możemy się spodziewać od krajów członkowskich Unii Europejskiej, i co ważniejsze – kiedy ta pomoc może nadejść?

Ciężki oddech generała wskazywał, że pytanie jest dla niego dość trudne.

– Szanowna pani, w sytuacji, w jakiej aktualnie zostały postawione pozostałe państwa członkowskie Unii Europejskiej, w tym nasi najbliżsi sąsiedzi, trudno mi mów...

Transmisja została nagle przerwana. Z radia wydobywał się teraz tylko upiorny trzask. Max pochylił się nad odbiornikiem, przełączył na inną stację, po czym ponownie wrócił na wcześniej odsluchiwaną. Bezskutecznie. Spróbował innych kanałów – także bez większych rezultatów. Wyłączył

i włączył radio, niestety, bez większego sukcesu.

– Nic – powiedział wystraszonym głosem.

– Co się stało? – zapytała Natalia.

– Pewnie go wyłączyli – odpowiedział chłopak, wysiadając z samochodu. Szybko uczył się adaptacji do nowej rzeczywistości, w której nie było czasu na zbędne dywagacje. Albo coś było, albo tego czegoś nie było. Krótka piłka.

– Och, kurwa! – krzyknął nagle, unosząc strzelbę do strzału. Bez zbędnych ceregieli wypalił w zombie, który znalazł się niespodziewanie blisko – jeszcze parę sekund i nieświadomy zagrożenia Paweł znalazłby się w poważnych tarapatkach. To była ta sama istota, która kilka minut temu znajdowała się ładny kawałek drogi stąd i nic nie wskazywało na to, że mogłaby się tak szybko znaleźć przy ich samochodzie. Kobieta, wyglądająca na mniej więcej pięćdziesiąt lat, dostała pociskiem w sam środek twarzy. Jej głowa eksplodowała, wyzwalając fontannę krwi, różowej tkanki mózgu i długich, splątanych posoką włosów.

– Jezus Maria! – krzyknęła wystraszona Kaja, unosząc swoją strzelbę w gotowości do strzału.

– Spokój, czysto! – zakomunikował od razu Paweł, starając się uniknąć niepotrzebnego marnowania amunicji i zbędnego hałasu. Wcześniej błyskawicznie rozejrzał się w poszukiwaniu zagrożenia. Na szczęście okazało się, że trafił się pojedynczy osobnik.

Max podszedł do zwłok, cały czas trzymając uniesioną broń, chociaż nie było najmniejszych szans, aby cokolwiek przeżyło takie trafienie. Przyjrzał się temu, co zrobił, z dziwną obojętnością. Nie traktował już zombie jak ludzi, których można było wyleczyć. Byli wrogiem, zagrożeniem, niczym więcej. Demonem. Umarli już w momencie, w którym inni zombie zatopili zęby w ich ciałach. Wzdrygnął się na samą myśl o tym. Przypomniał sobie przerażenie, jakie dostrzegł w oczach konającego Tomka. Poprzysiął w duchu, że zrobi absolutnie wszystko, aby uniknąć takiego losu.

– Wszystko w porządku? – zapytał Paweł, zbliżywszy się do kudłatego chłopaka. Max zdawał się nie zważać na to, że stoi w plamie krwi, którą komandos starał się właśnie ominąć.

– Tak – odpowiedział nieobecny głosem, po chwili kierując trzeźwe spojrzenie na Pawła. – Wszystko jest okej.

– Ładny strzał. I dzięki – powiedział komandos, ale Max był już w drodze do auta.

– Chyba powinniśmy stąd odjechać, strzały mogą zwabić innych – zasugerował Kuba. Niekoniecznie podobała mu się perspektywa jazdy w ciasnym aucie, jednak w obecnej sytuacji nie mieli zbyt dobrego wyboru.

– Racja. Już idę.

Po chwili samochód delikatnie ruszył, pozostawiając martwą kobietę na środku drogi.

Kuba miał rację – kilkadziesiąt metrów dalej, między starymi domami z szarego pustaka pojawiło się kilku zombie mozolnie zmierzających w stronę odjeżdżającego samochodu. Pierwszy z nich wydał potępieńczy jęk, wyciągając jednocześnie przed siebie zakrwawioną, bladą rękę.

Dziesięć minut później Kuba niespodziewanie poprosił o zatrzymanie.

– Przecież przed chwilą staliśmy – zaprotestowała Krystyna.

– Wiem, ale tam jest warsztat samochodowy.

– No i?

– No i pewnie będą tam jakieś auta na chodzie – wyjaśnił policjant. – Myślę, że powinniśmy to sprawdzić.

– Chcesz kraść rozwalony samochód? – zdziwiła się Natalia, kierując swoje niebieskie oczy prosto na nieogolonego małżonka.

– Powiedzmy: pożyczyc. Może wstawili jakiegoś na przegląd, wcale nie musi być rozwalony. A mając dwa auta, zawsze będziemy czuli się bezpieczniej.

– Jestem za – obwieścił siedzący za nim Paweł.

Max, Kaja i Kaśka pokiwali głowami, wyrażając również swoją aprobatę.

– No dobra – powiedziała Krystyna, skręcając w stronę warsztatu. Zatrzymała się na ulicy, tuż przed bramą posesji.

Działka wydawała się opuszczona, w oknach nie wisiało nic, co mogłoby zostać zinterpretowane jako znak od ludzi przebywających w środku domu. Po drodze minęli kilka zabudowań, w których oknach wisiały białe prześcieradła – to doskonale potwierdzało, że przekaz wygłoszony przez radio dotarł do pewnej części ludności. Niemniej w zdecydowanej większości domów nie widzieli żadnego znaku, nie było jednak wiadomo, czy dlatego że nie słuchali radia, czy dlatego że nie miał kto takiego znaku wywiesić. Szary dom z płaskim dachem wyglądał na pusty, jednak wysiadający z auta ludzie wiedzieli, że muszą zachować maksymalną ostrożność.

– Dobra, robimy tak jak wcześniej – zarządził Paweł. Zrepetował MP5 i poprawił cały czas tkwiący na przedramieniu ręcznik.

Kaja pokiwała niemo głową, rozumiejąc, że kłótnia czy chociażby wyrażenie swojego zdania nie ma w tym przypadku najmniejszego sensu.

– Okej, ja biorę tył, Natalia, ty obstawiaj drugą stronę, dobra? – zapytała blondynki, wskazując jej łufą kierunek, który powinna ubezpieczać. Krystyna zdecydowała się zostać na siedzeniu kierowcy, tak aby w przypadku zagrożenia mogła szybko odjechać, ewakuując oczywiście pozostałych. Zgodnie z zaleceniem Kuby nie gasiła silnika. Kaśka natomiast uparcie tkwiła na tylnej kanapie, ze strachem spoglądając na posesję.

Tymczasem Kuba, Max i Paweł wkroczyli za szeroko otwartą bramę. Powitało ich zakurzone podwórze, zastawione po części samochodami czekającymi w kolejce na naprawę, a po części autami, którym już z pewnością nic nie pomoże. Jeszcze nie było nawet południa, ale upał dawał się już mocno we znaki. Przy cmentarzysku leżało pełno wszelkiej maści części, od małych śrubek i uszczelek, na silniku skończywszy. Większość śmieci była pokryta rdzą, gdzieś tam nawet wybijał mech, co jednoznacznie świadczyło o właścicielu warsztatu. Paweł szybko podbiegł i ukucnął między autami do naprawy, Kuba ubezpieczał przeciwległą flankę, zagłębiając się między wraki i starając się jak najmniej rzucać w oczy. Max szedł powoli, trzymając się z tyłu, uważnie patrząc

w szeroko rozpostarte, zniszczone drzwi warsztatu.

Poza ich krokami i miarowym burczeniem silnika volva, panowała niezmacona cisza. Nie szczekały psy, co było przecież bardzo charakterystycznym dźwiękiem w tego typu miejscach. Nie było słychać wiertarek, silników podnoszących samochody, upuszczanych kluczy, przekleństw. Nie dochodziły też dźwięki z rozkręconego na pełen regulator radia puszczającego „Złote Przeboje”. Panowała absolutna cisza.

Mężczyźni wymienili porozumiewawcze spojrzenia, zbliżając się coraz bardziej do uchylonych drzwi. Z doświadczenia wiedzieli, że klucze do aut zaparkowanych na podwórzu będą gdzieś wewnątrz warsztatu – albo wiszą na jakiejś drewnianej tablicy, albo leżą rzucone niedbale do metalowego pudełka. Tak czy inaczej, musieli wejść do środka.

Paweł głęboko nabrał powietrza i już miał wkroczyć między uchylone, blaszane drzwi, gdy nagle zamarł, unosząc jednocześnie wysoko zaciśniętą pięść. Max z Kubą zatrzymali się w pół kroku, uważnie przyglądając się wejściu.

– Co jest? – wyszeptał policjant.

– Chyba coś słyszałem – odpowiedział cicho Paweł, następnie przyłożył palec do ust, nakazując tym samym zachowanie całkowitej ciszy. Czuł, jak adrenalina buzuje mu w skroniach, czuł, że wchodzi prosto do paszczy lwa, a za uchylonymi drzwiami może znaleźć absolutnie wszystko – jednego zombie, kilku zombie, stado zombie, może schowanych żołnierzy, którzy uciekając, zdecydowali się zaszyć w tym miejscu. I zastanawiał się, który ze scenariuszy byłby najgorszy.

Jednak absolutnie nie spodziewał się tego, że usłyszy miarowe kroki zmierzające w ich stronę. Nie nieskładne ciągnięte nogi, tylko normalne, regularne stuknięcia grubej podeszwy o betonową posadzkę. Przyłożył policzek do kolby MP5, patrząc teraz na szeroki otwór drzwi przez muszkę karabinu. Był gotowy w każdej chwili nacisnąć spust i wiedział, że stojący kawałek za nim Max i Kuba byli przygotowani na to samo. Nauczony doświadczeniem uspokoił oddech i przyłożył palec do zimnego spustu. Zobaczył zarys postaci wyłaniającej się zza winkła, poczuł delikatny opór stawiany przez język spustowy, gdy nagle zdecydowanym ruchem wypuścił powietrze przetrzymywane w płucach. Po chwili pełnej nerwowego wyczekiwania w drzwiach pojawiła się sylwetka faceta w niebieskim kombinezonie roboczym.

– Słucham? – zapytał jakby nigdy nic.

Pawła i resztę zamurowało. Absolutnie nie wiedzieli, co mają odpowiedzieć, jak mają się zachować. Czy ten człowiek nie wiedział, co się dzieje? Czy to możliwe, że zaraza ominęła jego warsztat? Że nie dotarły do niego jakiegokolwiek informacje na jej temat? W tym momencie Paweł uświadomił sobie, że było to absolutnie niemożliwe – jeżeli mężczyzna w niebieskim kombinezonie nie wiedziałby nic na temat rozgrywającej się apokalipsy, z pewnością zareagowałby zupełnie inaczej, widząc trzech uzbrojonych mężczyzn na swojej posesji.

– Przepraszam, my tylko chcieliśmy... – zaczął niepewnie Kuba, jako pierwszy opuszczając MP5. Zauważył, że Pawła zamurowało, więc przejął inicjatywę.

– Tam są kluczyki, bierzcie, co chcecie – przerwał mu prawdopodobny właściciel. Wskazał przy

tym punkt w warsztacie, który był ukryty przed ich wzrokiem. Następnie odwrócił się na pięcie i zniknął w środku budynku, wyraźnie uznając dalszą dyskusję za zbędną.

„Więc jednak wie” – pomyślał Paweł. Domyślił się tego po rezygnacji słyszalnej w jego głosie, po zgarbionej posturze człowieka, któremu było już wszystko obojętne. Komandos spojrzął na policjanta, który wzruszył ramionami, nie do końca rozumiejąc, jak powinien zinterpretować takie zachowanie. Tymczasem Max, do tej pory trzymający się najbardziej z tyłu, wysunął się teraz przed towarzyszy. Nie mógł powstrzymać ciekawości. Dodatkowo czuł się względnie bezpiecznie, widząc, że ze środka wyszedł żywy człowiek. Zajrzał do warsztatu.

W pierwszej chwili wszystko wyglądało tak samo, jak w każdym tego typu miejscu – dominowały buro-czarne kolory, tworząc surową atmosferę, kojarzącą się z zagraconym, starym bunkrem. Wszędzie wały się metalowe fragmenty wybebeszonych aut, kartonowe pudełka po częściach czy zestawy narzędzi. Oczywiście, nie mogło zabraknąć starych plakatów z rozebranymi modelkami, których, nie wiadomo dlaczego, nikt nie zdecydował się zdjąć przez ostatnich kilka lat. Betonowa podłoga była umazana ciemnymi plamami oleju, obok których lśniły świeże plamy krwi. Dopiero teraz chłopak spostrzegł, że kombinezon odwróconego do nich mężczyzny jest gdzieś umazany posoką. W jego lewej łydce widniała rana, głęboka i obficie brocząca dziura wygryziona w cieple. Przed nim natomiast, na podłodze, leżały zwłoki chłopaka. Denat miał roztrzaskaną czaszkę.

Max przełknął ślinę, rozglądając się czujnie po wnętrzu budynku. Nagle poczuł na ramieniu dłoń, przez co drgnął i prawie krzyknął.

– Spokojnie – usłyszał opanowany głos Pawła. – To tylko ja.

Odwrócił się i wbił wystraszony wzrok w komandosa. W jego szarych oczach zauważył tę samą niepewność, której aktualnie doświadczał. Jednak nie było w nich strachu, jaki nagle zawładnął chłopakiem. Podejrzewał, że w warsztacie nie ma zombie, jednak atmosfera tego miejsca dosłownie przygniatała go do podłogi, odbierając tym samym dech w piersi. Tu musiało wydarzyć się coś okropnego, coś tak złego, że chłopak nagle zapragnął znaleźć się jak najdalej stąd.

– Weźmy te kluczyki i spierdalajmy stąd – zasugerował cicho Kuba, cały czas stojąc w drzwiach wejściowych. Dla większej pewności odwrócił się i uważnie przyjrzał podwórzu. Jeżeli teraz pokażałyby się jakaś grupa zombie, wszyscy trzej znaleźliby się w potrzasku.

– Dobra – odpowiedział równie cicho komandos, wymijając jednocześnie Maxa. – Poczekaj tu – poprosił.

Paweł wszedł do warsztatu, zostawiając pozostałych towarzyszy u jego progu. Cały czas uważnie rozglądał się po pomieszczeniu, bacząc również na mechanika, który zachowywał się – delikatnie rzecz ujmując – dość podejrzanie. Facet teraz uklęknął przy zwłokach i mruczał coś niezrozumiałego.

– Max! – zawołał teatralnym szeptem komandos. Był już kilka ładnych metrów od drzwi, ale chłopak go na szczęście usłyszał. Gdy zwrócił na niego uwagę, Paweł wycelował dwoma palcami w swoje oczy, następnie kierując te same palce w stronę klęczącego mężczyzny. Max kiwnął głową na znak, że zrozumiał polecenie. Teraz komandos mógł skupić się na szukaniu kluczyków, i o dziwo,

trafił na nie niemalże od razu – na regale zawalonym pozornie starymi i zużytymi częściami stała metalowa, obita puszką, w której spoczywał pęk kluczyków samochodowych. Nigdy by nie przypuszczał, że pójdzie aż tak łatwo. Nie wybrzydzał, nie wybierał – swoją wielką, twardą łapą zgarnął tyle, ile udało się złapać, i ruszył z powrotem w stronę wyjścia.

Nagle jego spojrzenie wyłowiło ruch zaledwie parę metrów od niego.

Coś dużego leżało na podłodze.

Nie, nie leżało.

Pełzło.

Kobieta powoli uniosła głowę i spojrzała na Pawła. Komandosem zatrzęsło, chociaż spojrzenie martwych oczu, grymas wykrzywionej nienawiścią twarzy był mu tak doskonale znany. Jednak niczego to nie zmieniało – do pewnych rzeczy człowiek po prostu nie może się przyzwyczaić, nieważne, ile razy będzie czegoś doświadczał. Mężczyzna zerknął ukradkiem na mechanika, który w międzyczasie powrócił do rzeczywiście. Stał teraz zaledwie kilka metrów dalej, między regałem z narzędziami a wstawionym na kanał starym nissanem. Patrzył prosto na komandosa, wiedząc, że ten spostrzegł leżącą na zimnej podłodze kobietę. Denatka zaczęła powoli zbliżać się do Pawła, wyciągając przy tym ręce w desperackiej próbie pochwylenia jego ciała. Komandos uniósł do twarzy przeładowaną broń i wycelował w znajdującą się coraz bliżej głowę.

– Zostaw ją. Znalazłeś klucze? – odezwał się spokojnie mężczyzna w niebieskim drelichu – Znalazłeś? To wypierdalaj.

Paweł spojrzał na niego pełnym niedowierzania wzrokiem, gdy nagle zrozumiał. Pełzająca po podłodze kobieta musiała kiedyś być jego żoną. Nie dalej niż pięć godzin temu coś się wydarzyło. Zwłoki chłopaka należały prawdopodobnie do jego syna lub dobrego pracownika. Tak czy inaczej facet stracił najbliższe mu osoby i ewidentnie nie miał teraz ochoty na jakiegokolwiek towarzystwo. Komandos zmarszczył brwi, ale kiwnął głową, opuścił broń i posłusznie zaczął kierować się w stronę wyjścia z warsztatu. Posłał jeszcze ostatnie spojrzenie wleżącej się po podłodze kobiecie, ale szybko odwrócił wzrok – z bliska maskara wyglądała okropnie, jej sina twarz odsłaniała zadrapania i otwarte rany, jakich musiała doznać podczas walki o życie. Resztę jej ciała zasłaniało auto, ale Paweł nie zamierzał wiedzieć na jej temat niczego więcej. Odwrócił szybko wzrok i wyszedł z warsztatu.

Dopiero trzeci sprawdzany przez nich samochód był na chodzie. Trafił się volkswagen golf, może nie najlepsze auto na apokalipsę, ale absolutnie nie mogli wybrzydzać – auto albo było, albo go nie było. Paweł z wyraźną ulgą wrzucił pierwszy bieg i powoli wysunął się przed szereg czekających na naprawę samochodów.

– Ej, co z nim robimy? – zapytał Max, uchylając drzwi pasażera i kiwając głową w stronę warsztatu.

– Nic – odpowiedział chłodno komandos. Słyszając to, chłopak cofnął nieznacznie głowę i zmarszczył brwi.

– Paweł, przecież ten facet nie ma broni, a tam jest zombie. Możemy mu jeszcze pomóc – Max

próbował przemówić do rozsądku komandosa.

Paweł popatrzył na niego przez chwilę, aż w końcu powiedział:

– Max, ten facet zginął kilka godzin temu. Ta kobieta to pewnie była jego żona, martwy chłopak może był synem. Nasza pomoc to absolutnie ostatnia rzecz, jakiej w tej chwili oczekuje. Nic już nie możemy zrobić,

Chłopak przełknął głośno ślinę i pokiwał głową, dając znak, że rozumie. Tymczasem Kuba dotarł już do bramy posiadłości.

– I co? – zapytała pełnym nadziei głosem Natalia. – Znaleźliście coś?

– Tak, mamy małego golfa – odpowiedział Kuba. Następnie podszedł otworzyć bagażnik, żeby przepakować trochę zebranych wcześniej gratów. Biały golf właśnie wyjechał za bramę warsztatu.

– Dobra, dzielimy żarcie, każdy bierze broń dla siebie – zarządził bez zbędnych ceregieli Paweł. – Kaja, jedziesz ze mną i z Maxem – powiedział jeszcze, jakby to nie było oczywiste. Chwilę później trzasnęły klapy golfa i volva.

Kuba odszedł parę kroków od pozostałych, wyciągnął pogniecioną paczkę fajek i odpalił jednego papierosa. Zaciągnął się głęboko dymem, rozglądając się jednocześnie po okolicy. Chciał jakoś przetrawić to, czego był świadkiem. Puste oczy mechanika przypominały oczy zombie, chociaż mężczyzna nadal żył.

„Może do zmiany w zombie wcale nie potrzeba ugryzienia?” – zastanowił się Kuba. Pytanie rozeszło się ciężkim echem po jego bolącej, skołowanej czaszce. „I co dalej?” – pomyślał. „Ile czasu będziemy tak uciekać, jak jacyś emigranci pierzchający z ogarniętego wojną kraju? Bo trwa wojna” – usłyszał głos w swojej głowie. Wojna z najgorszym z możliwych przeciwników, bo z ludźmi, których kiedyś uznawało się za braci i siostry. Syn musiał mordować matkę, ojciec rzucał się z siekierą na własne dzieci. Dla Kuby taki rozwój sytuacji był totalnie nieakceptowalny, nie wyobrażał sobie, jak mógłby zastrzelić swoją Natalię w momencie, w którym zamieniłaby się w zombie. A przecież musiałby to zrobić. Nie tylko ze względu na własne bezpieczeństwo, ale przede wszystkim dla niej samej. Żeby powstrzymać ją przed włączeniem się przez wieczność jak bezmózgie yeti żerujące na trupach. Tak, jak Paweł zastrzelił Tomka, chłopaka, który uratował im życie. Był na niego za to wściekły, ale powoli pojmował, że jego wściekłość wynikała również z zazdrości – a zazdrościł komandosowi zdolności błyskawicznej adaptacji, dostosowania się do tego śmiertelnie niebezpiecznego środowiska i panujących w nim warunków. Zawsze postrzegał siebie jako twardego glinę, brał udział w kilku strzelaninach i nigdy nie bał się, że któregoś dnia oberwie, jednak ta sytuacja znacznie zrewidowała jego postrzeżenie własnej osoby.

– O czym tak myślisz? – usłyszał znajomy, kojący głos żony.

W odpowiedzi odwrócił się, uśmiechnął. Położył jej dłoń na głowie i delikatnie zmierzwił cienkie, jasne włosy.

– Wiesz przecież – odparł.

– Wiem, wiem – przytaknęła, przywierając do niego swym smukłym ciałem. Poczł emanujące od niej przyjemne ciepło, ciepło, w którym najchętniej zanurzyłby się i zapomniał o wszystkich proble-

mach, jakie go trapią.

– Jakoś sobie poradzimy, prawda? – zapytała, wtulając głowę w jego pierś.

– Jasne, że tak – odpowiedział Kuba, starając się, aby jego głos nie zabrzmiał zbyt płaczliwie. Czy mu to wyszło? Tego już nie mógł się dowiedzieć, ale nikt nie mógłby mu też zarzucić, że nie próbował.

– Daleko jest ten pani dworek? – zapytał Paweł, podchodząc do Krystyny. Absolutnie nie zdziwiło go, że starsza kobieta wyciągnęła swoje papierosy i zapaliła jednego. Gestem zapytała, czy ma ochotę, ale mężczyzna odmówił.

– Będzie ze dwadzieścia kilometrów – odpowiedziała w końcu. – A co?

– Tak tylko pytam – odparł.

– Tam będziemy bezpieczni – dopowiedziała jeszcze, jakby chciała przegnać obiekcje wypisane na twarzy Pawła. Powiedziała to na głos, chociaż sama absolutnie w to nie wierzyła.

„Sądzę, że teraz nigdzie nie będziemy bezpieczni” – pomyślał mężczyzna, ale nie wypowiedział swoich teorii na głos.

– Mam nadzieję – uśmiechnął się tylko i ruszył z powrotem w stronę samochodów.

Szkoda, że nie mogli powiedzieć szczerze tego, co leżało im na sercach. Wtedy zdecydowanie lżej byłoby umierać.

Żadne z nich nie zauważyło stojącego kilkaset metrów dalej białego, dostawczego samochodu. I siedzącego za kierownicą chłopaka ze zmrużonymi oczami, zaciskającego dłonie na kierownicy tak mocno, że aż zbieleły mu kłykcie. Towarzysząca mu dziewczyna, w podartej i poplamionej krwią bluzce, wpatrywała się zimnym wzrokiem za odjeżdżającym volvem i powoli ruszającym w ślad za nim białym golfem. Matka, zajmująca miejsce obok, pochrapywała.

– To oni? – zapytała, cały czas nie spuszczać z oczu oddalających się aut.

– Tak – odpowiedział lodowatym tonem.

– Jesteś pewien?

Nie odpowiedział, tylko wrzucił jedynekę i powoli ruszył za pojazdami, poczekawszy, aż odległość między autami będzie odpowiednia.

– Krzysiek, ale czemu my właściwie za nimi jedziemy? – zapytała po chwili dziewczyna, jakby odzyskując przytomność. Pytanie było retoryczne, oczywiście, wiedziała, z jakim zamiarem śledzą tych ludzi. Jednak fajnie było czasem wypowiedzieć swoje myśli na głos, dobrze było usłyszeć słowa. To sprawiało, że ich zamiary nabierały zupełnie nowego brzmienia.

– Co? – wydarł się nagle jej brat. – Mamy pozwolić im odejść? Za to, co zrobili z ojcem? Pojebało cię? – zaczął z siebie wyrzucać, ale siostra mu przerwała:

– Przestań drzeć na mnie mordę, obudzisz matkę. Wiem przecież. Chodziło mi o to, co im zrobimy, jak już ich dorwiemy. Co dokładnie im zrobimy. Powiedz jeszcze raz – poprosiła.

Chłopak prześlizgnął wzrokiem po swojej siostrze.

– Zobaczysz. Ale te kurwy pożałują, że się urodziły.

Delikatny uśmiech rozświetlił młodą twarz Marty. Świadomość tego, do czego był zdolny jej brat, zupełnie jej wystarczyła.

– Poczekaj, stój! – krzyknęła nagle. Matka wciągnęła głośno powietrze, ale nie obudziła się.

– Co jest? – zapytał, marszcząc brwi.

– Cofnij – nakazała dziewczyna. – Okej, już. Zobacz.

Marta wskazała na stojącą w bocznej uliczce wojskową ciężarówkę. Wokół auta leżało kilka ciał żołnierzy oraz kilkadziesiąt zastrzelonych zombie. Jak widać, walka nie skończyła się zbyt dobrze dla tych pierwszych. Oczy Krzyśka zalsniły, gdy chłopak zagłębiał się w uliczkę, wiedziony nadzieją tego, co mogą znaleźć na pace ciężarówki.

Po paru chwilach zatrzymał dostawczaka i wyskoczył z niego, przezornie pozostawiając otwarte drzwi. Marta, cały czas trzymając swój pistolet, precyzyjnie przycisnęła się obok kierownicy i ruszyła w ślad za swoim bratem. Nie chciała budzić matki, która pochrapywała w najlepsze, nieświadoma ich wiekopomnego odkrycia. Zeskoczywszy na asfalt, Marta natychmiast zakryła dłonią usta, wykrzywiając twarz w grymasie obrzydzenia. Trupy śmierdziały niemiłosiernie, wokół zwłok zaczęły się już kłębić chmary ciężkich, tłustych much.

– Musiały już długo leżeć – powiedział cicho Krzysiek, z trudem oddychając. Trzymając uniesiony do strzału pistolet, podszedł do zwłok najbliższego żołnierza. Ostrożnie schylił się i uniósł karabin maszynowy, wyciągnął magazynek, sprawdził jego zawartość. Następnie podpiął go z powrotem, przeładował i odbezpieczył. Jego twarz przepełniała duma i radość, nie tylko spowodowana posiadaniem takiej broni, ale również faktem, że udało mu się tak sprawnie z nią obejść.

– Skąd wiesz, jak to obsługiwać? – zapytała zaskoczona Marta.

– Net i gry. I co teraz powiesz, głupio ci? – stwierdził, puszczając się niczym paw.

– Powiem, żebyś mnie tego nauczył – stwierdziła beznamiętnie, nie chcąc robić bratu zbytnej nadziei na pochwały.

– Może i nauczę. Pomyślę. To nie są zabawki dla małych dziewczynek.

– Nie może, tylko mi pokażesz – zażądała, celując w niego z pistoletu.

– Ale ty głupia jesteś – stwierdził z rezygnacją, niespecjalnie przejmując się groźbą. Zamiast tego uważnie przyglądał się otaczającym ich zwłokom. – Przecież ci pokażę, tylko najpierw zabierzemy stąd jeszcze trochę broni i amunicji. I opuść to, bo jeszcze zrobisz sobie krzywdę.

Dziewczyna uśmiechnęła się przebiegle, ale opuściła broń.

Parę chwil później, dzierżąc jeszcze jeden karabin i kilka magazynków (schowanych w zabranej żołnierzowi ładownicy), Kamil podszedł do ciężarówki. Plandeka z tyłu była podniesiona, toteż bez problemu mógł zajrzeć do środka. Po obu stronach burty stały drewniane ławki, natomiast między oraz pod nimi zalegały wojskowe skrzynki różnej wielkości. Chłopak złapał się rękami za klapę, zadarł wysoko nogę, dźwignął i wskoczył do wnętrza samochodu. Z fascynacją przyglądał się skrzyniom. Szybko wyciągnął pierwszą z nich i otworzył. Metalowe zatrzaski nie były w żaden sposób zabezpieczone, ale skrzynia, pomimo swojej niewielkiej objętości, była zaskakująco ciężka. Coś za-

brzęczało w środku. Krzysiek uniósł wieko i jego oczom ukazały się setki leżących luzem nabojów. Ich blask odbił się w oczach chłopaka, którego ogarnęło szczęście, jakby znalazł piracki skarb. Poczł się jak pan życia i śmierci; przez chwilę jego wychudzone, żylaste ciało przepelniała moc mówiąca, że oto teraz wszystko mu wolno. Wszystko mu się uda. Wiedząc, co jest w tej skrzyni, z narastającym podnieceniem rzucił się w kierunku kolejnych. Znalazł w nich więcej naboí i kilka kolejnych sztuk broni. Ale oto nadszedł czas, aby przyjrzeć się największej skrzyni, stojącej pośrodku. Chłopak obszedł ją uważnie, odbezpieczył zamki i ostrożnie uniósł wieko. Obok leżały średniej wielkości skrzynki, w których było składowane coś, co Krzyškowi przypominało rakiety.

– O ja pier.... – urwał w pół słowa, nie mogąc wypowiedzieć go do końca.

– Co tam jest? Co znalazłeś? – pytała niecierpliwie Marta, cały czas stojąca na ulicy. Ktoś przecież musiał zostać i pilnować matki.

– Nie uwierzysz – powiedział cicho, nabożnie sięgając do wypełnionej trocinami skrzyni.

DWOREK, GODZINA 10:10.

Most na trasie S7 był zablokowany nie tylko samochodami uciekinierów, ale i ciężkim sprzętem wojskowym, który prawdopodobnie próbował przebijać się w stronę Warszawy. Kilka masywnych wozów bojowych było ustawionych w poprzek drogi, zmuszając samochody do zwolnienia i przeciskania się między nimi.

– Specjalnie zrobili taki zator, żeby mogli lepiej kontrolować auta i odsiewać zarażone jednostki – wyjaśnił wtedy Paweł. Kaja nalegała, że powinni przyjrzeć się temu miejscu, bo może uda się im znaleźć jakiś wojskowy sprzęt, ale jej ojciec uznał to za zbyt niebezpieczne. Na potwierdzenie jego słów nie musieli długo czekać – gdzieś spomiędzy aut doleciał do nich żaloszny, przeciągły krzyk umierającego człowieka. Wiedzieli już, co on oznaczał, wiedzieli, jakie niesie za sobą konsekwencje, wobec czego usłyszawszy go, grzecznie zapakowali się do swoich samochodów i odjechali. Musieli się cofnąć za Kazuń Nowy i przejechać inną drogą. Przekroczyli Wisłę wiekowym, metalowym mostem imienia Marszałka Józefa Piłsudskiego – wąską, żelazną konstrukcją, w pewien tajemniczy sposób urzekającą swoim symetrycznym majestatem, tak niespodziewanie wyrastającym spośród otaczającej go bujnej zieleni. Wbrew obawom most był relatywnie pusty, więc przeprawa nie przysporzyła zbyt wielu kłopotów.

Na moście okazało się, że znaleziony w warsztacie golf jednak nie stał tam bez powodu. W pewnym momencie auto zacharczało, zaklekotało, konwulsyjnie pierdnęło dymem z rury wydechowej i zwyczajnie zdechło. Wystraszeni, zmęczeni i wkurzeni jednocześnie, musieli wszystko przepakować z powrotem do volva i przemieszczać się dalej w jednym, ciasnym samochodzie.

Niemniej kilkadziesiąt minut później, dojeżdżając pod Nowy Dwór Mazowiecki, trafili na doskonale znany krajobraz – słupy dymu strzelające wysoko w niebo, niby monumentalne kolumny zapomnianego miasta i szalejące pożary, których nie było komu ugasić. Panował taki sam nieład, jak w każdym miejscu, które dotychczas mijali. To był kolejny cios w ich – i tak nadwątlone – morale. Im dalej zapuszczali się między miejską zabudowę, tym było gorzej. Niby nastawiali się na to, co mogą spotkać, jednak każdy z nich w głębi siebie liczył, że zaraza nie dotarła aż tak daleko. Że za tym zakrętem, o, już za tym skrzyżowaniem będzie stał kordon wojska, gotowy udzielić im schronienia i opieki. Będą namioty, karabiny, szczęśliwi i żywi ludzie. Będzie bezpiecznie.

Wiedzieli, że nic takiego nie nastąpi. Jednak nadzieja ma to do siebie, że wbrew powszechnej opinii wcale tak szybko nie umiera.

Jechali w milczeniu, czujnie się rozglądając. Mijali rozbite auta, rdzawe plamy krwi na ulicach i chodnikach. Zombie było stosunkowo mało, spotkali na swojej drodze zaledwie kilka niestwarzających zagrożenia poczwara z połamanymi nogami czy czołgających się po betonie. Co jakiś czas coś

przebiegło za rogiem ulicy, jakiś kształt przemknął gdzieś, goniąc kolejnego nieszczęśnika. Ktoś krzyknął, ktoś zawołał o pomoc. Z daleka niosło się echo wystrzału. W związku ze stosunkowo niską aktywnością nieumarłych powoli pokazywali się pierwsi szabrownicy – kolejne cienie przemykające przy ścianach budynków, nagle i niespodziewanie znikające w rozbitej witrynie jakiegoś sklepu. Paweł przez chwilę odniósł wrażenie, że wcale nie wyjechał z Warszawy. Z drugiej strony, jeżeli zaraza się rozprzestrzeniła, mogła tu szaleć od paru dni i przez ten okres zapewne zdążyła już zebrać swoje śmiertelne żniwo.

„I gdzie się podzieli zombie? Ruszyli na żer?” – przeszło przez myśl komandosa. Musiał jednak szybko powrócić do rzeczywistości, gdyż podjechali pod zamkniętą, kutą bramę i zatrzymali auto. Zza starego, murowanego ogrodzenia wyłaniała się bryła dworku, chociaż ciężko było cokolwiek dostrzec – mur miał jakieś dwa i pół metra, a brama była ustawiona pod takim kątem, że widzieli przez nią tylko otaczające go krzewy i drzewa. Kuba wystawił głowę przez okno auta, uważnie rozglądając się po ulicy. Następnie odbezpieczył MP5 i wysiadł, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

– Cały teren jest tak ogrodzony? – zapytał Krystyny, zanim wysiadł. Ta kiwnęła potakująco głową.

„Faktycznie, miejsce może być całkiem bezpieczne” – przeszło przez myśl policjantowi. Wyszukał wzrokiem Pawła, który również wysiadał. On także rozglądał się, wypatrując potencjalnego niebezpieczeństwa. Zbędny hałas mógł na nich zwrócić uwagę okolicznych zombie, co niewątpliwie przysporzyłoby im nie lada kłopotu. Musieli szybko się dostać za zamkniętą bramę, wkroczyć do swojej nowej bazy.

– Pewnie zamknięta? – zapytał Kuba, gdy tylko Paweł do niego podszedł.

– Pewnie tak. Ale to dobrze. Może pani zadzwonić do tego swojego brata? – zapytał Paweł, zerkając w stronę Krystyny.

– Gdybym mogła, to bym zadzwoniła. Ale telefony nie działają.

„Racja” – przypominał sobie komandos. Ciężko nagle przyzwycząić się do tak nienaturalnego stanu rzeczy, zwłaszcza gdy przychodzi do tak prozaicznych czynności, jak użycie telefonu komórkowego.

– Dobra, jakoś trzeba tam wejść, albo dać im znać, że jesteśmy – stwierdził, uważnie przyglądając się bramie. – Tylko nie możemy trąbić ani krzyczeć, bo pewnie zlecą się te pojeby. Czekać też za długo nie możemy, jak pewnie sami się domyślacie.

Kuba powędrował wzrokiem za spojrzeniem komandosa. Absolutnie nie uśmiechało mu się przeskakowanie przez mur, zwłaszcza że nie wiedział, co znajdzie po drugiej stronie. A i wrócić pewnie będzie zdecydowanie trudniej, niżeli się tam dostać.

– Mogę cię podsadzić – zaproponował ochoczo, przy okazji wychodząc naprzeciw propozycji Pawła. Komandos nie uraczył go nawet spojrzeniem, z góry zakładając, że właśnie taka będzie jego decyzja.

– Ej, nie, zaraz, nie możesz tam iść sam! – zaprotestowała nagle Kaja, podchodząc do mężczyzn. Po chwili Max i Natalia również stali na ulicy, podeszła do nich także Krystyna. Nawet Kasia, pomimo bólu rozsadzającego jej czaszkę, wysiadała i stanęła z nimi. Jakoś tak im było przez chwilę

rażniej, czuli się jak na naradzie przed kluczowym atakiem na górski szczyt. Z tą różnicą, że tu okno pogodowe mogło się zamknąć, jeszcze zanim w ogóle by ruszyli.

Komandos odwrócił się i posłał córce uśmiech, mając nadzieję, że to wystarczy, aby się uspokoiła.

– Słuchajcie, myślę, że to chyba średnio rozsądne, żebyśmy tu stali i sobie tak dywagowali. Może pogadamy w środku, co? – zapytała z przekąsem Natalia, uważnie rozglądając się wokół.

„Ma rację” – pomyślał Kuba. „Zbyttno się ostatnio rozluźniliśmy, zbyt pewnie się czujemy” – skarcił się w myślach, świadomy, że taki stan rzeczy może nieść za sobą tragiczne konsekwencje. „Jednak z drugiej strony, napięcie kiedyś musi się zmniejszyć, przecież nie można żyć na tak ściśniętych zwieraczach cały czas...”.

– Jest pani pewna, że tam jest pani brat? – zapytał Max.

– Mów mi Kryśka – odpowiedziała, zaciągając się przed chwilą zapalonym papierosem. Niespecjalnie ją interesowało zdanie Natalii, tym bardziej nie zamierzała się przejmować jej stresem. – I tak, jestem pewna. Rozmawiałam z nim wczoraj, jak jeszcze telefony działały. Wtedy mówił, że wszystko jest zamknięte i nikt nie może wejść do środka. Z tego, co widzę, nic się od tamtego momentu nie zmieniło – dodała, wymownie i dumnie spoglądając na nieuszkodzony mur i zamkniętą bramę. – Słuchajcie, bo ja widzę, że macie jakiś straszny problem. Sama bym tam chętnie wskoczyła, ale wicie, wiek nie bardzo mi na to pozwala. Więc może któryś szanowny się wreszcie zdecyduje i podejmie męską decyzję?

Paweł zaklął w myślach, westchnął i zbliżył się od ogrodzenia. Nie oglądał się na pozostałych, ale wiedział, że jego postawa została przezeń przyjęta z ulgą. Zajrzał przez pręty, starając się dostrzec jak najwięcej szczegółów. Niekoniecznie uśmiechało mu się wejście na zamknięty, niezbadany teren, ale wiedział, że im szybciej to zrobi, tym szybciej zapewni bezpieczeństwo Kai. Reszcie oczywiście też, ale to córka był jego priorytetem.

Zobaczył gęste krzewy otaczające zamieciony, czysty podjazd z czerwonej kostki Bauma, kilka wysokich drzew i wewnętrzną stronę murów. Wszystko było zadbane, ładnie poprzycinane – gotowe na przybycie gości. Nie zobaczył śladów krwi czy walki, ale to nie znaczyło, że miejsce nie było wcześniej atakowane. Fakt faktem, nigdzie nie było żywej duszy. Był tylko jeden sposób, aby się przekonać, jak sytuacja wygląda naprawdę.

– Dobra, podsadź mnie – powiedział do Kuby, przerzucając MP5 na plecy.

Policjant przyklęknął na jedno kolano, składając dłonie w taki sposób, żeby Paweł mógł na nich oprzeć stopę. Stęknął, gdy komandos oparł się nań całym ciężarem swojego ciała.

Po chwili mężczyzna bezszelestnie zeskoczył po drugiej stronie muru, szybkim ruchem zdejmując zawieszony na plecach karabinek. Odbezpieczył, przyłożył muszkę do oka. Kilka szybkich wydechów, pozornie chaotyczne rozeznanie po okolicy – jednak skupiony wzrok i wyćwiczone ucho były w stanie szybko wychwycić podejrzany ruch.

Czysto.

Zachowując absolutną ciszę, skierował się w stronę najbliższych krzewów. Gdy do nich dotarł i uznał, że jest bezpieczny, odwrócił się i zerknął na bramę – zobaczył tam skupionych Maxa

i Kubę, którzy zajęli pozycje strzeleckie w taki sposób, aby możliwie najskuteczniej osłaniać ewentualny odwrót Pawła. Komandos ucieszył się na tę myśl, poczuł dziwną więź z tymi ludźmi – nagle, zupełnie nieoczekiwanie zaczął się martwić o ich los tak samo, jak martwił się o los swojej córki. Jednak równie nagle zobaczył, jak oczy Maxa rozszerzają się z przerażenia. Kuba skulił się jeszcze bardziej, przyłożył policzek do kolby broni gotowy w każdej chwili oddać strzał, jednak komandos wiedział, jakąś częścią siebie po prostu wyczuł, że już było za późno na jakiegokolwiek działanie. Coś przeoczył, przegapił. Zjebał, a teraz trzeba ponieść konsekwencje.

I nie pomylił się.

Poczuł, jak zimna, metaliczna lufa przywiera do jego karku.

– Odłóż broń. Powoli i bez głupot – usłyszał niemalże tak samo zimny głos. Posłusznym, delikatnym ruchem odłożył broń na ziemię i powoli uniósł ręce. Wiedział, że każdy gwałtowny ruch może sprowokować stojącego za nim mężczyznę do oddania strzału, a to było coś, czego Paweł za wszelką cenę wołałby uniknąć.

– Spokojnie – zaczął mówić, starając się zachować opanowanie w głosie. – Mieliśmy tu przyjechać, jesteśmy z panią Krystyną.

Paweł miał wrażenie, że po tych słowach mężczyzna jakby się rozluźnił.

– Krystyną...? – zapytał. W jego głosie było tyle niedowierzania, że Pawłowi było ciężko to pytanie jakkolwiek zinterpretować. Nie wiedział, czy to było niedowierzanie wywołane szokiem, że Krystyna przeżyła, czy raczej nedorzecznnością tego stwierdzenia, bo facet nie zna żadnej Krystyny. A wtedy komandos mógłby mieć mały problem.

Lecz w tym momencie okolicę przeszył krzyk wspomnianej kobiety:

– Bartuś, zostaw go!

Mężczyzna, prawdopodobnie właśnie rzeczony Bartuś, opuścił niepewnie broń.

– Kryśka, nie drzyj się tak! – syknął. – Jezu, udało ci się. Bogu niech będą dzięki – powiedział za chwilę cicho, cały czas jakby nie dowierzając temu, czego właśnie był świadkiem. Przy okazji, zupełnie mimowolnie położył dłoń na ramieniu Pawła. Jakby zaledwie parę sekund temu wcale nie zamierzał odstrzelić mu głowy.

Komandos odwrócił się powoli, ale cały czas czujnie – w końcu nie wiedział, gdzie dokładnie jest broń Bartusia ani jak facet się z nią obchodzi, nie chciał też wykonywać gwałtownych ruchów – przypadkowy postrzał był ostatnią rzeczą, na jaką miał aktualnie ochotę.

Parę sekund później patrzył na wysokiego, zadbanego mężczyznę. Na pierwszy rzut oka mógł on mieć pięćdziesiąt, może pięćdziesiąt pięć lat – jednak trzymał się prosto i pewnie. Był ubrany w spodnie od garnituru i białą koszulę. Szerokie dłonie i muskularne ramiona wskazywały na ciężką pracę fizyczną, jaką praktykował przez prawdopodobnie większą część swojego życia. Miał spokojną, godną zaufania twarz – niczym dobry wujek, któremu nie wiedzieć czemu wierzymy, że możemy mu wyjawić absolutnie każdy sekret. Jednak nerwowe, rozbiegane spojrzenie brązowych oczu i kilkudniowy zarost dobitnie świadczyły o ostatnich stresach, jakie musiał przeżyć.

– Cieszę się, że dotarliście – powiedział już nie Bartuś, a raczej Bartosz. – Powoli zaczynałem tra-

cić nadzieję.

Paweł uśmiechnął się ponuro.

– Wyobrażam sobie. Nieźle się pan tu zabarykadował – powiedział i wskazując wzrokiem leżącą na ziemi broń, zapytał: – Mogę?

Bartosz jakby oprzytomniał, potrząsnął krótko ostrzyżoną głową:

– Och, oczywiście, proszę! Przepraszam, pan mi wybaczy, ale przez ostatni czas musiałem być wyjątkowo... – zaciął się, jakby szukając odpowiedniego słowa – czujny. I ostrożny. I może bez panów, proszę. Bartosz jestem – powiedział na koniec, wyciągając dłoń w stronę Pawła. Ten bez wahania zamknął ją w mocnym, męskim uścisku.

– Paweł. Miło mi – przez chwilę chciał dodać, że miło mu teraz, kiedy już nikt nie przystawia mu do głowy lufy strzelby, jednak uznał to za niepotrzebne podsycanie napięcia. – To jak, wpuścimy ich? – zapytał natomiast, kiwając głową w stronę zebranej przy bramie grupy.

– Jasne, jasne. Już otwieram – rozpromienił się Bartosz. Wyraźnie ucieszyła go wizyta siostry, którą prawdopodobnie wcześniej zdążył już spisać na straty.

Parę minut później tymczasowy właściciel dworku zamykał bramę, nie tylko na standardowy zamek, ale również przeciągając przez jej skrzydła gruby łańcuch spięty masywną, ciężką kłódką. Wcześniej poinstruował grupę, aby ustawiła samochód z tyłu, w miejscu osłoniętym przed spojrzeniami zbyt ciekawskich i jeszcze żywych ludzi.

– Już kilka osób próbowało się tu włamać, ale im to szybko wyperswadowałem – powiedział, wieszając na szyi sznurek z kluczem.

– Nie pomógł im pan? – zapytała Natalia, marszcząc brwi.

– Kochana... im już nic nie mogło pomóc. Wiem, co mówię – wyjaśnił cicho, patrząc wymownie w błękitne oczy kobiety. W jego spojrzeniu dominował smutek. Dla każdego stało się jasne, w jakim stanie były osoby poszukujące azylu.

– Więc jest pan tu sam? – zapytał Max, dźwigając z auta jedną z toreb zawierających jedzenie.

– No niezupełnie... – zmieszał się Bartosz, posyłając niepewnie spojrzenie swojej siostrze.

Kilka minut później stanęli przed zamkniętymi drzwiami jednego z pokoi. Wcześniej przeszli wąskim korytarzem ze starą, skrzypiącą podłogą. Minęli kilka otwartych na oścież drzwi, zapraszających do urządzonych w klasycznym stylu pokoi. Tu również nie było śladów walki, przez co poczuli się, jakby przyjechali na wakacje, a nie w miejsce, które może pomóc im w przetrwaniu apokalipsy. Dodatkowo w starym budynku działała jeszcze klimatyzacja, więc zaraz po wejściu przywitał ich przyjemny, kojący chłód. Jednak klimatyzatory nie do końca usuwały wszechobecny zapach starego, nadgryzionego zębem czasu drewna.

– To tutaj? – zapytał cicho Kuba.

Gospodarz pokiwał głową.

– Ile osób?

– Dwie... to znaczy trzy. Tak, trzy – zawahał się. Włożył duży, żelazny klucz do zamka, przekreślił.

Do ich uszu dotarło głośnie kliknięcie – Trzy.

– No dobra... gotowi? – spytał ponownie policjant, odbezpieczając swoje MP5. Paweł i Max byli już przygotowani, stali z karabinkami ciasno przyłożonymi do klamek drzwi. Kaja upierała się, że powinna wejść zamiast Maxa, bo jest lepszym strzelcem i w ogóle więcej ćwiczyła, zna podstawy taktyki i tak dalej, jednak ojciec wyperswadował jej to, mówiąc, że to zbyt ryzykowne. Ustalili też, w jaki sposób przeprowadzą szturm – Kuba miał otworzyć gwałtownie drzwi, pozostali mieli wpaść do pomieszczenia, kryjąc wyznaczone wcześniej sektory: Paweł lewą stronę, Max prawą, Kuba front. Policjant położył moką od potu dłoń na klamce, wymieniając porozumiewawcze spojrzenia z pozostałymi. Wiedział, że Natalia wpatruje się w niego wzrokiem pełnym napięcia, jednak tym razem nie odwzajemnił spojrzenia. Jego postawa zdawała się mówić: „Nie teraz, kochanie, przepraszam”, ale nie odezwał się ani słowem. Uznał delikatne skinięcia głów mężczyzn za sygnał gotowości do ataku. Wziął głęboki oddech i pchnął drzwi.

Paweł błyskawicznie przemknął koło Kuby. Tuż za nim, równie szybko, jednak żałośnie mozolnie ruszył Max. Lecz zanim chłopak zdążył przekroczyć drewniany próg pokoju, rozległy się dwa szybkie wystrzały.

– Czysto – obwieścił komandos, jednak nie opuścił broni. Zamiast tego skierował lufę na drzwi łazienki, cicho pod nie podchodząc.

Pozostali mężczyźni znaleźli się w pokoju. Kuba zobaczył dwa ciała – jedno leżące na białym, drewnianym łóżku, drugie na sosnowej podłodze. Obaj denaci mieli małe dziurki w czołach, a pozostała część ich głów była rozchlapaną tuż za ich czaszkami, tworząc niezbyt miły dla oka, ale na pewno oryginalny wystrój wnętrza. Wcześniej byli młodymi mężczyznami, prawdopodobnie dumnie służącymi swojej ojczyźnie – czego dowodziły wojskowe mundury, które mieli na sobie. Obaj byli przemienieni w zombie.

– Gdzie trzeci? – zapytał zdenerwowany policjant. – Miało być trzech.

Spotkał wzrokiem spojrzenie Pawła, przenosząc je za chwilę na twarz gospodarza. Ta ostatnia wyrażała nie tylko zdziwienie, ale również niepokój. Była maską człowieka, który starał się coś ukryć, ale nagle uświadomił sobie, że absolutnie mu to nie wychodzi.

– Łazienka – wyszeptał Paweł, nie czekając na odpowiedź Bartosza. Kuba podszedł pod drzwi szybkim krokiem. Musiał zignorować wyuczony odruch, przecież zombie nie mieli broni, nie chowali się i nie ustawiali pod kątami optymalnymi do prowadzenia ostrzału. Dlatego policjant mógł swobodnie podejść pod drzwi i złapać za klamkę, wystarczyło tylko o tym pamiętać.

Kiwnął głową na znak, że jest gotów, aby je otworzyć, gdy nagle wydarzyło się coś, czego zupełnie się nie spodziewali.

Od wewnętrznej strony łazienki rozległo się pukanie. Nie nieskoordynowane walenie na pół urzędną kończyną w drzwi, tylko miarowe, regularne stukanie – puk-puk-puk, puuk-puuk-puuk,

puk-puk-puk.

– Żywy. Mamy ocalałego – powiedział przytomnie Paweł, jednak nie opuścił karabinu.

Max zmarszczył brwi.

– To sygnał SOS. Trzy krótkie, trzy długie, trzy krótkie – wyjaśnił komandos. – Wątpię, żeby zombie potrafił coś takiego nadać – i dodał, już znacznie głośniej: – Możesz wyjść.

Drzwi powoli się otworzyły i stanął w nich trzeci żołnierz. Ręce trzymał uniesione do góry. Paweł odruchowo skierował wzrok na jego ramię, szukając naszywki określającej przynależność do danej jednostki wojskowej, jednak nie znalazł ani tego, ani pagonu świadczącego o jego stopniu. Żołnierz prześlizgnął się wzrokiem po martwych kompanach, jednak nie dał po sobie poznać, czy ich śmierć go obeszała, czy też nie. Czyli totalnym młodzikiem nie był.

– Dzięki – powiedział szorstkim, zmęczonym głosem. – Siedziałem tam dwa dni. Dobrze, że była woda w kranie bo inaczej... ty pierdolony sukinsynu! – krzyknął nagle i jak na kogoś, kto spędził bez jedzenia dwa dni, zaskakująco szybko rzucił się w stronę gospodarza. Ten bezskutecznie próbował czmychnąć na korytarz, jednak odległość była zbyt mała. Nim zdążyli zareagować, pięść wojaka trafiła kilka razy w zdziwioną twarz Bartosza.

– Zamknąłeś mnie tam, zostawiłeś, żebym zdechł! – krzyczał pełen wściekłości żołnierz, ale nie zdążył zadać kolejnego ciosu. Głośnie przeładowanie strzelby, której lufa znalazła się zaledwie pół metra od jego głowy, szybko zaprowadziło utracony ład i porządek.

– Puść go – powiedziała zimnym, choć odrobinę drżącym głosem Kaja.

Mężczyzna przestał co prawda uderzać, ale dalej szybko i głęboko oddychał, wlepiając wściekły wzrok w wystraszone oblicze Bartosza. Niemniej po paru sekundach uniósł pojednawczo dłonie.

– Okej. Już jestem spokojny – powiedział, wstając jednocześnie z leżącego na korytarzu faceta. – Zasłużył sobie – dodał jeszcze, odwracając od niego wzrok. Spojrzał na Kaję, prześlizgnął wzrokiem po Natalii, Krystynie i Kasi. Krystyna natychmiast podeszła do brata, jednak nie skomentowała zachowania żołnierza. Widać, w przeszłości Bartosz nie zawsze był święty.

– Daj mi choć jeden powód, dla którego miałbym cię tam z powrotem nie zamykać – powiedział Paweł, powoli zbliżając się do wojskowego.

Żołnierz przez chwilę mierzył się z nim wzrokiem, jednak szybko docenił przeciwnika. Widział, w jaki sposób Paweł trzyma broń, widział, jak pod przeupoconym T-shirtem drgają twarde mięśnie, widział zacięcie i spokój w oczach osadzonych głęboko w szczeciniastej twarzy. Chłodne spojrzenie faceta, który, jak to się mówi, „w tańcu się nie pierdoli”. Zrobi, co ma do zrobienia, i nie będzie tracił czasu na zastanawianie się nad słusnością swojego działania. Dlatego też żołnierz szybko doszedł do jedyne właściwego wniosku – uratować go mogła tylko całkowita kooperacja i absolutna uległość. Przynajmniej na razie.

– Jeden? – zapytał retorycznie, przywołując na twarz chytry uśmiech. – Powodów mam kilka. Może zacznę od tego, że wiem, skąd wzięli się nasi nowi, gustujący w ludzkim mięsie przyjaciele.

Tymi słowami przebił chłód słów Kai i zimne spojrzenie Pawła oraz niemalże zamroził serca zebranych wokół siebie osób.

Paweł zerknął na Kubę, który odwzajemnił spojrzenie.

– Dobra, chyba nas przekonałeś – wyszeptał komandos, opuszczając broń.

Kilkanaście minut później zebrali się w gabinecie – w gustownie urządzonej pomieszczeniu pełnym ciemnych, dębowych mebli i skórzanych siedzisk, na których zamożni goście zwykli negocjować kontrakty służbowe, popijając przy tym wieloletnie i wielozłotówkowe whisky. Przez kilka chwil rozmawiali o niczym, czekając na powrót Pawła i Kuby, którzy wyszli na obchód. W tym czasie żołnierz milczał, nieufnie ich obserwując. Wcześniej pozostawili broń i jedzenie z pozostawionego za dworkiem auta.

– Na pewno wszystko sprawdziliście? – zapytała Natalia. W jej głosie cały czas dominował strach i pewnego rodzaju podniecenie, jakby adrenalina już nigdy nie zamierzała opuścić jej smukłego ciała.

– Tak – odpowiedział spokojnie jej mąż, odstawiając pod ścianę karabinek. Przetarł ręką zmęczoną twarz, rozmasował palcami opuchnięte oczy. – Obeszliśmy dokładnie ogrodzenie, sprawdziliśmy zamki na bramie, furtkę z tyłu – zaczął wyliczać. – Wszystko jest okej – zaakcentował, robiąc chwilkową pauzę przed kolejnym zdaniem. – Wygląda na to, że faktycznie możemy tu być przez jakiś czas bezpieczni.

Ostatnie zdanie wypowiedział, patrząc prosto na Pawła. Cały czas nie zapominał jego przekonania, że tylko pozostawanie w ciągłym ruchu może uratować im życie. Kubie przypominało to raczej gonitwę za własnym cieniem, ale nie zamierzał co chwila powtarzać swojego zdania.

– No dobrze – rzucił komandos, ale jego słowa nie były skierowane do policjanta. Wypowiedział je, siadając naprzeciwko uwolnionego przed kilkunastoma minutami żołdaka. – Mów.

Może Paweł trochę się pospieszył, jednak w swojej opinii i tak odczekał wystarczająco długo, sprawdzając teren wokół dworku. Gdy okazało się, że jest bezpiecznie, dał upust swojej ciekawości. Żołnierz, który właśnie był w trakcie spożywania otrzymanej racji żywnościowej (składającej się głównie z batoników), uniósł głowę, posyłając komandosowi zadziorne spojrzenie.

– Najpierw niech ta chujoza się wytłumaczy – odparł, wymownie zerkając w stronę Bartosza. Z jego rozciętej wargi nie kapą już krew, jednak było jasne, że za kilka godzin pojawi się tam całkiem spory siniak.

Ten spokojnie rozmasował obitą twarz, po czym bez zbędnych ceregieli stwierdził:

– Jeżeli naprawdę nie rozumiesz, dlaczego zamknąłem ciebie i twoich kolegów, to jesteś wyjątkowym idiotą.

Słyszając te słowa, żołnierz zacisnął pięść na papierku po snickersie i już zamierzał wstać, jednak szybko przypomniał sobie o pozostałych w pomieszczeniu. Zamiast wszczać kolejną burdę, wziął więc głęboki wdech i powoli wypuścił powietrze.

Bartosz kontynuował, jakby wojaka w ogóle tu nie było:

– Byłem tu sam. Nie wiedziałem, co robić, wszędzie biegali ci... wariaci. Płonęły budynki, wyły sy-

reny. Słyszałem, jak ludzie krzyczeli, wołali o pomoc. Ale... nie mogłem. Nie miałem żadnej broni, nie potrafię walczyć. To znaczy miałem, ale w pierwszej chwili o niej zapomniałem... Przecież tam bym zginął, jakbym wyszedł poza ogrodzenie... Ludzie biegali wokół, ale nikt nie próbował się dostać do środka. Niby dziwne, ale mi to pasowało. Aż pojawili się oni. Wpuściłem ich z rannym kolegą – zaczął wyjaśniać, kierując swoje słowa do pozostałych osób. – Jeszcze wtedy nie wiedziałem, jak to się rozprzestrzenia, poza tym panowie wojskowi twierdzili, że kolega się pokaleczył, jak uciekali przez jakiś tam dom. Przełaził przez okno, czy coś, i powbił sobie szkło w nogę... Ściema jak się patrzy, ale co miałem im powiedzieć? To im pomogłem – zawiesił na chwilę głos, obrócił głowę w stronę siedzącego na kanapie żołnierza. – Dałem im pokój, potem przyniosłem coś do jedzenia... I jak wszedłem, zobaczyłem, że jego kolega się zamienił... I zanim zorientowałem się, co się dzieje, stałem już na korytarzu. Za zamkniętymi drzwiami. Widziałem tylko, że szarpali się, walczyli na pięści. Jeden miał pogryzioną szyję – Bartosz mówił wolniej, ze wzrokiem wbitym w dębowy parkiet pokrywający podłogę. – Co miałem zrobić, dać się zabić? – zapytał, unosząc głowę. Pytanie nie było agresywne, tylko nierealnie szczere.

Bartosz spojrział na żołnierza, który mierzył go wzrokiem, jednak po chwili odwrócił się.

– Nikt cię nie ocenia. Każdy z nas prawdopodobnie zachowałby się tak samo – powiedział spokojnie, z zimnym zrozumieniem, Paweł.

Kuba odchrząknął demonstracyjnie, pokazując komandosowi, że doskonale rozumie, iż w sytuacji zagrożenia nie mógłby liczyć na jego wsparcie. Jednak Paweł powiedział coś, od czego Kubie odechciało się wszelakich konfliktów:

– Obyśmy nie musieli się o tym przekonywać.

Kaja w lot uchwyciła narastające napięcie, toteż zdecydowała się przejąć inicjatywę.

– Przepraszam, jest tu jakaś kuchnia? Napiłabym się kawy – spytała Bartosza. Bezpieczne miejsce zaczynało ją otulać swoistą aurą, adrenalina przestawała buzować w ciele, przez co dziewczynę zaczął morzyć sen. Niemniej nie czuła się na tyle bezpiecznie, aby położyć się w najbliższym kącie i po prostu usnąć. Nie, jeszcze nie. Zupełnie nie miała też ochoty na wysłuchiwanie kolejnej historii na temat walki z zombie. Sama przeżyła ich aż nadto.

Parę minut później stała w kuchni, czekając, aż woda się zagotuje. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na filiżanki z kawą. Max, Kuba, Natalia, jej ojciec.... Ona. Kaśka. Ten żołdak i starszy gość nie mieli dla niej większego znaczenia. Liczyła się pierwsza czwórka. Do niedawna piątka. „Co z nami będzie?” – przeleciało przez jej głowę banalne, jednak niesamowicie trudne pytanie.

Oparła dłonie o blat, mocno je zaciskając. Napięła mięśnie ramion, jakby chciała go wyrwać i rzuć przed siebie. Gdyby mogła, zdemolowałaby całą kuchnię, dając upust frustracji, która niespodziewanie ogarnęła jej szczupłe, ale umięśnione ciało. Była wściekła na zombie, wściekła na to, że musiała zabijać. Że musiała walczyć. Że już nigdy nic nie będzie takie samo. Chciała krzyczeć, niszczyć, walić dookoła czym popadnie. Poczowała, jak wstrząsają ją dreszcze, jak gwałtowne skurcze żołądka zmuszają do pochylecia się nad blatem. Miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje.

Szybko nabrała i za chwilę wypuściła powietrze. Powtórzyła czynność kilkakrotnie. „Musisz być

silna” – uświadomiła sobie. Chciała zapłakać, skulić się w kącie, objąć kolana rękami... ale nie mogła. Musiała znaleźć w sobie siłę, aby przeżyć. Poprzysięgła w duchu, że nawet jeżeli nie zabije wszystkich tych skurwieli, to będzie żyła wystarczająco długo, żeby ją popamiętali.

Czajnik pstryknął, głośno meldując wykonanie zadania. Kaja przyjęła to z ulgą, ciesząc się, że może czymś zająć myśli i ręce. Siedzenie i rozpaczanie nie miało najmniejszego sensu, a tylko odbierało chęć do dalszej walki. I chęć do życia.

– Co się stało? – zapytał spokojnie Paweł. Zniżył głos, pochylił się w stronę żołnierza. Chyba starał się, aby wyglądało to tak, jakby przebywali w pomieszczeniu sami, dzięki czemu przepytany wójak mógłby się bardziej otworzyć. Ten przez chwilę jakby bił się z myślami, ale w końcu pokiwał głową, tłumacząc samemu sobie, że dalsza konspiracja nie ma sensu. Otworzył usta:

– Dowództwo kazało nam się rozdzielić. Tak miało być efektywniej, mogliśmy przejąć kontrolę nad większym terenem, szybciej identyfikować zarażone jednostki, eliminować je w razie potrzeby. Duża liczba mniejszych, bardziej mobilnych oddziałów, wiesz. Mogliśmy się szybciej przemieszczać, to fakt, ale nikt nie wziął pod uwagę tego, że wirus rozprzestrzenia się jeszcze szybciej. – Mówił swobodnie i płynnie, ale w jego wyglądzie i tonie głosu bez problemu można było wyczuć, że słowa niosą ze sobą spory ładunek emocjonalny. – W pewnym momencie straciliśmy kontakt ze sztabem operacyjnym, z innymi pododdziałami. Ci, którzy przeżyli pierwsze ataki, próbowali się przegrupować, ale różnie to wychodziło. Scenariusz się powtarzał – na początku nikt nie chciał prowadzić ognia do nieuzbrojonych cywili, a nim się orientował, że ci jednak są niebezpieczni, było już za późno. Ja wiem, były rozkazy, nieraz już walczyłem, ale co innego słyszeć rozkaz ataku na wroga, a co innego strzelać do umazanego krwią dziecka... Chociaż niektórzy nie mieli z tym problemu – powiedziawszy to, zrobił chwilę pauzy. – Nie wiem, jakim cudem, ale komunikacja ze sztabem szybko padła, pozostała nam tylko łączność krótkofalowa. Ale wiesz, minuty upływały, amunicja się kurczyła, oddziały...

– Wiem. Tak samo było w Warszawie. Stamtąd przyjechaliśmy.

– Warszawa padła? – zapytał z niedowierzaniem. Kubie, który wszystko dokładnie obserwował, drgnęła powieka. Miał spore doświadczenie w przesłuchiowaniu, toteż szybko zauważył, że niedowierzanie było raczej udawane.

„Ten koleś coś kręci” – pomyślał policjant, ale na razie nie wtrącał się do dyskusji.

– Na to wygląda. Wycofaliśmy się z miasta, ale ledwo, ledwo – odpowiedział Paweł. – Próbowali wszystko odgrodzić, całe miasto, siatką i drutem kolczastym. Porobili punkty kontrolne. Ten, przez który się wydostaliśmy, był zupełnie zniszczony. Opuszczony... no, prawie opuszczony. Tak czy inaczej – zaraza wydostała się poza miasto.

Żołnierz milczał przez chwilę, patrząc na dębowy parkiet. Nagle jakby nabrał siły, podniósł wzrok i powiedział:

– Sama się nie wydostała.

Te słowa zmroziły nie tylko Pawła, ale i każdego z pozostałych. Kuba zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, czy naprawdę usłyszał to, co usłyszał, czy może się po prostu przesłyszał. Natalia nie zareagowała w żaden sposób – po prostu patrzyła gdzieś przed siebie, jakby zupełnie nie obchodziło jej to wszystko. Jej myśli orbitowały wokół zupełnie innych tematów, innej planety, pełnej zieleni, błogiej nieświadomości i spokoju. Krystyna i Bartosz ze smutkiem pokiwali głowami. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia, jakby spodziewali się dokładnie takiego rozwoju sytuacji, ale nie skomentowali tego żadnymi słowami. Bo nie znajdowali słów, które mogliby teraz wypowiedzieć. Kasia patrzyła na rozmówców zmęczonym wzrokiem, z którego niewiele dało się wyczytać.

– Jest kawa – obwieściła wesoło Kaja, wchodząc z tacą pełną filiżanek z parującym napojem. Miała nadzieję, że wywoła to jakiś entuzjazm na twarzach zmęczonych, przygnębionych towarzyszy. Jednak ich marsowe miny świadczyły o czymś zupełnie innym.

Ojciec spojrzał na córkę, posyłając jej spojrzenie pełne smutku i żalu, ale dziewczyna wiedziała, że to nie z jej powodu. Paweł odwrócił wzrok, Kaja bez słowa doniosła tacę i postawiła ją na niskim, drewnianym stole o grubych nogach.

– Proszę – powiedziała cicho i sama sięgnęła po pierwszą filiżankę. Dołała mleka, wsypała dwie duże łyżeczki cukru, zamieszała. Wiedziała, że stało się tu coś naprawdę złego, że usłyszeli jakąś tragiczną informację. Przez chwilę stukanie łyżki o brzegi porcelanowego naczynia było jednym dźwiękiem, jaki rozchodził się po starym, ale eleganckim pomieszczeniu. W końcu powoli, jakby bez życia, zmęczone sylwetki wstawały, brały swój przydział kawy i wracały na wcześniej zajmowane miejsca.

Cisza, która zapanowała po słowach żołnierza, zdawała się nie mieć końca. Była przytłaczająco absolutna. Niby nie powiedział zbyt wiele, ale było wiadomo, że powiedział aż nadto. Rozszalałe, nieskładne myśli wirowały w głowach wszystkich zebranych, często wzajemnie się wykluczając, lub wręcz przeciwnie, jedna potęgowała drugą, błyskawicznie tworząc spirale teorii spiskowych. Wirus nie wy dostał się sam. Czyli co, ktoś mu pomógł? Ale kto? Jak? Dlaczego? Czy to atak? Kto byłby w stanie to zrobić? Po co? Nie, to bez sensu. Tego nie dałoby się zrobić, przecież zombie nie można złapać. Nie można? To niemożliwe, ludzie nie mogą być aż tak źli...

Mogą.

Byli. Są. I będą. Wystarczy spojrzeć przez ramię. Najbliżej, nie licząc zamachów terrorystycznych i pomniejszych konfliktów, to chyba byłby holokaust. Druga wojna światowa. Ciały rozrywane granatami, rozstrzeliwanie jeńców, mordowanie bezbronnych cywili. Później Hiroszima, Nagasaki. A jeśli sięgnąć nieco w głąb historii – mamy średniowieczne tortury, wyprawy krzyżowe, palenie kobiet na stosach tylko za to, że zakładały suknie, które unosiły je na wodzie, przez co przerażony plebs brał je za czarownice... Można by tak wymieniać bez końca.

Może to jest po prostu nowa broń biologiczna, nic więcej.

A może gniew Boży.

Boży?

Boga nie ma, jakby był, nigdy nie pozwoliłby na coś takiego.

Bóg jest, a my bierzemy udział w apokalipsie, przecież to było zapowiedziane w Biblii.

Bo było, prawda?

– Skąd ta pewność? – zapytał kilkaset lat później Paweł, ociężale wygrzebując się z gruzów nieśkładnych, ponurych myśli.

Żołnierz pociągnął łyk kawy, głośno przy tym siorbiąc. Zmarszczył brwi, rozejrzał się po pozostałych. Nagle jego twarz jakby się rozjaśniła.

– Boże, to wy nic nie wiecie – powiedział, zatrzymując rękę z kawą w połowie drogi między stolikiem a swoimi ustami. – Wy naprawdę nic nie wiecie.

– Skończ to pierdolenie i po prostu powiedz! – nie wytrzymał napięcia Kuba.

Facet spojrzał na niego z nieukrywaną wyższością. Wybuch Kuby dał mu dużo satysfakcji, jednak chwilowo policjant miał to głęboko w poważaniu.

– Dobrze, spokojnie. Już mówię.

Natalia jakby się rozbudziła, wróciła na ziemską orbitę. Spojrzała obojętnym wzrokiem na męża, przeniosła spojrzenie na żołnierza. Westchnęła, głośno dając upust swojej dezaprobacie.

„Cholera, jednak to się dzieje naprawdę. I nie to, że działa, nie. Dzieje się. Tu i teraz, nieprzerwanie, cały czas” – pomyślała i ponownie westchnęła.

– To chyba atak terrorystyczny – powiedział. – Chyba, bo nie mamy żadnej pewności.

– To na jakiej podstawie tak uważacie? – zapytał agresywnie komandos. Nie podobało mu się, że facet sieje popelinę, dodatkowo niepodpartą żadnym merytorycznym argumentem ani dowodem. Jemu też udzieliła się agresja Kuby.

– Bo dokładnie to samo dzieje się w całej Europie – Paweł poczuł się, jakby dostał tymi słowami prosto w twarz. – Identyczny scenariusz. Najpierw atak na stolicę, kilkanaście godzin później rozprzestrzenienie wirusa po pozostałej części kraju. Wojsko jest rozbite, nie daje rady się przegrupować bo wszystko jest ważne, wszędzie giną ludzie. Nagle wszystkie cele zaczynają być strategicznymi: mosty, lotniska, bazy wojskowe, elektrownie, składy amunicji, więzienia, szpitale i tak dalej. Wszystkiego trzeba bronić. Ale nie ma kim. Żaden sztab kryzysowy, żaden scenariusz przeciwdziałania nie zakładał ataku w setkach, jeśli nie w tysiącach miejsc jednocześnie. Do tego ktoś manipuluje przy satelitach, bo pada łączność, odcinany jest Internet, nie działają telefony.

– Gdzie w Europie? – wyszeptał Kuba, z trudem znajdując w sobie siłę na wypowiedzenie chociaż tego jednego słowa.

– Wszędzie. Niemcy, Francja, Hiszpania, Włochy. Czechy, Litwa, Norwegia – zaczął wyliczać. – Cała Europa. Szwajcarii też się dostało.

– Skąd wiesz? Przecież łączność padła – stwierdził policjant, jednocześnie podejrzewając, skąd żołnierz mógł czerpać swą wiedzę. Mimo to desperacko szukał argumentu, który mógłby podważyć jego teorię.

Ten pociągnął kolejny łyk kawy. Wyglądało na to, że słowa nie przychodzą mu już z taką łatwością.

– Od samego początku cała akcja była koordynowana razem z unijnym sztabem kryzysowym.

Wiadomo – więcej głów, więcej doświadczenia. Ale nikt nie wiedział, co robić, nikt nie spotkał się z takim zagrożeniem. System przewidywał obronę jednego sektora, opierając działania o wsparcie zapewnione przez inne sektory. Ale nagle wszystkie sektory były atakowane. Informowaliśmy się na bieżąco, konsultowaliśmy się, aż w końcu, drugiego dnia, we wtorek, zdecydowaliśmy się odgrodzić miasto. Poprosiliśmy Unię o wsparcie. Na początku dostaliśmy informację pozytywną, mieliśmy dostać więcej żołnierzy, sprzętu... więcej wszystkiego. Jednak po paru godzinach okazało się, że wszędzie sytuacja wygląda identycznie.

– Jezu – wyszeptała Kaja. Złapała filiżankę obiema dłońmi, wciągnęła stopy na skórzaną kanapę i oparła brodę na kolanach.

Żołnierz spojrział na nią. Podkrążone oczy świadczyły o potężnym stresie, jaki musiał ostatnio przeżyć, jednak teraz wydawał się wyglądać lepiej niż w momencie, w którym go znaleźli. I nie chodziło tylko o jedzenie, ale o przebywanie w grupie. Wyraźnie zrobiło mu się lżej, zrzucił z serca ciężar, który uniemożliwiał mu oddychanie pełną piersią. Podzielił się złymi wieściami i teraz każdy wiedział, na czym stoi. Tylko czy na pewno zrobił dobrze? – zdawało się pytać jego spojrzenie.

– Stany? Rosja? Bliski Wschód? – zapytał cicho Paweł. Wbijał skupione, trudne do odczytania spojrzenie gdzieś przed siebie.

– Nie wiem. Dostawali info o atakach, ale nie otrzymaliśmy żadnego odzewu, że u nich jest to samo. Moskwa chyba jest czysta, Stany raczej na pewno też. Bliski Wschód? Nie wiem – wzruszył ramionami. – Izrael, Egipt, Iran niczego nie raportowali. Nie wiem nawet, czy w Turcji jest to cholera. Ciężko stwierdzić. Kiedy się zaczęło, nikt nie pisał pieprzonego bloga z relacjami z pola bitwy! – zachnął się na koniec.

Pozostali siedzieli spokojnie, pozwalali mu się wygadać. Bo co mieli mówić? Perspektywa uwięzienia na atakowanym z każdej strony kontynencie, odbierała jakąkolwiek chęć do dyskusji. A żołnierz nie do końca miał rację – pojawiały się takie doniesienia na portalach społecznościowych, w telewizji, na YouTube czy w innych miejscach w sieci – tylko nikt nie miał czasu ich czytać czy oglądać. Co innego śledzić relację z katastrofy na drugim końcu planety czy nawet z wojny wybuchającej kilka tysięcy kilometrów dalej – a co innego słyszeć wrzaski konającego sąsiada w akompaniamencie łomotania do własnych drzwi. Rzeczywistość to momentami straszna łajza.

Paweł czuł się jak gówno. Jakby coś go przejechało, zżarło, na pół strawiło, wypluło i jeszcze zdeptało.

„*I feel like a roadkill*” – przeszło mu przez myśl, chociaż tym razem absolutnie go to nie bawiło. Niemniej wiedział, że muszą gdzieś w sobie wykrzesać siłę, muszą znaleźć energię, która pozwoli im przetrwać. Bo nawet jeżeli zaraza pochłonie cały kontynent, a później cały świat, to w końcu ktoś i tak przeżyje. Ludzie gdzieś się pochowają, przyczają, przeczekają. Przeżyją. Zawsze ktoś przeżywa.

Prawda?

„Prawda. Zawsze ktoś przeżywa” – usłyszał ponownie w swojej głowie i desperacko postanowił trzymać się tej myśli. Tak to działało od wieku wieków, amen. Byli, będą, a nawet są wśród nas lu-

dzie, którzy potrafią przetrwać niemalże wszystko, chociaż często sami nie są tego świadomi. No, może nie bezpośredni wybuch atomowy, ale umieją dostosować się do długofalowej sytuacji, zaadaptować do wrogiego, gwałtownie zmieniającego się środowiska.

– Co robimy? – zapytał Kuba.

– A co możemy zrobić? – odpowiedziała na jego pytanie Natalia. Kuba spojrzał na nią pełnym żalu i zaskoczenia wzrokiem, jednak ta posłała mu tak wrogie i agresywne spojrzenie, że mężczyzna zdecydował się wycofać. Kilka razy widział ją w takim stanie i doskonale wiedział, że jakakolwiek próba dialogu czy nawet uspokojenia jej nie miała teraz najmniejszego sensu. Burza musi mijać, w innym wypadku tylko naraża się na oberwanie piorunem prosto w łeb.

– Jeżeli to atak, to chyba powinniśmy... – zaczął Paweł, ale policjant mu przerwał.

– Odpocząć. Zebrać siły. Pomyśleć, co dalej – powiedział, patrząc na komandosa błagalnym wzrokiem. Paweł niczego nie odpowiedział, chociaż w pierwszej chwili chciał odparować i wygłosić swoją tyradę na temat poruszania się, kluczenia, przemieszczania i pozostawiania w ciągłym ruchu. Nim jednak to uczynił, uzmysłowił sobie, że ci ludzie mogą być jednymi z ostatnich, z którymi ma do czynienia, toteż robienie sobie z nich wrogów nie jest specjalnie dobrym pomysłem. Kiwnął tylko głową, zachowując milczenie.

– Tu jest bezpiecznie – wtrącił Bartosz. – Poważnie – przez dwa dni nikt, oprócz nich, tu nie zajrzał. Dworek jest przecież stary, nie ma tu sklepów, a nikt nie będzie przychodził, żeby rabować pościel czy zastawę. Sami widzieliście mur, powinniśmy tu być bezpieczni.

– Przez jakiś czas – Paweł jednak nie wytrzymał i wyrzucił z siebie. – Ale okej, rozumiem. Zostańmy tu dzień, dwa. Przyczaimy się, przeczekamy. Przegadamy dalsze scenariusze. Ale zabezpieczmy wcześniej to miejsce. Ma pan tu jakieś deski, narzędzia?

– Coś się znajdzie w składziku. Rok temu robiłem patio, sporo sprzętu zostało, bo źle wszystko wymierzyłem – dodał z uśmiechem.

– Nic nie dzieje się bez przyczyny – wtrąciła zadowolona Krystyna.

Natalia posłała jej spojrzenie, które gdyby tylko mogło, zabiłoby kobietę, nie szczędząc jej wcześniej piekielnych męczarni.

– Serio? – zapytała, delikatnie przekrzywiając głowę. – To po co się dzieje to wszystko?

Starsza kobieta spojrzała na nią, ale gdy spostrzegła jej wyraz twarzy, szybko odparła:

– Cóż, tak przynajmniej mówią. Ja tam się nie znam.

– Dobra, nie ma co gadać bez sensu – powiedział Kuba, wstając ze swojego miejsca. Odstawił filiżankę po kawie na stół, wytarł ręce o brudne, przepocone dżinsy. Dotykając ich, uzmysłowił sobie, jak bardzo chciałby je zmienić. Na jakiegokolwiek inne spodnie, które nie są poplamione krwią. – Czeka nas trochę roboty, powinniśmy się chyba ruszyć – zarządził. Pozostali zaczęli się podnosić, chociaż absolutnie nikt nie miał na to ochoty.

NOWY DWÓR MAZOWIECKI, GODZINA 14:10.

Krzysiek powoli wyjrzał zza rogu. Samochód stał na włączonym silniku kilka metrów za nim, gotowy, aby w każdej chwili mogli do niego wskoczyć i odjechać.

– Widzisz ich? – zapytała Marta, przysuwając się bardzo blisko do swojego brata. Nie czuła, jak bardzo oboje śmierdzieli potem, alkoholem i zakrzepłą krwią, pokrywającą gdzieś nie tylko ich ubrania, ale również fragmenty ciała. Albo była przyzwyczajona do zapachu, jaki zdominował ostatnio jej życie, albo zdecydowała się go ignorować.

– Tak – odpowiedział cicho, spluwając ciężką, gęstą plwociną. Oddał tym po raz kolejny wyraz absolutnej pogardy osobom, o które pytała jego siostra. Dziewczyna w odpowiedzi zmarszczyła nieskie, opalone czoło. Nie zamierzała pluć. To przecież było ohydne.

Oboje przez chwilę milczeli, starając się zapamiętać jak najwięcej szczegółów ze znajdującego się przed nimi budynku. Ogradzający go mur był wysoki i trudny do sforsowania niczym obmurowanie broniące dostępu do średniowiecznego dworu. Furtka, którą Krzysiek odkrył podczas powolnego, długiego obchodu, okazała się być nie tylko dobrze zamknięta, ale jeszcze pozostawiana jakimiś szafami czy innymi gratami. To samo było z bramą wjazdową – zamknięta na kłódkę, skrzydła spięte dodatkowym łańcuchem zwieńczonym kolejną kłódką, a wszystko było jeszcze zastawione szafami. Szkoda, że i te jeszcze nie były pozamykane na kłódki. Bardziej niż na barykadę wyglądało to na parawan, który miał uniemożliwiać ludziom zobaczenie tego, co dzieje się w środku. A to ostatnie najbardziej intrygowało czające się rodzeństwo.

– Jak chcesz tam wejść? – zapytała Marta.

– Normalnie.

– Jak to, kurwa, normalnie? Co znaczy normalnie?

– Na chama. Przez bramę – powiedział Krzysiek powoli, nieznacznie kiwając brodą w stronę barykady.

– Przecież jest zamknięta – zauważyła przytomnie dziewczyna.

– To się otworzy! Jezu, Marta, jak ty niczego nie rozumiesz – powiedział chłopak, wywracając oczami. W głowie miał już określony całkiem dokładny plan, jednak nie chciało mu się tracić czasu na tłumaczenie go siostrze. Pokazać przecież będzie zdecydowanie szybciej i łatwiej.

Nagle oboje odwrócili głowy. Dostawczy samochód ponownie zaczął się bujać, wprawiając tym samym w drżenie stare, sfatygowane amortyzatory. Ze środka dobiegały przytłumione hałasy, jakby ktoś słuchał bardzo agresywnej muzyki lub żywiłowo dyskutował na jakiś niewyobrażalnie ważny i emocjonujący temat. Chociaż „żywiłowo” jest ostatnim synonimem, jakiego można by użyć, opisując przebywające w aucie istoty.

– Chodź, gdzieś się skitramy na chwilę. Ogarniemy to wieczorem, jak łajzy będą zmęczone – zasugerował Krzysiek. Marta skinęła energicznie głową, chociaż niechętnie spojrzała na samochód. Następnie oboje się wycofali.

– Wieczorem to chyba będzie burza – stwierdziła Kaja, patrząc na gromadzące się na zachodzie chmury.

– Może. A może przejdzie bokiem lub rzeka całość ściągnie – odpowiedział Max. – W sumie to przydałoby się trochę deszczu, pożary by się pogasiły.

Przybił ostatni gwóźdź. Opuścił rękę trzymającą szmatę. Każdy przykładał taką na główkę gwoźdź, żeby tłumić uderzenia młotkiem. Następnie, jakby chcąc zaakcentować ukończenie prac, uderzył pięścią w swoje dzieło. Ale niezbyt mocno, żeby przypadkiem się nie rozleciało.

– Wytrzyma. Nie ma wała, nie przebiją się przez to – odpowiedział dumnie, obserwując reakcję Kai. Podobała mu się ta szczupła brunetka. Nie tylko z wyglądu – kręciła go jej butność, zadziorność, sposób, w jaki się poruszała, jak mierzyła wszystko wokół swoim czujnym, uważnym spojrzeniem... Tak, zdecydowanie przypadła mu do gustu. Dlatego też cieszył się, że mógł z nią spędzać tyle czasu. Parę razy zastanowił się, czy to normalne, że w momencie apokalipsy myśli o takich rzeczach, ale chyba lepiej umierać u boku kogoś, przy kim się dobrze czujemy, prawda? Dobrze jest przynajmniej mieć możliwość wyboru.

Twarde, uważne spojrzenie ciemnych oczu oceniło zabite dechami okno.

– Powinno wytrzymać...

– Powinno? Moja droga, na pewno wytrzyma. Musieliby tu, no nie wiem, łańcuchy jakieś pozaczepiać...

– Tu już skończyliście? – nagle przerwał mu Kuba, wchodząc jednocześnie do pomieszczenia. Pod pachą trzymał pęk desek, który wyglądał, jakby lada chwila miał się rozlecieć. Chłopak spojrzał speszony w jego stronę, zastanawiając się, czy widać rumieniec, jakim spłonęła jego twarz. Powiedzenie do Kai „moja droga” kosztowało go znacznie więcej, niż sobie wyobrażał.

– Tak, tu już wszystko jest zabite – wydukał, odwracając się plecami do pozostałych, pod pretekstem zabrania broni opartej o ścianę.

– Dobrze – stwierdził policjant. – Idę więc do biblioteki.

– Tam już wszystko jest skończone, zabiliśmy okna wcześniej.

– Wiem.

– To po co tam te dechy? – zapytała trzeźwo Kaja.

Kuba zatrzymał się i odwrócił. Spojrzał ciężkim, smutnym wzrokiem na dziewczynę i nim ta zdążyła cofnąć pytanie, odparł:

– Na wszelki wypadek.

Pozornie banalna i niekoniecznie zrozumiała odpowiedź celnie uderzyła w ich morale. Bo jakże to, wszystko, co robią, może pójść na marne? Całe to planowanie, zachowywanie względnej ciszy,

stanie na wartach, barykadowanie bram, furt, drzwi wejściowych, zabijanie okien... na nic? Ktoś w ogóle brał pod uwagę, że zombie mogą się przez to przedrzeć?

I dopiero wtedy Max poczuł, że się czerwieni. Poprzedni rumieniec był niczym, w porównaniu do purpury, która zalała jego twarz i szyję. Poczuł się jak ostatni, arogancki i krótkowzroczny palant. Oczywiście, że musieli wziąć pod uwagę sforsowanie barykady, musieli wziąć na to poprawkę, mieć pełną świadomość, że mogli coś przeoczyć, że ich forteca ma słabe punkty. Ale czy ktokolwiek, oprócz Kuby, o tym pomyślał?

– Kuba, myślisz, że... – zaczął chłopak, zupełnie zapominając o fascynacji Kają.

– Nie wiem, nie myślę. Ale lubię być przygotowany.

Powiedziawszy to, odwrócił się i zniknął za rogiem korytarza. Dwoje młodych ludzi stało przez chwilę w ciszy, taksując się uważnie wzrokiem. Jedno u drugiego szukało pocieszenia, zapewnienia, że wszystko się ułoży. Obietnicy, że żadni zombie nie dadzą rady się przebić przez tak dobrze zbudowane fortyfikacje i zasieki.

– Nie martw się, nie dadzą rady – powiedział spokojnie Max, wytrzymując, choć z niemałym trudem, spojrzenie dziewczyny.

– Czy to nie ty mówiłeś o tym, że kropla drąży skałę nie siłą, lecz....

– Ciągłością spadania. Tak, wiem. W sumie to nie ja powiedziałem, ja to tylko zacytowałem, wiesz.

Dziewczyna rozchyliła delikatnie usta, przekrzywiając przy tym nieznacznie głowę. Następnie wbiła nieobecny, pełen jednak niewypowiedzianego strachu wzrok w podłogę. Max poczuł, jak ślina nie chce przejść przez jego zaciśnięte gardło, a serce niebezpiecznie przyspiesza. Dałby sobie rękę uciąć, że dosłownie słyszy jego uderzenia. Stał tak przez parę sekund, zbierając się w sobie, następnie podszedł i bez słowa przytulił Kaję. Jej zapach, ciepło jej ciała niemalże zbił go z nóg. Zakręciło mu się w głowie, zamknął oczy, głęboko wciągając powietrze. Dziewczyna odwzajemniła gest, wtulając się w niego mocniej, niż zamierzała. Milczeli. Ciepło bijące z tego dziwnego, kudłatego kompana i chwilowa obietnica bezpieczeństwa znaleziona w jego ramionach wyrażała więcej niż jakiegokolwiek słowa.

– Jak jest na zewnątrz?

– Brama zabarykadowana szafami, skrzydła spięte łańcuchem.

– Okej. A furtka?

– Jedna tak samo, pozostawiana gratami.

– Jedna? To są dwie? – zapytał, marszcząc brwi Paweł.

– Tak. Druga to taka mała furteczka do zadaszonej kanciapy ze śmieciami. Od strony ulicy jest kolejna furtka, śmieciarze mają klucze. Więc w sumie, to są i trzy furtki jakby na to patrzeć... Ale tamte obie są zamknięte. W środku jest pełno starych sprzętów i śmieci, zdrowy miałby problem, żeby się przez to przebić – odpowiedział jakby zadowolony z siebie Bartosz.

– Bo zdrowy by się bał, że się skaleczy albo pobrudzi.

Kiwnięcia głowami wyrażały poparcie tej tezy.

– A zombie raczej mają to w dupie.

Energiczniejsze kiwnięcia kilku głów. Któraś z nich otworzyła usta i wypuściła przez nie powietrze, formułując słowa:

– Je też przydałoby się zabezpieczyć.

– Zabezpieczymy, spokojnie. Po to teraz robimy spis tego, co zostało zrobione, żeby wiedzieć, co jeszcze jest do zrobienia – wyjaśnił Paweł.

Poważające, stonowane kiwnięcia, nieznaczące, leniwe uniesienia brwi.

– Mur?

– Panie, mur jest nie do przebicia. Stara, przedwojenna konstrukcja. Mocna, nie te pustaki, co teraz. Wytrzyma. Tak, jest szczelny i nie ma pęknięć, nie patrz pan tak na mnie. Konserwuję go co jakiś czas – głos Bartosza wyrażał całkowitą pewność.

– No dobra. A co z autem?

– Stoi przed dworkiem, maska w kierunku bramy. Kluczyki są w umówionym miejscu, to znaczy w środku. W samochodzie jest trochę jedzenia i amunicji, chociaż poważnie się zastanawiam, czy to jest aby dobry...

Kubie tym razem nie przewał Paweł, tylko Kaja.

– Musimy brać różne opcje pod uwagę. Tak jak z biblioteką, prawda? – zapytała jakby z delikatnym, ledwo wyczuwalnym przekąsem.

– Biblioteką? – zapytała nieśmiało Kaśka.

Policjant przełknął głośno ślinę i cmoknął wyraźnie niezadowolony. Posłał dziewczynie spojrzenie, które niejednego chłopca mogłoby zmrozić, jednak Kaja nie odwróciła wzroku.

„W sumie to czego się boję?” – przeleciało mu przez głowę. „Przecież nie robię niczego złego”.

– Tak, jak z biblioteką. Zaniósłem tam trochę desek, dwa młotki i kilka gwoździ – powiedział spokojnie. – Wiecie, jakby się okazało, że jednak... no wiecie.

Przez chwilę nikt niczego nie mówił, zgromadzeni wymieniali tylko trudne do zinterpretowania spojrzenia. Tylko Max i Kaja patrzyli spokojnie na Kubę. Oni już swoje zaskoczenie zdążyli przetrwać.

– Dobra – Paweł jakby szybko chciał zmienić temat. – A okna, drzwi wejściowe?

– Wszystko pozabijane deskami, od zewnątrz i od wewnątrz. Tylko główne drzwi nie są zabite, ale obok nich jest sprzęt i szafa, żeby móc je, jakby co, szybko zastawić. Cały parter sprawdziliśmy dwukrotnie. Niektóre okna są tak wysoko, że przez nie i tak nie wejda, ale na wszelki wypadek pozostawialiśmy przy nich trochę desek i gwoździ. Młotków tylu nie mieliśmy.

– Zgadza się – potwierdziła Kaja.

– No dobra.

Komandos przeniósł spojrzenie na Krystynę i Natalię.

– Możemy tu spędzić co najmniej trzy tygodnie – powiedziała starsza kobieta. – Oczywiście, nie

cały czas przy suto zastawionym stole! Jednak jeżeli będziemy jedli jak ludzie, a nie będziemy opychać się jak świnie, powinno starczyć... Wody też jest pod dostatkiem, a i jeszcze dach łapie deszczówkę, może jak będzie padało, to uzupełnimy. W spiżarni było dużo jedzenia, w zamrażarce sporo mięsa. Są warzywa, owoce...

– Restauracja jest przystosowana do obsługi około dwudziestu osób na godzinę, bo żyjemy nie tylko z klientów, którzy przyjechali na nocleg. Na naszą garstkę jedzenia powinno starczyć na długo – dodał dla wyjaśnienia Bartosz. – A jakby wyłączyli prąd, co pewnie jest kwestią czasu, to z drugiej strony dworku jest podpiwniczenie z ziemianką, w której jest naprawdę chłodno. W razie czego tam przeniesiemy zawartość lodówek.

– Dziękuję, kochany. No i jeszcze te wasze konserwy i jedzenia.

– W aucie też jest po kilka sztuk – dodała Natalia. – W bagażniku i pod kocami, jakby co.

– *Przydałaby się jeszcze talia kart* – zacytował Max, powołując się na klasyczny film science fiction. Ale chyba niewiele osób złapało aluzję, bo nikt się nie odezwał.

– Wygląda to całkiem nieźle – stwierdził Kuba, kładąc rękę na dłoni Natalii.

Kobieta spojrzała na niego, delikatnie się uśmiechając. Wyglądało na to, że chyba w końcu zaczyna ją opuszczać ponure myśli, ustępując miejsca odrobinę weselszemu nastrojowi. To pokrzepiło policjanta, który również, pierwszy raz od wielu godzin, zaczynał odczuwać coś na kształt bezpieczeństwa.

– Zgadza się. Jak jedzenie się będzie kończyć, poszukamy czegoś w okolicy. Są tam jakieś sklepy, kilka kilometrów dalej jest nawet supermarket... no i prywatne domy. Ludzie po kuchniach na pewno coś tam mają pochowane – powiedział z niemalym przekonaniem w głosie Bartosz.

– Tym się zajmą szabrownicy – stwierdził Paweł. – Nie powinniśmy się zanadto wychylać, nie powinniśmy dawać znać, że tu w środku są ludzie i nawet mają się całkiem nieźle. Nie powinniśmy zwracać na siebie uwagi.

– A nie powinniśmy im pomóc? – zapytała nieśmiało, aczkolwiek całkiem stanowczo Krystyna. Kaśka kiwnęła głową.

Wszystkie oczy zwróciły się teraz w jej stronę, ale przez parę chwil nikt nie powiedział nawet słowa. Nawet Kasia się wreszcie zainteresowała rozmową, unosząc głowę znad kolan.

– Wiesz, że teraz trzeba uważać na ludzi – powiedział Kuba, zwracając się do Krystyny. – Wiem, o czym mówię. Sami ledwo uszliśmy z życiem po spotkaniu kilku... – przerwał na chwilę, szukając odpowiedniego słowa – kilku wyzwolonych moralnie osób na placu Bankowym. Wcześniej zastrzelili policjantów. Wracając po rzeczy, których nie udało im się zabrać za pierwszym razem, trafili na nas.

– Dokładnie. My też takich spotkaliśmy. Tylko na Polach Mokotowskich – powiedział Paweł, kiwając głową. Nie umknęło mu, że na wspomnienie tego wydarzenia jego córka delikatnie zadrżała. I prawdopodobnie będzie tak reagowała za każdym razem, aż do końca swych dni.

– Nie wszyscy tacy są – odpowiedziała spokojnie, przekonana o swojej racji Krystyna.

– Oczywiście, że nie. Jednak trzeba minimalizować ryzyko. Nie możemy otwierać bramy i zapra-

szuć do środka nieznanym – powiedział stanowczo Kuba. – Mamy zbyt wiele do stracenia. Gramy o zbyt wysoką stawkę.

– Ja was zabrałam. Nieznajomych. Jakbym tego nie zrobiła, byłabym taka, jak wy. I gdzie byście teraz byli?

Wywołani do tablicy mężczyźni wbili wzrok w podłogę. Kuba z niesmakiem wykrzywił usta, Paweł rozmasował czoło. Pozostali przysłuchiwali się tej wymianie zdań w pełnej napięcia ciszy. W końcu odezwał się komandos:

– Powiedziałaś, że nas obserwowałaś – stwierdził, wbijając teraz twardy wzrok w starszą kobietę. Jakby to jedno zdanie, ten jeden argument mogły wszystko usprawiedliwić.

– Obserwowałam – odparowała, jakby siła tego spojrzenia nie zrobiła na niej najmniejszego wrażenia. – Tak, masz rację. Ale nie słyszałam. Nie podsłuchiwałam. Nie mogłam wiedzieć, o czym rozmawiacie, jacy tak naprawdę jesteście. I co z tego? Zaufałam wam. Gdyby nie to, już dawno byście się snuli bez celu jak pozostałe... trupy.

– Dobrze, dobrze, masz rację – powiedział Kuba, wstając ze swojego miejsca. – Taka była twoja decyzja, podjęta w innym czasie i w innym miejscu. Tu powinniśmy podejmować decyzje wspólnie.

– Demokracja?

– Demokracja. Kto jest za?

Pozostali popatrzyli po sobie, odrobinę zmieszani tak niespodziewaną zmianą sytuacji.

– Ale za tym, żeby obcych wpuszczać czy nie wpuszczać? – doprecyzował Max.

Kuba spojrział na Natalię, jakby mogła mu w jakikolwiek sposób pomóc.

– Żeby nie wpuszczać – stwierdził w końcu, unosząc w górę rękę.

Natalia, solidarnie z mężem, zrobiła to samo. W międzyczasie, bez zbędnego wahania, ręka Kai powędrowała nad jej głowę. Paweł, Max i Kasia uczynili to samo, chociaż chłopak trochę się ociągał, jakby potrzebował czasu na zdławienie kielkującej w nim empatii. Co wszystkich zaskoczyło, również Bartosz podniósł rękę. Uratowany żołnierz też zgłosił swoje poparcie, patrząc niepewnym wzrokiem na pozostałych.

Krystyna została sama. Zmierzyła zebranych uważnym wzrokiem, pokiwała powoli głową, po czym na jej twarzy zagościł nagle znany już wszystkim, spokojny uśmiech.

Tylko jej oczy pozostały dziwnie smutne i matowe.

– Dobrze. Skoro tak zdecydowa...liśmy, niech tak będzie.

– Kryśka, zrozum, przecież sama widziałaś, że przywitałem was z bronią w ręku. Ludziom nie można teraz...

– Dobrze – przerwała bratu Krystyna, dumnie unosząc dłoń w geście nieznoszącym sprzeciwu. – Nic już nie mów. Rozumiem. Nie zamierzam o tym dyskutować.

Bartosz uszanował decyzję siostry i zamilkł.

– Ja w takim razie się cieszę i chciałbym podziękować, że wczoraj miał pan inne zdanie na ten temat. Mimo wszystko. Co by nie gadać, cały czas żyję, nie? – odezwał się milczący do tej pory żołnierz. – I przepraszam, za to... – powiedział, dotykając palcami własnej twarzy. Siniaki na twarzy

opiekuna dworu zdążyły już przybrać fioletowo-szary odcień. Mężczyzna odpowiedział tylko krótkim:

– Nie ma o czym mówić – jednak wypowiedział to zdanie takim tonem, że jego prawdziwa intencja nie pozostawiała miejsca na złudzenia.

Przysłuchujący się tej wymianie zdań Paweł stwierdził, że teraz jego kolej. Przy okazji dobrze będzie odrobinę zmienić temat.

– Okej, słuchajcie... większość kwestii już została ustalona, ale nie wszystkie. Próbowałem określić stan naszej amunicji i uzbrojenia. I tak to się prezentuje – zaczął, unosząc przy okazji odpowiednią ilość palców. – Mamy dwie strzelby policyjne, jedną myśliwską, trzy karabinki MP5... mieliśmy jeszcze beryla, ale został w Łomiankach. Szkoda, ale i tak nie było do niego amunicji.

– Mam jeszcze walthera – wtrącił policjant.

– Dobra, to jeszcze mamy pistolet. Ogólnie broń jest w dobrym stanie, ale i tak ją przejrzę, żeby nic się nie zacięło w najmniej odpowiednim momencie. Jeżeli chodzi o amunicję, to nie ma tragedii, jednak powinniśmy... Może inaczej, starajmy się nie strzelać na ślepo. To nie amerykański film. Wiem, że nie jest łatwo, ale... Spróbujcie pamiętać, że zombie do nas nie strzelają, więc postarajmy się wyciszyć, wycelować, skupić oddech i dobrze wymierzyć, żeby...

– Człowieku, ty chyba naprawdę z byka spadłeś. Myślisz, że jak na mnie biegnie trup, drze mordę, macha tymi swoimi przeszczepami i na dodatek chce mi się wgryźć w gardło, to będę spokojnie stała i celowała mu w głowę, żeby go zabić jednym strzałem, bo musimy oszczędzać amunicję? – zapytała Natalia, marszcząc przy tym czoło. – No chyba cię już do reszty pojebało.

– Tak – odparował po chwili Paweł, uśmiechając się delikatnie. Jednak jego oczy pozostały śmiertelnie poważne. – Dokładnie tak myślę. Bo jak nie będziesz celowała, szanowna Natalio, tylko będziesz tłukła na ślepo, to może jednego, dwóch zabijesz, ale na pozostałych dziesięciu nie ci starczy amunicji i wtedy faktycznie wgryzie ci się w to twoje smukłe gardziołko. Rozumiesz?

Natalię ogarnęła wściekłość. Nie dość, że wymagał tak wiele, to jeszcze w beczelny i zwyczajnie chamski sposób ironizował. Czy rozumiała? Ależ oczywiście, rozumiała aż za dobrze. Po sekundzie nagła fala złości minęła, a dziewczyna poczuła się mała. Beznadziejnie mała, słaba i nieprzydatna. Jednak ponownie, równie szybko, jak się pojawiła, myśl została wyparta przez inną – przez poczucie pewności siebie, przez przyjemne ciepło rozchodzące się po dole brzucha. Od nagłych zmian nastroju aż zakręciło się jej w głowie.

„Przecież sobie poradziłam” – pomyślała dziewczyna. „Przeżyłam do tej pory, przeżyję i dalej. Widziałam, jak ludzie umierali, podczas gdy ja walczyłam o życie i wygrywałam. Zabijałam. I będę zabijać dalej”.

Paweł miał rację. Przypomniała się jej scena spod komisariatu na placu Bankowym, gdzie pociągnęła po zombie całą serią z karabinku maszynowego – wtedy faktycznie amunicja się skończyła w mgnieniu oka i gdyby nie drzwi, za którymi mogli się schować, nie wiadomo, jak to mogłoby się skończyć... Ale najprawdopodobniej nie brałaby już udziału w tej dyskusji. Gdyby się skupiła, gdyby odrzuciła strach i się skoncentrowała, mogłaby zabić potwora trzema, dwoma, kto wie – może

z czasem nawet jednym strzałem. To było, oczywiście, niewyobrażalnie wręcz trudne, ale do zrobienia. Skoro innym ludziom się to udawało, czemu w jej przypadku miałyby być inaczej? Tak, Paweł zdecydowanie miał rację.

Gdy Natalia uniosła głowę, jej niebieskie oczy rozświetlał nowy, jaśniejszy niż zwykle blask. Patrzyła spojrzeniem zdeterminowanej, pewnej siebie kobiety. Odgarnęła blond kosmyk, który wymuskał się jej z kucyka i odpowiedziała twardym, acz odrobinę drżącym głosem:

– Okej. Będę celowała. Dokładnie. I będę strzelała na pewniaka.

Paweł uśmiechnął się, tym razem z uznaniem.

– Cóż, przynajmniej taką mam nadzieję – dodała jeszcze, również się uśmiechając.

Komandos delikatnie przekrzywił głowę, układając usta w podkowę, co prawdopodobnie miało wyrażać uznanie dla deklaracji Natalii.

– Nie ma sensu walić w korpus, pamiętajcie. Strzał w głowę na pewno je zabija, przestrzelenie kolan znacznie je spowolni. Wtedy można dobić gnoja jakimś ostrym narzędziem, nie wiem, dzidą jakąś czy co...

– Tym na przykład – powiedziała Kaja, klepiąc oparty o jej bok topór zabrany ze sklepu w Łomiankach.

– Tak, na przykład z tym.

– Tym to można ich siekać bez broni palnej – zażartował Bartosz. Parę osób się zaśmiało.

– A ile dokładnie mamy amunicji? – zapytał Max.

– Do karabinków MP5 mamy jakieś sześć pełnych magazynków i około dwustu sztuk amunicji luzem. To źle i dobrze. Dobrze, że pocisków jest sporo, źle, że wkładanie ich do magazynka pochłania jednak trochę czasu. A czasu, zwłaszcza podczas walki, możemy mieć troszkę niedużo.

– Ładnie – skwitował odratowany, najedzony już żołnierz. – Całkiem nieźle się wyszpejowaliście. Napadliście jakiś konwój czy coś? – spróbował jeszcze na koniec zażartować, jednak w pytaniu było mocno wyczuwalne drugie dno.

– Nie, na konwój nie. Na komisariat – odburknął Kuba, co żołnierz skwitował kiwnięciem głowy. Policjant zadał jeszcze jedno pytanie – a jak stoimy ze strzelbami?

– Coś około siedemdziesięciu pocisków. Ale nie wiem, jak strzelba Bartosza.

– To broń myśliwska, nie robiłem zapasów na wypadek wojny – od razu zaczął się usprawiedliwiać pytany.

– Ile? – nie dawał za wygraną Kuba.

– Zostało mi siedemnaście sztuk.

– Ja tam uważam, że to i tak całkiem nieźle. Dobrze, że w ogóle mamy jakąkolwiek broń – stwierdził przytomnie Max. Faktycznie, łatwo zapominali, że inni nie mieli tyle szczęścia co oni. Ludzie musieli sobie radzić bez broni palnej, a jakoś udawało im się przeżyć. Przynajmniej w teorii, w praktyce natomiast bezbronni obywatele ginęli jak muchy, nie mając w walce najmniejszych szans.

– Rozumiem, że ty niczego nie masz? – zapytał Paweł, wymownie patrząc na żołnierza.

– Nie – odpowiedział ten, wytrzymując jego spojrzenie.

– Aha, to sztab wypuścił was na miasto bez broni? Mieliście im dawać klapsy? – zapytał kąśliwie, co spotkało się z wymowną reakcją żołnierza – wyraźnie zacisnął szczęki, aż uwydatniły mu się kości policzkowe.

– Nie. Mieliśmy broń, ale straciliśmy ją w walce – upierał się.

– A boczniaki? Też wam gdzieś powypadały? – zapytał komandos, patrząc na pustą kaburę po pistolecie.

– Też.

Komandos chwilę trawił te słowa, ale jego zdanie na temat szczerości wypowiedzi żołnierza było aż nadto oczywiste dla wszystkich zebranych.

– Cóż – powiedział po paru sekundach milczenia – bywa i tak. Szkoda – powiedziawszy to, zerknął na ułożoną na stole broń. – Dobra. Max, bierz imperatora, Kaja, weź MP5...

– Nie, mogę wziąć imperatora. MP5 łatwiej się obsługuje, daj komuś, kto ma mniej doświadczenia – stwierdziła, dumnie się przy tym prostując, chociaż bardziej wyniośle, niż by chciała. Jednak ojciec uśmiechnął się tylko i ciągnął dalej:

– Dobra, Kaja imperator. Kuba z Natalią, weźcie po MP5, kilka zapasowych magazynków i miejcie jeszcze gdzieś na podorędziu dodatkową amunicję luzem. – W odpowiedzi kiwnęli mu głowami. – Ja biorę ostatnie MP5 i to chyba tyle.

– A ja? – zapytała Kaśka.

– A umiesz strzelać? – odparował Paweł, posyłając Kaśce wymowne spojrzenie. Chwilę później szybko dodał: – Zresztą, teraz i tak nie mamy więcej broni. Jak wyjdziemy na miasto, to może coś znajdziemy, ale do tego czasu staraj się trzymać z boku. Szczególnie, jeżeli coś się będzie działo.

Dziewczyna odfuknęła coś niezadowolona, ale nie miała zbytniego wyboru.

– Ja nawet się nie pcham po te zabawki, ale macie mnie bronić, zrozumiane? Jak królową! – zarządziła Krystyna, wtórując wypowiedzi charczącym, zakończonym kaszlem śmiechem.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, żeby osoby... – zaczął mówić żołnierz, ale Paweł mu brutalnie przerwał.

– Dobry. Ty broni nie dostaniesz, bo jeszcze ją gdzieś zgubisz. Jak poprzednią. A tego byśmy nie chcieli, prawda? – zapytał złośliwie, paskudnie się przy tym uśmiechając.

DWOREK, GODZINA 20:56.

Burza jednak nie przeszła bokiem. Niebo w pewnym momencie zrobiło się ciemne, a ciężkie, ołowiane chmury zasłoniły i tak już zachodzące słońce. Chwilę później ktoś na górze przekreślił kurek i zalał całą okolicę rześistym deszczem. W parę minut utworzyły się wielkie kałuże i małe strumyki odprowadzające wodę do studzienek ściekowych.

Lecz przez kojący szum deszczu co i raz przebijała się kakofonia nieumarłych, wyraźnie nieprzejmujących się nagłą zmianą pogody. Zombie błakali się, jak to mieli w zwyczaju, obijali się o siebie i o przypadkowe, napotkane na swojej drodze objekty. Kamienie stały się śliskie, zdradliwe, przez co niektórzy zainfekowani notorycznie się przewracali. W międzyczasie woda wyplukiwała ich otwarte rany, przenosząc zakażoną krew do gleby lub kanałów, skąd trafiała prosto do rzek i jezior.

W krótkim czasie deszcz, zamiast zmyć infekcję, pomógł jej się rozprzestrzenić.

Chłodny, burzowy wiatr delikatnie owiewał ciała siedzących przy otwartym oknie osób. Mówi się, że podczas burzy nie powinno się mieć otwartych okien, bo piorun, jeżeli trafi w budynek, może przez takie okno dostać się do środka i niezłe namieszać. Pomimo tego Paweł, Kaja i Max siedzieli przy szeroko rozpostartym oknie, popijając ciepłe napoje, i obserwowali okolicę. Co prawda przez deszcz niewiele dało się zobaczyć, ale i to miało swoje zalety – mogli nie tylko odpocząć od upału, ale przez chwilę zapomnieć o ścigających ich monstrach. Nie odzywali się zbyt chętnie, każdy pograżył się we własnych, przeważnie ponurych myślach.

– Ale jebnęło – powiedział niespodziewanie Max, chwilę po tym, jak przez niebo przetoczył się grom, a ich bębunki i zaskoczone serca niemal jednocześnie eksplodowały.

– No, konkretnie – powiedział Paweł ze zwykłej uprzejmości. Zupełnie nie miał ochoty podtrzymywać konwersacji. Kaja już otwierała usta, żeby też coś dodać, ale przypomniał się jej koszmary sen, jaki nawiedził ją podczas pobytu na Polach Mokotowskich – nieżyjąca matka, podająca jej na talerzu martwego psa. W tle również szalała burza. Dziewczyna zadrżała.

– Kaja, może spróbuj się przespać, co? – zaproponował jej ojciec. – Jutro będziemy potrzebować sporo siły. Ja idę zobaczyć, jak przedstawia się sytuacja na dole, ale pewnie niedługo też się gdzieś uwalę, marzy mi się odrobina snu. Przyjdę później, nie siedźcie długo...

– Tato, jest wpół do dziesiątej. Nie chce mi się spać... No, ale coś czuję, że jak ze mnie to wszystko zejdzie, to zaliczę niezłego zgoną – wyjaśniła z uśmiechem, patrząc na rodzica. W jej oczach zalśniły wdzięczne ogniki. Następnie podeszła i przytuliła się do ojca, ściskając go na chwilę z całych sił. Komandos poczuł, jak jego grdyka się zaciska. W tym momencie targaly nim sprzeczne emo-

cje – z jednej strony był wdzięczny Bogu za to, że udało im się spotkać, z drugiej natomiast przeklinał go za los, jaki im zgotował. Odwzajemnił uścisk i trzymał głowę córki przy własnej piersi, aż stwierdził, że łzawe szkło, chwilowo pokrywające jego oczy, zniknęło. Następnie kiwnął głową Maxowi, wyszedł z pokoju i skierował się na parter. Zostali teraz sami. Paweł przed wyjściem upewnił się, że jego córka ma przy sobie broń oraz amunicję, po czym opuścił pomieszczenie. Zerknął jeszcze na leżący pod ścianą plecak, z którego teraz wystawał trzon topora zabranego ze sklepu.

– Nie rozstajesz się z nim, co? – zapytał córkę z uśmiechem.

– Nie mam takiego zamiaru. Przecież nigdy nic nie wiadomo. Sam mnie tego uczyłeś – odpowiedziała dumnie, odwzajemniając uśmiech.

Paweł pokiwał głową, wyraźnie zadowolony. Następnie zniknął za rogiem.

Kaja natomiast przezornie oparła strzelbę przy ścianie obok siebie i kontynuowała wypatrywanie przez otwarte okno, cały czas opierając łokcie na starym, drewnianym parapecie. Powietrze silnie zapachniało ozonem, wtłaczając do płuc mnóstwo tlenu.

– Zawsze lubiłam takie burze – stwierdziła kilkanaście minut później, gdy cisza powoli zaczynała jej doskwierać, a deszcz zamiast koić, powoli nużył.

– No, ja też – odpowiedział chłopak.

W pewnym momencie niebo ponownie przeszła oślepiająca błyskawica, której zawtórował grzmot tak silny, jakby pękał świat. Serca Kai i Maxa mimowolnie zabiły szybciej. Widać burza chciała dodać swój akcent do niemrawej dyskusji. Przygniecenii majestatem przyrody rozmówcy zamilkli.

Nagle, pomiędzy strugami wściekle padającego deszczu, Max dostrzegł jakiś ruch. Coś przemieszczało się szybko w ich kierunku. Coś dużego i szybkiego. Zmarszczył brwi i pochylił się w przód, starając się dostrzec jak najwięcej szczegółów na zewnątrz, przez co na jego głowę zaczął padać deszcz.

– Jak byłam mała, pamiętam, że... – zaczęła ponownie Kaja, jednak Max uniósł otwartą dłoń.

– Poczekaj, ktoś tu chyba jedzie.

– Co...? – zapytała zdezorientowana Kaja, ale nie dokończyła zdania, gdyż w tym samym momencie ulicę przed dworkiem rozświetlił blask reflektorów. Kierowca włączył światła w ostatniej chwili, jakby chciał pozostać maksymalnie długo niezauważonym. Źrenice Maxa rozszerzyły się, gdyż chłopak instynktownie wiedział – choć nie mógł w to uwierzyć – co za chwilę nastąpi.

I nie mylił się. Sekundy później brama wjazdowa została staranowana, zasypując najbliższy teren drzazgami, odłamkami mebli i ogniwiami rozerwanego łańcucha. Na nic się zdała prowizoryczna barykada, na nic pieczołowicie spinane kłódkami łańcuchy, meble i inne ciężkie przedmioty. Wszystko zostało zdmuchnięte, jakby ważyło tyle, co nic – dla kilkutonowego pojazdu rozpędzonego do ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę taka kupa śmieci nie stanowiła absolutnie najmniejszej przeszkody.

– O kurwa – zdążył tylko wyszeptać chłopak, czując, jak przez jego ciało przebiega dreszcz.

W otoczeniu konfetti z drzazg, za bramę wpadł biały dostawczak. Samochód nie zatrzymał się za

ogrodzeniem, tylko podjechał jeszcze kilkanaście metrów, ostatecznie uderzając w zaparkowane wo-
lvo. Niska osobówka zakłósała się, a walnięcie przesunęło ją o kilka metrów.

Jednak to nie auto było największym problemem. Najstraszniejsza była bowiem wyrwa w obronie
obiektu, dziura w ich pieczołowicie budowanej tamie. Paraliżowała strachem niczym rana w ciele,
przez którą błyskawicznie zaczyna wdzierać się zakażenie, niosąc nieuniknioną i bolesną śmierć.

Przez szeroko rozwarte skrzydła bramy wdarła się fala umarłych, jakby sama kostucha rozwarła
usta i tchnęła śmiertelnym oddechem. W tym samym czasie, jak gdyby nic sobie z tego nie robiąc,
z otwartych drzwi samochodu wychylił się chłopak. Pomimo ciemności i szalejącej burzy Max do-
kładnie wiedział, na kogo patrzy. Wiedział lub odbierał go instynktownie, trudno było to na sto
procent stwierdzić – ale i tak był absolutnie pewien, że w odległości kilku metrów od niego znajdo-
wał się chłopak, którego ojciec został przez nich zastrzelony przed sklepem w Łomiankach.

Max uniósł strzelbę do strzału, ale chłopak tylko uśmiechnął się i zniknął z powrotem za samo-
chodem. Kudłacz zaklął i skierował lufę na grupę zombie. Zamarł na chwilę, poczuł, jak żołądek
ściska mu strach, przez który ledwie przepchnął ślinę. W tym samym czasie Kaja zeskoczyła z pa-
rapetu i sięgnęła po stojącą nieopodal broń. Parę sekund później była już z powrotem, przyjęła po-
zycję strzelecką i oparła łokcie o parapet. Wystrzelili niemalże jednocześnie. Kule pomknęły przez
mrok, wyrwały fragmenty ciała bezkształtnej, bezładnej masy. Puste łuski wpadły do wnętrza poko-
ju, a oni już celowali dalej – chociaż ciężko było obrać na cel jakiś konkretny kształt. Max miał
ochotę naciskać spust raz za razem, jednak szybko oprzytomniał.

„Mamy mało amunicji” – przypomniał sobie słowa Pawła. „Musisz się ogarnąć, skupić!”. Serce wa-
liło mu jak oszalałe, nogi błagały o pozwolenie na paniczną ucieczkę, ale chłopak wiedział, że nie
może sobie na to pozwolić. „Muszę być dzielny” – powtarzał sobie jak mantrę. „Celuj” – krzyczał
w środku głowy. „Celuj, do cholery!”.

Fala atakujących rozbiła się na mniejsze fragmenty; niektórzy zombie biegli, inni szli, mozolnie
stawiając każdy krok. Chłopak zdecydował się strzelać do tych będących najbliżej, do tych, którzy
biegli – bowiem w tym momencie to właśnie oni stanowili największe zagrożenie.

– Pamiętaj o celowaniu – powiedział nienaturalnym, piskliwym głosem.

– Wiem! – odkrzyknęła skupiona Kaja. – Nie gadaj, tylko wal! – rozkazała, sama składając się do
przysiężek celowniczych i obierając na cel kolejną ofiarę.

– Co to, kurwa, było? – zapytał Kuba, podnosząc się z fotela. Natalia, która jakiś czas temu usnęła
obok niego na kanapie, poderwała się teraz gwałtownie.

– Co? Co się dzieje? Weszli? – zapytała, brutalnie przypominając sobie, gdzie się znajduje.

Słyszącego to pytanie Kubę przeszedł dreszcz. A jeżeli ma rację? Jeżeli faktycznie weszli? Wstał,
sięgnął po broń i nie odpowiadając na pytanie żony, popędził w stronę drzwi wejściowych.

Paweł trzymał kubek z kawą, sącząc ją powoli. Temperatura była idealna – już nie gorąca, ale jeszcze nie zimna – w sam raz do picia i rozkoszowania się przyjemnym ciepłem, rozchodzącym się po wnętrzu ciała. Jakiś czas temu zostawił Kaję z Maxem na górze, bo miał do załatwienia pewną sprawę na dole. Niespecjalnie miał na to ochotę, ale w pewnym momencie zrozumiał, że są grupą, że są oddziałem. O kolegów z oddziału się przecież dba tak samo, jak o siebie. Czasem nawet bardziej. Skupiając się tylko na swojej córce, niewiele może wskórać – krótkoterminowo owszem, ale w dłuższej perspektywie czasu taka strategia doprowadzi tylko do konfliktów. Co znacznie utrudni przeżycie. Więc trzeba trochę powalczyć o relacje z pozostałymi.

– Słuchaj, wiem, że to był dla ciebie ogromny cios – powiedział twardo, patrząc na Kaśkę. Dziewczyna stała obok niego w kuchni, korzystając z zaproszenia komandosa. Przełknęła głośno ślinę, pozwalając, aby mówił dalej. – Pewnie myślisz, że jestem brutalnym chamem. Cóż, może trochę i jestem – spróbował zażartować, ale niezbyt mu wyszło – Jednak musiałem...

– Wiem – odpowiedziała z niespodziewaną siłą. Paweł zamilkł, spodziewając się dalszej części wypowiedzi, która wkrótce nastąpiła. – Wiem, że musiałeś. Pewnie nie powinnam tak głupio się zachowywać, naraziłam nas wszystkich przez to moje głupie i szczeniackie upijanie się, ale... Kamil, on...

– Nie ma o czym mówić – tym razem przerwał jej komandos, ale delikatnie, uprzejmie. Pokornie spuścił wzrok na podłogę. Nie chciał, by Kaśka krępowała się, widząc, że spostrzegł łyzy gromadzące się w kącikach jej oczu.

– Ale to wydarzyło się tak cholernie szybko... Przecież jeszcze dwa dni temu było normalnie, a tu nagle... Nie wiem, byliśmy razem już długo, kochałam go przecież, a on teraz... Mogliśmy siedzieć w tej sypialni, zabarykadować się, a ja naciskałam, namawiałam, żebyśmy sprawdzili domy, żebyśmy spróbowali się z kimś skontaktować. Gdyby nie to, może Kamil jeszcze by żył...

Paweł odstawił kubek i bez słowa podszedł i przytulił dziewczynę. Poczuł, jak jej ciężkie łyzy prześlakają przez materiał koszulki. Czuł, jak jej ciałem wstrząsają spazmy. Żadne słowa nie były już potrzebne. Po prostu stał i pozwalał, by oczyszczające łyzy płynęły nieprzerwanym strumieniem. Sam swego czasu wylał ich aż zanadto. Kilka chwil później dziewczyna trochę się uspokoiła, odsunęła pół kroku i zawstydzona spojrzała na komandosa. Wyglądała jak siedem nieszczęść – zapłakana, zasmarkana i z opuchniętymi oczami. Paweł uśmiechnął się delikatnie, z wyrozumiałością.

– Przepraszam – wyszeptała, chociaż w głębi siebie wcale nie czuła się winna. Przepraszała nie za swoją reakcję, a za swój wygląd.

– Już powiedziałem – nie ma o czym mówić. Każdemu z nas jest ciężko. – Paweł chciał jeszcze przeprosić za zachowanie w sklepie, za to, że skrępowali jej chłopaka niczym danie na wynos i najwyraźniej całkiem niezłe się przy tym bawili... Jednak szybko zreflektował się, że to mogłoby tylko spowodować kolejny potok łez.

– Może pójdziesz na górę, spróbuj złapać trochę snu. Rano poczujesz się lepiej, wierz mi – zaproponował.

– Nie, chcę pomóc. Do tej pory tylko mnie woziliście, a ja miałam kaca jak stąd do wieczności.

Mężczyzna uśmiechnął się i już otwierał usta, aby odpowiedzieć, ale zdławił słowa i nie pozwolił im się wydostać.

– Cicho – powiedział tylko, uważnie patrząc w stronę korytarza. Zdawało mu się, że słyszał jakiś huk, jednak wcześniej co jakiś czas takie rzeczy docierały do ich uszu – to jakiś budynek walił się trawiony pożarem, to gdzieś wybuchała butla z gazem. Jednak tym razem to było coś innego, to było coś... bliżej. Naraz usłyszał wystrzały ze strzelb dzierzonych przez Kaję i Maxa, i poczuł gwałtowny skurcz żołądka. Złapał MP5, z którym nie rozstawał się nawet na chwilę, i wybiegł na korytarz. Na odchodne rzucił jeszcze do przerażonej, niewiedzącej co robić Kaśki:

– Idź na górę! Zanieś im amunicję, leży na stole w gabinecie!

Zaskoczona Kaśka, śledząc rozszerzonymi ze strachu oczami komandosa, pokiwała głową. Nie miała pojęcia, jaką amunicję zanieść, komu i gdzie. Ale wiedziała, że dłużej nie zamierza być piątym kołem u wozu. Taryfa ulgowa się skończyła, trzeba było sobie zapracować na miejsce w grupie. Wycierając dłonią twarz, żeby łzy nie ograniczały jej widoczności, ruszyła biegiem w stronę gabinetu.

Paweł wybiegł na korytarz prowadzący do głównego wejścia. Kuba już tam był, ale teraz zawracał, zamykając za sobą drewniane, ciężkie drzwi. Przekręcił klucz w zamku, w tym czasie komandos znalazł się przy nim.

– Co jest? – zapytał. W pierwszej chwili chciał krzyknąć „Melduj!”, ale podejrzewał, że to mogłoby tylko zaostrzyć ich prywatny konflikt. A na to absolutnie nie było teraz czasu.

– Jezu, pełno ich tam – powiedział wystraszony, jednak starający się zachować zimną krew policjant. – Nie wiem, jak się dostali, chyba jakiś skurwiel wjechał w bramę. Nie wiem, nie patrz tak na mnie. Przed domem stoi biały dostawczak, dawaj do okien!

Nie było czasu na wyjaśnianie i dochodzenie, skąd nagle wziął się ten samochód. Był i już. Jeśli uda im się przeżyć, będą nad tym dywagować później.

– Widziałeś, ilu ich tam jest? – zapytał jeszcze Paweł.

Kuba spojrzał mu prosto w oczy, a w jego spojrzeniu było coś takiego, przez co po kręgosłupie komandosa przeszedł zimny, nieprzyjemny dreszcz.

– Dawaj za mną – powtórzył tylko policjant, biegnąc w stronę małego saloniku, którego okna wychodziły na podjazd i bramę, co czyniło z pomieszczenia dogodne stanowisko ogniowe.

Mężczyźni wpadli do pomieszczenia i zbliżyli się do okien. Paweł kolbą wybił szybę – mógł sobie na to pozwolić, gdyż dworek miał wysokie podpiwniczenie, parapety zaczynały się ponad półtora metra nad poziomem gruntu, więc nie istniało ryzyko, że zombie dostaną się przez nie do środka. Chyba że pod oknem zalegnie stos ciał, po których będą się wspinać.

Paweł szybko odrzucił tę myśl, słysząc, jak Kuba zaczyna prowadzić ogień. Policjant przyłożył policzek do kolby i starał się oddawać precyzyjne, celne strzały. Każdy rozbłysk wystrzału odbijał się w jego szarych, morderczo zwężonych oczach.

Ciemne niebo i lejąca się z niego ulewa nie pomagały. Trudno było rozróżnić, co jest głową zombie, a co rosnącym gdzieś opodal krzewem czy stojącą donicą. Obrońcy musieli strzelać, licząc na łut szczęścia. Jednocześnie nie mogli zapomnieć, że amunicja była bardzo cenna. Błyski piorunów mieszały się z rozbłyskami wystrzałów, ale te ułamki jasności pozwalały dostrzec horror, jaki uparcie kroczył w ich kierunku. A zombie z każdą sekundą było coraz więcej.

Przez szeroko rozwarte skrzydła bramy co chwila wchodził kolejny nieumarły. Te, które mogły, biegły w stronę domu, zwabione krzykami uwięzionych w środku ludzi i głośnymi wystrzałami broni. Biegły, warcząc potępieńczo, młócąc przy tym rękami powietrze, jakby odgarniały niewidoczne zarośla. Ich zmasakrowane, martwe twarze wykrzywiały grymasy wściekłości, jakiejś pierwotnej, głęboko zakorzenionej agresji, która uśpiona, czekała tylko na moment, gdy będzie mogła zawładnąć swoim nosicielem. I w końcu się doczekała.

Kuba nie potrafił tego zrozumieć, ale wiedział, że nigdy nie zechce tego pojąć. Nie zechce zrozumieć, jak to jest być zarazem trupem, ale jednak żyć. Jak to jest ganiać ludzi tylko po to, aby wydrzeć im trzewia. Dlatego też po raz kolejny w ciągu ostatnich paru dni pociągał miarowo za spust, jednocześnie modląc się o ocalenie do Boga, w którego istnienie nie do końca wierzył.

– Za dużo ich! – usłyszał, jak jego własne myśli wydostają się przez otwarte usta, chociaż wcale nie zamierzał wymawiać ich na głos.

– Strzelaj! – nakazał mu Paweł, zmieniając magazynek na pełny. Pierwsze trzydzieści pocisków poszło w mniej niż dwie minuty, co daje mu jeszcze około pięciu minut, zanim zostanie bez amunicji. To mało. Cholernie mało. A nie trzeba było być wybitnym analitykiem, aby dostrzec, że z takim arsenałem długo nie powalczą.

– Kuba! – usłyszał policjant, przez co zaryzykował i odwrócił się na chwilę. To Natalia biegła do niego, trzymając w rękach MP5. Na jej plecach wisiał plecak z brzęczącą zawartością. „Wzięła amunicję” – uświadomił sobie Kuba, ciesząc się w głębi serca. „Jezu, jak dobrze, że ją mam” – przeszło mu przez głowę. I ta myśl dodała mu skrzydeł, napełniła go nadzieją, że uda im się to przeżyć. Że uda im się przeżyć wszystko, co przygotował im parszywy los.

Natalia podbiegła do nich i ukucnęła na podłodze tuż za mężczyznami.

– Tu macie pełne, rzucajcie mi puste! – krzyknęła, podając im magazynki.

– Zajebicie, sam bym na to nie wpadł – powiedział z uznaniem Paweł. Kuba puścił mu pełne podejrzeń spojrzenie, ale wydawało się, że facet mówi poważnie. – Widziałaś Kaśkę? Miała zanieść amunicję na górę.

– Tak, dałam jej, co miałam – odpowiedziała Natalia.

– Daj mi karabin! – krzyknął nowy głos. Odratowany żołnierz wbiegł do saloniku, podbiegł do pozostałych i wyciągnął ręce w błagalnym geście. – Dawaj, dawaj, szybko!

Natalia zawahała się, spojrzała na Pawła, który wcześniej nie zamierzał obdarowywać żołdaka bronią. Ten jednak kiwnął energicznie głową, więc dziewczyna wyciągnęła MP5 w jego stronę.

– Rzucaj mi puste magazynki, będę je uzupełniała.

– Okej – powiedział żołnierz, po czym odbezpieczył broń i ustawił się w oknie na lewo od Pawła.

– Kryję prawą! – krzyknął, strzelając po przekątnej do zombie, którzy dotarli przed drzwi budynku. Z odległego okna, prawdopodobnie kuchni, również dobiegały wystrzały – najwyraźniej Bartosz nie siedział i nie czekał beczynnym na rozwój wydarzeń. Po parunastu sekundach żołnierz krzyknął:

– Wymiana! – odpiął i rzucił pusty magazynek Natalii, która w międzyczasie drżącymi rękami ładowała naboje do innych pustych magazynków. Wyciągnęła do niego rękę z pełnym, jednak w tym momencie, zupełnie niespodziewanie, w głowie żołnierza pojawiła się mała dziurka. Równie nagle przeciwległa do dziurki część jego czaszki eksplodowała w rozbryzgu krwi.

– Padnij! – krzyknął Paweł, od razu osuwając się na ziemię. Natalia chyba krzyknęła, ale sama nie była tego pewna. Kuba odsunął się pod ścianę, oparł o nią plecami i opadł ciężko na podłogę.

– Kurwa, co to było? – wykrzyczał. – Zastrzelił się?

Paweł zerknął na broń, a potem na leżące bezwładnie ciało.

– Nie, miał pusty karabin. To ktoś z zewnątrz – powiedział, spoglądając wymownie na policjanta.

– Ja pierdołę, tylko tego brakowało. Nie wierzę, kurwa, nie wierzę!

– Co? Ktoś do nas strzela?! – krzyczała przerażona Natalia. Panika wdarła się do jej umysłu i niemal zawładnęła smukłym, szczupłym ciałem. – Jak to ktoś do nas strzela? Przecież tam są zombie! Oni sforsowali ogrodzenie! Tam nie może być ludzi!

Paweł oblizwał spierzchnięte usta, w międzyczasie także podczołgując się pod ścianę. Teraz miał okno po swojej lewej stronie, Kubę po prawej. Natalia złapała swój plecak i zbliżyła się do męża.

– Wychodzi na to, że same tu nie wlażyły. Ktoś musi nas bardzo nie lubić.

– Trzeba ostrzec pozostałych! – oprzytomniał Kuba.

Paweł przytaknął.

– Biegnę na górę – powiedział, mając nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

– Natalia, weź broń i idź do biblioteki. Czekać tam na nas, zasłoń okna – poprosił Kuba, zaglądając w niebieskie, przerażone oczy swojej żony. Przyłożył jej dłoń do głowy i delikatnie pogładził włosy. – Kochanie, damy sobie radę. Obiecuję – dodał jeszcze, dla pocieszenia całując ją w czoło, następnie w usta. Zadrżała, ale ścisnęła jego dłoń.

„Jak wiele bym dała za to, żeby ten koszmar się skończył. Jak bardzo chciałabym teraz być gdzieś indziej, w miejscu, w którym śmierć nie zbiera tak wielkiego zniwa”. Z trudem przełknęła ślinę i kiwnęła głową.

– Dobrze – odpowiedziała tylko. Na więcej słów nie było jej stać.

– Zaraz do ciebie przyjdę, tylko muszę ostrzec pozostałych.

Wstała i pochyłona pobiegła za Pawłem – kilka metrów dalej on miał wbiec na schody, ona miała przemknąć obok nich i dotrzeć do biblioteki.

Wypadli na korytarz.

– Uważajcie, ktoś do nas strzela! Odejdźcie od okien! – krzyknął Paweł, starając się ostrzec jednocześnie ludzi na górze, jak i Bartosza z siostrą. Nagle się zatrzymał – zaskoczona tym zachowaniem Natalia przystanąła również.

Z korytarza było widać wejście do kuchni, gdzie zobaczyli Bartosza klęczącego na podłodze i trzymającego w rękach ciało swojej zastrzelonej siostry. Na podłodze rozszerzała się plama ciemnej, bordowej krwi. Mężczyzna płakał. Chybotął się przy tym miarowo, jakby ten rytuał mógł przywrócić jej życie.

– Skurwysyny... – szeptał. – Skurwysyny! Co ona wam zrobiła, jak mogliście, czemu...! – wydarł się, wstając nagle. Podniósł broń, skoczył do okna. Paweł chciał krzyknąć, aby tego nie robił, ale nie zdążył. Seria z karabinu maszynowego przeorała kuchnię, rozbiła naczynia pochowane w szafkach, stłukła wiszącą na ścianie starą, porcelanową zastawę. Przeszyła również klatkę piersiową Bartosza, odrzucając go wprost na kuchenne półki. Biała farba pokryła się czerwonymi, połyskującymi plamami krwi. Mężczyzna osunął się na podłogę tuż obok siostry, ostatnim gestem zamykając jej dłoń we własnej ręce. Zdążył to zrobić, zanim z cichym westchnieniem uszło z niego życie.

Natalia przyłożyła dłoń do ust.

– Szybko! – ponaglił ją Paweł, ale w tym samym momencie wokół nich zaczęły świstać kule. Mężczyzna rzucił się na dziewczynę, przygniótł ją do podłogi, osłaniając własnym ciałem. Kilka pocisków przeleciało tuż obok, wyrrywając drzazgi z drzwi. Trafiały w balustradę, w schody, część rykoszetowała po ścianach, niczym rój wściekłych, zmutowanych szerszeni.

– Musimy uciekać! – krzyknął, spoglądając tęsknie na schody. Niestety – świstało tam zbyt wiele pocisków, by zaryzykować wejście. Wtedy zobaczył na ich szczycie Kaję.

– Tato, uważaj! – krzyknęła.

„Chwała bogom” – przeszło mu przez myśl – „przynajmniej nie stoi przy oknie”. Twarz dziewczyny wykrzywiła zaciętość, wola walki, ale i dezorientacja – rozumiała, że ktoś ich atakuje, nie wiedziała jednak, kto i dlaczego.

– Uważajcie, mają broń! – krzyknął pierwsze, co mu przyszło na myśl. – Nie podchodźcie do okien!

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo w tym samym momencie drzwi wejściowe stały otworem. Przestrzelone zamki ustąpiły, a pod wpływem naporu kul drzwi oderwały się od framugi i opadły na werandę. Nieznany napastnik przerwał ogień. Przez parę upiornych, niekończących się sekund słychać było tylko zacinający deszcz i pojękiwania nieumarłych. Po tym niesamowitym momencie pełnym wyczekiwania, do środka nieśmiało zajrzał pierwszy zombie.

PODZIEMNY KOMPLEKS, LOKALIZACJA UTAJNIONA, GODZINA 21:45.

Norwegia?
– Milczą.

„Psia mać, jeszcze kilka godzin temu odpowiadali” – pomyślał.

– Finlandia i Szwecja? – zapytał.

– Również – usłyszał w odpowiedzi.

Oficer zacisnął zęby, przetarł dłonią ostatnio permanentnie zmarszczone, skupione czoło. Rozmasował nasadę nosa, próbując się skupić.

– Litwa, Łotwa, Estonia. Ktokolwiek? Obwód kaliningradzki?

Operator zaprzeczył, powoli, niepewnie kiwając głową, jakby swoją odpowiedzią nie chciał narazić się na gniew przełożonego. Lecz oficer nie zamierzał zabijać posłańca złej nowiny. Przez parę sekund nic nie mówił, następnie kiwnął energicznie głową i to było wszystko. Operator odwrócił się do swoich monitorów zadowolony, że zagrożenie minęło, a jego przełożony – nieobserwowany przez nikogo – zacisnął ze złości szczękę. Potrzebował paru chwil, żeby odetchnąć, zebrać myśli. Miarowe buczenie generatorów dobiegające zza ściany usypiało coraz bardziej. Byli na nogach od ponad czterdziestu ośmiu godzin, ale nie sądzili, aby w najbliższym czasie było im dane odpocząć. Zresztą, nawet jakby ktoś to zaproponował, oficer i tak wątpił, czy byłby w stanie usnąć.

Gdy się właśnie nad tym zastanawiał, rygiel w drzwiach się przekręcił i stalowe grodzie stanęły otworem. Powietrze z korytarza zmieszało się z zatęchłą wonią betonu i potu, jaka panowała w środku. Do sporego, chłodnego i surowo wyposażonego pomieszczenia operacyjnego wkroczyło paru mężczyzn – wszyscy byli elegancko ubrani, niektórzy w ciemnych garniturach, jeden w wyjściowym mundurze. Oficer natychmiast zasalutował, sprawnie stukając obcasami. Wszyscy trzej operatorzy wstali ze swoich stanowisk, również oddając honory.

– Spocznij. Siadajcie, panowie – powiedział zimnym, zmęczonym głosem generał broni, Andrzej Sawicki.

Operatorzy usiedli, oficer twardo pozostał wyprostowany. Mężczyźni w garniturach, najprawdopodobniej agenci BOR-u, czujnie rozejrzeli się po kątach, chociaż nie było absolutnie żadnej możliwości, aby w podziemnym bunkrze przeciwatomowym chronionemu przez nich ministrowi cokolwiek groziło.

– Panie poruczniku, proszę na słowo – powiedział generał. Gdy oficer podszedł, ten kontynuował:

– Panie ministrze, przedstawiam porucznika Adama Trojanowskiego, człowieka, który był odpowiedzialny za koordynację działań obronnych w ostatnich godzinach. Panie Trojanowski, Minister

Obrony Narodowej, Michał Grzelak.

Mężczyźni wymienili się uściskami dłoni. Czujni agenci BOR-u przypatrywali się temu z pozornym znużeniem, jednak Trojanowski doskonale wiedział, że powaliliby go na ziemię albo nawet zastrzelili, gdyby jego zachowanie wydało się im podejrzane. Jednak chwilowo miał to absolutnie głęboko w poważaniu.

Minister przez chwilę przyglądał się porucznikowi, taksując go uważnym spojrzeniem spod krzaczystych brwi. Trojanowski wytrzymał wzrok niższego od siebie, grubego faceta. Nigdy wcześniej nie miał problemu z ludźmi wyższymi stopniem. Zawsze, jak zaczynało go krępować, gdy ktoś starał się na nim wyrzucić wrażenie, Trojanowski wyobrażał go sobie siedzącego na kiblu. Niby śmieszne, niby prostackie, ale dzięki temu cały autorytet tej osoby pryskał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– W imieniu całego rządu Rzeczypospolitej Polskiej chciałbym panu serdecznie podziękować za pracę, jaką pan wykonał – powiedział, ponownie zamykając dłoń porucznika w uścisku. – Spisał się pan na medal. Pańskie zasługi na pewno nie zostaną zapomniane. Oczywiście, kiedy już sytuacja się ustabilizuje na tyle, aby można było przedsięwziąć odpowiednie działania. Daję panu na to moje osobiste słowo. Będąc w kontakcie z pozostałymi ministrami, jesteśmy pewni, że jest pan właściwym człowiekiem...

Trojanowski przestał słuchać. Wyłączył się, przywołując na twarz głupekowaty, pokorny uśmiech i miarowo kiwając krótko ostrzyżoną głową, tak żeby jakoś podświadomie trafiać kiwnięciami w „dziękuję, zapewniam, doceniam”. Jednak po paru chwilach – które wydawały się wiecznością – oprzytomniał, a jego zmęczone, zestresowane spojrzenie przybrało bardzo jasny wyraz – skończ pan pierdolić i daj mi wrócić do roboty. Na szczęście zwierzchnik doskonale znał porucznika, toteż delikatnie, acz stanowczo, wbił się w monolog ministra:

– Panie ministrze, pozwolę sobie przeprosić. Przede wszystkim dziękujemy za tak miłe słowa. Jesteśmy niezmiernie wdzięczni za docenienie pracy, jaką tu wykonujemy, lecz proszę nie zapominać, że... po prostu wykonujemy swoją pracę. I absolutnie proszę mnie źle nie zrozumieć, lecz każda minuta zwłoki i nieuwagi kosztuje nas ludzkie życie.

Minister wpierszył się oburzył, następnie jednak delikatnie zawstydził, z trudem rozumiejąc, że nie czas i miejsce na czcze gadanie i wygłaszanie politycznych tyrad. Przełknął głośno ślinę i cofnął wyciągniętą rękę. Niedyskretnie wytarł ją w czysty, świeży garnitur.

– Oczywiście. Ma pan absolutną rację. Do tego tematu wrócimy w stosownym czasie. Proszę mi powiedzieć, jak aktualnie wygląda sytuacja? – skierował się ponownie w stronę porucznika.

Trojanowski zamrugał i przekrzywił głowę.

„Jak wygląda sytuacja?” – powtórzył w myślach. „Cóż, państwo praktycznie padło. Aktualnie nie dość, że zaraza jest prawie w każdym mieście, miasteczku i niemalże w każdej zabitej dechami wiosce, to jeszcze stopniowo zanika kontakt z oddziałami i pododdziałami rozrzuconymi po kraju. Na pomoc sojuszników nie ma co liczyć, bo jeżeli ktoś wcześniej deklarował chęci, to kilka godzin później cofał te deklaracje i sam prosił o wsparcie, ponieważ jego własny kraj padał ofiarą ataku

zombie. Jak wygląda sytuacja? Chyba właśnie tak. Jest broń, jest amunicja, ale brakuje ludzi mogących walczyć. Wszyscy opuszczają stanowiska ogniowe i pędzą do swoich bliskich. Ale to nie ma znaczenia, bo zombie są praktycznie wszędzie. Jesteśmy w dupie. Ach, prawie bym zapomniał – kiedy jeszcze mogliśmy odbierać sygnały z satelity, zauważyliśmy ruchy wojsk przy wschodniej granicy. Sojusznicznych? Może tak, może nie. Nie wiemy, bo niewiele później wszystko zdechło. Generalnie jest chujowo, ale stabilnie, jak to u nas mówią”.

– Sytuacja jest... trudna, ale stabilna – odpowiedział na zadane pytanie porucznik. – Staramy się przywrócić łączność. Otrzymujemy sporadycznie meldunki potwierdzające zaplanowane działania, czyli zakładanie dobrze ufortyfikowanych i bezpiecznych baz, gdzie możemy chronić ludność cywilną. Musimy na ten cel adaptować cywilne obiekty, nie możemy opierać się tylko na mobilnych bazach wojskowych. Jednak jakoś... przepraszam za wyrażenie, ale jakoś to idzie. Nie udaje nam się ratować wszystkich, tracimy sporo chłopaków w polu, ale staramy się, jak tylko możemy. Zauważyliśmy, że zombie przyciągają jasne i hałaśliwie obiekty, dlatego też stosujemy dywersyjne bombardowania i ostrzały artyleryjskie. Robimy to przeważnie w nocy, żeby ogień był lepiej widoczny. Jak spora grupa zejdzie się w jedno miejsce, wtedy walimy w nich znowu, przez co stosunkowo szybko można je wykończyć. Niestety, artyleria hałasuje, przez co ściąga na siebie uwagę innych, znajdujących się bliżej zombie. To samo startujące i lądujące samoloty.

Trojanowski nie zamierzał wspominać o utracie kilku wojskowych lotnisk. Minister kiwał głową, udając, że wszystko rozumie.

– Doskonale, bardzo dobrze. Proszę mi powiedzieć, czy udało się panom dowiedzieć, jak wygląda sytuacja w Kancelarii Prezydenta? Pamiętam, że osobiście rozkazałem wysłać tam dwa śmigłowce i ewakuować głowę państwa.

Porucznik wymienił spojrzenie z generałem. Ten drugi niezauważalnie kiwnął głową, potwierdzając, że bierze to na siebie.

– Zgodnie z rozkazem wysłaliśmy do Pałacu Prezydenckiego dwa śmigłowce z oddziałem ratowniczym. Niestety, straciliśmy z nimi łączność. Zanim to nastąpiło, dotarła do nas wiadomość, że teren wokół budynku został opanowany przez zombie. Nic więcej nie mogliśmy zrobić.

Minister przez parę chwil trawił te słowa. W tym czasie jego klatka piersiowa unosiła się i opuszczała w coraz szybszym tempie.

– Pan raczy sobie ze mnie żartować.

– Obawiam się, że nie.

– Chce pan powiedzieć, że nie wiecie, w jakim stanie jest prezydent? I po utracie dwóch śmigłowców nie wysłaliście ani jednego więcej?

Generał chwilę mierzył się wzrokiem z ministrem, w końcu jednak odpowiedział twardym, pewnym głosem:

– Traciliśmy ludzi z godziny na godzinę, dosłownie każdy był przydzielony do innego zadania. Powołana została rezerwa, której nikt nie był w stanie dostarczyć kart mobilizacyjnych, musieliśmy wspierać policję, ewakuować ludność cywilną. Panował chaos, nawet nie zdążono postawić sztabu

kryzysowego...

– Oczekuję pańskiej dymisji, jak tylko sytuacja odrobinę się uspokoi.

– Słucham?

– Słyszał mnie pan. Zapewnienie ciągłości władzy i bezpieczeństwa dla głowy państwa jest absolutnym priorytetem!

– Nawet, jeżeli kosztem tego władza nie będzie miała czym władać?

Generał stąpał po cienkim lodzie, jednak frustracja wzięła górę. Porucznik bez słowa przysłuchiwał się dyskusji, sprytnie nie narażając się na gniew żadnego z nich.

– To już nie jest pańskie zmartwienie. I sugeruję odrobinę bardziej ważyć słowa.

Generał zacisnął zęby.

– Oczywiście, panie ministrze.

– Właśnie widzę, że to nie takie oczywiste. Panie poruczniku, proszę mi co godzinę składać raport. Muszę się teraz oddalić, żeby omówić sytuację z pozostałymi członkami rządu – powiedział, patrząc wymownie na generała. – Dziękuję panom.

Wymienili sztuczne uprzejmości i po paru chwilach minister opuścił pomieszczenie. Został tylko generał, porucznik i operatorzy sprzętu, którzy siedzieli z wielkimi słuchawkami na uszach.

– Co za kutas – powiedział porucznik, sprawdzając wcześniej w spojrzeniu generała, czy może sobie pozwolić na takie zuchwalstwo. Zaryzykował.

Generał chwilę mierzył go wzrokiem, jakby się zastanawiał, czy warto prowadzić taką dyskusję z podwładnym, lecz w końcu powiedział:

– Straszny. No ale co zrobisz? Nic nie zrobisz.

– Wie pan, panie generale, teraz to nie byłby jakiś straszny problem – odpowiedział pół żartem, pół serio.

Generał uniósł ze zdziwienia brwi, zmarszczył czoło:

– Zakładam, że to efekt przemęczenia, a sugestii komentować nie zamierzam. Panie Trojanowski, tak między nami, żołnierzami... to jak tam jest?

– Chujowo, panie generale. Chujowo i coraz mniej stabilnie. Tak między nami, żołnierzami.

– Duże straty?

– Ciężko stwierdzić. Jeżeli założymy, że każdy, kto się dotychczas nie zameldował... już się nie zamelduje, to tak, straty są dość...

– Rozumiem. A co z tym wojskiem, o którym pan wspomniał? – generał przerwał bezceremonialnie.

– Pamięta pan teorię mówiącą o ataku terrorystycznym?

Generał potwierdził kiwnięciem głowy.

– No więc, jeżeli wirus został stworzony w laboratorium, można założyć, że był gdzieś wcześniej testowany. Może nawet przeprowadzono testy przeciwdziałania i opanowywania terenu, na którym wirus się rozprzestrzenił. Jeżeli tak, co wydaje mi się dość prawdopodobnym, to możliwe, że właśnie pod naszą granicą ustawia się wojsko, które już miało do czynienia z tym tematem.

– Ma pan na myśli...

– Że ludzie, który rozsiali wirus po całej Europie, właśnie przyszedli dokończyć swoje dzieło.

– Ale skoro wirus jest wszędzie, to jak przeszli przez Ukrainę? I czemu wyszli już teraz, czemu nie poczekali, aż będą większe zniszczenia?

– Może nie musieli się przekopywać. Może tam już byli. Może poligonem był Czarnobyl. Może tam właśnie wyhodowano to gówno. A pospieszyli się, bo chcą mieć co zbierać, zanim każde państwo zmiecie swoje miasta, fabryki i magazyny z powierzchni ziemi – zasugerował Trojanowski.

– Rosjanie? – zapytał cicho, niepewnie, ale z nieskrywaną złością w głosie generała.

– Wątpię. Nawet oni nie byliby zdolni do takiego, za przeproszeniem, skurwysyństwa.

– No nie byłbym tego taki pewien.

– Obwód kaliningradzki padł. Poświęciliby tyle? Aż tyle? Ponadto wcześniej dotarły do nas doniesienia o zombie w samej Moskwie.

– Może to zwykła zasłona dymna? Może chcą odsunąć od siebie podejrzania?

– Bawiąc się tak niestabilnym i agresywnym wirusem? Wątpię. Może coś poszło nie tak, taką opcję również musimy brać pod uwagę. A może to po prostu nie oni, tylko ktoś inny. Zupełnie nowy gracz.

Po tych słowach zapadła chwila milczenia, podczas której generał jakby się skurczył, zwiotczał. Presja wiedzy i odpowiedzialności przygniotła go do ziemi, pomarszczyła twarz i stopniowo wysysała blask z oczu.

– Kiedy pan ostatni raz spał? – zapytał, zmieniając temat.

– Panie generale, dziękuję bardzo, ale w tym momencie to naprawdę nie jest nasze największe zmartwienie. Jakoś jeszcze daję radę.

– Teraz tak, ale za pięć godzin trzeba będzie pana podłączyć pod kroplówkę albo straci pan przytomność i będzie spał do bólu. A ja potrzebuję pana wypoczętego, ze świeżym umysłem. Niech pana ktoś zastąpi, a panu rozkazuję się przespać parę godzin. To samo z pańskimi chłopakami – skinął głową w stronę zgarbionych, pochylonych nad monitorami operatorów.

– Bardzo dziękuję, panie generale – Trojanowski odpowiedział na rozkaz z nieskrywaną ulgą. – Jednak pozwolę sobie zadać jedno pytanie. Tak konkretnie, to właściwie kto ma mnie zastąpić?

Generał niezauważalnie zacisnął szczęki.

– Ja. Ja pana zastąpię. Proszę się udać na spoczynek.

– Oby nie wieczny – zażartował resztką sił.

Generał także się uśmiechnął.

– Znajdę też za chwilę zastępstwo dla pańskich chłopców. Im także należy się chwila oddechu. Ogarnijcie się, odpocznijcie i widzimy się za parę godzin. Odmaszerować.

– Tak jest.

Trojanowski podszedł do stalowych grodzi i wyszedł. Z ulgą, ale i pewnym poczuciem niespełnionego obowiązku oddalił się w stronę pryczy, na którą wieki temu rzucił swoje rzeczy. Od tamtego momentu nawet raz tu nie zajrzał.

Po kilku minutach kluczenia zimnymi korytarzami wszedł do małego, chłodnego pomieszczenia sypialnego – oprócz jego pryczy stało tu jeszcze siedem innych. Wszystkie były puste. Trojanowski ciężko usiadł na swoim pośłaniu, oparł łokcie na kolanach. Chciał rozwiązać opinacze, ale wyczerpany organizm nagle odmówił posłuszeństwa. Dłonie bezwładnie zwisały z przedramion, pusty wzrok mimowolnie wbił się w grudki niewyglądzonego betonu, patrząc poza przestrzeń, na światy znajdujące się całe lata świetlne dalej. W głowie porucznika rozbrzmiewały chaotyczne meldunki, dziesiątki radiowych trzasków, krzyków, wołań o pomoc i wsparcie. Setki wystrzałów, krzyków, przeprosin, deklaracji walki do samego końca i... cisza. Długie, cholernie długie i ciężkie minuty ciszy, które wkrótce zamieniały się w godziny, gdzieniegdzie tylko przeplatane zdawkowymi, krótkimi meldunkami i niemożliwymi do rozszyfrowania trzaskami. W wyobraźni porucznika pojawiały się makabryczne slajdy, zdjęcia mordowanych kolegów, desperacko walczących o życie do ostatniej chwili. Zdjęcia rozstrzeliwanych cywili, zabijanych również przez wojsko, które musiało bezwzględnie odsiewać zarażonych od tych jeszcze zdrowych. Setki tysięcy ludzi wymordowanych w ciągu zaledwie kilku godzin. Całe pokolenia pożarte przez bezwzględny wirus, przez przerażającą broń biologiczną, którą jakiś niewyobrażalnie zdeprawowany umysł wymyślił, stworzył i której następnie użył.

Trojanowski poczuł się, jakby de facto i on umarł, razem ze wszystkimi, których śmierci był świadkiem. Poczuł, jak spod przekrwionych, opuchniętych oczu zaczęły sączyć się łzy.

DWOREK, GODZINA 22:13.

No, pięknie go zdjęłaś! – krzyknął zachwycony Krzysiek. – I co, zdziwiony? – krzyknął w stronę dworku. – Muszę pamiętać, siostra, żeby ci nigdy nie podpadać! – dodał jeszcze, zanosząc się histerycznym, przerażającym chichotem.

– Zamknij gębę, lepiej byś się do czegoś przydał – zarządziła matka, posyłając mu pełne pogardy spojrzenie. – Weź mnie te drzwi rozwal.

– Ta, okej, dobra – odpowiedział pokornie. Przecisnął się obok Marty i skierował karabin w kierunku wejścia.

„Ciekawe jak sobie z tym poradzicie, skurwysyny. To za mojego ojca” – pomyślał i zaczął strzelać w stare, drewniane drzwi.

Ogień z wnętrza starego dworku trochę zelżał, ale trwał wystarczająco długo, by bezmyślni zombie zwrócili swoje kroki w jego stronę. Krzysiek wypakował w drzwi cały magazynek, starając się strzelać celnie – a celował w zawiasy i w zamek. Cały czas przed oczami miał eksplodującą głowę swojego ojca, cały czas widział jego śmierć. Ta suka go zastrzeliła. Pamiętał ją, pamiętał, jakby to wydarzyło się zaledwie parę minut temu. Wściekłość zaciskała mu zęby i gardło, zgniatała klatkę piersiową. Zamierzał nie tylko ją zabić, ale zabijać ją wielokrotnie, maltretować, aż będzie go prosiła o śmierć. Przez ostatnie godziny miał dużo czasu na planowanie atrakcji dla blondyneczki. Na to wyobrażenie aż oblizwał spierzchnięte, obgryzione wargi.

Gdy wcześniej sforsowali bramę, ich samochód zatrzymał się zaledwie kilkanaście metrów od drzwi dworku, przez co celne strzelanie nie stanowiło trudności. Nawet dla osoby, która swoją przygodę z bronią długą rozpoczęła zaledwie parę godzin wcześniej. W pewnym momencie Krzysiek zobaczył, jak w kuchennym oknie znajdującym się po lewej stronie od drzwi, pojawiła się postać starszego mężczyzny. Cała jego postura promieniowała gniewem, z zażawionych oczu przebiegała wściekłość i żal, którego chłopak początkowo się wystraszył. Jednak uczucie strachu zniknęło równie szybko, jak się pojawiło.

„Zaraz ci pokażę, kto ma w sobie więcej złości, stara mendo” – pomyślał i przesunął szczerbinę na postać w oknie. Kilkanaście pocisków pomknęło do celu. Siła uderzenia dosłownie zmiotła mężczyznę.

Krzysiek po raz kolejny doświadczył, jak jego ciało przepelnia moc. Czuł się niczym mityczny bóg, w którego rękach spoczywa władza nad życiem i śmiercią pozostałych, zwykłych, niczego niewartych istnień. Mógł bezpośrednio wpływać na ich los, dotykać ich przyszłości, bawić się teraźniejszością, kończyć bieg wszelkich wydarzeń. Mógł bezkarnie zabijać i w głębi siebie rozumiał, że do tego właśnie został stworzony. Po raz pierwszy w swoim krótkim, patologicznym życiu Krzysiek

poczuł się naprawdę szczęśliwy.

Z nową mocą przepelniającą jego żylaste, niespodziewanie silne ciało, Krzysiek przeładował i ponownie skierował lufę w stronę drzwi. Zdążył oddać zaledwie kilka strzałów, gdy stare, sfatygowane wrota stanęły otworem.

Przerwał ogień i zafascynowany patrzył, jak do środka otwartego dworku wchodzi pierwszy zombie. Parę chwil później ze środka dobiegły krzyki i wystrzały, co zwróciło uwagę kolejnych – chmurą pakowały się do nowego miejsca, oczekując, że znajdą tam łatwą zdobycz.

– Dobrze, kurwa, pięknie... – powiedziała cicho równie zafascynowana widokiem matka. Lecz gruba kobieta nie miała czasu na zachwyt, szybko się opamiętała i przypomniała pozostałym, że jest jeszcze dużo do zrobienia.

– Jak chcemy ich dorwać, to trzeba zamknąć bramę – zarządziła.

– Co? Przecież dopiero co ją rozjebaliśmy! Jak chcesz ją teraz zamknąć? – zauważyła przytomnie Marta.

Matka chwilę zastanawiała się nad tymi słowami, w końcu wymyśliła:

– Zastawimy ją dostawczakiem.

Dzieci patrzyły na rodzicielkę, nie do końca rozumiejąc jej intencje. Po paru sekundach jakieś tryby gdzieś tam chyba jednak zaskoczyły.

– No tak, musimy się odgrodzić od zombie, bo nie dadzą nam spokoju – stwierdził dumny ze swojej dedukcji chłopak.

– Więc się rusz do cholery, bo jest ich coraz więcej!

– Ta, dobra, już jadę. Marta, zamknij wcześniej bramę – zaproponował Krzysiek.

– Co? Czemu ja?! – odpowiedziała zaskoczona dziewczyna, nie kryjąc przerażenia.

– Bo tylko ja umiem prowadzić, debilko.

Dziewczyna odfuknęła, posłała bratu gromy z oczu, ale ostatecznie przeładowała broń i złapała za klamkę drzwi samochodu.

– Masz mnie osłaniać. Jak mnie zabiją, to ciebie pierwszego zagryzę.

Krzysiek posłał jej szelmowski uśmiech. Marta nie odwzajemniła, powiedziała tylko:

– Osłaniaj mnie, kurwa. Rozumiesz?

– Tak, tak, spoko luz, przecież ogarniam. Idź, bo tam nic nie zostanie – odparł, wskazując chudą ręką w stronę dworku, gdzie toczyła się desperacka walka na śmierć i życie.

– Szybko, do biblioteki! – krzyknął Paweł, silnym ramieniem podrywając Natalię leżącą na drewnianym parkiecie. Ułamek sekundy wcześniej skoczył na równe nogi, zdążył wcelować i strzelić prosto w twarz pierwszego zombie, który swoją plugawą istotą wkroczył na teren dworku. Następnie skorzystał z chwili i pomógł wstać dziewczynie. Wiedział, że muszą przenieść walkę między pomieszczenia. Pamiętał też o bibliotece. Teraz to była ich jedyna szansa.

Natalia z trudem stanęła na równe nogi. Wydawała się być ogłuszona – wzrok nie mógł złapać

ostrości, błędził gdzieś po gładkich, białych ścianach, prześlizgiwał się po dębowej, lakierowanej balustradzie, jakby obronna szarża komandosów spowodowała oszołomienie. A może nastąpiła kumulacja, może wydarzenia, których doświadczała, wywołały przeciążenie i automatyczny reset systemu?

– Spieprzamy stąd! – krzyknął jej prosto w twarz. – Bierz broń!

Dziewczyna oprzytomniała. Broń, zombie, dworek, przypomniała sobie nagle, chociaż zupełnie nie miała na to ochoty. Miała ochotę leżeć zwinięta w kulkę, gdzieś na podłodze. I niech się dzieje, co chce.

– Kuba! – wydarł się Paweł. – Zwijamy się! – krzyczał, strzelając do kolejnych zombie, którzy wchodzili do domu. – Natalia!

Kuba widział, jak z białego samochodu rozchodzą się rozblyski wystrzałów. Wiedział już, skąd są atakowani. Sam odpowiedział pięknym za nadobne, kierując kilka strzałów w auto, jednak bezskutecznie – nie mógł się skupić tylko na pojeździe, musiał strzelać do zombie wbiegających na posesję i kierujących się w stronę wejścia do dworku. Szybko zmienił magazynek i ruszył pędem na korytarz, tylko po to, aby zobaczyć, jak Natalia znika za schodami. Paweł szedł tyłem, osłaniając jej odwrót. Morderczo skupiony, pojedynczymi, oszczędnymi strzałami zabijał kolejnych zombie, którzy nieopatrznie pojawiali się w wejściu. Wąskie gardło korytarza umożliwiło długą obronę, jednak amunicja kończyła się równie szybko, co przybywało nowych celów.

– Biblioteka! – krzyknął komandos, widząc policjanta.

Ten tylko skinął głową i już miał ruszać w ich stronę, gdy wtem Paweł potknął się i chybił – nie trafił zombie w głowę, tylko w kolano, przez co on również się potknął, lecz siłą rozpędu parł dalej. Kawałki roztrzaskanej kości wystrzeliły w efektownym rozbryzgu krwi, znacząc starą komodę stojącą w przedpokoju. Zombie wrzasnął, ale wsparty na drugiej nodze i popychany przez pobratymców rzucił się przed siebie w stronę policjanta. Niepomyślnie, gdyż potknął się i wyrznął o podłogę. Kuba odskoczył, wycelował do leżącej poczwary i z bliskiej odległości wystrzelił prosto w jej czaszkę. Nie myślał o tym, że to krótko ostrzyżona czaszka piętnastolatka. Chłopaka, który pewnie lubił grać w piłkę, oczywiście na kompie, miał mnóstwo kolegów i pewnie już przeżywał swoje pierwsze miłosne uniesienia. Starał się nie widzieć srebrnego łańcuszka z Maryjką na jego sienie, zignorował czerwony zegarek G-Shock, ciasno zapięty na szczupłym nadgarstku. Jego przeraźliwe, rozdzierające serce wrzaski i pełen nienawiści wzrok potwierdzały, że chłopak umarł już wiele godzin temu. Kuba mógł tylko zakończyć jego męczarnie. O ile takowe młodzienc w ogóle odczuwał. Kolejny wystrzał, kolejne buchnięcie krwią i fragmentami roztrzaskanej czaszki.

W tym samym czasie, korzystając z chybionego strzału Pawła, do przedpokoju wtłaczali się kolejni zombie – wpierw trzech zaklinowało się w drzwiach, jednak pchani przez napierający tłum, szybko zostali wciśnięci do środka. Kilku potknęło się o leżących na podłodze martwych pobratymców, jednak żaden się tym nie przejmował – dziki tabun, przerażająca nawałnica kłapiących szczęk parła do przodu i zdawało się, że nic jej nie może zatrzymać. Wszędzie był tylko smród, ścisk i strach.

Tymczasem Paweł z Natalią zniknęli za schodami – już nie było czasu na strzelanie, teraz trzeba

było jak najszybciej dobiec do drzwi, zamknąć je i zabarykadować materiałami pozostawionymi tam przez policjanta. Kilkanaście sekund później wpadli do niewielkiego pomieszczenia. Paweł natychmiast zatrzasnął drzwi i przekręcił klucz w zamku.

– Kuba! – krzyczała przerażona Natalia, zatrzymując się gwałtownie na biurku, robiąc nawrót i dopadając do Pawła. Zaczęła tłuc go pięściami w plecy.

„Przecież nie mogę pozostawić Kuby na pastwę zombie” – myślała w panice.

– Tam jest mój Kuba, musimy po niego wrócić! – krzyknęła.

– Poradzi sobie! – warknął pełen wściekłości Paweł. – Jak zginiemy, to mu nie pomożemy, rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem, przecież ich jest za dużo, zabiją go!

– Posłuchaj! Tam jest też moja córka – powiedział, łapiąc Natalię za szczupłe ramiona i mocno je ściskając. Dziewczyna nie mogła się ruszyć, co może nie było spowodowane wyłącznie siłą komandos, ale też strachem, jaki nią zawładnął. Dopiero teraz spostrzegła strach czający się w kącikach jego oczu. – Musimy zabarykadować drzwi. Jak to zrobimy, to wyjdziemy przez okno i albo dołączymy do nich, albo ściągniemy ich na dół. Jeśli jednak spróbujemy wrócić tym korytarzem, to po prostu zginiemy. Pomóż mi. We dwójkę szybciej to zrobimy.

Natalia, widząc światelko w tunelu i możliwość udzielenia pomocy swojemu mężowi, szybko złapała za deski i zaczęła je podawać Pawłowi. Pierwsze sztuki wypadły jej z trzęsących się rąk, ale przy kolejnej próbie już się udało. Tymczasem pierwszy zombie dobiegł do drzwi, uderzając w nie z całym impetem. Futryna aż zatrzeszczała, ale Paweł uparcie wbijał gwoździe, modląc się w duchu, żeby tylko nic nie stało się jego córce.

Kuba usłyszał ciężkie, basowe huknięcia policyjnych strzelb. Zadarł głowę i zobaczył, jak Kaja z Maxem strzelają do bezładnej masy zombie, skutecznie ich spowalniając. Za nimi stała sparaliżowana strachem, bezradna Kaśka, ściskająca sportową torbę, którą wieki temu policjant zabrał z komisariatu. Niestety – kilka potworów pomknęło korytarzem w głąb budynku, część szybko skierowała się do kuchni, patrosząc martwe już ciała Krystyny i jej brata. Instynkt nakazał Kubie biec za żoną, ale rozum podpowiadał coś zgoła innego. Nawet jakby bardzo chciał, nie miałby teraz szans dostać się do biblioteki – mógł mieć tylko nadzieję, że Natalia z Pawłem dotarli tam wystarczająco wcześnie, aby zdążyć zaryglować za sobą drzwi. A jeżeli on czegoś równie szybko nie zrobi... cóż, martwy, na niewiele się przyda.

– Kurwa mać! – wykrzyczał z bezsilnej złości, wystrzeliwując swoją frustrację w twarze nadbiegających zombie. Fragmenty roztrzaskanych dziewięciomilimetroowymi pociskami czaszek eksplodowały i fruwały w powietrzu, w którym oprócz smrodu zgnilizny unosił się teraz zapach krwi, deszczu i prochu. Zapach, który pobudzał zmysły w pewien pierwotny, dziki sposób i nakazywał biec, walczyć oraz niszczyć przeciwników.

– Na górę, szybko! – krzyczała Kaja. Max jeszcze przez chwilę stał obok, ale już po sekundzie

zniknął za rogiem ściany.

Kuba nie miał wyjścia. Nie mógł pobiec korytarzem, bo znalazłby się w potrzasku z zombie zarówno przed, jak i za nim. Złorzecząc i klnąc na swoje położenie, popędził schodami na górę. Kilku zombie ruszyło za nim, nie dając swoim ofiarom nawet sekundy wytchnienia. Pierwszy potknął się i wyrznął szczęką w balustradę; pozostali nie pozwolili mu się podnieść – zaczęli przez niego przechodzić, tratując lub przeskakując pobratymca. Jeszcze zanim policjant osiągnął szczyt schodów, Kaja uniosła lufę strzelby i zniknęła za rogiem, za którym wcześniej skrył się Max. Kaśka uciekła wcześniej, a właściwie została zawleczona tam przez chłopaka.

Fala była coraz bliżej. Kuba czuł na plecach, coś co przypominało zgniły dotyk umarłych. Powiadają, że strach dodaje skrzydeł. I ci, którzy tak prawią, chyba mają rację – ostatnie parę stopni Kuba przeskoczył długimi, parkourowymi susami, jakby skakał po grzbietach krokodyli. Wskoczył na piętro, gwałtownie zahamował, odbił się od ściany i popędził w stronę, w którą pobiegła wcześniej Kaja. Dziewczyna na końcu korytarza tylko na to czekała – stała w lekkim rozkroku i trzymała nieznacznie uchylone drzwi, gotowa, by je szybko zatrzasać.

Kilka sekund później Kuba wbiegł na pełnym gazie do pomieszczenia, w którym chwilę wcześniej młodzi oglądali burzę. Jakby dla zaakcentowania udanej ucieczki, niebo rozświetlił błysk piorunu. „Brawo” – klasnęły niebiosy. „Ciekawe, jak długo jeszcze będzie ci się udawało”.

– Max, pomóż! – krzyknęła Kaja. Na końcu korytarza ukazał się pierwszy zombie. Kaja oddała strzał. W wąskim przejściu cały śrut trafił w cel, jego ściany przyozdobiły lśniące, soczyste maziaste krwi. Następnie dziewczyna zatrzasała drzwi. Max, pozostawiając strzelbę przy ścianie, zaczął pchać regał, żeby zabarykadować nim wejście. Kuba doskoczył, by mu pomóc – masywny, wykonany z drewna mebel był absurdalnie wręcz ciężki, niemniej adrenalina krążąca w żyłach obu mężczyzn robiła swoje i sprawnie przesunęli kolosa. Kaja odskoczyła od drzwi, do ostatniej chwili trzymając je za klamkę – niestety, wbrew oczekiwaniom nie miały one zamka, więc musieli naprędce skombinować prowizoryczną barykadę.

Oparli szafę tuż zanim w drzwi wyrznął pierwszy zombie. Po chwili słychać było głucho łupnięcia i pacnięcia, gdy pozostałe maskary dobiegły do końca korytarza i próbowały sforsować przeszkodę. Z korytarza doleciał potępieńczy jęk zawodu.

– Dawaj, jeszcze regał! – krzyknęła Kaja. Nie czekając na reakcję pozostałych, podbiegła do mebla pełnego przeróżnych szpargałów, kurzołapów i durnostojek, które ani były praktyczne, ani specjalnie urodziwe. Rzuciła pogardliwe spojrzenie skulonej pod ścianą, wystraszonej Kaśce i bez zbędnego wahania przechyliła regał w przód, żeby zrzucić wszystkie pierdoły na podłogę i przeciągnąć pusty mebel pod drzwi. Niestety, ten okazał się zbyt chwiejny – poruszony, w akompaniamencie tłuczonych rzeczy, runął przed siebie, niczym waląca się baszta. Kaja w ostatniej chwili zabrała nogę, unikając tym samym jej zmiżdżenia.

– O kurde! – krzyknęła, wpadając na Maxa. Chłopak uchronił ją przed upadkiem, odstawił bezpiecznie na bok i schylił się, aby dźwignąć mebel. Ponownie pomógł Kuba, więc po paru sekundach przystawili ciężki regał do blokującej już drzwi szafy.

– Przy... przyniosłam wam amunicję. Wzięłam, jak mi kazał Paweł – wydukała Kaśka i zaczęła wyciągać przed siebie, jakby w geście przeprosin, torbę z amunicją. Kaja posłała jej pogardliwe spojrzenie, Kuba tylko kiwnął głową, cały czas próbując złapać oddech.

– Co teraz? – zapytał zdyszany policjant. Rozglądał się uważnie po pomieszczeniu, jakby chciał znaleźć gdzieś na ścianie wypisaną odpowiedź. – Na dole jest Natalia.

– Nie tylko. Mój ojciec też tam jest – skomentowała Kaja. – Poradzą sobie. Na pewno sobie jakoś poradzą.

Jednak w głosie dziewczyny nie pobrzmiwała zbyt duża pewność. Nie dość, że wydarzenia nabierały coraz gorszego obrotu, to jeszcze decyzja odnośnie dalszego postępowania spadła na każdego z nich. Nie było z nimi Pawła, którego mogliby się poradzić, który mógłby przejąć inicjatywę. Może brutalnie, może niekoniecznie mówiąc to, co pozostali chcieliby usłyszeć, ale jakoś do tej pory mu się udawało nimi zarządzać.

– Wiecie, co to za ludzie? – zapytał Max. – Ci, co do nas strzelali.

Kuba posłał niepewne spojrzenie chłopakowi. Następnie podszedł szybko do okna. Trzymał się ściany, żeby być jak najmniej widocznym.

– Zgaś światło – polecił.

Pstryknął włącznik, pomieszczenie zalała ciemność. Burzowe chmury uparcie zasłaniały niebo, ciemne strugi deszczu zalewały światło emitowane z, nie wiadomo czemu, działających jeszcze latarni. Kuba przysunął się do okna i powoli, aby nie zdradzić się ruchem, wychylił głowę. Biały dostawczak stał tam, gdzie go widział po raz ostatni. Liczni zombie biegli lub dreptali bezładnym rzędem w stronę otwartych drzwi dworku, niektórzy rozleźli się po posesji, zbyt głupi, aby podążać za stadem. Z dołu nie dobiegały strzały, więc Natalia z Pawłem pewnie się zabarykadowali. Załazek innej, całkowicie innej myśli wykiełkował w głowie policjanta, lecz ten szybko ją odrzucił. Skupił się na busie.

Nagle drzwi auta otworzyły się i wyskoczyła z nich szczupła dziewczyna. W uniesionych rękach trzymała pistolet, ale nie strzelała do zombie. W tym samym czasie silnik samochodu zaskoczył, zalewając strugi deszczu światłem reflektorów.

Dziewczyna odwróciła się, walnęła kilka razy dłonią w bok samochodu i coś krzyknęła, ale przez ulewę Kuba mógł się tylko domyślać jej słów. Światła pojazdu szybko zgasły, lecz paru najbliższych zombie zdążyło już zareagować i ruszyć w ich stronę. Dziewczyna bez zbędnego wahania pozabijała wszystkich, zanim stali się zagrożeniem. Jednak zachęcona nową aktywnością horda już kierowała swoje mordercze łapska w jej stronę.

I w tym momencie Kuba sobie przypomniał.

– Chyba wiem... – powiedział cicho, chociaż ludzie na podjeździe pod dworkiem nie mieli prawa go usłyszeć. Max i Kaja podbiegli do policjanta, także trzymając się blisko ściany. Chłopak mruknął coś pod nosem.

– To chyba te pojeby spod sklepu w Łomiankach. Pamiętacie? – zapytał Kuba.

– Poczekaj – Kaja przysunęła się do okna i przyjrzała dziewczynie. – Tak, to chyba ona... no, na

pewno. Suka chciała mnie zastrzelić. – Kąciki ust Kai uniosły się, obnażając białe, równe zęby i jednocześnie tworząc na jej twarzy upiorny, a zarazem piękny grymas. Sekundy później Kaja uniosła strzelbę, obsadziła kolbę w dołeczku strzeleckim i przechyliła głowę, aby lepiej zgrać przyrządy celownicze.

DWOREK, GODZINA 22:22.

Co narobiłeś! – krzyknęła matka i zdzieliła Krzyśka swoją tłustą ręką prosto w potylicę.

– Zgasilem przecież, no co! Same się zapaliły!

– Skaranie boskie, przecież tam jest...

– Wiem!

Zapewne klóciliby się dalej, gdyby nagle okno na piętrze nie rozświetliłby jasny błysk, a do ich uszu nie dotarł głośny huk wystrzału. Coś ciężko łupnęło w bok auta. Krzysiek błyskawicznie zrozumiał, co się wydarzyło, jednak równie szybko jego umysł zaklasyfikował to jako rzecz absolutnie niemożliwą. Z siedzenia pasażera kobieta wpatrywała się w syna wystraszonego wzrokiem, zupełnie nie rozumiejąc, co się mogło wydarzyć. Sekundę później jej oczy rozszerzyły się, jakby zobaczyła coś strasznego, następnie otworzyła drzwi i ruszyła na zewnątrz. Chłopak nie zdążył jej ostrzec.

– Jezu, moje dziecko! – krzyknęła kobieta, z nienaturalną dla jej tuszy lekkością zeskakując z wysokiego stopnia na mokry podjazd. Tymczasem postrzelona Marta już osunęła się na bruk, pozostawiając na samochodzie długie, czerwone smugi krwi.

Matka padła na kolana, dźwigając grubymi ramionami nienaturalnie ciężkie ciało swojego dziecka. Marta jeszcze żyła, patrzyła na rodzicielkę zdeorientowanym, pełnym przerażenia wzrokiem. Wzrokiem pełnym niewypowiedzianych pytań, pełnym niemego żądania pomocy. Żadna z kobiet nie wiedziała, co powiedzieć, jak się zachować, więc tylko patrzyły na siebie zdeorientowane, starając się wzajemnie odgadnąć swoje myśli. Wokół nich zbierały się kałuże wody i krwi, skądś dobiegały krzyki i pojękiwania zombie zainteresowanych nagłą aktywnością żywych. Umierającej dziewczynie było już wszystko jedno, ale matka, pomimo wszystko, winna była pamiętać o zagrożeniach panoszących się wokół.

Nie pamiętała.

Nim Krzysiek zdążył zareagować, z przodu auta wyłonił się zombie. Młody chłopak, na pierwszy rzut oka przypominający Krzyśkowi jego samego, przeszedł niepewnie przed samochodem, znacząc na pogniecionej masce krwawy ślad, i skierował się w stronę matki. Krzysiek, działający pod wpływem instynktu, szybko zamknął drzwi od strony pasażera. W pierwszej chwili zupełnie stracił rezon, zapomniał o buńczucznej pewności siebie, tak dziarsko prowadzącej go przez życie. Gdzieś zniknęła ikra, przygasł błysk w oku. Musiał się opamiętać, musiał działać, wrócić na stary, utarty tor, ale nie wiedział, jak to zrobić. Uderzył się w twarz. Zabolało. Zacisnął ze złości zęby, uderzył się ponownie. Pomogło – krew zaczęła krążyć szybciej, świat nabrał kolorów. Krzyknął do matki, aby uważała, ale kobieta nie zareagowała. Chłopak sięgnął po swoją broń, zamierzał rozwalić okno samochodu i zastrzelić zombie. Lecz gdy tylko się odwrócił, zobaczył, że od strony zarówno wejścia

do dworku, jak i reszty podwórza, zbiegają się truposze. Usłyszał głośne uderzenie w bok auta, najpierw jedno, potem kilka kolejnych. Usłyszał też głośny, lecz szybko przerwany krzyk swojej matki, ale nie odważył się już wychylić, by zobaczyć, co się stało. Zaciskając kurczowo ręce na broni, wciśnął się na podłogę między fotelem a deską rozdzielczą i słuchał, jak jego rodzicielka umiera, oczami wyobraźni śledząc każdy najmniejszy szczegół odbywającej się zaledwie parę metrów obok kaźni.

Kaja również osunęła się na podłogę, nie mogąc znieść widoku rozszarpywanych przez zombie kobiet. Szybko znalazł się przy niej Max. Chłopak ukucnął, położył dziewczynie dłoń na szczupłym ramieniu. Ta uniosła rozszerzone, brązowe oczy. Kaśka przyglądała się jej ukradkiem, widząc w niej kolejne zagrożenie.

„Skoro z zimną krwią zastrzeliła żywego człowieka, przecież w każdej chwili może zastrzelić również mnie” – myślała.

– Dobrze zrobiłaś.

Kaja wbiła wzrok w podłogę i milczała parę sekund. W końcu otworzyła usta, aby mu odpowiedzieć, jednak Max był pierwszy:

– Albo my, albo oni – powiedział spokojnym, opanowanym głosem. – Jacykolwiek oni. Wiesz o tym. Nie zdręczaj się.

Ścisnął delikatnie jej ramię, następnie uniósł się i podszedł do Kuby, pozostawiając dziewczynę z subtelnie otwartymi ustami.

– Co dalej? – zapytał bez ogródek.

Policjant rozejrzał się po pomieszczeniu, ciężko dysząc. Adrenalina szalała w jego żyłach, serce pompowało krew w zastraszającym tempie. Biały T-shirt, który dostał w mieszkaniu Tomka, był teraz przepocony i upačkany krwią. Krytycznie przyjrzał się swojemu ubraniu, tej osobliwej mapie brutalnej trasy, którą musieli wbrew sobie podążać. I poczuł, jak bardzo jest tym wszystkim zmęczony. Uniósł szeroko otwarte oczy, ponownie rozglądając się po pomieszczeniu. Barykada, trzymająca drzwi, wydawała się solidna. Z zewnątrz nieustannie dobiegały odgłosy zombie, starających się dostać do środka, lecz żadna z szaf nawet nie drgnęła.

– Nie rozwalą tego. Jesteśmy tu bezpieczni – wysapał, czując jak gdzieś tam, w głębi jego zmalretowanego ciała, zaczyna kiełkować zmęczenie.

– Wiem. Ale nie o to pytam – skomentował dziwnie spokojny Max.

Kuba kiwnął głową, z niechętnym uznaniem dla inteligencji chłopaka. Pociężył Kają, zachował zimną krew i przypominał jednocześnie o priorytetach, jakimi powinni się teraz kierować, podczas gdy on – doświadczony w boju policjant – nagle zupełnie stracił rezon. Byli w bezpiecznej kryjówce, a ten kudłacz i tak zamierzał ją opuścić na rzecz ratowania pozostałych. W tym jego żony. Kuba próbował sobie wmawiać, że przecież przy boku doświadczonego komandosa Natalii nic nie grozi, ale teraz poczuł się jak ostatni tchórz. Przełknął kulę, która niespodziewanie wyrosła mu w gardle,

i odpowiedział pierwsze, co mu przyszło na myśl:

– Wiem. Coś musimy wymyślić.

– Mamy mało czasu.

– Wiem.

Zmierzyli się wzrokiem, ale Maxa ewidentnie nie satysfakcjonowała tak lakoniczna odpowiedź. Oczekiwał dokładnego planu, schematu, którego mogliby się trzymać – z drugiej strony wiedział, że na takie ustalenia nie mają czasu. Mogli, a nawet musieli, improwizować. Nie lubił działać w taki sposób, ale nie mieli wyjścia.

– Wychodzimy – stwierdził, ruszając po swoją strzelbę, którą wcześniej oparł o ścianę.

Kuba i Kaja posłali mu pełne zaskoczenia spojrzenie. Kaśka nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Co? O czym ty mówisz? – zapytał Kuba.

– Nie będę tu stał i beczynnie czekał, kiedy na dole Paweł i twoja żona walczą o życie! – wykrzyczał policjantowi prosto w twarz, kładąc szczególny nacisk na koniec zdania. Kuba cofnął głowę, jakby dostał w twarz. Kaja, słusznie odbierając rosnące pomiędzy mężczyznami napięcie, uniosła się z podłogi i stanęła obok nich. Patrzyła na Maxa wzrokiem pełnym determinacji i czegoś, co najprościej byłoby określić mianem podziwu. Chłopak spojrzał prosto w jej brązowe oczy, znajdując w nich obietnicę mówiącą, że gdy najdzie taka potrzeba, dziewczyna go poprze. Przynajmniej taką miał nadzieję.

Ruszył, chcąc ominąć Kubę, jednak ten niespodziewanie zagroził mu drogę.

– Nie wyjdziemy tędy. Nie mogę ci na to pozwolić.

– Weź się odsuń.

Policjant wymownie zerknął na strzelbę trzymaną przez chłopaka, teraz wycelowaną prosto w jego brzuch.

– A co, zastrzelisz mnie? – zapytał spokojnie, nie chcąc sprowokować gwałtownej reakcji.

Max zmarszczył brwi i podążył wzrokiem za spojrzeniem Kuby.

– Nie, sorry. Nie chciałem w ciebie celować, przepraszam – odpowiedział szybko, podczas gdy jego twarz przybrała odcień purpury.

– Spokojnie i ostrożnie. Mówią, że broń raz do roku sama wypala.

Delikatnie wysunął przed siebie rękę z zamiarem przesunięcia strzelby.

– Nie bądź taki cwany. Jak się boisz wyjść, to przynajmniej nam nie przeszkadzaj – uniósł się chłopak, trafnie odgadując zamiary Kai.

Kuba spojrzał na dziewczynę, która też już trzymała w rękach swoją broń. Wydawało się, że szybko poradziła sobie z kryzysem, jaki miała po zastrzeleniu swojej rówieśniczki – stała teraz pewna siebie, zbuntowana i gotowa do działania. Kuba powoli pokiwał głową.

– Nie patrzcie tak na mnie, ja uważam, że to głupi pomysł. Nie powinniśmy wychodzić, przecież tam są... – zaczęła tłumaczyć swoje stanowisko Kaśka, ale Max jej przerwał.

– Nikt ci nie każe nigdzie iść. Poza tym, dla wszystkich będzie lepiej, jak tu zostaniesz – powie-

dział dość brutalnie, ale chwilowo był tak wściekły, że nie obchodziły go konwenanse.

– Dobrze. Chcecie wyjść korytarzem? Widzieliście przecież, ile tam było zombie. Nie przedrzemy się – powiedział policjant.

Pozostali wymienili spojrzenia.

„Chęć niesienia pomocy to jedno, pewna śmierć to drugie” – pomyślał Kuba, ale chyba nie musiał tego mówić na głos.

– Możemy odsunąć szafy, delikatnie uchylić drzwi i wtedy ich pozabijać – zasugerował Max.

– I co, myślisz, że utrzymamy drzwi pod takim naporem? Nie wydaje mi się. Nie, to zbyt ryzykowne – odpowiedział Kuba.

Kaja do tej pory biernie przysłuchiwała się wymianie zdań i obmyślaniu strategii, jednak w końcu zaproponowała:

– Może przez okno? Moglibyśmy jakoś, nie wiem, zejść, zeskoczyć...

– Prosto na kolejnych zombie? Świetny pomysł – znowu zanegował policjant.

– Jak jesteś taki mądry, to może sam coś proponujesz? – odpowiedział z nieskrywaną pretensją Max. Przestała go obchodzić dzieląca ich różnica wieku. Adrenalina buzowała w nim tak mocno, że miał wrażenie, jakby mógł pozabijać wszystkich zombie gołymi rękami. Kuba, zamiast dać się porwać złości, starał się myśleć trzeźwo i racjonalnie. Oczywiście, trudno jest mówić o racjonalności wobec apokalipsy zombie, ale próbować można.

– Może byśmy wyszli oknem na dach i spróbowali się dostać do innego pomieszczenia? – zasugerował, ruszając w stronę okna.

– Dach jest śliski, przecież cały czas leje. Jak się zsuniemy, to po nas – odpowiedział Max, jednak w jego głosie nie było złośliwości czy zgryźliwości. Po prostu stwierdzał fakty.

Tymczasem Kuba podszedł do okna. Skupiony, z bronią uniesioną do strzału, wyjrzał na podjazd. Naraz jego oczy rozszerzyły się z przerażenia, policjant odskoczył od okna jak oparzony.

– Padnij! – krzyknął, samemu lecąc na podłogę.

Przez odgłos deszczu przebił się dźwięk stłumionego wybuchu, po którym nastąpił ostry, złowieszczy syk, jakby ktoś odpalił olbrzymie sztuczne ognie.

Krzysiek siedział w ciszy, nasłuchując, jak zombie rozszarpują jego siostrę i matkę. Nie poruszał się. Ledwo oddychał. Absolutnie nie dopuszczał do swojej świadomości myśli, że nagle jego życie zostało wywrócone do góry nogami. Oczywiście, gdy zaczęła się apokalipsa, gdy ludzie zaczęli skakać sobie do gardeł i wyrywać wnętrzności, już wtedy jego życie się zmieniło, jednak wtedy ta zmiana była jakaś... inna. Dobra, nawet można powiedzieć, że fajna. Coś się w końcu działo, zapanał chaos i bezprawie, można było robić to, na co się miało ochotę, i żaden parszywy pies cię za to nie ścigał. Przed oczami przeleciała mu scena, w której razem z Martą napadają na policjanta, potem scena, w której Krzysiek rozwała zombie głowę za pomocą samej tylko deski. We wspomnieniu odnalazł obraz patrzącej na niego z podziwem siostry i poczuł nagłą suchość w gardle.

Następnie przywołał obraz sklepu spożywczego w Łomiankach, ich wypadu, który okazał się absolutną klęską. Przypomniawszy sobie ojca upadającego na bruk, strach i szok, jaki zapanował wtedy nad jego ciałem. Zaciśnął zęby. Przeszył go dreszcz.

Znowu znalazł się w skradzionym samochodzie. To wszystko ich wina, zrozumiał. Gdyby nie sprowokowali ich, gdyby nie pojawili się nieproszeni w sklepie, który przecież tak jakby należał do nich, to wtedy nic z tych wszystkich okropności nie musiałyby się wydarzyć.

Krzysiek poczuł, jak zalewa go fala nienawiści i pogardy. Zapomniał o strachu. Wiedział, że w pojedynkę długo nie pociągnie, poza tym po prostu nie chciał kontynuować życia bez swojej rodziny. Jednak wiedział również, że zanim spotka go koniec, jest jeszcze coś, co należy wykonać. Jego ostatnie, ale jakże ważne zadanie. Nie mógł przecież pozwolić, aby oprawcy jego ukochanej rodziny pozostali bezkarni, aby panoszyli się po świecie jak gdyby nigdy nic. Musiała ich spotkać zasłużona kara, a on, na szczęście wiedział, jak należy im ją wymierzyć. Wiedział, jak się do tego zabrać, a przede wszystkim miał do tego odpowiednie narzędzia.

Podniósł się z podłogi i siadając na miejscu pasażera, przysunął się do szyby. Następnie wybił ją łufą karabinu, wychylił się i ze stoickim spokojem posłał serię w kilku zombie, którzy patroszyli jego matkę i siostrę. Fragmenty rozrywanych ciał zaczęły fruwać w powietrzu, w efektownych rozbryzgach krwi. Gdyby nie ubrania, chłopak nie mógłby wskazać, które z leżących zwłok należą do jego bliskich. Wcale jednak nie zamierzał się na tym skupiać, nie chciał wiedzieć, jak wygląda teraz jego siostra, świadomie unikał patrzenia na matkę. Chciał zachować wspomnienia z domu na Dąbrowie, chciał zapamiętać je jako kobiety uśmiechnięte, zadziorne, ale przede wszystkim – żywe. Wyładowywał wściekłość, strzelając do trupów. Musiał oczyścić sobie przedpole, bo to, co zamierzał zrobić, wymagało od niego wyjścia z auta.

Po paru sekundach prowadzenia ognia zombie leżeli albo martwi, albo niestanowiący bezpośredniego zagrożenia. To mu wystarczało. Dla pewności chłopak posłał jeszcze kilka serii w zombiaki kręcące się niebezpiecznie blisko, lecz w końcu uznał, że może wyjść. Nie zastanawiał się, dlaczego wszyscy zombie nie zbiegli się ku niemu, czemu większość skierowała się do domu. Może to bijące zeń światło, a może jakaś część gnijącego mózgu podpowiadała, że tamto miejsce może kryć w sobie lepsze kąski. Wyrzucił pusty magazynek, załadował pełny. Następnie przerzucił karabin na plecy, sięgnął po ręczny granatnik typu RPG i wyskoczył z dostawczaka prosto w ulewę.

Na kostce zgromadziły się kałuże krwi. Nie dbał o to. Nie dbał o zimno, o deszcz, nie dbał już praktycznie o nic. Kątem oka dostrzegł, jak w jego stronę biegnie kilku zombie, przeraźliwie wrzeszcząc i młócąc rękami powietrze. Zerknął na stertę zwłok, pośród których leżały jego ukochane.

– Jeszcze chwila. Za moment znowu będziemy razem, obiecuję – powiedział spokojnym głosem. Głosem człowieka pogodzonego ze swym losem.

Uniósł i zarzucił na ramię granatnik RPG-7 z załadowaną rakieta typu PG-7VL, czyli pociskiem kumulacyjnym stosowanym głównie do niszczenia pojazdów opancerzonych, ale i dobrze sprawdzającym się w starciu z bunkrami i umocnieniami przeciwnika – chociaż Krzysiek nie miał o tym bla-

dego pojęcia. Rakieta to rakieta. Ustawiamy ostrą końcówką w tego, którego nie lubimy, pociągamy za spust i dzięki, cześć. Skierował więc lufę w okno, z którego wcześniej wyłoniła się Kaja i podstępnie, tchórzliwie zastrzeliła jego siostrę. Na jego szczupłej, surowej twarzy zagościł upiorny uśmiech. Zobaczył w oknie twarz mężczyzny, który widząc wycelowaną w siebie raketę, szybko schował głowę, i prawdopodobnie rzucił się do panicznej ucieczki. „Ciekawe, co na to powiesz...” – pomyślał i pociągnął za spust.

Poza cichym kliknięciem nie wydarzyło się absolutnie nic.

Chłopak zrzucił RPG z ramienia, przyjrzał się broni zdezorientowanym, panicznym wzrokiem.

– Kurwa, działaj, dziadygo... – zaklął i mógłby tak bluźnić dalej, gdyby nie zombie, który podstępnie podczołgał się do niego i jednym płynnym, zabójczym ruchem zatopił zęby w jego łydce. Krzysiek wrzasnął, upuścił granatnik, który jakimś cudem nie wypalił, sięgnął po karabin i posłał serię kul prosto w czaszkę i plecy maskary. Pociski przygwoździły ofiarę do ziemi, podziurawiona głowa opadła bezwładnie, jakby nagle ktoś odciął podtrzymujące ją sznurki. Chłopak dyszał ze zdenerwowania, strachu i bólu, lecz w głębi siebie niespecjalnie przejmował się faktem, że został ugryziony – nie, zupełnie go to nie obchodziło, bo szczerze wątpił, czy i tak udałoby mu się przeżyć. Zamiast rozmyślać nad tym wszystkim, ponownie zarzucił broń na plecy. Sięgnął po granatnik i w tej samej chwili wpadł na niego kolejny, tym razem wściekle rozpędzony, zombie.

Kobieta przewróciła go na plecy. Krzysiek boleśnie upadł na zarzuconą broń, ale nie wypuścił granatnika z rąk – przeciwnie, dzięki niemu trzymał zombie na dystans, używając broni jak zapory. Trochę to wyglądało, jak wyciskanie sztangi na ławce – zombie był raz niżej, raz odrobinę wyżej, podczas gdy chłopak zaciskał zęby i stękał z wysiłku. Nawet nie zarejestrował, kiedy przypadkiem udało mu się zwolnić blokadę spustu. Złorzeczył, podczas gdy głowica rakiety przemieszczała się, kolejno celując to w kuchenne okno, to w otwarte drzwi wejściowe, to w piętro, aż wreszcie zupełnie poza obręb domu. Kilkukrotnie rakieta była skierowana w ziemię tuż przy nim, jednak chłopak przytomnie szybko zmieniał cel, nieświadom tego, jak blisko był od katastrofy.

Aż w pewnym momencie, zupełnie niechcący, któreś z nich nacisnęło spust. Czy to był Krzysiek, czy atakujące go zombie – chłopak miał się tego nigdy nie dowiedzieć, bo zafascynowany i wystraszony wystrzeleniem rakiety, zupełnie zapomniał o samoobronie. Pocisk pomknął ze świstem prosto w drzwi wejściowe. Przeleciał obok schodów, jakimś cudem nie zahaczył wbiegającego na piętro zombie, ubranego w zwiewną, niebieską sukienkę. Stosunkowo wąska, ale pieruńsko szybka rakietka mknęła do swojego celu, niosąc nieświadomym ofiarom błyskawiczną i względnie bezbolesną śmierć. Sekundy od wystrzelenia pocisk przebił drewniane drzwi i zgodnie z wolą swoich twórców eksplodował w środku pomieszczenia.

W środku pomieszczenia, do którego zaledwie parę minut wcześniej wbiegł Paweł wraz z Natalią.

DWOREK, GODZINA 22:41.

Energia wywołana wybuchem rakiety była odczuwalna w całym dworku. Zgromadzeni na piętrze Kuba, Kaja, Kaśka i Max poczuli, jak pod ich stopami zatrzęsała się podłoga; niektóre obrazki pospadały ze ścian, a ze starego sufitu posypał się tynk. Kaja krzyknęła, odruchowo zakrywając głowę ramionami. Max w rycerskim geście zasłonił dziewczynę swoim ramieniem, jednocześnie ze strachem spoglądając w górę. Kuba był za daleko, aby do nich dobiec, padł więc tylko na jak dłużej podłogę i chwilę po wybuchu przeczołgał się pod ścianę. Teraz siedział oparty o nią plecami i wpatrywał się rozszerzonymi źrenicami w pozostałych. Kaśka nie zdążyła nawet zmienić swojej pozycji, więc po prostu siedziała jak wcześniej, tylko z jeszcze szerzej otwartymi oczami.

– Jezu, co to było? – zapytał Max, rozglądając się po twarzach towarzyszy. W tym samym momencie Kaja wyswobodziła się z jego objęć. – Nic ci nie jest? – spytał tym razem tylko ją.

– Nie... nie wiem. Chyba nie. Dostałam obrazkiem w nogę – odpowiedziała chaotycznie, podnosząc połamaną ramkę ze starą akwarelą przedstawiającą sianokosy w piękny, słoneczny dzień. Rzuciła obrazek kilka metrów dalej, jakby w obawie, że ponownie ją zaatakuje.

– Rakietą. Nie wiem skąd, ale te skurwysyny dorwały się do granatnika – wydyszał Kuba.

– Co? Granatnika... – nie mógł uwierzyć Max, lecz urwał w pół zdania, bo do ich uszu doleciał trzask pękających krokwi i huk walących się ścian. Poczuli, jak stary, sfatygowany dwór drży w posadach, wyraźnie niezadowolony z faktu, że ktoś zdetonował w jego wnętrzu tak wielki pocisk.

– Wali się! – krzyknął Kuba, z przestraszeniem rozglądając się po ścianach, na których szukał pęknięć czy śladów uszkodzeń. Jak na życzenie, wzdłuż jednej z nich wystrzeliło głębokie, ostre pęknięcie. Stare dębowe krokwie, na których oparte było piętro, głośno wyrażały swoją dezaprobatę, niczym skrępowane linami olbrzymy, bezlitośnie ściągane ku ziemi. Ludzie wymienili przestraszone spojrzenia, absolutnie świadomi swojej maleńkości, tego, że tak naprawdę nic nie mogą zrobić. Do wyboru mieli albo wybiec na korytarz pełen zombie, albo wyskoczyć przez okno na podjazd również pełen potworów, licząc na to, że nie połamią nóg przy upadku. Mogą też... starać się przeczekać. Wybrali trzecią opcję, zbyt wystraszeni, aby chociaż rozważyć pierwszą czy drugą. Usłyszeli jeszcze jeden przeraźliwie głośny i żalony protest budynku, równie intensywny co krótki, po którym nastąpiła seria gwałtownych, ciężkich tąpnięć, trzasków, huków. I nagle wszystko się uspokoiło. Nastąpiła błoga, niewyobrażalnie przerażająca i przytłaczająca cisza. Zdawało się, że nawet deszcz przestał padać, a cały świat, nie wyłączając Boga, skupił uwagę akurat na nich, czekając, co dalej zdecydują się zrobić, i obstawiając, czy poradzą sobie z tym, co im przygotowano. Zobaczyli, jak spod drzwi wyleciała ciemna, gryząca w gardło chmura pyłu.

– Już? – zapytała Kaja, niepewnie rozglądając się po pomieszczeniu.

– Chyba – odpowiedział Max. Poczul, jak Kaja rozluźnia uścisk i zabiera ręce. Wiedział, że zatęskni za tym uczuciem.

Kaśka, siedząca najbliżej drzwi, zaniosła się ciężkim, chrapliwym kaszlem. Kuba bardzo powoli i ostrożnie podniósł się z podłogi. Trzymał szeroko rozstawione ręce, aby szybko zamortyzować ewentualny upadek. Powiesił broń na ramieniu, ale w taki sposób, aby mieć wolne dłonie. W końcu nie wiedział, czy budynek jest już po agonii, czy może jeszcze będą nim wstrząsały pośmiertne drgawki. Szafy, które posłużyły za barykadę, nieco odsunęły się od drzwi, jednak niewystarczająco, aby zombie mogli wcisnąć się do środka. Teoretycznie więc byli dalej bezpieczni. Oczywiście, patrząc z perspektywy ewentualności bycia wypatroszonym przez zombie. Policjant spoglądał to na drzwi, to na okno, jakby w obawie, że lada chwila wpadnie przez nie kolejna rakietka.

– Słyszysz coś? – zapytał Max, ale Kuba w odpowiedzi tylko położył palec na ustach. Chłopak kiwnął głową. Faktycznie, nagle zrobiło się upiornie cicho, zombie w domu przestali zawodzić, nikt nie strzelał – policjant nie wiedział jeszcze, czy to dobry, czy zły znak, jednak przecucie podpowiadało mu tę drugą opcję. Słyszał agonialne krzyki dobiegające z podwórza, założył więc, że kolejna salwa jednak im nie grozi. Powoli zbliżył się do drzwi, stąpając po podłodze, jakby szedł po zamrażonym jeziorze. Chwilę później przyłożył do nich głowę, nasłuchując. Zmarszczył brwi, spojrzał niepewnym wzrokiem na Kaję i Maxa, a następnie odsunął się i – ku ich przerażeniu, które zdawało się, że już dawno osiągnęło wartość krytyczną – złapał za klamkę. Pozostali unieśli broń, szykując się na najgorsze, tymczasem Kuba delikatnie uchylił drzwi. Przez powstały otwór, majestatycznie wpłynęła do pokoju chmura pyłu, niczym jakaś tandetna mgła ze starego, niskobudżetowego horroru.

Kaja spostrzegła, jakby z policjanta nagle uszło całe powietrze. Wpatrywał się parę chwil w to, co było poza zasięgiem ich wzroku, aż w końcu Max nie wytrzymał.

– Kuba, co tam jest? Poszły sobie? – wyszeptał.

Mężczyzna odwrócił obsypaną pyłem, zdeorientowaną twarz. Przez drobinki tynku, które całego go obsiadły, spojrzenie jego brązowych oczu nabrało nowego, pełnego szaleństwa wyrazu. Patrzył na nich człowiek, z którego ktoś okrutnie zażartował, w żaden sposób nie tłumacząc, na czym ten żart miałby polegać ani czemu służyć. Mężczyzna odkaszlnął w pięść, starając się zrobić to tak cicho, jak tylko to było możliwe.

– Tak. Nie ma ich – powiedział cichym, pełnym konsternacji głosem. – Tak właściwie to... niczego nie ma.

Kuba pstryknął włącznikiem światła, jednak zgodnie z jego przypuszczeniami, nic się nie wydarzyło. Zaklął pod nosem.

Max zmarszczył czoło i opuścił broń. Nie był jednak pewien, czy Kubie się już wszystko pomyliło, czy może jednak można mu dalej ufać. Spodziewał się, że w każdej sekundzie zza uchylonych drzwi wyskoczy zombie i rzuci się na policjanta, który najwyraźniej zaczynał wariować.

– Jak to niczego nie ma?

– No chodź i sam zobacz. I weź latarkę, bo nie ma światła – zaproponował beznamiętnie. Jakby

nakłady zgromadzonej empatii, złości i wszystkiego innego już się wyczerpały, pozostawiając jedynie suche, bezosobowe komunikaty.

Max spojrzał na Kaję, ale wydawało się, że dziewczyna rozumie z tego wszystkiego tyle, co i on. Wymienili również spojrzenia z Kaśką, która swoją postawą uparcie i konsekwentnie prezentowała bierność, mową ciała przekazując, że owszem, chętnie wstanie i wyjdzie, ale najpierw będą musieli potwierdzić, że na zewnątrz jest bezpiecznie. W międzyczasie Kaja poszperała w plecaku, wyciągnęła latarkę i podała ją Maxowi. Następnie chłopak dźwignął się i podszedł do Kuby, cały czas podejrzliwie zerkając to na policjanta, to w stronę, którą wskazywał. Wyjrzał za drzwi. Zaryzykował, pstryknął włącznikiem latarki. Doskonale zarysowana krawędź owalnego strumienia światła przebiła się przez zamglony korytarz. Kaja ujrzała, jak Max powoli opuszcza broń.

– Nie ma korytarza – powiedział, odwracając się w stronę dziewczyny. – Wszystko jest zawałone – dodał, zanosząc się kaszlem.

Kaja błyskawicznie zerwała się na nogi, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie usłyszała. Podbiegła do pozostałych, odepchnęła Kubę i wyjrzała za drzwi.

Mieli rację. Zamiast korytarza, parę metrów niżej leżała sterta gruzu, połamanych desek i cegieł. Pomimo wiszącego w powietrzu pyłu dało się jednak dostrzec, że nie było to typowe gruzowisko. Spomiędzy zwałonych elementów konstrukcyjnych wystawały ręce, nogi i inne części ciał zombie. Zawał budynku pogrzebał żywcem trupy, ale nie zabił ich, a przynajmniej nie wszystkie – przez co cała ta nieskładna masa drgała i pulsowała, a spod zwałów budulca dolatywały głuche, niepewne jęki umarłych. Kaja poczuła się, jakby oglądała scenę z horroru, i miała wrażenie, że za chwilę najzwyczajniej w świecie zwariuje.

– Boże... – tylko tyle zdołała z siebie wykrztusić.
– Zamknij drzwi – rozkazał Kuba, jednocześnie samemu wykonując swoje polecenie. Zamknął drzwi, zmusił pozostałych do wejścia w głąb pomieszczenia. Nie protestowali.

– Mój ojciec – powiedziała dziewczyna i nagle jakby spłynęła na nią nowa dawka energii. – Mój ojciec tam jest! Zasypany, musimy po niego iść! Szybko! Musimy mu pomóc! – zerwała się na równe nogi.

– Poczekaj, nie możemy tak po prostu... – próbował Kuba, jednak Kaja nie zaszczyciła go nawet przelotnym spojrzeniem.

Max stał już obok niej, ładując swoją strzelbę. Ewidentnie przestał się przejmować zdaniem Kuby.

– Ile ci zostało?

Kaja zerknęła na broń, następnie sięgnęła do kieszeni krótkich dzinsów.

– Jakies dziesięć... osiem sztuk. No i ze trzy w magazynku – stwierdziła, uzupełniając magazynek do pełna. W pomieszczeniu panował półmrok, widzieli jednak na tyle dobrze, aby jakoś sobie radzić bez używania latarki. Chociaż byli świadomi, że za drzwiami sytuacja diametralnie się zmieni.

– Mnie podobnie. Nie poszalejemy.

– Wiem.

– Będziemy strzelać tylko wtedy, kiedy będziemy musieli, dobra? – bardziej stwierdził, niż zapy-

tał Max.

– A jak robiliśmy do tej pory? – zapytała przekornie, jednocześnie delikatnie przekrzywiając głowę. Niemniej w jej pytaniu nie było złośliwości, tylko raczej smutne stwierdzenie faktu. Max uśmiechnął się, ale nie skomentował. Bardzo mu się podobało, że pomimo czarnej i głębokiej dupy, w jakiej się znaleźli, dziewczyna potrafiła zachować ironiczne poczucie humoru.

– Gotowa? – zapytał zamiast tego.

Kaja przełknęła głośno ślinę, kiwnęła głową, już zupełnie skoncentrowana na czekającym ją zadaniu. Chłopak tymczasem otworzył drzwi i uważnie podszedł do krawędzi czegoś, co jeszcze kilka chwil wcześniej było starym korytarzem. Zaświecił latarką, wychylił głowę i zerknął na gruzowisko, starając się dostrzec miejsca, po których mogliby zejść. Patrzył przez chwilę, próbując wyrysować w myślach mapę trasy. W promieniu światła pył unosił się i falował, przypominając mistyczne światy i miejsca, w których ludzka stopa nie powinna była stanąć. W końcu Kaja zapytała:

– Damy radę?

– Chyba tak... zobacz, niektóre fragmenty są całkiem spore, można na nich stawać – stwierdził dość niepewnie. – Tylko wiesz, problem polega na tym, że nie wiadomo, co jest pod spodem. Czy jak na takim kłocu staniesz, to czy wszystko się nie zawali. No i mamy tylko jedną latarkę, nie?

– No racja. Dobra, pomóż mi zejść. I poświeć – powiedziała Kaja, zarzucając na ramiona plecak, który wcześniej podniosła z podłogi. Z plecaka wystawał trzon topora, w środku było trochę słodyczy, butelka wody i nóż. Wolą go mieć ze sobą, zakładając, że nie będzie im dane już tu wrócić. Strzelbę przerzuciła przez ramię. Usiadła na wystającym kawałku podłogi i pochyliła się do przodu, aby zobaczyć, czy może w miarę bezpiecznie zejść. Od gruzowiska dzieliły ją mniej więcej dwa metry. Wiedziała, że zejdzie bez większego problemu, jednak z wdrapaniem się z powrotem może być już znacznie gorzej. Zwłaszcza jak coś będzie ją goniło. Tak czy inaczej, nie mogła przecież zapomnieć, że gdzieś tam prawdopodobnie leży jej ojciec, który pewnie bez jej pomocy nie ma szans, aby wydostać się spod gruzów o własnych siłach. Jeżeli przeżył zawalenie – a innej opcji nie brała pod uwagę – musiała szybko mu pomóc. Ta myśl dodała jej animuszu, którego zaczynała jej brakować. Nie zważając na niebezpieczeństwo, odwróciła głowę i powiedziała do Maxa:

– Złap mnie za rękę. Powoli się opuszczę.

– Poczekaj – powiedział Kuba, nagle pojawiając się w drzwiach. Trzymał w rękach zwinięte połacie jakiegoś materiału. – Przesuń się – polecił i gdy dziewczyna usłuchała, zrzucił powiązane ze sobą prześcieradła. Dodatkowo zawiązał na nich supły, które mogły ułatwić schodzenie i – później – ewentualny powrót.

– Skąd je wzięłeś? – zapytała.

– Leżały w szafie. Kaśka je znalazła – odpowiedział, cały czas majstrując przy węzłach. – Związałem kilka ze sobą. Poczekaj, jeszcze nie idź. Przeciągnę je pod szafą i zrobię na końcu wielki supeł, żeby się zaklinowały. Będzie bezpieczniej.

– Na pewno to dobry pomysł? Szafa się nie przesunie? – zapytała, niezbyt ufając koncepcji policjanta.

– Normalnie bym spróbował ją obwiązać, ale nie mam już więcej prześcieradeł. Musimy tego spróbować, chyba że macie lepszy pomysł.

– Może zaklinujemy węzeł w drzwiach? Przy samej futrynie, od spodu, tam, przy zamku. O, tak, w tej szparze. Z tyłu będzie węzeł. Powinno wytrzymać, no i drzwi się przecież nie przesuną – zasugerował chłopak, wskazując dolny prześwit między drzwiami a futryną. Pozostali przystali na ten pomysł.

– To ja ci teraz poświecę, a potem podam ci latarkę – zaproponował Kuba.

Parę chwil później stopa Kai oparła się o gruz. Dziewczyna dostała latarkę, ostrożnie się odwróciła i uniosła broń. Źródło światła umieściła w lewej dłoni. Nie zastanawiała się, jak w takiej konfiguracji przeładuje strzelbę, ale domyślała się, że to nie będzie zbyt proste zadanie. Z dołu wszystko wyglądało inaczej – teraz dokładniej widziała zniszczenia wywołane wybuchem. Korytarz wyglądał jak zejście do samego piekła. Widziała ręce wyciągnięte w jej stronę, dokładniej słyszała zawodzenie umarłych. Pomiędzy gruzami dostrzegła wlepione w nią oko, gdzieś prześwitywała cały czas kłapiąca zębami szczeka. Czuła się jak bohater gry komputerowej, który musi pokonać dziwne, makabryczne wyzwanie, aby ukończyć misję. Z tą tylko różnicą, że tu nie mogła wgrać zapisanego stanu gry. Przerazona, ale i zdeterminowana zacisnęła zęby i poprosiła w duchu swoją matkę, aby nad nią czuwała. Miała tylko nadzieję, że prosi prawdziwą matkę, a nie zmore, która jej się niedawno przyśniła. Balansując ciałem niczym kotka, ruszyła przed siebie. Stając na niektórych, większych fragmentach gruzu czuła, jak pod spodem coś się rusza. Starła się nie myśleć o tym, gdzie się znajduje i co robi, tylko skupić się na maksymalnie efektywnym przemieszczaniu się.

– Możemy? – usłyszała zza pleców głos Maxa.

Nie odwróciła się, uniosła tylko dłoń i machnięciem potwierdziła, że mogą schodzić.

Kaja zabezpieczała ich zejście. Przyglądała się zniszczeniom, szukała podejrzanego ruchu, powoli, metodycznie oświetlając korytarz. Prawa ściana stała popękana, gotowa w każdej chwili zwalić im się na głowę nie tylko sama, ale i z całym dachem. Lewej ściany praktycznie nie było, gdzieniegdzie pozostały tylko mniejsze lub większe fragmenty połączonych zaprawą murarską cegieł. Dziewczyna koncentrowała się do granic swoich możliwości, starając się z tego rozgardiaszu wyłapać potencjalne zagrożenie. Jeżeli będą uważnie stawiać kroki, żaden z pogrzebanych zombie nie powinien ich sięgnąć. A przynajmniej taką miała nadzieję. Gorzej, jak zza rogu wypadnie horda, bo wtedy będzie bardzo, bardzo mało czasu na ucieczkę.

Max zaklął kilkukrotnie, co było bezpośrednim dowodem na to, że udało mu się zejść i stanąć na gruzie przykrywającym zombie.

– Dobra, idziemy – usłyszała cichy, ale i stanowczy głos Kuby. Jakby wreszcie mu się przypomniało, kim jest i jak powinien się zachowywać.

– A Kaśka? – zapytał Max. Następnie skierował głowę ku górze. – Nie schodzisz?

Kaja odwróciła się i poświeciła w jej stronę. Zobaczyli ją – klęczącą na podłodze i pochyloną nad rumowiskiem. Jej oczy wypełniały łzy.

– Na razie nie. Poczekam tutaj na was, jakbyście musieli wrócić. Przytrzymam tą naszą linę, wie-

cie, tak dla pewności jakby się okazało, że nie wytrzyma...

Max popatrzył chwilę na nią, ale nie skomentował w żaden sposób jej żalonych prób tłumaczenia się. Może po części uważał ją za członka drużyny, ale absolutnie bezużytecznego, za przysłowiowe piąte koło u wozu, a może... po części zazdrościł jej, że może zostać we względnie bezpiecznym miejscu. Kiwnął głową, odwrócił się i ruszył.

– Tylko ostrożnie – powiedział Kuba, zamykający pochód. Zauważył jeszcze, jak Kaśka wciąga linę z powiązanych prześcieradeł.

Kaja poczuła się jak małe dziecko, ale nie skomentowała uwagi policjanta. Zamiast tego ruszyła przodem, pokazując im jednocześnie, gdzie mogą stawiać stopy. Po paru metrach dotarła do miejsca, w którym korytarz jeszcze parę minut temu się zaczynał. To tu powinna stać klatka schodowa, ale zamiast tego ujrzała wystającą z gruzu drewnianą, teraz poważnie połamaną konstrukcję. Schody pięły się w górę, ale nie osiągały miejsca przeznaczenia. Wyglądały jak stare, popękane żebra, przez co poczucie poruszania się po surrealistycznym cmentarzysku tylko się wzmogło. Po jej lewej stronie były drzwi, które prowadziły do salonu. W tym miejscu zrobili spotkanie, przez głowę przeleciało jej nedorzeczne wspomnienie, jak to tutaj podała wszystkim kawę. Schyliła się i zajrzała do pomieszczenia. Zobaczyła, jak pod oknem spoczywa ciało żołnierza, aktualnie patroszone przez odwróconego do niej plecami zombie. Kaja przeniosła wzrok i zobaczyła drzwi prowadzące do przedpokoju, z którego można było wejść na schody, przejść do kuchni, ruszyć w stronę biblioteki lub wyjść z dworku. Teraz te drzwi były tak zavalone gruzem, że potrzebowaliby paru godzin, aby się przez to rumowisko przekopać. Plus tej sytuacji był taki, że w takim razie zombie na pewno tą stroną nie przejdą. Dziewczyna nie miała na to ochoty, ale musiała eliminować każde zagrożenie, wobec tego powoli, starając się zachować maksymalną ciszę, ześlizgnęła się z hałdy gruzu zalegającego w korytarzu i zjechała do salonu. Sięgnęła ręką do wystającego z plecaka topora. Nie spuszczając przeciwnika z oczu, wyciągnęła broń i złapała oburącz, wcześniej pozwalając strzelbie bezwładnie zawisnąć na pasie taktycznym. Była nie dalej niż trzy metry od – zdawać by się mogło – niczego niespodziewającego się zombie, gdy nagle potwór odwrócił głowę.

Kaja zobaczyła twarz około czterdziestoletniej kobiety, teraz całą umazaną we krwi. Jej dłonie, zatrzymane w pół ruchu przed ustami, unosiły do nich fragmenty wnętrzości patroszonego ciała. Dziewczyna nie zawahała się nawet przez sekundę – z milczącą zawziętością rzuciła się przed siebie, aby dwoma susami doskoczyć do zombiaka i zatopić w nim topór. Broń rozłupała czaszkę niczym dorodnego, soczystego arbuza. Kaja miała ochotę przy tym krzyknąć, jednak pamiętała, że muszą się zachowywać możliwie cicho. Krew strzeliła z rany, a wyciągnięte w stronę dziewczyny ręce zwiotczały nagle, jakby ktoś wyjął baterię z układu sterującego trupa. Kaja zaparła się nogą o kobietę i wyszarpnęła broń, przy okazji dekorując podłogę kolejną krwawą smugą. Stała tak przez chwilę i pozwalała, aby adrenalina wściekle krążyła po jej spoconym, zmęczonym ciele. Wdychała i wydychała powietrze pachnące krwią i zgnilizną, jednocześnie czując się, jakby właśnie ukończyła maraton.

– Wszystko okej? – usłyszała cichy głos, dobiegający gdzieś zza pleców.

Odwróciła się i zobaczyła Maxa przyglądającego się jej ze sterty gruzu. Bez słowa ruszyła w jego kierunku.

– Zastrzelili go – powiedział smutno Kuba, wychylając głowę. – Te skurwysyny go zastrzeliły. A my staliśmy tuż obok.

– Nie mamy czasu, idziemy – powiedziała zimnym, bezosobowym tonem. – Pamiętasz, gdzie była ta biblioteka?

Kuba przytaknął.

– Tak, tak – pomachał jeszcze głową i ruszył na czele całej trójki. – Chodźmy.

Zrobił to wyjątkowo żwawo, jakby nagle mu się przypomniało, że gdzieś tam przecież jest jego żona. Przed oczami pojawiła mu się Natalia, cała pocięta i brudna, zasypana gruzem, z twarzą poranioną odłamkami cegieł, z ustami desperacko łapiącymi zapyłone powietrze. Zobaczył, jak z jej otwartych ran wycieka krew, a razem z nią życie. Wiedział, że nic nie może zrobić, wiedział, że zbyt długo zwlekał z działaniem – nie wiedział jednak, nie potrafił nawet w najgłupszy sposób usprawiedliwić swojego zachowania. Nie miał pojęcia, czemu tak się zachował, a niemożność cofnięcia czasu i tragiczne konsekwencje, jakie mogą wyniknąć z jego zachowania, niemalże zwały go z nóg. Kuba poczuł, jak jego ciałem wstrząsają torsje, jak gęsta fala palącej żółci wędruje w górę jego przetyku. Zatrzymał się, oparł dłonią o ścianę. Na czoło wystąpiły mu ciężkie krople potu, poczuł, jak uderza go fala gorąca. Poczuł też czyjąś dłoń na ramieniu, ale był tak zdezorientowany i zdenerwowany, że odskoczył jak oparzony.

– Spokojnie – powiedziała Kaja, uważnie przyglądając się policjantowi. – Wszystko w porządku?

Kuba wziął głęboki wdech, następnie powoli wypuścił zgromadzone w płucach powietrze. Z wyraźnym trudem przełknął ślinę, kiwnął niepewnie głową. Gardło miał wyschnięte na wiór.

– Tak. Chodźmy.

Ruszył dalej.

Kaja ponownie szła pierwsza, chociaż grupa trzymała się blisko siebie. Kilukrotnie musiała machnąć toporem, zabijając zombie, który zbyt usilnie starał się wydostać spod rumowiska. Pomimo tego starali się poruszać szybko, nie tracąc czasu i energii na niepotrzebną walkę. Po paru krokach dziewczyna dotarła do końca korytarza. Ostrożnie wyjrzała za róg.

– O Jezu – powiedziała cicho i błyskawicznie ruszyła przed siebie.

– Kaja, poczekaj! – krzyknął Max, ruszając w jej kierunku, ale nie zdążył jej złapać. Skoczył za nią i dopiero gdy zobaczył to, co ona, zrozumiał jej zachowanie.

Wychyliwszy się z za rogu, Kaja ujrzała rumowisko. Nie zawałony korytarz, nie kilka pękniętych krokwi, tylko zwały niemożliwego do przekopania gruzu. Tylne ściany biblioteki zostały zburzone, przez co dziewczyna widziała ciemne zarysy drzew i rysujące się w oddali ogrodzenie. Boczne ściany jako tako się trzymały, ale były przysypane gruzem. Niektóre fragmenty mebli stały w ogniu, książki również szybko i ochoczo zajęły się płomieniami. Kaja poczuła, jak przygniata ją uczucie beznadziei i utraconej szansy, wprost proporcjonalne do wagi cegieł, które przygniotły jej ojca. Miała ochotę osunąć się i zapłakać, jednak nie mogła. Poczuła, jak słone łzy tworzą czystą ścieżkę

na jej pobrudzonej pyłem twarzy. Odrzuciła topór i zaczęła gołymi rękami odwalać gruz. Nie dbała o bezpieczeństwo, nie myślała o zombie, którzy cały czas kręcili się w pobliżu. Wiedziała, że ma bardzo mało czasu, że jej ojciec może gdzieś tam być i przecież żyć, że nie ma nawet jednej chwili do stracenia.

Max nie zamierzał jej przerywać, wiedząc, że to nie miałyby szans powodzenia. Zamiast tego szybko rozejrzał się, szukając bezpośredniego zagrożenia. Korytarz za nimi był bezpieczny, zawalona strefa z przodu również. Po swojej lewej stronie widział prześwitujący wąski przesmyk, którym chyba można się było dostać do głównego wejścia, jednak na chwilę obecną nie było w nim widać ani żywej, ani martwej duszy.

Chłopak położył latarkę na ceglach, odłożył broń i zaczął pomagać Kai. Po chwili przezornie sięgnął po latarkę i wyłączył ją, gdyż ogień dawał im wystarczająco dużo światła. Kuba także już wskoczył na gruz i robił to samo, z szaleństwem w oczach rozglądając się za jakimkolwiek śladem, mogącym zaprowadzić go do żony. Jego ciałem cały czas wstrząsały dreszcze, środek czaszki rozsadzał paniczny, niekończący się wrzask.

– Uważaj, zejdz! – powiedziała głośno Kaja. – Możesz któreś z nich przygniatać!

– Chodź, pomóż mi z tą belką. Jezu, jakie to ciężkie – stęknął Max, próbując udźwignąć jedną z krokwi palącą się na końcu. Kilkumetrowej długości kłoda musiała zostać odgruzowana na całej swojej długości, inaczej jej ciężar byłby zbyt wielki, by dało się ją ruszyć.

– Musimy ją oczyścić! – stwierdził Kuba. – Max, wejdz z tamtej strony, staraj się iść przy ścianie i podawaj mi te kawałki.

– Paweł! Tato! – zaczęła krzyczeć Kaja, desperacko i chaotycznie odrzucając przedmioty, które tylko znalazły się w zasięgu jej ramion.

– Kaja, ciszej! Nie krzycz tak, musimy być ciszej! – Max szybko doskoczył i złapał ją za ramiona. – Inaczej za chwilę zlecą się te mendo.

Dziewczyna pokiwała głową, ale jej oczy przepełniało narastające szaleństwo. Zagryzła wargę, kiwnęła głową raz jeszcze, dając chłopakowi do zrozumienia, że powinien ją już puścić.

Ten ruszył w kierunku wskazanym przez policjanta. Nie chciał myśleć o bezsensie tego działania, nie chciał głośno mówić, że wątpił, aby udało im się wyciągnąć kogokolwiek żywego. Starał się odrzucać negatywne myśli i skupić się na działaniu. Wskoczył na belkę, zaczął z niej zrzucać co cięższe kawałki gruzu i wszelkiego walającego się śmiecia. Modlił się przy tym, aby przypadkowo nie przygnieść nikogo, kto mógł być pod nim, odskakiwał za każdym razem, gdy tylko najmniejszy fragment rumowiska się osuwał.

Ciężko dyszeli, gdy przez parę minut w milczeniu starali się odkopać zasypanych. Przestali zwracać uwagę na hałas, jaki wywołują, nie zastanawiali się nad jego konsekwencjami.

– Widzicie coś? – zapytała wystraszonym głosem Kaja.

– Nie – odpowiedzieli zgodnie. – Kop dalej – dodał jeszcze Max.

– Na pewno tu wchodził? – zapytała nagle dziewczyna, prostując się. Trzymała w rękach wyłamane drzwiczki od szafy, na jej twarzy odbijały się tańczące płomienie.

Kuba spojrział na nią, zastanowił się chwilę, desperacko łapiąc się nowej szansy.

– Nie wiem, czy na pewno – odpowiedział. – Słyszałem, jak Paweł kazał tu biec Natalii, ale czy dobiegli – tego nie wiem.

– Czyli wcale może ich tu nie być – próbowała Kaja, która pomimo swoich słów, kontynuowała kopanie.

– Ale też mogą być. Powinniśmy się upewnić – powiedział Max. Jako jedyny mógł poświęcić część swojej uwagi na pilnowanie, czy na horyzoncie nie pojawiają się zombie. I gdyby nie on, prawdopodobnie zauważyliby nadciągające zagrożenie zbyt późno.

Kudłacz dosłownie w ostatniej chwili usłyszał, jak przez wąski przesmyk prowadzący do przedpoju, przechodzi zombie. Nieumarły potknął się o stertę gruzu, jaką przezornie zaczął usypywać Max. Potknął się, przewrócił i jęknął, ale nie przeszkodziło mu to w czołganiu się w stronę potencjalnej ofiary. Chłopak zareagował instynktownie – uniósł trzymany akurat w rękach kawał betonu i ciężko zrzucił go prosto na głowę poczwary. Krew trysnęła z pękniętego łba, a umazany nią głaz odturlał się na bok. Zombiakiem wstrząsnęły jeszcze pośmiertne drgawki, ale w końcu znieruchomiał na dobre.

– Kopcie, szybciej! – krzyknął chłopak, przechodząc nad trupem. Sięgnął po latarkę, schował ją do kieszeni i uniósł broń. Przeładował, gotowy do oddania strzału w wąskie przejście, którym nadszedł zombie, i w którym teraz pojawiła się kolejna gęba. Potwór, widząc swoją ofiarę, zasyczał niczym dziki kot i rzucił się pędem przed siebie. Chłopak spanikował, oddał strzał, ale chybił. Pocisk wyrwał fragmenty cegieł dosłownie kilka centymetrów obok głowy zombie, który z każdą chwilą był coraz bliżej. Max błyskawicznym ruchem przeładował, oddał ponowny strzał, tym razem celując w pierś kreatury – i tym razem nie chybił. Trafiony, z olbrzymią siłą, młody mężczyzna cofnął się kilka centymetrów – i prawdopodobnie powędrowałby dalej, gdyby nie ściany i pozostali zombie tłoczący się z tyłu. Widząc nadchodzące potwory, Max poczuł, jak po jego plecach przebiega dreszcz.

– Szybko, jest ich coraz więcej! – krzyczał do Kai i Kuby, którzy w panicznym tempie przewalali gruzowisko. Mogli sobie już pozwolić na nawoływanie zasypanych, gdyż ich konspiracyjna akcja ratunkowa została zdemaskowana. Krzyczeli, łudząc się, że usłyszą wołanie Natalii lub Pawła. Niestety, nic takiego nie nastąpiło. Po paru sekundach Kaja uniosła głowę, próbując wybrać nowe miejsce, w którym mogłaby rozpocząć poszukiwania. Nagle jednak krzyknęła:

– Kuba, za tobą!

Policjant odwrócił się i zobaczył, jak na podwórzu zaczęli się pojawiać pierwsi zombie. Jeden już biegł w stronę oświetlonego ogniem człowieka, rozłożywszy ręce, jakby chciał przywitać dawno niewidzianego przyjaciela. Kuba szybko uniósł broń i strzelił kilkukrotnie, uświadamiając zombie, że nie podziela jego entuzjazmu. Maszkara padła martwa na mokrą ziemię. Policjant zaklął, widząc na horyzoncie kolejnych zombie.

– Musimy uciekać! – krzyknął.

– Nie! Nie możemy ich tu tak zostawić! – zaproponowała Kaja. Z desperacką zawziętością odrzucała gruz, nie bacząc na fakt, że ma już poranione do krwi dłonie. Łzy skapywały jej po twarzy, cała sytuacja ją przerosła – zombie, ciągła walka, strzelaniny, wszechobecna śmierć. Nie wyobrażała sobie, jak mogłaby to wytrzymać bez wsparcia ojca, toteż przerzucała rumowisko, niczym sprawny ratownik TOPR-u przekopujący lawinę w poszukiwaniu kogokolwiek żywego. Wiedziała, że każda sekunda ma znaczenie. Gdzieś tam z daleka słyszała nawoływania Maxa, krzyki Kuby. Coraz więcej strzałów, coraz głośniejsze krzyki. Nie dbała o to. Nagle ktoś ją wyrwał z transu, pociągnął za ramię, poderwał do góry.

– Musimy uciekać! – krzyknął jej prosto w twarz Max.

Kaja starała się go odepchnąć, uderzyć, ale była na to zbyt słaba. Ledwo zaciśnięta pięść wylądowała na ramieniu chłopaka, nie sprawiając mu najmniejszego bólu.

– Kaja, musimy uciekać, bo zginiemy – powiedział zaskakująco spokojnym, wyrozumiałym głosem.

– Nie, nie możemy! Przecież oni tu także zginą! – wiała się, starała oswobodzić. Siła, która tkwiła w jej wnętrzu, gdzieś nagle się ulotniła, techniki walki poszły w zapomnienie i pozostała tylko zwierzęca, desperacka wola walki. I strach.

– Wrócimy tu po nich! Ale jak się nie ruszymy, to za chwilę wszyscy zginiemy! – krzyknął. Poczuli, jak dziewczyna jakby zwiotczała, rozluźniła mięśnie. Nagle jednak napięła się, odskoczyła od chłopaka. Dobiegła do swojego plecaka, jednym ruchem zarzuciła go na plecy. Uniosła broń, przeladowała i z wściekłością zaczęła strzelać do wychodzących ze szczeliny zombie. Przy dźwiękach burzy, trzaskających płomieniach i wystrzałach strzelby wyglądała jak mistyczny wojownik, wściekła niczym sama Walkiria bohatersko walcząca z nieprzebranymi hordami potworów. I gdzieś wewnątrz czuła, że wypełnia ją siła tak wielka, że mogłaby rozszarpać zombie gołymi rękami.

– Wracamy na górę! – zarządził chłopak, przebiegając za plecami Kai. Chciał ruszyć z powrotem korytarzem, wspiąć się po linie z prześcieradeł i wrócić do bezpiecznej miejscówki, jednak wtedy, ku jego absolutnemu zaskoczeniu, na korytarzu pojawiły się kolejne maskary, chciwie wyciągające ręce w jego stronę.

– Co... – zdążył wyszeptać pełen niedowierzania, jednak wtedy Kaja wystrzeliła tuż obok niego, co dość brutalnie, aczkolwiek skutecznie, sprowadziło go na ziemię.

– Nie stój jak kolek!

– Ale skąd one się tu wzięły?! – pytał, zupełnie nie rozumiejąc nowej sytuacji.

– Gównu mnie to obchodzi, strzelaj do cholery! – krzyczała Kaja, z determinacją prowadząc ogień. Amunicji ubywało w zastraszającym tempie.

– Kuba, nie wrócimy tam! – krzyknął chłopak. – Musimy uciekać!

Policjant gorączkowo rozejrzał się po okolicy. Wysoki mur był nietknięty, nie zdążyliby go przeskoczyć, a biegając w kółko, pozwoliliby się w końcu otoczyć. Nagle jednak wpadł na pewien pomysł.

– Szybko, do mnie! – rozkazał.

Chłopak kiwnął głową Kai, żeby pobiegła pierwsza. Uważnie przeskoczyła rumowisko, jeszcze podczas tego próbując dostrzec jakieś wskazówki potwierdzające, że jednak jej ojciec żyje. Ale czasu było coraz mniej. Po paru sekundach dopadła do Kuby. Max podązał tuż za nią, idąc tyłem. Strzelał do zombie, którzy teraz zaczęli wynurzać się z przesmyku.

– Musimy dobiec do samochodów – zakomunikował Kuba. – To nasza jedyna szansa. Nie damy rady przeskoczyć przez mur, jest ich za dużo.

Kaja zacisnęła zęby.

– Nie odjedziemy daleko, odciągniemy je i od razu tu wracamy. Jasne? – bardziej stwierdziła, niż zapytała, a ton jej głosu wyraźnie świadczył o tym, że nie ma co liczyć na jakiekolwiek negocjacje w tym temacie.

– Tu jest też moja żona! Nie patrz tak na mnie, nie tylko ty kogoś... – Chciał już powiedzieć „straciłaś”, jednak w porę ugryzł się w język. Samo prawdopodobieństwo takiego rozwoju wydarzeń wywołało u Kuby bolesny skurcz żołądka. – Oczywiście, że tu wrócimy.

Tymczasem Max już do nich dopadł.

– Zostały mi ze trzy strzały – wysapał.

– Dobra. Biegniemy do volva – powiedział Kuba i ruszył jako pierwszy. Biegł blisko ściany, chcąc pozostać jak najdłużej w ciemności. Za rogiem budynku czaiło się dwóch zombie, ale policjant zastrzelił ich bez większego problemu – bał się natomiast, co zastaną po wyjściu na podwórze przed domem. Zobaczył jeszcze, że po jego prawej stronie, przy murze, leżą zwłoki. Był niemal pewien, że on do nich nie strzelał, Kaja i Max również nie mogli ich trafić. Także nikt z domu nie prowadziłby ognia pod takim kątem. Więc czy to możliwe, że Paweł i Natalia uciekli tędy i jakoś przeskoczyli przez mur?

„Czy mogliby nas zostawić w takiej sytuacji?” – pomyślał i poczuł wewnętrzny żal. W tym samym momencie błyskawicznie się zreflektował, uświadamiając sobie, że aktualnie robią to samo – i bynajmniej nie jest to spowodowane chęcią, tylko potrzebą wynikającą z nagłej zmiany sytuacji. Może w ich przypadku wyglądało to tak samo? O ile nie poniosła go wyobraźnia i najzwyczajniej w świecie nie nadinterpretował faktów.

Dobiegając do końca budynku, zatrzymał się i spokojnie wyjrzał za róg. Chciał uniknąć sytuacji, w której niespodziewanie wpada prosto w hordę zombie. Wychylił głowę. Poczuł, jak pierwszy raz od bardzo dawna, jest mu dane zaczerpnąć powietrza pełną piersią – teren przed domem był pusty, nie licząc kilkunastu zwłok, oraz ze dwóch, trzech zombiaków patroszących martwego chłopaka. Kuba odwrócił się do pozostałych:

– Jest ich tu kilka, ale chyba są wolne. Poza tym pusto. Max, lecis od strony pasażera, Kaja z tyłu. Ja prowadzę. Pakujemy się do volva.

– Musimy krzyknąć Kaśce, że po nią wrócimy – zauważyła Kaja.

– Okej. Ale to jak będziemy w samochodzie. Zacznę trąbić, może uda się je odciągnąć i wtedy wrócimy do przekopywania.

– Dobra.

Chwila pauzy, wszyscy zaczerpnęli oddech jak przed skokiem do głębokiego jeziora.

– Gotowi? – zapytał Kuba.

W tym momencie Max odwrócił się, usłyszawszy, jak zza rogu wybiega kilku zombie.

– Tak, tak, biegnij! – krzyknął, oddając strzał. Udało mu się zastrzelić jednego potwora, ale pozostałe konsekwentnie parły naprzód.

„To się nie może udać” – pomyślał Kuba i z tą, jakże pokrzepiającą i dodającą animuszu myślą, ruszył przed siebie. Słyszał, że Kaja i Max zrobili to samo. Jednak nie wszystko poszło tak sprawnie, jak zakładał – zwabieni oddanym niedaleko strzałem zombie, patroszący zwłoki Krzyśka, podnieśli się z kostki i ruszyli w ich kierunku. Policjant zatrzymał się i wypalił kilka razy w ich kierunku. Naraz z przerażeniem usłyszał głucho uderzenie iglicy o pustą komorę, świadczące o tym, że skończyła mu się amunicja. Na całe szczęście Kaja przytomnie zastrzeliła trzeciego zombiaka, przez co ich przedpole było teraz puste.

– Dawajcie! – krzyczał policjant, chociaż nikogo nie trzeba było namawiać. Sam dopadł do auta i szybko wskoczył za kierownicę. Przyjrzał się drodze, na której leżały trupy i fragmenty roztrzaskanej bramy, mając nadzieję, że uda im się bezpiecznie wydostać. Zakopanie się lub złapanie gumy byłoby dość niefortunnym zwieńczeniem ich desperackiej walki o życie. Tymczasem Kaja wpadła na tylną kanapę, a Max na siedzenie pasażera. Dziewczyna usiadła bokiem, uważnie wpatrując się w dworek. Cały czas łudziła się, że gdzieś tam zobaczy ruch, że nagle w drzwiach pojawi się jej ojciec, jakaś ręka wystrzeli spod gruzowiska jak na filmach, lecz, oczywiście, nic takiego się nie wydarzyło.

– Jedź! – krzyknął Max.

Przezornie, wcześniej zakładając taki czarny scenariusz, zostawili kluczyki do volva w wozie. Kuba szybko wsadził je do stacyjki, przekręcił i nieco się zdziwił, gdy silnik od razu zaskoczył. Wrzucił jedynekę, szybko zwolnił sprzęgło i wdusił gaz do samej podłogi. Auto poderwało się jak koń smagnięty batem, jednak... równie nagle i gwałtownie kierowca wcisnął sprzęgło i puścił gaz po czym kilka razy nacisnął klakson.

– Kaśka, wrócimy po ciebie! Nie wychodź, tam jesteś bezpieczna! Odciągniemy zombie! – krzyknął przez uchyloną szybę. Dziewczyna nie odpowiedziała, nie pojawiła się w oknie – nie było trudno Kubie to zrozumieć, gdyż wcześniej spędzała większość czasu, siedząc na podłodze i czekając, aż wszyscy załatwią, co trzeba, za nią.

„Cóż, teraz będzie musiała sobie poradzić chwilę sama” – pomyślał. „Może nawet wyjdzie jej to na dobre”.

Najprawdopodobniej myślałby inaczej, gdyby wiedział, że dziewczyna nie podeszła do okna nie dlatego, że się bała, ale dlatego, że nie była w stanie. Krzyki policjanta, strzały, trąbienie – to wszystko docierało do niej jak przez mgłę. Świadomość opuszczała ją wraz z krwią, która powoli wypływała z rozciętych nadgarstków. Obok leżał zabrany wcześniej z kuchni nóż.

Kaśka załzawionymi oczami wpatrywała się w słabnący deszcz, czując, jak ogarnia ją coraz więk-

sze zmęczenie, ale i pewien trudny do opisanego stan błogości. Było jej już wszystko jedno. Pogodziła się ze swoim losem i sama nie wiedziała dlaczego, ale jakoś dziwnie ochoczo patrzyła w przyszłość, jakby nie do końca rozumiejąc, że żadnej przyszłości nie będzie.

Kuba zatrąbił jeszcze kilkukrotnie, starając się ściągnąć na siebie uwagę zombie. I faktycznie udało mu się – zza dworku, jak na zawołanie, wybiegło kilka trupów, od razu kierując się w stronę auta. Niestety, również od strony bramy nadbiegały kolejne. Żadna z osób w samochodzie nie wzięła tego pod uwagę, lecz było już za późno na zmianę koncepcji. Teraz mogli tylko konsekwentnie realizować założony plan, starając się odciągnąć rosnącą horde jak najdalej od zagrzebanych bliskich.

Max zaklął pod nosem, Kaja, przerażona ogromem błędu, jaki jej zdaniem popełniali, zaczęła krzyczeć, że muszą wracać. Policjant natomiast konsekwentnie wbijał gaz w podłogę, jednocześnie miarowo wciskając klakson. Uderzył maską kilku zombie. Jeden z nich, wysoki i szczupły za życia mężczyzna, wyrzucił głowę w przednią szybę volva, która błyskawicznie pokryła się pajęczyną pęknięć – na szczęście po stronie pasażera.

– Uważaj! – krzyknęła odruchowo Kaja, chociaż Kuba i tak robił, co w jego mocy. Jednocześnie musiał myśleć o tym, aby nie trafić w żadnego zombie, a wymijając ich, przy okazji nie trafić w ogrodzenie, słupek, inne auto czy krawężnik. Musiał myśleć także o tym, jak daleko odjechać, kiedy wrócić i co zrobić, żeby wydostać spod gruzów Natalię. Lekko nie było, multitasking na poziomie mocno zaawansowanym.

Opuścili teren dworku, wyjechali na ulicę i dopiero wtedy pojęli ogrom błędu, jaki popełnili. Zombie było pełno. Trupy gromadziły się na ulicach – wolne, gnijące zwłoki, zwabione nie tylko śmiesznym klaksonem, ale przede wszystkim ostrą wymianą ognia. Jakby dopiero zdążyły się zleść z całej okolicy.

– Kurwa mać – wycedził Max, nerwowo kręcąc się na siedzeniu. – Nie mamy tyle amunicji!
– Nie mamy już prawie w ogóle amunicji! – odkrzyknęła Kaja. – Kuba, zawracaj. Musimy zablokować autem bramę.

Ale policjant cały czas parł przed siebie. Walnął kilka trupów, lecz tłum gęstniał coraz bardziej. Wiadomo było, że niskim kombi nie mają szans się przebić. Tylko czekał, aż koła zabuksują na jakimś rozkładającym się cieple, samochód znieruchomieje i zeżre ich otaczająca wóz horda. Widział, że to była tylko kwestia czasu, ale jego spanikowany mózg nie był w stanie wymyśleć lepszego scenariusza działania, więc konsekwentnie parł przed siebie.

Aż do chwili, gdy przekroczyli granicę, zza której już nie było powrotu.

– Co robisz? Musimy po nich wrócić! – krzyczała z tyłu Kaja. Tylko ostatkiem sił powstrzymywała się od zarzucenia ramion na szyję Kuby, przyduszeniem go i zajęciem miejsca za kierownicą. Wiedziała jednak, że to byłoby zbyt ryzykowne.

– Zamknij się! Daj mi myśleć!

– Tam, skreć w prawo – rzucił Max, skupionym spojrzeniem lustrujący zmieniającą się okolicę. Faktycznie, ulica w prawo była praktycznie wyludniona, natomiast daleko przed nimi widać było

co najmniej kilkudziesięciu zombie. Dostrzegli również blokujące przejazd auta, a o wycofaniu się nie mogło być mowy – opuszczający teren dworku zombie w różnym tempie ścigali uciekinierów, skutecznie zacieśniając krąg pogoni. Gdyby byli w stanie spojrzeć na swoją sytuację obiektywnie, porównaliby ją do tej, której doświadcza lis osaczany przez psy i jeźdźców na koniach. Ale mieli teraz na głowie zupełnie inne zmartwienia.

Skręt w prawo był ich jedyną rozsądną alternatywą. Wjechali w wąską, zaniedbaną uliczkę między niskimi blokami. Reflektory auta oświetlały puste okna, pootwierane drzwi. Nawet nie zauważyli, kiedy przestał padać deszcz ani kiedy w mieście zabrakło prądu. Nie zauważyli też znaku, który ograniczał prędkość do dwudziestu kilometrów na godzinę, ostrzegając, przed grającymi w piłkę dziećmi i informując przy okazji, że wjeżdżają w ślepą uliczkę.

– Nie, nie, nie... Kurwa! NIE! – szept Kuby przemienił się w nerwowy okrzyk, jakby chciał rzucić zaklęcie lub klątwę.

Max i Kaja wezwali swoich bogów, ale żaden nie raczył podać im pomocnej dłoni.

– Szybko, łapcie co możecie i wbiegamy na klatkę – zarządził Kuba.

Skupiony i przerażony jak nigdy wcześniej, nawet bał się nawiązać kontakt wzrokowy z pozostałymi. Chwycił swoją broń, otworzył drzwi i od razu wypalił do nadciągających zombie.

To znaczy chciał wypalić, bo zapomniał, że skończyła mu się amunicja.

– Kurwa jego mać! – w pierwszym odruchu chciał cisnąć w bok bezużyteczną broń, ale opamiętał się, dosłownie w ostatniej chwili.

– Do drzwi! – Max pobiegł jako pierwszy, odważnie zagłębiając się w ciemność klatki schodowej. Odważnie lub desperacko – bo przecież nie mógł wiedzieć, co jest w środku.

Chłopak zatrzymał się, czekając na pozostałych. Wykorzystał te parę sekund, spojrzął na kręte schody wiodące w górę. Następnie wychylił się i zobaczył tonące w mroku wyjście z drugiej strony bloku. Mogliby przebiec tędy, zamiast gramolić się na górę, skąd – jak powszechnie wiadomo – zawsze jest tylko jedno wyjście.

– Nie stój tak! – Kaja wpadła z pełnym impetem na jego plecy, prawie się przewracając. Kuba był tuż za nią.

– Chodźcie, tędy – kudłacz zdecydował za nich, ruszając biegiem w stronę drzwi prowadzących na drugą stronę bloku. Na ich szczęście były otwarte.

PIĄTEK

NIEZNANA LOKALIZACJA, GODZINA 03:30.

Dobrze zamknąłeś? – zapytał Max.

Kuba odburknął w odpowiedzi coś niezrozumiałego, więc chłopak podszedł do drzwi i szarpnął za klamkę. Zamknięte. Następnie zbliżył się do okna, delikatnie odsunął zasłonkę i wyjrzał – ulica była pusta, cicha i ciemna. Gdzieś w oddali widoczna była pojedyncza łuna pożaru, iskry wlatywały wysoko w niebo, podczas gdy płomienie w samotności pożerały jakiś stary, zapomniany budynek. Po pogoni nie było nawet śladu.

– Chyba możemy tu zostać – powiedział chłopak, odwracając się do Kai i Kuby. – Chyba udało nam się ich zgubić.

Jednak nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Kaja siedziała na podłodze pod ścianą, wcześniej rzucawszy obok siebie plecak, z którego cały czas wystawał trzonek topora. Oparła przedramiona o kolana, wsunęła głowę między ręce i powoli oddychała. Jej usta delikatnie, ledwie zauważalnie drżały. Widać było, że resztkami sił stara się nad sobą panować.

Kuba natomiast usiadł ciężko na krzeselku przy stole, na którym położył broń. Mocno zaciskał szczęki i pięści, podczas gdy z jego brązowych oczu sypały się iskry. Niestety, bardziej przypominały one drzazgi z ogniska gasnące w powietrzu niż płonące węgle, którymi sypał wcześniej. W pełnym niewypowiedzianego bólu milczeniu wpatrywał się w bliżej nieokreśloną przestrzeń, gdzieś daleko przed sobą. Max rozumiał, że żadne z nich nie nadawało się teraz do... praktycznie do cze-gokolwiek. Z kolei on potrzebował zebrać myśli, przy okazji pozostawiając ich samych sobie. Rozumiał, że w pewnych momentach życia pojawiają się demony, którym musimy stawić czoło samodzielnie.

– Sprawdź, co i jak – oznajmił obecnym tylko ciałem ludziom, uniósł broń i ruszył w głąb mieszkania.

Dom, do którego wbiegli, lata swojej świetności miał już za sobą. Była to stara, mała chałupa, zamieszkaana prawdopodobnie przez jakieś małżeństwo w podeszłym wieku, może przez samotnego dziadunia albo samotną babunię. Świadczyły o tym mocno zużyte, peerelowskie meble, boazeria na ścianach, święte obrazki, dywany i przede wszystkim zapach. Tego ostatniego nie można było pomylić z niczym innym – swoista mieszanka starego potu, kurzu zalegającego we wszystkich kątach i zbyt rzadko pranych ubrań, nie dawała się w żaden sposób podrobić. Chłopak wątpił, aby tu kogokolwiek znaleźli, co można było stwierdzić chociażby na podstawie otwartych drzwi wejściowych. Jednak i tak wolał to sprawdzić. Niby ze względów bezpieczeństwa, ale tak naprawdę chciał się na chwilę ulotnić. Gdy parę leniwych minut później obszedł wszystkie pomieszczenia, niechętnie ruszył w drogę powrotną.

Jednak zanim dotarł do pozostałych, oparł się ciężko o ścianę, zrobił kilka głębokich wdechów i spróbował wziąć się w garść. Przed oczami przeleciała mu sylwetka Pawła, jego skupiona, surowa twarz. Ciemny błysk głęboko osadzonych, szarych oczu. Opowieści, jakie snuł podczas próby wydostania się z metra, bezcenne rady, jakich udzielał. Jego pewność siebie. Koncentracja, jaką osiągał podczas walki, spokój, z jakim prowadził ogień – to wszystko było dla Maxa czymś magicznym, niepojętym i niedostępnym. Nie wyobrażał sobie siebie w takiej roli. Niewątpliwie widział w komandosie autorytet, ale wiedział też, że zupełnie obiektywnie patrząc, bez niego będzie im po prostu sto razy trudniej. Dodatkowo strata Pawła osłabiła nie tylko jego, ale przede wszystkim Kają. Max wolał nie myśleć o tym, co przeżywała dziewczyna, jak nieporównywalnie większy ból rozrywał ją od środka. Wiedział, że ten ból z czasem minie.

Pytanie tylko, o jakim czasie była mowa.

I czy przeżyją wystarczająco długo, aby się o tym przekonać.

Zacisnął zęby. Ruszył do pozostałych.

– Dom jest pusty – powiedział parę chwil później.

Kaja bez słowa wstała, wzięła swoje toboły i skierowała się w głąb mieszkania.

– Idę się położyć – oznajmiła.

Mówiła cichym, wypranym z emocji głosem. Jakby było jej wszystko jedno, jakby dalsza walka nie miała już jakiegokolwiek sensu czy znaczenia. Maxowi sprawiało to chyba więcej bólu niż utrata Pawła.

– Tam są dwie małe sypialnie. Pokażę...

– Trafie.

Minęła go i zagłębiła się w ciemne, nieznanne mieszkanie. Chłopak chciał ją przytulić, pocieszyć, powiedzieć, że przecież wszystko będzie dobrze. Znaleźć jakiś argument, uchylić rąbka boskiego planu, by wyjaśnić to, czego doświadczyli, ale... nie mógł. Wiedział, że to tak nie działa. Co było w tym najgorsze, to to, że sam nie wierzył w rzeczy, które mógłby spróbować powiedzieć z pełną świadomością, że to kłamstwa. Nie potrafił sobie wyobrazić, jaki w tym wszystkimi mógłby tkwić sens, jaki bóg pociągał za sznurki w tak okrutny i bezwzględny sposób, miażdżąc serca żyjących. Jaki był w tym cel? Oczyszczenie przez cierpienie? Kara za grzechy ojców? Przecież jeszcze parę dni i nie będzie kogo oczyszczać, bo wszyscy zamienią się w bezmyślne, krwiożercze trupy. Chłopak spojrzał na Kubę, jednak widząc jego wysuszoną, zawieszoną gdzieś na granicy świadomości postać, zrezygnował z prób jakiegokolwiek rozmowy. Zamiast tego zbliżył się do ściany, pod którą siedziała wcześniej Kaja. Osunął się na podłogę, odłożył broń.

„Resztę nocy trzeba będzie spędzić na warcie, bo tamtych dwoje na nic się nie zda” – pomyślał.

Parę minut później nie poczuł nawet, jak głowa opada mu na lewą ramię.

– Hej. Wstawaj.

Max z trudem otworzył oczy i to chyba tylko po to, aby zobaczyć oddalającą się sylwetkę Kuby.

Zacisnął powieki, przetrął je brudnymi palcami, starając się odgonić resztki snu. Po chwili przekreślił głowę i zatrzymał wzrok na siedzącej przy stole Kai. Zmrużył oczy, bo przez okno wpadało jasne, ostre światło. Od razu było czuć, że za parę godzin będzie nie do wytrzymania. Lipcowe poranki potrafiły zaskakiwać, czasami dość brutalnie.

– Która godzina? – zapytał cicho, czując w ustach ciężkiego, sflaczałego kaptura.

– Jakoś po ósmej – powiedziała Kaja, odwracając głowę w jego kierunku. Przekrwione oczy i opuchnięta twarz dawały doskonale świadectwo tego, w jaki sposób dziewczyna spędziła minioną noc.

– Już? Cholera.

Skonsternowany dźwignął się z podłogi i podszedł do stołu.

Kaja przyjrzała mu się, chociaż miała tak obojętny wzrok, że chłopak wątpił, czy w ogóle zarejestrowała jego obecność.

– Spałeś jak zarżnięty. Ale spoko, nic się nie działo.

Max powoli pokiwał głową, zbierając myśli.

– No dobra, ale czemu mnie nie obudziliście wcześniej? Przecież powinniśmy spróbować...

– Max, daj już spokój. Proszę cię – przerwała mu Kaja. Wbiła w niego twarde, stanowcze spojrzenie, rozwiewając tym samym jego wątpiwości co do kwestii, czy go widzi, czy też nie. Dokładnie takiego spojrzenia często używał Paweł. Zacisnęła szczęki, uwydatniając kości policzkowe, zmarszczyła brwi. Starła się wyglądać twardo, jednak w kącikach oczu szybko zbierały się łzy. Po paru sekundach z trudem przelknęła ślinę, spuściła wzrok.

– Przecież wiemy, że to na nic.

W pierwszej chwili chłopak nie bardzo wiedział, jak powinien się zachować, jednak zaryzykował klasyczne zagranie:

– Kaja, przestań, jeszcze przecież nie wszystko jest stracone – mówiąc to, położył jej na ramieniu dłoń.

– Nie...? Czyli co, możemy sobie teraz wyjść i przejść spokojnie te... – wyjrzała zza niego, ironicznie kręcąc głową – na oko dwa kilometry pełne zombie, dojść do spa-lo-ne-go dworku i przekopać zgliszcza? Pojechało cię? Tak już do reszty? Już zapomniałeś, jak wczoraj próbowaliśmy się do nich cofnąć? Ilu ich tam jest? Że wszystko spłonęło?

Widać było, że ta krótka, acz treściwa tyrada kosztowała dziewczynę sporo wysiłku. Max speszony cofnął rękę i opuścił wzrok. Już nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Z jednej strony bał się wracać, z drugiej czuł, że powinni chociaż spróbować. Czy Paweł by odpuścił? Wątpił. Jednak z trzeciej strony, to właśnie Paweł podjąłby ostateczną decyzję, zwłaszcza jeżeli chodziłoby o jego najbliższych. Dlatego też Max nie powinien zbytnio naciskać.

„Decyzja musi zostać podjęta przez Kaję i Kubę. Ja mogę służyć im tylko jako doradca” – pomyślał.

– Nie, nie zapomniałem. Rób, jak uważasz.

– Wiesz, o co mi chodzi – powiedziała po chwili, już znacznie spokojniej.

– Wiem.

Spotkali się wzrokiem. Strach zmieszał się z determinacją, dezorientacja z troską.

– On by nie chciał, żebym tam wracała – wyszeptała ledwie słyszalnie.

Pochylił się i mocno objął dziewczynę. Miała przepocone, brudne ubranie, a jej skóra pachniała strachem – jednak Max absolutnie na to nie zważał.

Dopiero teraz Kuba odwrócił się od okna. Pojawił się niczym duch. Albo wcześniej nie był świadomy ich rozmowy, albo ta zupełnie go nie obchodziła.

– Nawet jakbyśmy chcieli, nie damy rady wrócić – stwierdził, jednocześnie potwierdzając, że wszystkiemu się przysłuchiwał.

Max puścił Kaję, oboje wpatrywali się teraz w policjanta.

Żadne nie powiedziało nawet słowa. Nikt nie zaszeleścił, nie zaszeptał, nikt nawet w miejscu nie zadreptał – nie wiedzieć czemu akurat te wersy rozbrzmiały w głowie chłopaka, który zupełnie niespodziewanie poczuł przyływ spokoju. Jakby nagle pogodził się z tym, że już nigdy nie zobaczy Pawła ani Natalii. Sama świadomość tego, oczywiście, cholernie go bolała, lecz zarazem była dziwnie kojąca. Ponoć to czekanie jest zawsze najgorsze, ta niepewność i strach przed nieznanym – natomiast gdy okres czekania już dobiegnie końca, nieważne jak złe wiadomości przyniesie, zawsze zaczyna się okres rekonwalescencji. Spojrzał na pozostałych i zastanowił się, czy mają podobne odczucia.

– Słuchajcie, powinniśmy się ruszyć – zasugerował Kuba.

Kaja posłała mu pytające spojrzenie.

– Nie powinniśmy tu siedzieć, już widać płonące domy. Ogień pewnie za jakiś czas i tu dotrze.

Dziewczyna nie odpowiedziała, chociaż z jej twarzy wszystko można było dokładnie wyczytać.

– Kuba ma rację – stwierdził Max. Chłopak wiedział, że powinni się czymś zająć, a nie tylko siedzieć i się zastanawiać nad ogromem tragedii, jaką przeżyli. – Masz jakiś pomysł?

Policjant chwilę się zastanawiał, odwróciwszy wzrok w stronę okna.

„Tak, mam jeden i to całkiem niezły. Wyjdę i dam się zeżreć żywcem” – pomyślał, ale zachował tę koncepcję dla siebie. Tak naprawdę ruszenie się z tego domu było ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, ale w głębi siebie wiedział, że musi czymś zająć skołowaną głowę. Jeżeli będzie siedział i myślał, prędzej czy później po prostu palnie sobie w łeb i tak to się skończy.

– Powinniśmy opuścić miasto. I w ogóle tereny zabudowane, gdzie się roi od zombie. Nie mówię od razu o zamieszkaniu w lesie, ale może znajdziemy jakąś działkę gdzieś na odludziu i tam się zaszujemy na jakiś czas.

– Gdzieś na wsi? – zapytał Max, podchodząc do policjanta.

– Może być.

– Tam mogą mieć jedzenie.

– W supermarketach też mają jedzenie – włączyła się do dyskusji Kaja.

– I zombie. Na wsi albo na jakiejś działce będziemy bezpieczniejsi – upierał się Kuba.

– A powiedz mi jeszcze, jak chcesz się tam dostać? Złapiemy stopa czy idziemy pieszo? – zapytała

sarkastycznie.

– Mogę się nawet czołgać. Oby dalej stąd. A ty jak chcesz, to możesz zostać i czekać nie wiadomo na co, proszę bardzo – powiedziawszy to, odszedł od okna i ruszył w głąb mieszkania.

– Kaja, on ma rację. Musimy się stąd ruszyć – powiedział cicho, dyplomatycznie Max.

– Wiem. Ja po prostu... – nie skończyła. Przyłożyła pięść do zaciśniętych ust, podczas gdy oczy wypełniły się łzami. Napięła całe ciało, jakby chciała zdusić ból w zarodku, stłamsić go, wchłonąć za wszelką cenę, nie pozwalając, aby przejął nad nią kontrolę.

Bezskutecznie.

Wybuchła stłumionym szlochem. Max podszedł do niej, spróbował ją przytulić, ale spotkał się z wyciągniętą ręką. Kaja pokręciła głową.

– Nie. Już okej. Już dobrze.

Powiedziawszy to, wstała i spojrzała na niego pełnym bólu wzrokiem.

– Już okej – wyszeptała. – Muszę się ogarnąć.

Zniknęła w korytarzu, tym samym, w który wcześniej zagłębił się Kuba. Chłopak ponownie został sam.

NIEZNANA LOKALIZACJA, GODZINA 09:27.

Są? Max, cały czas wypatrując ruchu za rogiem bloku, odpowiedział:

– Nie. Przynajmniej żadnego nie widać.

– Dobra, to idziemy, zanim się zlecą – stwierdził Kuba, wybiegając przed chłopaka. Kaja trzymała się tuż za nim i wyszło tak, że tym razem to Max zamykał grupę.

Truchtali zgarbieni, starając się nie wydawać żadnych dźwięków, nie rzucać w oczy, praktycznie nie istnieć. O ile udawało im się utrzymać taki stan przez ostatnie kilkadziesiąt minut, tym razem nie poszło tak łatwo.

– Z prawej! – krzyknął Kuba, porzucając trucht na rzecz szybkiego biegu. Pozostała dwójka spojrzała przerażona w stronę, którą wskazał policjant. Ujrzeni tam dokładnie to, czego się spodziewali.

– Kurwa – zaklął cicho Max, rzucając się pędem przed siebie. Zombie, którzy wcześniej zauważyli grupę, już ruszyli w pogoń. Na domiar złego, między powolnymi osobnikami znalazły się również takie, które zdążyły sobie przypomnieć, jak się biega.

Kuba pierwszy dotarł do skrzyżowania ulic, odszedł kilka metrów od krawędzi budynku i odwrócił się w stronę, z której przybiegli. Kaja i Max zeszli z linii ognia chwilę przed tym, zanim policjant zaczął strzelać. Dokładnie celował, prowadząc oszczędny, metodyczny ostrzał. Nie mieli dużo amunicji, nie znali topografii miasta, więc każdy pocisk był na wagę złota. Mężczyzna zaciskał zęby, starając się trzymać nerwy na wodzy. Udało mu się zastrzelić kilku zombie, jednak spomiędzy budynków, zwabieni wystrzałami, wychodzili kolejni. Po paru sekundach znalazła się przy nim Kaja, następnie Max.

– Dawaj, lecimy! – krzyknęła dziewczyna.

– Gdzie teraz? – zapytał Kuba, starając się zakamuflować przerażenie.

– Nie wiem! – Kaja zatrzymała się na środku skrzyżowania i zaczęła się panicznie rozglądać wokół. – O, tam! – krzyknęła i nie czekając na reakcję pozostałych, popędziła w stronę kilkupiętrowego bloku.

– Biegnij! – Max zatrzymał się w połowie ulicy, osłaniając odwrót Kuby. Tym samym dał policjantowi czas na zmianę magazynka.

Po kilkuset metrach szaleńczego biegu dotarli do bloku. Na ich szczęście drzwi wejściowe stały otworem, toteż Kaja wpadła od razu na klatkę schodową i rozpoczęła wspinaczkę. Nie było czasu na zastanawianie się, co ich może spotkać na górze, musieli teraz pędzić, licząc na łut szczęścia. Po sekundzie wbiegł Max, następnie Kuba. Policjant przytomnie zatrzymał się, odwrócił i sięgnął, aby zamknąć drzwi wejściowe. Szarpnął za klamkę, ale nic się nie stało.

– Kurwa mać! – wykrzyczał, znajdując wzrokiem blokującą drzwi stopkę. Zrobił wykrok, żeby ją kopnąć, jednak ta, jak na złość, zaklinowała się w kratce zbierającej kurz i drobne śmieci. Zaklął ponownie, schylając się, żeby ją podnieść, lecz w tym momencie usłyszał dobiegający z tyłu krzyk.

– Kuba, uważaj! – Max próbował go ostrzec, szybko zawracając na schodach.

Nie zauważyli, że z boku bloku wynurzyła się kolejna grupa zombie. Policjant odwrócił się, lecz było już za późno – pokracznie biegnące monstrum wpadło na niego, powalając go na chodnik przed blokiem. W desperacji Kuba zdążył jeszcze oddać jeden niecelny strzał, zanim ciężko upadł, wypuszczając broń z rąk. Chyba Max coś krzyczał, chyba Kaja również coś krzyczała, lecz policjant był zbyt skupiony na tym, żeby nie dać się ugryźć. Doskonale pamiętał lekcje z poprzednich potyczek, dlatego szybko wyprostował ręce, odpychając od siebie zombie – i zgodnie z jego oczekiwaniami, usłyszał zbawienny wystrzał, a głowa stwora zniknęła, pozostawiając po sobie jedynie krwawy ochłap. Kuba szybko wyswobodził się spod trupa, lecz Max strzelał dalej, do hordy nadbiegającej od frontu. Policjant wstał i chciał skoczyć na klatkę wejściową, jednak wpadł na niego kolejny zombie z grupy, która pojawiła się z boku bloku. Uderzyli w drzwi. Szamotali się, Kuba próbował walić większego od siebie przeciwnika pięściami, dusić, odpychać. Parę razy krzyknął z wysiłku, prężąc mięśnie do granic wytrzymałości. Tym razem potwór nie dał się tak prosto obrócić i unieść, Max wyskoczył przed klatkę, aby oddać bezpieczny strzał, niemalże przystawiając lufę do głowy zombiaka i uwalniając tym samym policjanta. W międzyczasie na klatkę zbiegła Kaja, wystrzelivując ostatnie pociski do pojawiających się zewsząd przeciwników. Dziewczyna obnażyła zaciśnięte zęby, z jej zmarszczonego czoła skapywały krople potu.

– Pusto! Kurwa, nie mam już amunicji! – krzyknęła po paru sekundach, z przerażeniem patrząc na bezużyteczny karabin.

Max oddał jeszcze dwa strzały, po czym jego broń również zamilkła. Spotkał się wzrokiem z Kubą. Dziwnie spokojne spojrzenie policjanta mówiło więcej niż jakiegokolwiek słowa. Max spuścił wzrok i przyjrzał się pogryzionemu przedramieniu Kuby. Z poszarpanej rany sączyła się gęsta, ciemna krew.

– Rzuć mi topór! Szybko! – rozkazał Kuba. Dziewczyna w pierwszej chwili nie chciała zrozumieć, co policjant zamierzał zrobić, jednak szybko sięgnęła do plecaka i rzuciła mu to, co chciał. Ten zamiast – jak sądziła – odrąbać sobie rękę, złapał topór oburącz i odwrócił się plecami do klatki wejściowej.

– Uciekajcie! Na górę! – krzyknął, odwracając na chwilę głowę. Za kilka sekund pędząca horda miała w niego uderzyć.

– Nie! Kuba, wejdź do środka, przestań svirować! – krzyczała Kaja, lecz w tym samym momencie policjant rzucił się z toporem na zombie atakujących go od flanki. Mężczyzna jednym, pewnym uderzeniem zatopił ostrze w głowie trupa, skutecznie eliminując go z dalszej walki.

– Wypierdalać! – krzyknął z całych sił. Jego twarz, jego spojrzenie zmieniły się nie do poznania. Mężczyzna napiął wszystkie mięśnie, zaciskając dłonie na broni. Jego oczy przepelniał mistyczny, przerażający blask.

– Kaja, dawaj – ponaglił ją Max. Rozumiał, że Kuba ma już dość dalszego uciekania, poza tym dla ugryzionego dalsza walka nie miała jakiegokolwiek sensu. Kaja nie chciała tego rozumieć, wiła się, krzyczała, próbując przemówić mu do rozsądku. Tymczasem wrzeszcząca horda była coraz bliżej, najwyżej dwadzieścia metrów przed nimi. Nagle Kuba odwrócił się.

– Przeżyjcie to – powiedział, unosząc wysoko topór. Opuścił go szybko i gwałtownie, łamiąc nogę, która blokowała drzwi. Trzasnął drzwiami, zamykając w bloku Kaję i Maxa.

– Jest okej – wyszeptał, patrząc przez szybę na ich przerażone twarze. Następnie ponownie się odwrócił, stając frontem do zombie.

– No chodźcie, skurwysyny! Za Natalię! – krzyczał, ruszając biegiem na spotkanie śmierci.

EPILOG

GDZIEŚ W POLSCE. ZAPRZESTANO LICZENIA CZASU. WIECZÓR.

Mężczyzna wychylił głowę z za zaśniedziałego, śmierdzącego pleśnią i pyłem muru. Okolica była opuszczona i wymarła. Wiatr leniwie poruszał drobnymi gałęziami wszędobylskich samosiejek, zrzucając ostatnie żółte liście na zaniedbane ulice. Puste oczodoły budynków patrzyły na mężczyznę niczym bezwzględni sędziowie, poddając jego marną egzystencję surowej ocenie. „Jak to zrobiłeś?” – zdawali się pytać. „Jak śmiałeś przeżyć tak długo? Powinieneś być umrzeć dawno temu jak wszyscy, których znałeś i kochałeś. Nie potrafiłeś umrzeć, to teraz cierp”.

Mężczyzna zignorował ich pytania, tak samo, jak robił to wcześniej i jak zamierzał robić w przyszłości. Zignorował nieme docinki, skupił się na analizowaniu otoczenia. Odnotował brak jakiegokolwiek ruchu, ale życie nauczyło go, że to niekoniecznie było gwarantem bezpieczeństwa. Nie musiał dotykać pistoletu umieszczonego w kaburze na udzie, żeby wiedzieć, że tam jest. Nie musiał dotykać obsydianowej maczety zawieszanej na plecach, żeby wiedzieć, że ta również jest na swoim miejscu, oczyszczona, naostrzona i gotowa do użytku. Nie musiał sprawdzać stanu magazynka w karabinie maszynowym, który trzymał w muskularnych, wyżyłowanych ramionach. Z żadną z tych rzeczy nie rozstawał się przez ostatnie lata, wielokrotnie utwierdzając się w przekonaniu, że przezorny jest zawsze ubezpieczony.

Inaczej, zgodnie z oskarżeniami sędziów, dawno gryzłby piach lub coś zupełnie innego. Popatrzył jeszcze chwilę przed siebie, aż w końcu powoli podniósł się z kucek i wyprostował. Znajdująca się przed nim ulica była opustoszała. Zardzewiałe wraki aut pozapaadały się w sobie, zapraszając do zamieszkania przeróżne stworzenia, które dawno opuściły swoje leśne leża. Popękany asfalt był także zapuszczony – leśna ściółka sukcesywnie, rok po roku, zagarniała coraz większe połacie niegdyś zurbanizowanego terenu. Mężczyzna lubił tę świadomość, lubił obserwować, jak natura zagarnia to, co kiedyś zostało jej odebrane. Wydawało mu się to normalne, przypominało powrót do odpowiedniego porządku. Do dawno utraconego ładu. Wspomnienie dawnego życia było tak mgliste i odległe, że nie wywoływało już absolutnie żadnych emocji. Było tylko mirażem, wspomnieniem starca przypominającego sobie pojedynczą scenę z dzieciństwa. Wie, że było, wie, że coś tam kiedyś się wydarzyło, jednak nic ponadto.

Mężczyzna wątpił, żeby dożył sędziwego wieku, jednak teraz o tym zupełnie nie myślał. Uniósł broń i wyszedł na ulicę. Trzymał się blisko budynków, idąc spokojnym, sprężystym krokiem. Coraz mniej musiał uważać na chrzęszczenie szkła, większość bowiem ukryła się pod warstwami piachu i liści nanoszonych przez wiatr. Nie było już ludzi, którzy mogliby dbać o porządek w miastach, nie było też takich, którzy skarżyliby się na bałagan. Nie było tych, którzy mogliby wysłuchiwać ich

skarg, zabrakło tych, którzy z za dębowego biurka wydawali dyspozycje i zarządzali pośrednimi kierownikami, którzy z kolei kaskadowali polecenia na robotników najniższego szczebla. Biurokratyczna machina zwolniła, przestała pracować, aż w końcu zupełnie zardzewiała.

Mężczyzna uważnie przechodził obok otwartych drzwi budynków, zapraszających do ciemnych czeluści opuszczonych i zapomnianych wnętrz. Uważnie mijał wraki aut. Pokonywał tę drogę niezliczoną ilość razy, lecz nigdy nie zapomniał, że wystarczył tylko jeden błąd, aby jego podróż dobiegła końca.

Nie wiedzieć czemu, po tym wszystkim, co przeszedł, po horrorze, jakiego doświadczył, nie chciał umierać. Jakaś dziwna, nieznana siła trzymała go przy życiu, kazała podejmować słuszne decyzje i przeć dalej. Więc parł.

Dotarł do otwartych drzwi budynku biurowego. Obejrzał się za siebie, uważnie przyjrzał okolicy, ale, jak i poprzednim razem, niczego nie dostrzegł. Parę chwil później zagłębił się w jego czeluści, ponownie pozostawiając niezadowolonych sędziów bez odpowiedzi.

Ruszył korytarzem i wkrótce dotarł do magnetycznych bramek, w których całe wieki temu pracownicy skanowali swoje karty, tak aby system informatyczny mógł zarejestrować ich przybycie. Oryginalne bolce zostały zastąpione grubymi na półtora centymetra, żeliwnymi prętami zbrojenio- wymi. Do prętów były dospawane oka, na których wisiały zamknięte kłódki, przypinając pręty poprzeczne do prętów pionowych. Mężczyzna zdjął z szyi pęk kluczy, odpiął trzy oznaczone odpowiednim kolorem kłódki, odsunął pręty, przeszedł przez kratę i odwrócił kolejność działania. Po zamknięciu kraty podszedł jeszcze do awaryjnego, otwieranego tylko w jedną stronę, długiego, wąskiego przejścia zbudowanego pod sąsiadującą bramką. Tunel umożliwiał wczolganie się pod całość konstrukcji, na wypadek gdyby nie było czasu na zabawę z kłódkami. Miał też swoje systemy, których celem było spowolnienie pogoni. Bolec zabezpieczający przejście był na swoim miejscu. Mężczyzna odwrócił się i ruszył dalej. Minał kilka par zamkniętych drzwi, aż dotarł do pomieszczenia z innymi, tym razem ciężkimi, drewnianymi drzwiami, które wiele lat temu osobiście tu zamontował. Otworzył je kolejnymi dwoma kluczami, od wewnątrz zamykając jeszcze na dodatkową, poprzeczną zasuwę.

Staął w pomieszczeniu, które za pomocą płyt ze sklejki i drewnianych belek zostało przerobione na labirynt. Istota rozumna nie miałaby problemu z jego pokonaniem, gdyż na ścianach i podłodze były namalowane wskazówki, jednak labirynt miał na celu spowolnienie istot bezrozumnych, które jakimś cudem dotarłyby aż tak daleko. Niektóre przejścia skrywały pułapki, zapadnie i dźwignie, które miały zabić lub uwięzić zombie. Znaki wskazujące drogę również nie do końca prowadziły do wyjścia z labiryntu – tylko osoba, która została przez niego przeprowadzona, miała szansę omi- nąć przeszkody bez szwanku. Mężczyzna zabezpieczył się również na ewentualność niechcianych, ale myślących gości. Degeneratów, wygnańców z piekła, znacznie gorszych niż sami zombie, których niejednokrotnie miał wątpliwą okazję spotkać na swojej drodze.

Poprawił plecak i ruszył doskonale znaną trasą.

Po przecięnięciu się przez ostatnie, wąskie przejścia, przedostał się do kolejnego korytarza, rów-

niez pokonując zamykane na klucz drzwi. Pozostawiony za plecami labirynt miał jeszcze jedną, zasadniczą zaletę – został zbudowany w taki sposób, że od tyłu można było wejść między ściany, żeby z bezpiecznego miejsca eliminować przeciwników. Również w suficie były wykonane zamykane otwory strzelnicze, skąd po wejściu piętro wyżej można było prowadzić ostrzał.

Odwrócił się z zamiarem ruszenia w głąb korytarza, skąd mógłby dotrzeć na schody, wejść nimi na górę i dotrzeć do właściwego serca kompleksu, jednak nagle zamarł. Wstrzymał oddech, wyętył słuch. Zdawało mu się, że gdzieś w oddali usłyszał ciche stuknięcie, jakby uderzenie metalem o metal. Zastygał tak już niejednokrotnie wcześniej, więc pozostanie w całkowitej ciszy nie stanowiło dla niego najmniejszego problemu. Omam czy faktycznie coś, lub co gorsza – ktoś, go wysłodził? Przelknął ślinę. Odgłos się powtórzył. Dla wyczekującego na niego mężczyzny był wyraźny niczym uderzenie w dzwon. Cicho zrzucił z ramion plecak, aby być lżejszym i bardziej mobilnym. Uniósł broń i szybkim krokiem ruszył do najbliższych drzwi. Bezszelestnie je uchylił, wszedł do pomieszczenia i kilkanaście susami doskoczył do opartej o ścianę drabiny. Prowadziła do wybitego w suficie przejścia, które z kolei pozwalało wyjść nad parter i przez bezpieczne stanowiska obserwować ruch poniżej.

W pierwszej kolejności ruszył nad labiryntem. Zamiast patrzeć w każde miejsce po kolei, skierował się w stronę jego wejścia. Było zamknięte – kłódki i rygiel tkwiły na swoich miejscach – więc nie było sensu sprawdzać zakamarków labiryntu. Mężczyzna poprawił pasek taktyczny, który zsunął mu się z ramienia, i ruszył dalej. Po kilkudziesięciometrowej, ostrożnej przeprawie, która de facto bardziej przypominała skradanie się, dotarł nad główne wejście. Teraz znajdowały się pod nim pręty zbrojeniowe, stanowiące pierwszą barierę zbudowanego przez niego bastionu. Gdy wyrzwał, przez specjalnie do tego celu wybity otwór, poczuł, jak jakaś niewidzialna dłoń zaciska się na jego żołądku, a szczęka samoistnie zwiera się ze zdenerwowania.

Za prętami, od wewnętrznej strony barykady ktoś spokojnie stał. Masywny, krępy facet w wojskowej kurtce, bojówkach i wojskowych opinaczach. Nie był to idealnie dopasowany mundur – już na pierwszy rzut oka było widać kilkanaście udogodnień i modyfikacji stworzonych specjalnie po to, aby usprawnić użytkowanie przez właściciela. Na głowie miał taktyczny hełm wojskowy, dolna część twarzy zniknęła pod bandaną, oczy przesłaniały pomarańczowe gogle balistyczne – to wszystko razem czyniło jakąkolwiek próbę identyfikacji absolutnie niemożliwą. W rękach trzymał obity karabinek maszynowy, owinięty jakimiś starymi, brudnymi szmatami. Same magazynki były sklezione taśmą izolacyjną, co pozwalało je szybko wymienić. Mężczyzna wiedział, że obcy dostał się do środka tunelem awaryjnym, skutecznie go za sobą zamykając. To znaczyło, że gość albo był dość inteligentny, albo go śledził. Albo jedno i drugie.

Bez względu na tak niespodziewane spotkanie, mężczyzna wypuścił spokojnie powietrze. Doświadczał strachu i stresu niemalże codziennie, więc organizm szybko sobie z nim poradził. Powoli obrał obcego na cel, złożył się do przyrządów i powiedział:

– Połóż broń na podłodze. Powoli.

Obcy spokojnym ruchem uniósł głowę, lokalizując źródło dźwięku. Starł się nie wykonywać

gwałtownych ruchów, żeby tylko nie sprowokować nikogo do pochopnej reakcji. W pomarańczowych goglach odbijała się resztką dziennego światła, przez co cała postura przybysza nabrała pewnego mistycznego, niepokojącego wyrazu. Jednak po paru chwilach wykonał polecenie – posłusznie ukucnął i ostrożnie, z odpowiednim namaszczeniem, położył broń na podłodze.

– Teraz podejdź pod kratę. Odwróć się do niej przodem. Oprzyj ręce tak, żebym miał je na widoku.

Obcy od razu uniósł otwarte dłonie na wysokość ramion.

– Nie szukam kłopotów.

– Zamknij się – odwarknął mężczyzna. Odzyskany spokój gdzieś zaczynał się ulatniać, coraz mniej mu się podobała ta wizyta, miał coraz gorsze przeczucia względem przybysza. Jego głos, postura... jakby kogoś mu przypominały. – Pod kratę – powiedział mocniejszym, bardziej rozkazującym tonem. Musiał odzyskać panowanie nad sobą i nad sytuacją, nie mógł pozwolić, aby to obcy przejął inicjatywę. Przypomniawszy sobie o kobiecie i dziecku, które ochraniał. Miał zdecydowanie zbyt wiele do stracenia.

– Dobrze już. Spokojnie... – obcy wycofał się parę kroków, następnie powoli odwrócił i oparł dłońmi o pręty zbrojeniowe, szeroko i wysoko unosząc ramiona. Stał parę chwil w milczeniu, nasłuchując.

– Po co tu przyszedłeś? – usłyszał nagle. Bliżej, donioślej. Odruchowo odwrócił się i kątem oka zobaczył, że mężczyzna, który do niego celował, teraz stoi zaledwie kilka metrów za nim. Obcy, pomimo doskonałego słuchu i wyszkolenia, nie zorientował się, kiedy ani którądy tamten zszedł. Pod bandaną zakrywającą szczękę kącik ust uniósł się w delikatnym uśmiechu. Zaimponował mu.

– Przyszedłem... – zaczął tłumaczyć przybysz, chociaż nagle, zupełnie niespodziewanie, ciężka gęstwa utknęła mu w gardle i uniemożliwiła mówienie. Nie mógł przełknąć śliny, nie mógł wyszeptać nawet jednego słowa. Słyszając z takiego bliska głos, co prawda inny, niż go zapamiętał, jednak niewątpliwie należący do znanego mu właściciela, przybysz poczuł, jak opada z sił. Dopadła go okrutna świadomość tego, co za chwilę ma nastąpić. Czyżby jego tułaczka nareszcie miała dobiec końca? Czyżby los w końcu pochylił się nad nim i okazał odrobinę łaski? Był tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać. Mężczyzna trzymający go na muszce wcale nie musiał być tym, którego szukał obcy, lecz.... tyle razy już się rozczarował, że nie pozostało mu absolutnie nic do stracenia.

Puścił żeliwne pręty i powoli się odwrócił.

Mężczyzna głębiej obsadził broń w dołeczku strzeleckim i zrobił krok do tyłu, aby uniknąć ewentualnego skoku przybysza. Dystans, jaki wcześniej zachował, był absolutnie wystarczający, jednak wolał wziąć poprawkę. Nigdy nie należało być zbyt pewnym siebie.

– Nie ruszaj się, bo... – nie dokończył, gdyż obcy wszedł mu w zdanie.

– Spokojnie. Nie zrobię ci krzywdy... Max.

Mężczyzna poczuł silny ucisk w klatce piersiowej. Mimowolnie opuścił broń, jakby wypowiedziane na głos jego imię było swoistym zaklęciem. Jakby paraliżowało.

– Skąd...

Słowo powędrowało w pustą przestrzeń dzielącą obu facetów i nie znajdując punktu zaczepienia, rozplynęło się. Zamiast odpowiedzi, przybysz powoli zsunął bandanę, podniósł gogle taktyczne na hełm, który następnie również – powoli – zdjął.

Jego surowa, zarośnięta twarz była poznaczona bliznami. Jedna ciągnęła się od czoła aż po środek policzka, mijając lewe oko zaledwie o milimetry. Niemniej ostro zarysowana, kwadratowa szczęka kogoś mu przypominała. Postura, ton głosu, to wszystko było jakby znajome, lecz dopiero gdy Max spojrział w szare, głęboko osadzone oczy, uzmysłowił sobie, kto przed nim stoi.

– Paweł...? To... jak, skąd... – wydukał, nie mogąc wydobyć z siebie nawet jednego słowa więcej. – Przecież zginąłeś. Zginęliście oboje.

Mówiąc to, Max zmarszczył brwi i ponownie uniósł broń. Miał wrażenie, że umysł płata mu figle, że oto stoi przed nim zjawa lub zombie, do którego Max w szaleńczym widzie przemawia. Albo nie stoi przed nim zupełnie nikt, co też było całkiem prawdopodobne. A może dorosły już teraz Max umarł, może ktoś go zastrzelił, gdy wchodził do swojej kryjówki i tak właśnie wygląda życie po śmierci? Dalej tkwisz w gehennie, której doświadczyłeś za życia, jednak znajdują się w niej osoby, które dotarły w to miejsce odpowiednio wcześniej.

– Tak, to ja. Jezu, alez wyrosłeś. Ile to już minęło?

Mężczyzna przyglądał się uważnie Pawłowi. Lustrował go wzrokiem, jakby chciał przekonać uparty mózg, że to naprawdę człowiek, którego kiedyś znał i któremu może zaufać.

– Trzy albo cztery zimy. Nie jestem pewien. To naprawdę ty?

Dalej twardo trzymał broń, z lufą skierowaną w pierś przybysza.

– Tak, chłopaku. To ja.

– Udowodnij – rzucił krótko, oschle.

W środku jego serce niemalże eksplodowało z radości, żalu, pretensji, wszystkiego naraz. Radości, że Paweł jednak przeżył, żalu i pretensji, że nie odnalazł ich wcześniej, tylko kazał się tulać przez lata samotnie, walczyć o życie każdorazowo zastanawiając się, czy będzie im dane jeszcze ujrzeć blask wschodzącego słońca.

Paweł bez zastanowienia odpowiedział:

– Poznaliśmy się w metrze, w Warszawie. Pociąg się wykoleił, pomagaliśmy rannym... siedzieliśmy w jakimś składziku na narzędzia. Błądziliśmy po tunelach, gdzie było pełno zombie, ale udało nam się wyjść przy Polach Mokotowskich, gdzie jakimś cudem trafiliśmy na moją córkę, Kaję...

Przygotowywał się na to spotkanie setki razy, jednak wypowiedziane na głos imię jego córki było czymś więcej. Czymś, na co nie sposób było się przygotować. Na te słowa zamilkł. Max opuścił broń.

– To naprawdę ty.

Poczuł, jak do oczu napływają mu łzy. Zrobił krok do przodu, podszedł do Pawła i mocno go objął, a ten od razu odwzajemnił uścisk. Obaj zaciskali szczęki, żeby trzymać na wodzy szalejące w ich wnętrzach emocje, jednak nie do końca im się to udawało.

– Kaja żyje. Ma się dobrze, jest na górze z Michałem – odpowiedział po chwili Max, odsuwając się

od Pawła. Męskie obnażenia duszy mają swoje miejsca, czasy i przede wszystkim granice. Trudne do zaklasyfikowania i opisanie, jednak istniejące. Max wiedział, że Paweł niewątpliwie czekał na tę informację.

– Jezu, dzięki ci za to – Paweł zaśmiał się głośno, radośnie, chociaż z niepokojącą nutką hysterii. – Michałem?

Max również się uśmiechnął. Dopiero teraz poczuł, że Paweł pachnie pielgrzymem, czyli osobą, która się od tygodni nie myła i w kółko łaźła w tej samej odzieży.

– Tak, znaleźliśmy go parę lat temu. To jeszcze dziecko, nie wiemy, w jakim wieku, ale ma jakieś siedem, osiem lat. Bardzo nam pomógł.

Paweł zmarszczył brwi, nie do końca rozumiejąc, w jaki sposób ośmiolatek mógł im pomóc.

– Mieliśmy cel. Utrzymać go przy życiu.

Były komandos uśmiechnął się delikatnie i z uznaniem kiwnął głową.

– Jest z wami ktoś jeszcze?

– Nie, tylko nasza trójka. A ty jesteś sam?

– Jest jeszcze ze mną Natalia – mówiąc to, Paweł trochę sposepniał. Miał nadzieję, że Kubie udało się przeżyć, ale jak widać, nie można mieć wszystkiego.

– Przeżyła? – Max pokiwał z niedowierzaniem głową. – Cały czas nie mogę w to uwierzyć. Gdzie jest?

– Parę ulic stąd. Ma czekać do mojego powrotu lub wycofać się, gdyby się okazało, że ty to jednak nie ty, a ja bym nie wrócił.

– No tak. Dobry plan, jak zwykle – uśmiechnął się i klepnął Pawła w ramię. – Jak nas znalazłeś, jak przeżyliście w tym dworku? Przecież tam się wszystko zawaliło i spaliło. Musieliśmy uciekać, bo zaroilo się od zombie, a jak wróciliśmy, to już pozostały tam tylko zgliszcza – zaczął tłumaczyć Max, wyraźnie zażenowany, że tak to się potoczyło. Cały czas czuł się winny temu, że wtedy nie udało się im odnaleźć.

– Nie martw się. Nie mogliście nas znaleźć, bo nas tam nie było. Jak wbiegliśmy do biblioteki, zamknąłem drzwi i od razu rzuciliśmy się do okien. Bałem się, że te skurwysyny rozwalą zamki jak w drzwiach wejściowych, więc zadziałalem instynktownie. Jak wydostaliśmy się z dworku, otoczyli nas i musieliśmy uciekać za mur. Na zewnątrz było ich jeszcze więcej, nie było kiedy ani jak się z wami skomunikować. Też wróciliśmy, żeby przeszukać wnętrze, znalazłem tylko spalone zwłoki tej dziewczyny...

– Kaśki.

– Tak, właśnie.

Zamilkli na chwilę, wracając wspomnieniami do tragicznej nocy sprzed paru lat.

– Jak nas znalazłeś? Co się z wami działo przez ten cały czas?

Paweł uśmiechnął się i położył dłoń na ramieniu Maxa. Jego twarz rozświetlił blask zachodzącego słońca, odbity od jakiejś cudem ocalałej samochodowej szyby.

– To już zupełnie inna historia.

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Wtorek

Łomianki, godzina 21:28.

Środa

Łomianki, godzina 00:22.

Obrzeża Warszawy, godzina 12:40.

Obrzeża Warszawy, godzina 12:47.

Łomianki, godzina 13:28.

Las, godzina 13:57.

Łomianki, godzina 15:07.

Las, godzina 15:25.

Łomianki, godzina 15:30.

Łomianki, godzina 15:38.

Kraków, godzina 16:38.

Łomianki, godzina 16:07.

Lublin, godzina 16:58.

Łomianki, godzina 17:03.

Łomianki, godzina 18:13.

Gdańsk, godzina 18:32.

Łomianki, godzina 19:25.

Czwartek

Łomianki, godzina 04:25.

Łomianki, godzina 06:06.

Łomianki, godzina 07:10.

Trasa, godzina 08:45.

Dworek, godzina 10:10.

Nowy Dwór Mazowiecki, godzina 14:10.

Dworek, godzina 20:56.

Podziemny Kompleks, lokalizacja utajniona, godzina 21:45.

Dworek, godzina 22:13.

Dworek, godzina 22:22.

Dworek, godzina 22:41.

Piątek

Nieznana lokalizacja, godzina 03:30.

Nieznana lokalizacja, godzina 09:27.

Epilog

Gdzieś w Polsce. Zaprzesano liczenia czasu. Wieczór.